MOC CZYTANIA NA BOŻE NARODZENIE 2018

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 23-30 grudnia 2018
nr 52-53 (3624–3625)
cena 12 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

- Boniecki
- Bogdał
- Goc
- Bieńczyk
- Hołownia
- Jagielski
- Sołtys
- Mirczak
- Kubisiowska
- Komorowska
- Kozińska
- Napiórkowski
- Robiński
- Zioło

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

140 lat Teatru w Kielcach

5-6 STYCZNIA 2019

140 LAT TEATRU W KIELCACH

Świętuj z nami jubileusz jednej z najstarszych scen w Polsce!

6 STYCZNIA 1879

w Teatrze Ludwika, przy głównej ulicy Kielc, odbyło się pierwsze przedstawienie – „Dzwony kornewilskie" Roberta Planquette'a w wykonaniu trupy dramatycznej Józefa Teksla.

140 LAT PÓŹNIEJ....W TEJ SAMEJ SIEDZIBIE

6 STYCZNIA 2019

zespół artystyczny Teatru im. Stefana Żeromskiego zaprasza na „Widnokrąg" Wiesława Myśliwskiego w reżyserii Michała Kotańskiego.

TWÓRCY PREMIERY:

REŻYSERIA | Michał Kotański
ADAPTACJA | Radosław Paczocha
SCENOGRAFIA | Magdalena Musiał
KOSTIUMY | Kornelia Dzikowska
MUZYKA | Lubomir Grzelak
CHOREOGRAFIA | Szymon Dobosik
PROJEKCJE | Jakub Lech
REŻYSERIA ŚWIATŁA | Damian Pawella

PATRONAT HONOROWY:

prof. dr hab. Piotr Gliński
Wiceprezes Rady Ministrów
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Marszałek
Województwa Świętokrzyskiego

URZĄD MARSZAŁKOWSKI

Wojewoda
Świętokrzyski

WOJEWODA ŚWIĘTOKRZYSKI

Prezydent
Miasta Kielce

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz ze środków Urzędu Marszałkowskiego Województwa Świętokrzyskiego.

Szanowne Czytelniczki, Szanowni Czytelnicy,
niech Święto Wcielenia Pana
będzie dla Was źródłem radości
i niesłabnącej nadziei.
Tego Wam życzy
„Tygodnik Powszechny" i gmina Kadzidło

STAJENKA
AUTORKĄ JEST KURPIOWSKA ARTYSTKA WIESŁAWA BOGDAŃSKA Z KADZIDŁA

KS. ADAM

Boniecki: *Wigilia od nowa*

Przedświąteczny szał zakupów ma swój urok. Przecież chodzi o to, żeby bliskich, a często i dalszych ucieszyć podarunkiem, żeby miło świętować, a to dlatego, że „się narodził Zbawiciel, wszego świata Odkupiciel". Szkoda tylko, że ci, którzy od początku Adwentu lub nawet wcześniej ten świąteczny szał podkręcają, jakby zapomnieli, co to za święta, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedyś w ramach przedświątecznej sondy ulicznej w Paryżu ankieterzy pytali przechodniów, co znaczy słowo „*Noël*" (francuska nazwa Bożego Narodzenia). Zapytywani albo nie wiedzieli, albo mówili jakieś głupstwa. Pewnie u nas wyglądałoby to lepiej, bo jednak polska nazwa tych Świąt coś tam jednak sugeruje. Ale co? Słuchając radia, patrząc w telewizję i oglądając reklamy zaczynam podejrzewać, że może byłoby podobnie jak we Francji, bo napierają na nas ci od reklamy, a oni albo nie wiedzą, o co chodzi, albo uznali, że odwoływanie się do źródła tradycji bożonarodzeniowych będzie za mało atrakcyjne. Reklamy, i nie tylko reklamy, beztrosko mieszają fakty i osoby. Na przykład związek św. Mikołaja (żyjącego na przełomie III i IV w. biskupa Miry w Licji, dziś reklamującego filety ze śledzia) z Bożym Narodzeniem jest mniej więcej taki, jak zatrudnianych przez firmy promujące smartfony przebierańców w czerwonych czapkach i kaftanach ze starożytnym świętym biskupem.

Z Bożego Narodzenia robi się reklamowy show, a nawet jeśli nie reklamowy, to... pobożny, traktujący ewangelię o narodzeniu jak baśń piękną i nierealną. Popatrzmy choćby na nasze rzewne jasełka, wsłuchajmy się w niektóre kolędy typu „pastuszkowie mili", „anieli", co w „locie stanęli", „wół, osieł", „trzej królowie, monarchowie" itp.

Ale bądźmy sprawiedliwi, bo jak my sami (w Kościele) traktujemy biblijne opisy Bożego Narodzenia? Weźmy na przykład to zdanie w Ewangelii św. Łukasza: „wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzono spis ludności w całym świecie...". Wyszło? Bo zdaniem wielu autorów takiego spisu w tym czasie w ogóle nie było. Być może, mówią, Łukasz go wymyślił, by narodzeniu Jezusa nadać wymiary planetarne. W Biblii Tysiąclecia ma nas uspokoić przypis, że spis przeprowadził wielkorządca Syrii, niejaki Senciusz Saturninus. Kto to taki, dlaczego on, nie Cezar? Tymi kwestiami my po prostu wolimy się nie zajmować. Sam miałem kłopoty z tym spisem, dopóki nie przeczytałem w książce „I Vangeli del Dio con noi" mego ulubionego autora, Gianfranca Ravasiego, dlaczego Łukasz jest wiarygodny. Ten znakomity znawca Biblii i jej popularyzator, w książce poświęconej tzw. „ewangeliom dzieciństwa Jezusa" precyzyjnie, w oparciu o źródła wykazuje, jak powierzchowne są argumenty podważające historyczność spisu. Łukasz niczego nie zmyślił, wbrew interpretacji dość rozpowszechnionej w popularnych opracowaniach.

Albo popatrzmy tylko, jak beztrosko mówimy o aniołach w Betlejem. Mówimy tak, jakby ich obecność była najzupełniej oczywista. Owszem, dla wielu z nas jest oczywista, ale tylko w baśniach lub legendach. Toczymy debaty, czy w Betlejem aniołowie śpiewali „chwała... ludziom dobrej woli", czy „chwała... ludziom Bożego upodobania". Mało kto jednak podejmuje pytanie, jak te duchy czyste (a więc bez strun głosowych) w ogóle mogą śpiewać. W Starym Testamencie aniołowie zjawiają się 215 razy, a w nawiązującej do starotesta-

TP

W kolejnym, noworocznym numerze „Tygodnika Powszechnego"
– same czytelnicze fajerwerki!

Mikołaj GRYNBERG, Szymon HOŁOWNIA, Marcin NAPIÓRKOWSKI, Magdalena NOWICKA-FRANCZAK, Andrzej STANKIEWICZ, Karolina PRZEWROCKA-ADERET, Paweł PIENIĄŻEK, ks. JÓZEF TISCHNER, Robert KASPRZYCKI, Yascha MOUNK

2019 – to będzie najlepszy rok w historii świata! ▪ **Czy grozi nam polexit** ▪ **Tischner pisze do papieża** ▪ **Słowo roku: „ojkofobia"** ▪ **Franciszek: kogo zaraża, kogo przeraża** ▪ **Czy jest szansa na pokój w Syrii i Jemenie?** ▪ **Dlaczego ludzie nie chcą demokracji** ▪ **Rok z życia linoskoczka** ▪ **Polecamy muzykę na sylwestra**

Obszerne, pięknie ilustrowane wydanie noworoczne „Tygodnika Powszechnego" w sprzedaży w kioskach i salonach prasowych już w piątek 28 grudnia. Cena wydania – 10 zł.
A w e-wydaniach, w wydaniu na Kindle i w aplikacji – już w czwartek 27 grudnia wieczorem. Weź, czytaj!

mentalnych tekstów „ewangelii dzieciństwa" szum anielskich skrzydeł towarzyszy wydarzeniom od zapowiedzi narodzin Jana Chrzciciela do powrotu Świętej Rodziny z Egiptu. Choć „ewangelii dzieciństwa" nie da się zrozumieć bez wyjaśnienia ich obecności, to dziś kazań o aniołach wolimy nie głosić, by nie wystawiać wiary słuchaczy na zbyt wielką próbę, a zresztą co z nimi robić, często sami nie wiemy. Czy z okazji Bożego Narodzenia nie należałoby wyjaśnić, że opisy zawarte w Piśmie Świętym, także w Nowym Testamencie, mając twardą podstawę historyczną, nie są ani reportażami, ani relacjami historycznymi, tylko przekazem wiary? Przekaz ten dokonywany jest według przyjętych wówczas reguł. Kiedy mowa jest tam o snach albo o aniołach, autor chce po prostu wskazać na szczególną interwencję Boga. Przecież i wtedy czytelnicy tego przekazu wiedzieli, że aniołów nie spotyka się ot tak na ulicy. Słowa wkładane przez autorów natchnionych w usta aniołów rozumiano jako przekazane ludziom słowa Boga, objawioną Jego bliskość, Jego natchnienia.

STAJENKA-CHOINKA
ARTYSTKA WIESŁAWA BOGDAŃSKA Z KADZIDŁA

Jeśli nie odczytujemy Biblii w sposób literalny, jak na przykład robią świadkowie Jehowy, ale staramy się tak interpretować tekst, by go właściwie zrozumieć, odkrywamy, że aniołowie w Biblii często są syntezą dwóch podstawowych rysów oblicza Boga. Jest on INNYM, transcendentnym, kimś nieskończenie wyższym od człowieka i jednocześnie BLISKIM ludzi, jest Emmanuelem – Bogiem z nami, obecnym w historii człowieka.

Słysząc, że ktoś swoje duchowe życie opiera wyłącznie na lekturze Pisma Świętego, odczuwam niepokój. Oczywiście wierzę, że Biblia to słowo Boże i że przekaz ewangelistów jest przekazem Dobrej Nowiny Jezusa Chrystusa; ale także wiem, że Pismo Święte, jak każdy inny tekst napisany w obcym języku, ma swoje lepsze i gorsze przekłady, że powstał w historycznym kontekście, w którym istniały określone sposoby komunikowania różnych treści, bez znajomości których nawet najlepszy przekład nie wystarczy do poprawnego zrozumienia treści. Pokazuje to wspomniany wyżej Ravasi oraz liczne książki wprowadzające do lektury Pisma.

Święty Franciszek, który nie był jak Ravasi biblistą, wyczuł to, co najważniejsze. Ubolewał, że ludzie nie odpłacają Bogu miłością za miłość, wdzięcznością za cud wcielenia i dar Dobrej Nowiny. W 1223 r. w leśnej jaskini w pobliżu Greccio przygotował pierwszą szopkę ze żłobem, sianem, słomą, z żywymi owcami, wołem i osłem. Podczas odprawianej tam mszy świętej wygłosił kazanie, w którym wielokrotnie powtarzał: „kochajcie Dziecię z Betlejem". Wiara szuka zrozumienia, więc zachęcam: czytajcie Ravasiego, ale nawet jeśli nie będziecie go czytać, to słuchajcie świętego Franciszka.

Świąteczne życzenia Redakcji „Tygodnika Powszechnego" dla czytelników kierujemy wraz z gminą Kadzidło, która od lat swoją przyjaźnią nas krzepi i którą niezmiennie podziwiamy. Dziękujemy za wszystkie kunsztowne ozdoby naszej redakcyjnej choinki. ©℗

TP

Weź, słuchaj i daj do słuchania bliskim!

Codziennie, począwszy od 24 grudnia, na stronie TygodnikPowszechny.pl przypominać będziemy nagrania „Opowieści Wigilijnych".

Zostały one napisane specjalnie dla „TP" przez wspaniałych Autorów:
OLGĘ TOKARCZUK, ETGARA KERETA, MARKA BIEŃCZYKA, RABIHA ALAMEDDINEGO, JERZEGO PILCHA i ANDRZEJA STASIUKA.
Zrealizowane zostały w mistrzowskich interpretacjach ANNY DYMNEJ, JOANNY SZCZEPKOWSKIEJ, MARKA KONDRATA, JANUSZA GAJOSA i JERZEGO TRELI. Swoją opowieść zimową czyta też ks. ADAM BONIECKI. Oprawę muzyczną „Opowieści" stworzył zespół MAŁE INSTRUMENTY. Weź, słuchaj codziennie na stronie albo kup całość na powszech.net/opowiesci.

Przypominamy także, że nagrania poszczególnych wydań „Tygodnika Powszechnego" – w tym bieżącego, poprzednich i specjalnych – znajdziesz w aplikacji Audiodelic. Wystarczy pobrać aplikację, a po jej instalacji czeka 14-dniowy gratisowy okres próbny.

Tygodnik Powszechny – weź, słuchaj!

▪ BOŻE NARODZENIE 2018 ▪

16 Pierworodny, wybraniec i straceniec
ROZMOWA Z OJCEM ŁUKASZEM POPKO:
W Izraelu mówi się dziś ciężarnym kobietom: nie martw się, gdy dorośnie, nie będzie już wojska. Przekonanie o ofierze pierworodnego syna jest wciąż silne.

21 Z punktu widzenia anioła
SZYMON HOŁOWNIA
W aniele szukam nie lokaja, ale inspiracji, nie speca od magicznych sztuczek, ale od ustawiania perspektywy.

36 Obłaskawiony Pan Zamętu
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Kim jesteś, Mikołaju w wersji nieświętej?

30 Mesjasz tkwi w szczegółach
MAGDALENA ŁANUSZKA
W przedstawieniach Bożego Narodzenia z czasów średniowiecznych kryją się fascynujące opowieści. Skąd wzięły się ich motywy? Ile w nich czystej fantazji, a ile teologicznej dyscypliny i finezyjnego wykładu wiary?

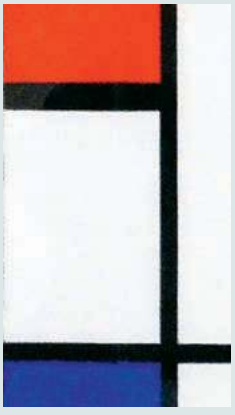

24 Narodzenie bez świadków
PIOTR SIKORA
Wiele wskazuje na to, że ewangeliczne opowieści o początku życia Jezusa wcale nie przekazują informacji o faktach.

26 Moc nocy
ROZMOWA Z OJCEM MICHAŁEM ZIOŁO, TRAPISTĄ:
Mnich to człowiek skonfrontowany z własnym brudem. Noc na niego napiera, narasta panika. Ten szok pozwala mu otworzyć się na Boga, być dzieckiem.

40 Cicheńko
KATARZYNA MIRCZAK
Gdy żona Szojmera, rosyjskiego Żyda z Odessy, przyszła do Felicji na Wigilię, przez chwilę wydawało się, że Wałbrzyskie to nowe pustkowie Sin – z ludźmi jak manna, nieoczekiwanym darem.

FRANÇOIS STRUZIK / SIMPLY HUMAN // WIKIPEDIA.ORG // GARETH FULLER / PA / EAST NEWS // UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / GETTY IMAGES // KATARZYNA MIRCZAK

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

8 Władzę dopadła zadyszka
ANDRZEJ STANKIEWICZ

9-14 Wiadomości / Komentarze

15 Tygodnik Czytelników

44 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

46 Jak daleko zawiodą nas młodzi
PAWEŁ MARCZEWSKI: *Zmiana pokoleniowa nie uzdrowi polskiej polityki*

50 Wojna futbolowa
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Jacek Gmoch i Andrzej Strejlau nie mogą żyć bez piłki. Ale siebie nawzajem tolerują z najwyższym trudem*

54 Działalność przyziemna
ANNA GOC *o Aptece Darów*

58 Rzeczpospolita Mobberska
RAFAŁ WOŚ: *Akcja „Tygodnika" przeciwko przemocy w pracy*

■ ■ ŚWIAT

70 A na końcu i tak wygrywa Merkel
GRZEGORZ SZYMANOWSKI

75 Czas Salomei WOJCIECH JAGIELSKI
o pierwszej od tysiąca lat przywódczyni Gruzji

78 Strażnicy lasu Mau AGATA KASPROLEWICZ: *Ogiekowie to jeden z ostatnich ludów zbieracko-łowieckich w Kenii*

82 Puchar niewyzwolonych
MICHAŁ OKOŃSKI: *Opowieść, która dzięki futbolowi pozwala zrozumieć Argentynę*

■ ■ HISTORIA

86 Nieznany cud nad Wisłą
TOMASZ TARGAŃSKI: *Polscy naukowcy stoczyli sto lat temu dramatyczną walkę z groźną epidemią*

THE MUSEUMS: GALLERIES AND ARCHIVES OF WOLVERHAMPTON/GETTY IMAGES

Okładka:
Marianne Stokes
„Madonna z dzieckiem" (1907-08),
Wolverhampton Art Gallery

■ OPOWIEŚĆ WIGILIJNA ■

62 W górę serca
GRZEGORZ BOGDAŁ

■ FELIETONY ■

57 ANNA DZIEWIT-MELLER
69 WOJCIECH BONOWICZ
123 PAWEŁ BRAVO
128 STANISŁAW MANCEWICZ
128 BARTOSZ MINKIEWICZ

Redaktor prowadzący:
PIOTR MUCHARSKI

90 Z Workuty do Poznania
JERZY SOBCZAK: *By przy stole zostawiać wolne miejsce*

■ ■ Z ODDECHEM

92 Himalajska wyrocznia
BARTEK DOBROCH *o Elizabeth Hawley*

■ ■ NAUKA

96 Z miłości do chrząszczy
SZYMON DROBNIAK

99 Duch ameby ŁUKASZ LAMŻA

■ ■ KULTURA

102 Obcujcie z niepewnością ROZMOWA Z PAWŁEM SOŁTYSEM, PABLOPAVO

106 Złota rączka od metafizyki
MAREK BIEŃCZYK: *Dobrze jest pisać o Alexandrze Calderze na święta*

110 Królobójcy DOROTA KOZIŃSKA
o operze „Król Roger"

112 Niech pani fruwa!
ROZMOWA Z MAJĄ KOMOROWSKĄ: *Aktorstwo to zadawanie sobie pytań*

116 Warstwy bliskości
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Roma"*

117 Warto zobaczyć w TV

122 Świat do góry nogami
LEKTOR *o książce „Jedwabne szlaki. Nowa historia świata"*

■ ■ SMAKI

118 Jak złapać bakcyla
MICHAŁ KUŹMIŃSKI: *Czy prawdziwy chleb musi być na zakwasie!?*

■ ■ ZMYSŁY

124 Marzenie o koniku
ADAM ROBIŃSKI: *Henryk Słowikowski, samozwańczy muzealnik*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

Czy bez kiboli stadiony byłyby piękniejsze? – *pyta* **RAFAŁ WOŚ**, *a Seweryn Dmowski odpowiada, że tak. Pod warunkiem, że komuś podobają się stadiony puste. Podkast do odsłuchania na* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

17 mgnień Rosji

Oczom zdumionej publiczności ukazano legitymację Stasi wystawioną na nazwisko Władimira Putina. Łatwo poznać, że jej właściciel to obecny prezydent Rosji – **ANNA ŁABUSZEWSKA** *o „okresie drezdeńskim" z życia Putina pisze na* **labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

WŁADZĘ DOPADŁA ZADYSZKA

Nawet jak na mocno teatralny charakter polskiej polityki, ostatnie dni były spektaklem wyjątkowym.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

W minioną środę premier niespodziewanie poprosił Sejm o wotum zaufania – to zagrywka ćwiczona przez szefów rządów, gdy potrzebują ucieczki do przodu. Morawiecki chciał pokazać, że to on dyktuje w Sejmie warunki, a nie lider PO Grzegorz Schetyna, który złożył wniosek o wotum nieufności dla premiera. Wszystko to jednak tylko gra pod publiczkę. Bo polityka dzieje się gdzie indziej, w zamkniętych gabinetach liderów PiS.

Kluczowe było wyjazdowe posiedzenie klubu PiS kilkanaście dni temu. Na jego zamkniętej części przedstawione zostały wyniki głębokich badań elektoratu, zamówionych przez partię. Ufający wyłącznie własnym badaniom Kaczyński chciał się dowiedzieć, dlaczego wynik wyborczy PiS był gorszy od spodziewanego. I sprawdzić, czy jego partię dopadła sondażowa zadyszka.

Co się okazało? Dotychczasowe hasła już nie zadziałają. Ani 500 plus, ani 300 plus, a nawet niższy wiek emerytalny i mieszkania od państwa. Nie mają sensu też samopochlebstwa Morawieckiego, dotyczące sytuacji gospodarczej, bo wyborców nie obchodzą makroekonomiczne wskaźniki. Strach przed ubóstwem pojawia się jeszcze z rzadka na prowincji, ale w miastach liczy się Europa, praworządność, nepotyzm i afery. Przy decyzjach wyborczych znaczenie mieć będzie także – paradoksalnie – normalność. Ludzie twierdzą, że będą się dla nich liczyły koszty

Owacje posłów PiS po głosowaniu nad wotum zaufania dla rządu Mateusza Morawieckiego, Warszawa, 12 grudnia 2018 r.

MICHAŁ DYJUK / FORUM

życia: cena prądu, masła czy benzyny.

Takie wyniki to wyraźna krytyka Morawieckiego po roku rządów. Okazuje się, że jego socjalny i gospodarczy przekaz przestał działać. Ba, ulubiony refren premiera – mafie VAT-owskie – też już nudzi publiczność. Za to miniony rok to wzmożenie kłopotów PiS z przejrzystością, czego finałem jest afera KNF. No i wojna z Unią, której Morawiecki stał się twarzą.

Wnioski z tych badań mają zostać teraz przetłumaczone na język politycznych pomysłów. Ale zmiany już widać: podczas sejmowej dyskusji nad wotum zaufania premier zapowiedział wycofanie się z dużych podwyżek cen prądu, deklarował też miłość wobec Unii.

Czy na kłopotach Morawieckiego zyska jego główny konkurent, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro? Na pewno spróbuje. W epicentrum afery korupcyjnej wokół Komisji Nadzoru Finansowego z rozdania PiS, zastępy Ziobry zatrzymały poprzednie władze KNF (z nadania PO) twierdząc, że to są prawdziwi aferzyści. Zdaniem Ziobry mieli dać się obłowić mafii działającej w SKOK Wołomin. A że jeden z nich został pobity na zlecenie mafiozów? Zdaniem Ziobry rozzuchwalił bandziorów. W PiS panuje przekonanie, że to operacja obliczona na osłabienie premiera. Morawiecki wizerunkowo na tym traci, ale odciąć się nie może – wybrał milczenie.

To pęknięcie między dwoma obozami w PiS jest coraz wyraźniejsze. Ziobro ewidentnie gra na twardą linię rządu. Ale wyniki badań elektoratu także dla niego nie są dobre. Po pierwsze, twardego elektoratu zabraknie, by wygrać wybory – i PiS musi jak zwykle łagodzić politykę, by uciułać parę punktów w centrum. A po wtóre, nawet ów twardy elektorat ma wątpliwości. No bo trzy lata śledztw przeciwko politykom Platformy i nikt nie siedzi? Po roku rządów Morawieckiego, znaczonych permanentnym konfliktem z Ziobrą, PiS znalazło się w punkcie zwrotnym. I nie bardzo wie, dokąd pójść. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Ryją w rezerwacie

KOALICJA RATUJMY RZEKI

W NOWEJ BIAŁEJ, JADĄC OD ŁOPUSZNEJ, trzeba skręcić w prawo, w kierunku Białki Tatrzańskiej. Po kilkuset metrach trafia się na niewielki parking. Potem wchodzi się w zarośla, a kiedy już przejdzie się na drugą stronę, trafia się w inny świat. Takie rzeki widuje się w Kanadzie, u podnóża Gór Skalistych. W Polsce jest tylko jedna. I nic dziwnego, że to miejsce – przełom Białki w rejonie Obłazowej (jest tam także jaskinia, gdzie archeologowie odkryli najstarszy na świecie bumerang, a rok temu znaleźli figurkę kobiety z czasów epoki lodowcowej) – ma status rezerwatu przyrody i objęte jest ochroną programu Natura 2000.

Miejsce to od kilkunastu dni wygląda inaczej. Pod pretekstem usuwania szkód powodziowych nad Białką pojawił się ciężki sprzęt, koryto rzeki jest regulowane w celu „odbudowy brzegów” i ochrony okolicznych terenów przed kolejnymi szkodami. Działania Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Krakowie ignorują przy tym zarówno projekty ochrony przed powodzią (zakładające inwestycje, m.in. w wały, poza obszarem chronionym), jak zalecenia przyrodników: siedliska chronionych gatunków ryb i roślin są zasypywane, ciężarówki i koparki niszczą naturalne ukształtowanie terenu. Naturalne to znaczy także formowane przez samą rzekę, która podczas powodzi potrafi płynąć z taką siłą, że obecna regulacja nie będzie w stanie jej powstrzymać.

Czy ktoś jest w stanie powstrzymać niszczenie krajobrazu? Przed siedzibą RZGW w Krakowie 14 grudnia odbył się protest ekologów z koalicji Ratujmy Rzeki.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

COP24: słowa, słowa, słowa

ADAM ROBIŃSKI

Na konferencji klimatycznej w Katowicach mocarstwa pokłóciły się o to, jakim czasownikiem potraktować raport oenzetowskiej komisji IPCC. Ten, który mówi o 1,5 st. Celsjusza jako bezpiecznej granicy ogrzewania planety. Niemal wszystkie delegacje chciały ów tekst „przyjąć”, ale tradycyjnie powściągliwe w krytykowaniu kopalin Arabia Saudyjska, Kuwejt oraz – to nowość – USA i Rosja wyłącznie „odnotować”. To dobra ilustracja tego, jak wygląda walka o uniknięcie klimatycznej katastrofy.

Katowicki szczyt, jak i wcześniejsze, miał swoją dynamikę. W pierwszym tygodniu negocjowali delegaci niskiego szczebla, w drugim dołączyli do nich politycy. Przygotowywano kolejne robocze wersje tekstu porozumienia, które miałoby wyposażyć deklarację paryską sprzed trzech lat w konkretny mechanizm i wprawić ją w działanie.

Ale w piątkowy poranek, który miał być ostatnim dniem COP24, liczba spornych punktów przekraczała 150. Wszystko wskazywało na to, że konferencja zostanie przedłużona do końca weekendu. Sekretarz generalny ONZ António Guterres mówił, że brak porozumienia w Katowicach byłby nie tylko niemoralny, ale i samobójczy. W kuluarach podkreślano, że ewentualny końcowy sukces będzie zasługą intensywnej unijno-chińskiej współpracy. Aby przełamać negocjacyjny impas, Pekin zgodził się na ujednolicenie zasad wdrażania porozumienia paryskiego względem państw rozwijających się i rozwiniętych, co długo stało kością niezgody.

Brak porozumienia lub jego odroczenie do kolejnego szczytu obciążyłoby cały cywilizowany świat, a wizerunkowo również kraj gospodarza. Delegaci przekonali się w Katowicach, że Polska jest od węgla nie tylko uzależniona, ale ma na jego punkcie obsesję. Z wizyty na Śląsku zapamiętają zapewne górnicze orkiestry, biżuterię i mydło z węgla oraz wycieczki do kopalni. I może jeszcze propozycję prezesa Jastrzębskiej Spółki Węglowej, aby odgórnie zmienić nazwę węgla koksowego. Gdyby nie zawierała słowa „węgiel”, przekonywał, lepiej by się wszystkim kojarzyła... Pozostaje tylko cieszyć się, że nikt nie zaproponował denominacji skali Celsjusza. ©

W SKRÓCIE

POLSKIE PYTANIA. Google sporządził listę pytań najczęściej zadawanych przez Polaków w 2018 r. W kwestii „co to jest?" dotyczyły RODO, niepodległości i RRSO, ale także sosrębu i pyskowania. Rodacy chcieli wiedzieć również, ile palców ma koń, ile do wakacji, ile skrzydeł ma motyl i ile zarabia radny.

ILE I CO TO JEST. W przyszłym roku lista może ulec modyfikacji: możemy pytać np., ile kredytu z państwowego banku otrzymała spółka braci Karnowskich na przejęcie Radia Zet albo co to jest bezczelność (w tym drugim przypadku algorytm wyszukiwarki może podsunąć wypowiedź senatora Biereckiego o pobitym przez bandytę byłym wiceszefie KNF, że „to nie jest tak, że bandyta zawsze bije tego dobrego").

KTO I CZY. Ciekawe pytanie zadał też Onet: gdy pod naciskiem USA i Izraela rząd rezygnował ze zmian w ustawie o IPN, liderzy PiS przekonywali, że mają lepszy pomysł na ściganie cudzoziemców oskarżających Polskę i Polaków o współodpowiedzialność za Holokaust: miano im wytaczać sprawy cywilne. Portal sprawdził, ile złożono takich pozwów i okazało się, że ani jednego.

PO CO I NA CO. Liderzy PiS mają jednak inne, bardziej, by tak rzec, wewnętrzne troski. „Każdy, kto będzie działał przeciwko partii, straci miejsce na listach wyborczych" – cytuje „Fakt" słowa Jarosława Kaczyńskiego ze spotkania z członkami swojego klubu, których aktywność ma być od teraz obserwowana i odnotowywana przez kierownictwo. „Dzienniczki uczniów nam założą" – skomentował jeden z parlamentarzystów.

RDC POLSKIE RADIO **BARTEK DOBROCH**, autor portretu Elizabeth Hawley (s. 92), będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 19 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Abp Gądecki: trzeba refundować lek na SMA

MACIEJ MÜLLER

Bez porozumienia zakończyło się 13 grudnia spotkanie ministra zdrowia i przedstawicieli Biogenu – producenta nusinersenu, jedynego istniejącego leku na SMA (rdzeniowy zanik mięśni). Polska jest jednym z kilku krajów kontynentu (obok m.in. Bułgarii, Portugalii i Wielkiej Brytanii), które nie włączyły zarejestrowanego w UE w połowie 2017 r. leku do systemu refundacji. Dzień przed negocjacjami minister zdrowia Łukasz Szumowski otrzymał list od przewodniczącego KEP abp. Stanisława Gądeckiego. „Proszę o możliwie najszybsze doprowadzenie do refundacji leku" – napisał, wyrażając smutek z powodu niedawnej śmierci trojga dzieci z SMA. „Mógł je uratować lek, na który chorzy w Polsce czekają od ponad półtora roku. (...) Mimo postępów medycyny setki chorych stoją przed widmem nieubłaganej niepełnosprawności i śmierci" – dodał.

SMA powoduje degenerację neuronów ruchowych i stopniową utratę możliwości poruszania się, przełykania i oddychania. Nusinersen zatrzymuje postęp choroby i pozwala przywrócić część zdolności ruchowych. Biogen wyznaczył cenę katalogową leku w krajach Unii na poziomie 90 tys. euro za dawkę: koszt rocznej terapii to 540 tys. euro w pierwszym roku i 270 tys. w kolejnych latach (to jeden z najdroższych leków świata). W Polsce żyje ok. 500-800 osób z SMA, co roku rodzi się 20-30 dzieci z tą chorobą. Negocjacje trwają: rząd oczekuje obniżenia ceny. Strony nie wykluczają porozumienia przed Świętami. ©℗

DANIEL LEAL-OLIVAS / AFP / EAST NEWS

May: premier w kleszczach brexitu

„UPOKARZAJĄCE ZWYCIĘSTWO" – tak jeden z brytyjskich komentatorów nazwał wygraną premier Theresy May w ubiegłotygodniowym głosowaniu klubu parlamentarnego torysów w sprawie jej przyszłości. Wygrała, ale jedna trzecia posłów konserwatywnych zagłosowała przeciw niej. Uratowały ją głosy członków administracji państwowej i partyjnej, których pensje zależą od stabilności obecnej władzy (takich posłów jest 163), i garstka przekonanych do jej brexitowego planu. To nie jest fundament dla rządzenia krajem.

Nazajutrz po głosowaniu, w Brukseli nie było nawet namiastki sukcesu. Rada Europejska potwierdziła to, o czym mówili szefowie państw jeszcze przed szczytem: nie będzie renegocjacji umowy o wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. A zatem pod koniec burzliwego tygodnia premier May znalazła się w tym samym miejscu, w którym była na jego początku. Jedynym dokumentem, który może poddać pod głosowanie w Izbie Gmin, jest umowa, która – May o tym wie – w Izbie Gmin nie zostanie przyjęta.

Z chaosu ostatnich dni wyłania się kilka potencjalnych rozwiązań. Jeśli Izba Gmin odrzuci plan premier May, nastąpi tzw. twardy brexit, czyli Wielka Brytania wyjdzie z Unii bez umowy. Druga możliwość zakłada, że po porażce stolik zostanie wywrócony po raz kolejny i pojawi się propozycja zorganizowania drugiego referendum. Ile czasu zajmie jego przygotowanie? Jakie pytania miałyby zostać postawione Brytyjczykom? Jakie byłyby społeczne skutki takiej decyzji? To kluczowe pytania, na które dziś nikt nie zna odpowiedzi, jednak one na pewno padną. Jest jeszcze trzecia możliwość – Partia Pracy zgłosi wotum nieufności i obali rząd, doprowadzając do nowych wyborów. Nie wiadomo, kto je wygra, a jeśli wygraliby je laburzyści, nie wiadomo, czy będąc u władzy dążyliby oni do brexitu, czy do pozostawienia Londynu w Unii, bo ich partia jest w tej sprawie równie rozdarta jak torysi.

W czerwcu 2016 r., przy okazji referendum brexitowego, Wielka Brytania zafundowała sobie kryzys polityczny, który niszczy kraj i naród, wprawiając w zdumienie resztę Europy. W tej dramatycznej sytuacji Theresa May wykazuje postawę, która budzi uznanie nawet wśród jej przeciwników. Można jej zarzucać hipokryzję (w referendum głosowała przeciw brexitowi, teraz stała się jego twarzą), można podśmiewać się z jej gaf i braku charyzmy, ale nie sposób odmówić jej determinacji i zaangażowania w walkę, której toczyć nie chciała, a toczyć musi. © DARIUSZ ROSIAK

SOE ZEYA TUN / REUTERS / FORUM

MUZYKĘ KLASYCZNĄ postanowił odsłonić słoniom Paul Barton, brytyjski ochotnik, który od ośmiu lat gra tym zwierzętom na fortepianie w Kanchanaburi, na granicy Tajlandii i Birmy. Słuchaczami są zwierzęta chore, maltretowane, uratowane z niewoli, którymi zaopiekowała się fundacja Elephant World. Na zdjęciu występ z 9 grudnia 2018 r. ©℗ EA

Francja: uśpiony rozum i demony

SZYMON ŁUCYK

Nad Sekwaną wciąż wrze. Od miesiąca trwają protesty „żółtych kamizelek", którym nierzadko towarzyszą rabunki i wandalizm. Na domiar złego 11 grudnia, dwa i pół roku po zamachu w Nicei, znów uderzyli terroryści. 29-letni Cherif Chekatt, urodzony w Strasburgu i znany wcześniej policji, zabił na jarmarku bożonarodzeniowym w swoim mieście 3 osoby, a 13 zranił (w chwili zamykania tego numeru „Tygodnika" kilka z nich było w stanie krytycznym). Sprawcę zastrzeliła policja.

W obliczu terroryzmu prezydent Macron wzywa Francuzów, żeby przerwali manifestacje przeciw podwyżce podatków paliwowych. Na próżno. Nie pomogły obietnice, jakie złożył w wystąpieniu telewizyjnym 10 grudnia. Zapowiedział m.in., że płaca minimalna od przyszłego roku wzrośnie o dodatkowe sto euro miesięcznie (z obecnych 1188 euro netto). W istocie jednak – prostuje dziennik „Le Monde" – płace wzrosną, ale mniej, niż mówi prezydent. Od tych stu euro trzeba odjąć kwotę już wcześniej wpisanej w budżet rewaloryzacji płac, o czym szef państwa nie wspomniał.

„Macron do dymisji!" – woła radykalne skrzydło „żółtych kamizelek". Zagrzewa je opozycja. Kto skorzysta z zamętu? Zapewne formacje skrajne. Nie tylko nacjonaliści Marine Le Pen, ale i radykalnie lewicowa La France Insoumise. Dzieli ich prawie wszystko z wyjątkiem jednego – pochwały rządów silnej ręki. ©

Zostały jeszcze słowa

„NIE MOGĘ BYĆ OBECNY w tym pokoju, ale słychać moje słowa. Nawet jeśli ktoś inny je wypowiada, słowa są głównym narzędziem człowieka. Często jego jedynym narzędziem – zwłaszcza gdy nic innego nie zostało". To przesłanie od Ołeha Sencowa – ukraińskiego reżysera filmowego, który w rosyjskiej kolonii karnej odbywa wyrok 20 lat za „terroryzm" (a naprawdę – za sprzeciw wobec aneksji Krymu) – odczytane w Parlamencie Europejskim. Sencow otrzymał właśnie Nagrodę im. Saharowa przyznawaną przez tę instytucję za wolność myśli.

©℗ ŻYM

Wirus ze wschodu

47 TYS. PRZYPADKÓW ODRY zanotowano na Ukrainie od początku 2018 r., najwięcej w obwodach sąsiadujących z Polską. Liczba jest zapewne zaniżona: obserwatorzy zwracają uwagę, że część lekarzy nie stawia oficjalnej diagnozy, bo oznacza to dla społeczności lokalnej trudności administracyjne (zamykanie szkół itp.). Eksperci wskazują przyczyny epidemii: załamanie się programu szczepień, zaniedbania polityków, nieświadomość lekarzy, propaganda antyszczepionkowców i działania wojenne.

Odra to choroba silnie zakaźna, wywołująca groźne powikłania (np. zapalenie płuc). Ryzyko zakażenia osoby nieszczepionej sięga 9/10; przed chorobą zabezpieczona jest społeczność, w której poziom wyszczepialności przekracza 95 proc.

W Polsce wskaźnik spadł w tym roku poniżej tego poziomu: rodzice coraz częściej odmawiają szczepienia dzieci. Do września zgłoszono 123 przypadki odry (w analogicznym okresie 2017 r. – 46), większość dotyczyła cudzoziemców. Późną jesienią zaczęły się mnożyć zakażenia wśród dzieci. Minister zdrowia uspokajał, że nie ma rodzimego wirusa odry (choroba została przywleczona zza wschodniej granicy) i nie grozi nam epidemia. Wyraził nadzieję na spadek popularności postaw antyszczepionkowych. Rząd rozważa nowe regulacje nt. szczepień dla cudzoziemców. ©℗ MACIEJ MÜLLER

GCM: Polska w kontrze

ŚWIATOWY PAKT WS. MIGRACJI (Global Compact on Migration) – dokument, który na najbliższe lata określi politykę „na rzecz bezpiecznej, uporządkowanej i legalnej migracji" – przyjęła ONZ podczas konferencji w Marakeszu. Wg sekretarza generalnego Antónia Guterresa, układ będzie zapobiegał cierpieniu ludzi; pierwszy raz zapisano w nim m.in. strategię działania ws. uchodźców klimatycznych. Pakt ma skłonić państwa m.in. do wspólnego promowania legalnych i bezpiecznych dróg imigracji, poszukiwania zaginionych, zapobiegania handlowi ludźmi – ale także do likwidacji przyczyn, dla których ludzie opuszczają swoje kraje. Do umowy nie przystąpi dziesięć państw, w tym Polska. Rząd uważa, że GCM nie daje gwarancji prowadzenia suwerennej polityki migracyjnej. ©℗ ŻYM

W SKRÓCIE

GAKURO / WIKIPEDIA.ORG

POPULARNA DWUSTULATKA. Najbardziej znana kolęda na świecie ma 200 lat. „Cicha noc" została po raz pierwszy wykonana podczas pasterki w 1818 r. w kościele św. Mikołaja w Oberndorfie koło Salzburga (dzisiaj w tym miejscu stoi kaplica Cichej Nocy). Melodię kolędy napisał nauczyciel i organista Franz Xaver Gruber, a słowa wikary z miejscowej parafii ks. Joseph Mohr. Kolędę przetłumaczono na ponad 300 języków i dialektów, m.in. na esperanto, suahili, zuluski, tajski i wietnamski. Trafiła na austriacką listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego.

NIEUZASADNIONY BRAK REAKCJI. Nie jest potrzebne formalne zgłoszenie oskarżenia wobec ks. Henryka Jankowskiego do archidiecezji gdańskiej, wystarczającym powodem rozpoczęcia procedury wyjaśniania jest artykuł prasowy – twierdzą konsultorzy Rady Prawnej KEP: ks. Piotr Majer z UPJPII w Krakowie i ks. Jan Słowiński z UAM w Poznaniu. Jest to odpowiedź na próby usprawiedliwiania się przez kurię gdańską z braku reakcji na artykuł „Gazety Wyborczej", oskarżający kapelana Solidarności o wykorzystywanie seksualne nieletnich.

MEDAL DLA HRYNIEWICZA. Nasz autor i przyjaciel, teolog i ekumenista o. Wacław Hryniewicz otrzymał medal z okazji 100. rocznicy powstania Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wyróżnienie dla zasłużonych pracowników uczelni przyznał wieloletniemu dyrektorowi Instytutu Ekumenicznego KUL Wydział Teologiczny. Medal w zastępstwie chorego laureata odebrali jego współbracia z zakonu oblatów.

Oszczędności, odwołania, rezygnacje

WATYKAN ZACISKA PASA. W ciągu najbliższej dekady pożegna się tu z pracą półtora tysiąca osób – blisko jedna trzecia zatrudnionych w dykasteriach, gubernatoracie, żandarmerii i Muzeach Watykańskich. Reforma ratująca finanse Stolicy Apostolskiej nie doprowadzi do grupowych zwolnień. Ma polegać na rozłożonym w czasie procesie odejść na emeryturę (także wcześniejszą), zamrożeniu przyjęć do pracy, zatrzymaniu automatycznych awansów oraz dokładnym opisaniu zakresu obowiązków na każdym stanowisku, co pomoże w lepszym zarządzaniu personelem. O tym wszystkim poinformował w minionym tygodniu rzecznik Watykanu Greg Burke, podsumowując ostatnie w tym roku spotkanie Rady Kardynałów.

Na razie Franciszek zredukował skład samej rady: z dziewięciu do sześciu zmniejszyła się liczba jego najbliższych doradców – choć nie ze względu na oszczędności. Już w październiku odwołany został kard. George Pell (choć oficjalnie poinformowano o tym dopiero teraz) – *nota bene* zajmujący się wcześniej reformą finansów Watykanu – który jest oskarżony o pedofilię. W listopadzie zrezygnował kard. Francisco Errázuriz z Chile – formalnie ze względu na wiek (85 lat), ale praktycznie ze względu na – niestety również pedofilską – „aferę Karadimy", która pogrążyła chilijski Kościół, a którą on miał przez lata tuszować. Trzeciemu z doradców – kard. Laurentowi Monsengwo z Demokratycznej Republiki Konga – nie stawia się kryminalnych zarzutów, choć jego rezygnację z papieskiej rady też nie tłumaczy się jedynie wiekiem (79 lat), ale zaangażowaniem w politykę: w swoim kraju jest niekwestionowanym autorytetem; wiele osób doradzało mu start w wyborach prezydenckich, które w DRK mają się odbyć 23 grudnia.

Bez wątpienia największy kłopot Kościół ma z kard. Pellem – jest najwyższym rangą hierarchą, na którym ciążą zarzuty o pedofilię. W tym samym dniu, gdy rzecznik Burke mówił o jego dymisji, australijskie media informowały nieoficjalnie, że ława przysięgłych w Melbourne uznała go winnym pięciu przestępstw (cztery to nieobyczajne czyny w miejscu publicznym, a jedno – wykorzystanie seksualne nieletniego). Co prawda sąd zabronił informowania o sprawie, aby nie wpływać na przebieg innego postępowania (kardynał ma wytoczony jeszcze drugi proces), ale Watykan pośrednio potwierdził, że papież poznał już decyzję sędziów, a Stolica Apostolska uszanuje ich wyrok (zostanie ogłoszony w lutym).

© Ⓟ EDWARD AUGUSTYN

KRYSTOF KRIZ / CTK / PAP

Ksiądz Halík upomniany

PISEMNĄ NAGANĘ otrzymał znany dobrze w Polsce czeski teolog ks. Tomáš Halík od arcybiskupa Pragi kard. Dominika Duki. Treści upomnienia nie opublikowano, ale najpewniej jego istotą jest spór o stanowisko Kościoła wobec Konwencji Stambulskiej, czyli budzącej kontrowersje także u nas Konwencji Rady Europy ds. zapobiegania przemocy wobec kobiet. Czechy Konwencję podpisały, ale parlament jej nie ratyfikował. Przeciw niej zgodnie protestują czeskie Kościoły chrześcijańskie.

Ks. Tomáš Halík głośno wypowiedział się o sposobie, w jaki ostrzegał przed Konwencją wpływowy katolicki ksiądz. W listopadzie, podczas mszy transmitowanej w telewizji, w praskiej katedrze, w obecności państwowych dygnitarzy ks. Petr Pitha kreślił przerażającą wizję przyszłości rządzonej przez „uprzywilejowaną warstwę" homoseksualistów, porywania dzieci rodzicom, wybierania płci na zamówienie itd. W reakcji ks. Halík określił te wywody jako kompromitację Kościoła. „Tygodnik Powszechny" pisał już o tym szczegółowo wcześniej, zob. powszech.net/halik-cenzurowany.

Kard. Duka stanął w obronie ks. Pithy i – jak się okazało 11 grudnia – oficjalnie upomniał Halíka. Ten nie zamierza milczeć i choć treść upomnienia zachował dla siebie, wydał w tej sprawie pisemne oświadczenie. „Uważałem za swój obowiązek pokazanie, że (...) wypowiedzi (...) demonizujące przeciwnika, przypisujące mu zbrodnicze zamiary, wraz z »zakładaniem obozów zagłady«, szerzące panikę zamiast nadziei (...) nie są jedynym głosem Kościoła. (...) Widzę, że nasze spojrzenia na (...) wezwanie papieża Franciszka do swobodnego i otwartego wypowiadania swoich opinii są różne".

© TOMASZ MAĆKOWIAK

GRAŻYNA MAKARA

JEŚLI JUŻ KONIECZNIE musicie jeść karpie w Wigilię, a mieszkacie w Małopolsce, udajcie się do Staniątek, gdzie benedyktynki prowadzą ekologiczną hodowlę ryb w klasztornych stawach. Karpie karmione są kukurydzą i pszenicą, ale nade wszystko – piszą siostry – „wzrastają otoczone naszą modlitwą, a wraz z nimi wszyscy, którzy je spożywają". Zmagające się z projektami rewitalizacji trwającego tu od ponad ośmiu wieków opactwa zakonnice sprzedają też miody, ciasta i przetwory; więcej informacji o walce benedyktynek o przetrwanie: powszech.net/staniatki. ©℗ MO

Zaskakująca rezygnacja biskupa-nominata

ARTUR SPORNIAK

Powszechne zdumienie wywołała informacja o rezygnacji z sakry biskupiej biskupa-nominata ks. Franciszka Ślusarczyka, kustosza łagiewnickiego sanktuarium. Ks. Ślusarczyk został mianowany krakowskim biskupem pomocniczym obok rektora seminarium ks. Janusza Mastalskiego. Nominację ogłoszono 3 grudnia. Dziewięć dni później w enigmatycznym komunikacie metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski ogłosił, że nominat „po refleksji i modlitwie zdecydował o nieprzyjmowaniu święceń biskupich i złożył na ręce Ojca Świętego dymisję z tego urzędu" oraz że dymisja została przyjęta.

Między 3 a 12 grudnia coś musiało się zatem wydarzyć, co albo samego nominata zmusiło do wycofania się, albo nuncjusza skłoniło do wywarcia presji na kandydacie. Prawdopodobnie nieprędko (o ile w ogóle) się tego dowiemy, gdyż osoby związane z nominacjami biskupimi obowiązuje pod rygorem grzechu ciężkiego tzw. tajemnica papieska. „Ten sekret rozciąga się także na dochodzenia związane z tymi sprawami" – głosi watykańska instrukcja z 1974 r.

W każdym razie ta niezręczna sytuacja nadwyręża wizerunek Kościoła. Bo brak informacji zawsze oddaje pole spekulacjom. ©℗

Nieźleście nas urządziły, siostry!

WYSOKI POZIOM I DYSCYPLINA – mówią rodzice o katolickiej szkole w Torrence na przedmieściach Los Angeles. Dlatego chcą wybaczyć s. Margaret Kreuper, dyrektorce od niemal 30 lat, i s. Lanie Chang, jej zastępczyni z 20-letnim stażem, kradzież ich pieniędzy. Dopiero po odejściu dyrektorki na emeryturę okazało się, że nie wszystkie zasiliły szkolne konto: zniknęło co najmniej pół miliona dolarów, a sprawdzono jedynie wyciągi za ostatnie 10 lat.

„Siostry wydawały pieniądze na podróże do kasyn i hazard – przyznaje ks. Michael Meyers, proboszcz parafii św. Jakuba, prowadzącej szkołę. – Ale edukacja dzieci w żadnym stopniu nie była zagrożona". Archidiecezja nie wniosła oskarżenia przeciwko zakonnicom, zwłaszcza że obie przeprosiły za czyny i wyraziły skruchę, a nikt nie kwestionuje ich poświęcenia dla wychowania dzieci. Część rodziców domaga się jednak zgłoszenia sprawy na policję. ©℗ EA/LAT

Klasztory i węgielnica

SPALONA ZIEMIA (patrz Teatr Polski we Wrocławiu), fatalne decyzje personalne albo inicjatywy z góry skazane na klęskę, jak otrąbiony właśnie kwartalnik literacki „Napis" – tak często wyglądają efekty działań resortu kultury. W kwestii dziedzictwa bywa lepiej. 10 grudnia prezydent Andrzej Duda ogłosił uznanie czternastu kolejnych zabytków za Pomniki Historii. Była gala pod hasłem „100 Pomników Historii na 100-lecie odzyskania niepodległości", choć zabytków wyróżnionych tym tytułem jest już 105. Ale nic to – ważne, że wybór przedni. Od kolegiaty i grodziska w Wiślicy, przez Stary Sącz z klasztorem klarysek, Przemyśl ze staromiejskimi kościołami i twierdzą, kolegiatę w Pułtusku, drewniany kościół pielgrzymkowy św. Anny w Olesnie i sienkiewiczowski Oblęgorek, po kościół św. Rocha, białostockie arcydzieło modernizmu autorstwa Oskara Sosnowskiego, i Stocznię Gdańską. Znalazł się też na liście neoklasyczny pałac w Dobrzycy, zaprojektowany przez Stanisława Zawadzkiego na nietypowym planie – wedle niektórych chodzi o masońską węgielnicę... Nareszcie pluralizm!

©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

O czym mówią kurczaki

CARYS BENNETT z Uniwersytetu w Leicester i współpracownicy porównali kości współcześnie hodowanych kurczaków (brojlerów) z kośćmi ich przodków pochodzących z różnych okresów – aż do starożytności. Współczesne brojlery różnią się od nich liczebnością (dziś są najliczniejszym gatunkiem kręgowców), rozmiarem (są ponad dwukrotnie większe i nawet pięciokrotnie cięższe od swoich średniowiecznych przodków), tempem przybierania masy i czasem życia (dziś trafiają pod nóż w wieku 5 tygodni), składem chemicznym kości, który odzwierciedla ich dietę, a także bardzo niską genetyczną różnorodnością. Badacze zauważyli, że zmiany te postępowały wraz z rozwojem naszej cywilizacji, a rekordowego tempa nabrały w połowie XX w. – wtedy, kiedy także życie człowieka zaczęło się zmieniać najszybciej. Historia człowieka może być więc odczytana z kości kurczaków. ©℗ ŁK

W SKRÓCIE

PRZECZYTANE. Nowy, sfinansowany przez MKiDN, kwartalnik „Napis” pod redakcją Józefa Marii Ruszara umożliwić ma zapoznanie się młodzieży z „wartościowymi innowacjami literackimi pozostającymi poza obiegiem komercyjnym”. W pierwszym numerze pisma znajdziemy m.in. fragment nowej książki Stefana Türschmida, autora bestsellerowej powieści historycznej „Mgła i mrok”.

ZOBACZONE. Mroczne były również bożonarodzeniowe kartki, które ominąwszy „filtry bezpieczeństwa” nielegalnie opanowały ministerialnego Twittera. Na jednej z nich widniało prawdziwie wigilijne requiem – rybie ości. „Padliśmy ofiarą żartu”, przeprosił szef resortu kultury. To prawda, „wszyscy jesteśmy ze spisku przeciw karpiom”, mawiał Danton.

WYSŁUCHANE. Taco Hemingway musi jeszcze poczekać. W podsumowaniu aplikacji Spotify wśród dziesięciu najchętniej słuchanych polskich artystów za granicą zwyciężył Fryderyk Chopin. Najczęściej odtwarzaną playlistą w Polsce była natomiast „Muzyka do pracy”. Bez obaw, zaraz za nią na podium uplasowała się składanka „Ale najpierw kawa”.

POWIEDZIANE. „Przez kulturę człowiek bardziej jest, a to, kim jest, nie sprowadza się do tego, co posiada” – powiedział minister Gowin podczas konferencji z cyklu „Polonia Restituta – Dekalog dla Polski w 100-lecie odzyskania niepodległości”. Dzień później (13 grudnia) swoje święto obchodzili księgarze, których zarobki oscylują na poziomie najniższej krajowej – od stycznia 2019 r. wyniesie ona 2250 zł brutto.

LICZBA TYGODNIA

140

prac przyjęto do konkursu tuż po tym, gdy UNESCO dodało krakowskie szopkarstwo na listę dziedzictwa kulturowego ludzkości. Szopki można oglądać do 24 lutego w Celestacie, oddziale Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Szczęście do przemytników języka

MONIKA OCHĘDOWSKA

Aż trzy polskie tytuły znalazły się na liście nominowanych do nagrody amerykańskiego PEN Clubu. Wśród wyróżnionej dziesiątki książek poetyckich przełożonych w tym roku na język angielski znalazło się tłumaczenie „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza dokonane przez miłośnika i ambasadora polskiej poezji za oceanem – Billa Johnstona, „Asymetria” Adama Zagajewskiego, pióra cenionej krytyczki Clare Cavanagh, oraz wybór wierszy Jacka Dehnela „Aperture” autorstwa Karen Kovacik. Laureata poznamy w lutym.

2018 był także bardzo dobrym rokiem dla polskiej prozy – dzięki wspaniałej pracy Jennifer Croft „Bieguni” Olgi Tokarczuk zdobyli międzynarodowego Bookera oraz nominację do National Book Awards, a tłumaczenie „Ksiąg Jakubowych” autorstwa Maryli Laurent – przyznawaną w Szwajcarii Nagrodę im. Jana Michalskiego.

„Chciałabym być dentystką i czytać sobie do poduszki to wszystko, co w pocie czoła tłumaczę” – powiedziała kiedyś autorka przekładów na duński, Janina Katz. Tłumaczenie polskiej poezji nazywała ciężką, niepopłatną fizyczną pracą przemytnika. Mamy najwyraźniej do niestrudzonych szmuglerów języka szczęście. ©℗

MICHEL EULER / AP / EAST NEWS

Nowe muzeum pomoże odkryć tożsamość Afryki

NIEKTÓRE GALERIE STOJĄ W NIM PUSTE – to do nich mają trafić obiekty i dzieła sztuki, które zwrócą dawni kolonizatorzy. Ale nawet niepełna ekspozycja w otwartym właśnie Musée des civilisations noires (dosł. Muzeum Czarnych Cywilizacji) w Dakarze, stolicy Senegalu, robi wrażenie: na 14 tys. metrów powierzchni zaprezentowano historię i kulturę Afryki – od narodzin gatunku ludzkiego po sztukę współczesną. Twórcy muzeum zapowiadają, że będzie ono „laboratorium pomagającym kształtować tożsamość kontynentu”, w deklaracji programowej czytamy zaś, że przyniesie „polityczną, kulturalną, artystyczną i gospodarczą odpowiedź Afryki na technologiczną i kulturalną dewaluację czarnych cywilizacji”.

Pół wieku zajęła więc realizacja pomysłu Léopolda Senghora, pierwszego prezydenta Senegalu i współtwórcy ruchu *négritude* (czyli „murzyńskości” – prądu afirmującego historię i cywilizację czarnoskórych), który o muzeum wspominał już w 1966 r. Dziś *négritude* przeżywa odrodzenie: Afryka coraz głośniej domaga się zwrotu zagrabionych przez Francuzów, Brytyjczyków czy Belgów dzieł sztuki. „Jesteśmy gotowi rozmawiać z Francuzami – mówi dyplomatycznie minister kultury Senegalu. Lecz dodaje: „Ale jeśli znajdą u siebie 10 tys. [naszych] obiektów, zażądamy zwrotu 10 tysięcy”. Co ciekawe, muzeum w Dakarze w całości sfinansowały Chiny i trudno w tym nie dostrzec przyczka w nos wymierzonego Zachodowi – Pekin zainwestował już na całym kontynencie miliardy dolarów i teraz ma ambicję wpływania na pamięć symboliczną Afrykanów. Podobne do dakarskiego muzeum powstaje jeszcze w Benin City (Nigeria) – trafią tu obiekty wywiezione podczas brytyjskiej ekspedycji karnej w 1897 r., znajdujące się dziś w muzeach w Londynie, Wiedniu i Berlinie.

©℗ MARCIN ŻYŁA

„TP" 50 / 2018

Nie chcę być uświęcany

Rafał Woś napisał o trwających w Sejmie pracach nad uszczelnieniem przepisów dotyczących niehandlowych niedziel, że „to próba wyszarpnięcia czysto rynkowej logice jednego z najcenniejszych ludzkich zasobów, czyli czasu. I oddanie go ludzkim sprawom: rozrywce, odpoczynkowi, rodzinie albo duchowości". Przeraża mnie, jak autor potrafi wskazać „ludzkie sprawy", a napiętnować, jak rozumiem, „nie-ludzkie" – za nas wszystkich! Ja bym na coś takiego się nie odważył. Nie robię zakupów w niedziele, bo nie mam takiej potrzeby. Ale znam ludzi, którzy mają nie tyle potrzebę, co przymus, bo kiedy indziej nie mają czasu. Dla innych to rozrywka, są też tacy, którzy wtedy odpoczywają. Co autor zamierza zrobić z takimi ludźmi? Jak rozumiem, oni źle wykorzystują swój wolny czas, więc trzeba ich naprostować, żeby go wykorzystywali dobrze?

Podobne pomysły mają przedstawiciele świecie nam panującej władzy. Świadczą o tym np. słowa pana premiera, że Maryja ma mieć w opiece również tych, którzy „nie kochają Polski aż tak mocno jeszcze, (...) jak my tutaj, tak jak cała rodzina Radia Maryja". Jak rozumiem, niedługo pokochają, a jak sami tego nie zrobią, to im pomożemy...

Jestem przekonany, że uświęcanie ludzi na siłę nigdy nie wyjdzie na dobre nikomu – ani tym, którzy uświęcają, ani uświęcanym.

MIREK CHMIEL

Od Hani do księdza Adama

Zanim zacząłem kupować „Tygodnik", „polubiłem" Wasz fan page na Facebooku. W ten sposób dotarły do mnie artykuły, które sprawiły, że nie chciałem już czerpać informacji z telewizora. Dlatego dziś zdecydowałem się Wam podziękować.

Nie, nie jestem jednym z tych ludzi, którzy czytają Was od deski do deski. Bywa, że odkładam gazetę i po tygodniu orientuję się, że nawet do niej nie zajrzałem. Innym razem czytam kilka artykułów, jeszcze innym w pierwszy dzień ogarniam Was całych. Nie jest to jednak podyktowane brakiem chęci, lecz czasu. Bywa też, że wracam z pracy o 23, roznoszę dzieci z naszego łóżka do ich własnych, po czym kładę się i czerpię z Was spokój duszy. Jesteście doskonałym antydepresantem. Pamiętam, jak po bardzo ciężkim dniu otworzyłem „Tygodnik" i przeczytałem wywiad małej Hani z Andrzejem Grabowskim. To było wspaniałe uczucie: z każdym kolejnym pytaniem czułem, jak wkrada się we mnie poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Hania okazała się mądrzejsza od dziesiątek ludzi, którzy tego dnia mieli dla mnie dobre rady.

Kiedy czytam artykuły z działu Świat, to wiem, że nie ma tam grama przesady. Jestem spokojny, że wszelkie informacje dochodzące do mnie z zewnątrz zostaną przez Was przefiltrowane, a problemy pokazane bez zbędnego koloryzowania. W tym niespokojnym czasie jesteście moim podatkiem od wolności. Wolności, którą chcę widzieć taką jak w „Tygodniku". Mam wszystkie numery od bodajże trzech lat. Jakiś „Tygodnik" leży niemal w każdym pokoju, o co (dziwota!) nie ma żalu moja żona. Jest jednak jeden problem: zwyczajnie nie mam serca, by pozbyć się starych numerów.

Nie prenumeruję Was z powodu innego podatku – podatku od przyjaźni, która łączy mnie i sprzedawcę gazet z mojej miejscowości. Jednak to wartość duchowa, którą mi przekazujecie, ma dla mnie największe znaczenie. Trochę to śmieszne, bo nie jestem żadnym gorliwym katolikiem. Kościół odwiedzam z rzadka, choć w tym roku częściej ze względu na I komunię świętą mojego syna.

Rok temu sprzedawca gazet z mojej miejscowości zaproponował mi wyjazd do Warszawy – na odbywające się w Muzeum POLIN spotkanie z ks. Adamem Bonieckim. Zabawne, że dostałem się tam niemal cudem, po tym, jak sprzedawca gazet z mojej miejscowości wręcz wybłagał ochroniarzy, aby mnie wpuścili, bo muzeum pękało już wtedy w szwach. Pamiętam, że jak wszedłem do mniejszej sali z telewizorem na ścianie, poczułem coś fantastycznego. To było poczucie wspólnoty z ludźmi, którzy siedząc pod ścianą, głaskali głowy swoich małżonków albo śmiali się na słowa, które słyszeli z ust ks. Adama. Chciałem tam zostać na zawsze.

Nie jestem idealny, ale w całej tej swojej niedoskonałości doskonale czuję się z Wami. I właśnie za to chcę Wam wszystkim podziękować. Wszystkim: od Hani do księdza Adama.

WALDEK OSSOWSKI

Sprostowanie

Z wielką radością przyjęliśmy tekst poświęcony ks. Leonowi Kantorskiemu. Jego postać ze wszech miar zasługuje na przypomnienie czytelnikom, zwłaszcza młodszym. Pragnąc zaakcentować 100-lecie urodzin Ks. Leona, przygotowaliśmy książkę „Brat Lew. Ksiądz Leon Kantorski we wspomnieniach", do której odwołuje się autor tekstu.

Pragnę jednak zwrócić uwagę, że wspomniana książka została wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Miasta Ogrodu Podkowa Leśna jako XV tom w serii Biblioteka Podkowiańska, a nie przez Panią Izabellę Górnicką-Zdziech i Pana Grzegorza Dąbrowskiego. Oboje Państwo przeprowadzili rozmowy, które są zamieszczone w książce, natomiast nie są jej wydawcami.

Chciałbym, aby poprzez to uzupełnienie notki pod tekstem „TP" został dostrzeżony społeczny wysiłek osób zaangażowanych w przygotowanie książki: redaktorów, korektorów, autorów zdjęć, grafika, osoby od składu i innych.

JACEK WOJNAROWSKI,
Prezes Towarzystwa Przyjaciół Miasta Ogrodu Podkowy Leśnej

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

BOŻE NARODZENIE

PIERWORODNY, WYBRANIEC I STRACENIEC

ŁUKASZ POPKO OP:

We współczesnym Izraelu mówi się ciężarnym kobietom: nie martw się, gdy dorośnie, nie będzie już wojska. Przekonanie o ofierze pierworodnego syna jest wciąż bardzo silne.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Pierwsza ciąża. Pierwsze dziecko. Syn. Szokiem dla nastoletniej Maryi musi być nie tylko wiadomość o poczęciu, ale też wszystkie zmiany, które zachodzą w ciele ciężarnej kobiety. Opis jest jednak oszczędny. „Zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu" (św. Łukasz, rozdział 2).

ŁUKASZ POPKO OP: Czyli próbuje zrozumieć, co się dzieje. Doświadcza czegoś, co ewidentnie ją przerasta. W swoim „Magnificat" chwali Pana za wspaniałe rzeczy, jakby już się wszystko spełniło – a przecież niczego jeszcze ze słów Anioła nie zobaczyła. Słyszała, że jest w ciąży – ale trochę czasu jeszcze upłynie, zanim zrozumie, co to właściwie znaczy!

„I oddasz Mi twego pierworodnego syna. To samo uczynisz z pierworodnym z bydła i trzody. Przez siedem dni będzie przy matce swojej, a dnia ósmego oddasz je Mnie" (Księga Wyjścia, rozdział 22). Pierworództwo to przywilej? Wybranie przez Boga?

Pierwsze dziecko zawsze jest darem wyjątkowym, potwierdzającym płodność, fakt, że para może w ogóle mieć dzieci. W tym sensie pierwsze dziecko jest najważniejsze, objawiające i zmieniające tożsamość: oto nagle stajesz się rodzicem! Na przykład w tutejszej kulturze arabskiej, gdy ojcu rodzi się pierwszy syn, właściwie zmienia swoje imię. Nasz jerozolimski kucharz nazywa się Józef, lecz po urodzeniu syna tytułuje się Abu Edmund – ojciec Edmunda. Piękne to i głębokie: zmieniasz swoje imię, czyli poniekąd swoją tożsamość. Właśnie stałeś się ojcem.

A co z pierworództwem córki?

Jest tak na przykład w Księdze Sędziów, w historii Jeftego: gdy w pokoleniu rodzi się tylko córka, to ona niesie tożsamość. W judaizmie to ważne do dziś: Żydem zostaje się przez matkę. Natomiast w większości biblijnych opowieści tożsamość rodziny przekazywana jest przez syna, co bierze się stąd, że mężczyzna był podmiotem prawa, kimś, kto mógł dziedziczyć, a kobieta raczej zastępczo, gdy nie było męskich spadkobierców.

Księga Liczb mówi z kolei: pierworodny to ten, który jako pierwszy wychodzi z łona matki. Czyli sporna wydaje się nie tylko kwestia „syn czy córka", ale też – czyj jest pierworodny: matki czy ojca?

Zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie, że w starożytności dopuszczano wielożeństwo. Monogamia stanie się normą dopiero w II-III w. przed Chrystusem i wówczas nie będzie już kwestią sporną, które dziecko było w rodzinie pierwsze. Tymczasem w Starym Testamencie trudno pod tym względem szukać spójności. Gdy mąż ma dwie żony, liczy się najstarszy syn. I liczy się jego, ojca, perspektywa. Dlatego pierworodnym Jakuba zostaje Ruben, choć jest dzieckiem „niekochanej" Lei.

Żydem zostaje się po matce. A więc pierworodne dziecko ma jeszcze jedną istotną funkcję: jest gwarancją przetrwania narodu wybranego. Pramatki pełnią w związku z tym szczególną funkcję?

I pramatki, i praojcowie. W 24. rozdziale Księgi Rodzaju Abraham przykazuje słudze, że ma znaleźć Izaakowi żonę wśród Izraelitek, a nie Kananejek. Pochodzenie kobiety miało zatem wielkie znaczenie. Kwestia obcych żon, nieprzynależących do narodu, pojawia się też u Ezdrasza, Nehemiasza oraz w Księdze Powtórzonego Prawa. Teoretycznie więc temat został rozwiązany. A jak jest w praktyce? Zwróćmy uwagę na Mojżesza: ustanawia prawo, w którym mówi, że nie wolno wziąć za

GETTY IMAGES

Piero della Francesca „Narodziny", 1470-1475 r.

żonę Moabitki ani Kuszytki. I kogo ojciec religii mojżeszowej bierze sobie za żonę? Oczywiście cudzoziemki: Madianitkę i... Kuszytkę właśnie. Dalej – historia pochodzenia Dawida. Jego prababka Rut to przecież Moabitka, której poświęcono całą księgę. Szalenie ciekawe w Biblii jest to, że z jednej strony podkreśla się ważność więzów krwi jako czynnika nadającego tożsamość, z drugiej – przytacza historie, które to wszystko rozkręcają na śrubki.

I to nie w wątkach pobocznych, lecz w przypadku postaci kluczowych – jak Mojżesz czy dynastia Dawidowa.

To pokazuje, że prawo dotyczące wyboru kobiet przynależnych do narodu wcale nie działało tak restrykcyjnie. Małżeństwa mieszane, jak widzimy, w świecie biblijnym były obecne, zwłaszcza pośród królów i arystokracji. Dodajmy jeszcze: te kobiety nie są obce dlatego, że pochodzą z innego narodu, tylko dlatego, że czczą innych bogów. Zauważmy: starożytni nie widzą gwarancji przetrwania narodu tylko i wyłącznie w braterstwie krwi. Kategoria brat/ojciec wcale nie pokrywa się ↦

↦ z biologią. Biblia pokazuje, że bratem może być ktoś, kto wcale nie dzieli ze mną więzów krwi, a ktoś, kto je dzieli, wcale nie musi być traktowany jak brat. Dominuje szersze, plemienne, a nie biologiczne myślenie. Są momenty w dziejach narodu wybranego – o czym czytamy choćby u Ezdrasza czy Nehemiasza – gdy Izrael nie ma żadnej tożsamości politycznej, zostaje wtedy wspólnota językowa i kulturowa. Gdyby chodziło tylko o to, że żydowskość dziedziczy się jedynie w sensie biologicznym, to okazałoby się na przykład, że syn Rut Moabitki, Obed, a zarazem dziadek Dawida, wcale nie był Żydem.

Pierworodny nie tylko jest wybrańcem Boga, ale też przejmuje zwierzchnictwo nad rodziną, otrzymuje dwie części majątku, należy do Boga, prawo chroni go przed samowolą ojca – bo ten nie może go pozbawić tytułu pierworodnego nawet wtedy, gdy uzna, że bardziej kocha matkę kolejnego ze swoich synów. Pierworodnemu żyje się lepiej?

Tak, to wszystko otrzymuje według prawa, lecz znów – jak czytamy w Biblii – w praktyce bywa różnie. Prawo mówi nie o wszystkich, lecz o ludziach zamożnych – bo tylko takich stać na kilka żon, kilka stad, na ich utrzymanie. Nic dziwnego, że w takich rodzinach pretendentów do zwierzchnictwa nad rodziną może być kilkudziesięciu. Stąd normy i zwyczaje mają przynieść temu domowi względny pokój, uchronić przed kłótnią, manipulacją. Jednak pamiętajmy, że nie jest to prawo normatywne, lecz deskryptywne. Możesz się do niego stosować, ale nie musisz. Podejście do prawa jako do ogólnej normy pojawia się dopiero w czasach greckich i rzymskich. Niespójności w Biblii, które dziś nas dziwią, i które próbuje ujednolicić i wytłumaczyć tradycja rabinistyczna, wcale nie dziwiły ludzi współczesnych czasom, gdy ją spisywano. W starożytności nikogo nie gorszyło to, że narracja i opowieści nie kleją się z tym prawem.

Pierwszy syn jest figurą każdego syna. To na niego, jak na następcę tronu, spadają wszystkie splendory, ale też obowiązki, oczekiwania. Łącznie z tym największym – gotowością do ofiary.

Rozumianej w Starym Testamencie dosłownie – jako oddanie siebie.

Biblia ma inną antropologię niż nasza współczesna. O człowieku starożytnym należy myśleć nie w kategoriach indywidualistycznych, lecz jak o sieci. Jest on utkany z relacji. Na pytanie „kim jestem?" odpowiada: czyimś ojcem/synem/panem/ /sługą. Pozbawiony tych relacji jest nikim, odcięcie się od innych osób doświadcza jako śmierć. W naszym myśleniu współczesnym, bardzo indywidualistycznym, po to, by zaistnieć, raczej odcinamy się od relacji.

Obóz tranzytowy dla uchodźców, Slavonski Brod, Chorwacja, listopad 2015 r.

No dobrze, ale jak to wszystko ma się do ofiary?

Człowiek biblijny powie: gdy daję ofiarę, to daję coś z siebie. Moja ofiara to ja. Jeśli więc oddaję Bogu swojego pierworodnego syna, to składam w ofierze siebie. Wraz z nim moją przyszłość, rodzinę, przyszłe pokolenia. Bo pierworodny skupia w sobie wszystkie nadzieje ojca, jest wszystkim, co po nim zostaje, jego tożsamością, i właśnie dlatego odgrywa szczególną rolę. Jest symbolem rozumianym bardzo realistycznie: niesie mnie, tak jak ja niosę w sobie, w swoich „lędźwiach", moich przodków i potomków.

We współczesnym Izraelu bliscy mówią ciężarnym kobietom: „nie martw się, gdy twój syn dorośnie, nie będzie już wojska". Sądzę, że przekonanie o ofierze pierworodnego jest wciąż bardzo silne.

To wstrząsające. Zdanie, które mówi o ogromnym lęku. Ale też jest w tym myśleniu moja, rodzica, tożsamość. Składając jakąkolwiek ofiarę Bogu, uznaję nie tylko moją zależność, ale też źródło mojego istnienia. Oddaję Bogu coś, co i tak należy do Niego. Pierwsze dziecko jest tylko symbolem, bo wiem, że zasadniczo wszystko, co posiadam, wszelkie relacje, są od Niego i są w Jego rękach. Ofiara błędnie kojarzy nam się jedynie z samozaparciem. Myślimy: wydrę z siebie coś i gdy będzie bolało, będzie się bardziej „liczyło" – tak jakby chodziło o bezosobową miarę ofiarności. Ale to nie jest biblijna ofiara. Sądzę, że samo

FRANÇOIS STRUZIK / SIMPLY HUMAN

biblijne pojęcie ofiary jako gestu budującego relacje jest współczesnemu człowiekowi często obce.

Niejasne jest dla mnie, czy Bóg w ogóle chce tej ofiary. W 20. rozdziale Księgi Ezechiela mówi o paleniu tego, co pierworodne, by wiedzieli, że „Ja jestem Pan". U Jeremiasza w 19. rozdziale z kolei podkreśla, że ofiara z synów „nie przyszła Mi nawet na myśl". Czego właściwie chce Bóg?

Stosunek Pisma Świętego do kultu ofiarnego jest – znowu – ambiwalentny. Bo z jednej strony odnajdujemy tam dokładne przepisy, co składać i jak. Z drugiej – w tekstach prorockich Bóg faktycznie mówi, że nie chce tych ofiar, że są mu one wstrętne, „śmierdzą" Mu. Dlaczego? Bo to ofiary, które nie potwierdzają realnej relacji z człowiekiem. Nie są wyrazem prawdziwego pragnienia bliskości z Bogiem. Są ofiarami takimi samymi jak te składane Baalowi.

Ofiara z dziecka w czasach starożytnych to fakt historyczny?

W historii Izaaka czy Jeftego mówi się o złożeniu ofiary z człowieka Bogu Izraela. Gdy Bóg prosi Abrahama o tę ofiarę, ten przecież wcale się temu nie dziwi! A więc istniała w umyśle człowieka czasów Biblii taka możliwość. Jest poparta przekonaniem, że Bóg faktycznie przypisuje sobie prawo do życia każdego człowieka, a do pierworodnego szczególnie, jako niezwykle cennego. Badania historyczne również wskazują, że taki rytuał był przez Semitów dokonywany, zwłaszcza przez Fenicjan. Biblia z zasady go potępia, a nie potępia się czegoś, co nie istnieje. Nie mamy jednak twardych dowodów na to, że Izraelici składali ofiary z ludzi.

Fascynującym wątkiem w Piśmie Świętym jest relacja między pierworodnym a jego braćmi oraz fakt, że Bóg czasem wybiera inaczej. Zupełnie poza kryterium pierworództwa.

Wybrany wcale nie oznacza najlepszy. Ani najstarszy, ani najsilniejszy. Bóg działa przez słabych: przez młodych, tych, którym się nie należy, przez kobiety, przez naród wybrany. Bóg mówi: nie dlatego wygrywacie, że macie silną armię, tylko dlatego, że Ja z wami jestem! Oto i cała teologia zwycięstwa, wybrania: Bóg pokazuje swoją chwałę w tym, kto jest niczym w oczach świata.

We wszystkich nieregularnościach, poplątanych ludzkich historiach Pisma ciekawe jest to, że one nigdy nie są czysto ludzkie. We wszystkie Bóg się pośrednio lub bezpośrednio miesza. Jak to się dzieje, że młodszy staje się ważniejszy niż starszy? Czemu jeden syn jest bardziej kochany niż drugi? Czemu ten jest milszy, mądrzejszy, piękniejszy? Odpowiedź jest prosta: bo Bóg tak chciał. Chciał czegoś, co nam trudno przełknąć – różnicy: płci, wieku, inteligencji, popularności, władzy.

Idąc dalej tym tropem, Pismo zadaje pytania: jak mam sobie poradzić z tym, że ktoś inny ma z Bogiem lepszą relację niż ja? Jak żyć z innymi, gdy jest się ulubieńcem, lub wręcz przeciwnie – gdy się nim nie jest? Obie pozycje niosą w sobie pokusy i niebezpieczeństwa, obie mogą się skończyć tragicznie. Bycie wybrańcem matki może być równie niebezpieczne jak bycie wybranym przez ojca. Ale wszystkie te sytuacje nie są przypadkiem, są wpisane w Bożą opatrzność. Kain i Abel są tu świetnym przykładem.

Studium zazdrości i pierwszej zbrodni.

Kain jest starszy, Abel młodszy. Ich imiona są znaczące. Kain od hebrajskiego czasownika *kaniti* – jak mówi jego matka – „nabyłam go"! Drugiego syna nazywa Abel, od hevel – „tchnienie". Skoro nadaje mu takie imię, to oznacza, że ten drugi jest tylko dodatkiem. A Bóg wybiera oczywiście na odwrót. To, co słabsze, co drugie, co przemijalne. Nie jest powiedziane wprost, dlaczego Bóg wybrał ofiarę Abla, a na Kaina nie spojrzał.

Właściwie w ogóle tej opowieści z perspektywy Abla nie poznajemy. Poznajemy za to zazdrość Kaina, lawinę jego myśli i gniewu. To on jest główną postacią tej historii, to z nim Bóg nieustannie rozmawia. To model niedowartościowanego narcyza, który po prostu nie wierzy, że dla kogoś coś znaczy, że jest kochany. Dla którego powodzenie innego człowieka jest uznawane za niesprawiedliwość, konkurencję, podważanie jego wartości.

Dlatego decyduje się na zabójstwo.

Co oczywiście nie ma sensu. Zabicie Abla nie sprawi, że Bóg będzie patrzył na niego dobrze. Kain nie widzi problemu między sobą a Bogiem; uważa, że na drodze do Boga stoi mu Abel. Tymczasem problemem w moim życiu nie jest mój brat, problemem jestem ja! Ale żaden narcyz się do tego nie przyzna. Historia Kaina i Abla – pierwszych synów, pierworodnego i niepierworodnego – będzie pobrzmiewała jeszcze w innych wątkach biblijnych. Wielokrotnie padnie ważne pytanie: jak przeżywać tę relację, jak przeżywać bycie bratem?

Ukochanym i wybranym przez ojca staje się nie tylko pierworodny. W Biblii odnajdujemy jeszcze jeden wątek: dziecka późnego, najmłodszego.

To ostatnie dziecko, podobnie jak pierworodne, jest również pojemnym symbolem, figurą syna w ogóle. Beniamin skupia w sobie wszystkie uczucia, oczekiwania, emocje starszych już rodziców i rodzeństwa. Zauważmy, że każda historia dziecka wybranego, którą odnajdujemy w Biblii, pokazuje naturalną nierówność w relacjach – taką, jakiej doświadczamy w naszych rodzinach (bo trudno spierać się o to, że rodzic zawsze kocha wszystkie swoje dzieci w ten sam sposób!). Tym samym Biblia uczy, jak sobie z tym radzić. ↦

Fakt, że ktoś jest bardziej kochany czy bardziej popularny, że coś mu lepiej wychodzi, nie jest przecież jego „winą". Ta różnorodność, preferencyjność, ba, przyrodzona niesprawiedliwość! – jest dana od Boga. W tej perspektywie bodajże najciekawszym studium braterstwa, pękniętego od samego początku, jest biblijna historia Józefa i jego braci.

Przy czym preferencyjność miłości ojca Jakuba wobec Józefa, najmłodszego syna, jest tak oczywista, że trudno się dziwić zazdrości reszty braci.

Gdy Józef jest już zarządcą Egiptu, a bracia przymierają głodem, ma ich w swojej mocy. Staje przed wyborem: zemścić się czy nie? Sprzedając go w niewolę wyrzekli się braterstwa. Józef poddaje ich próbom, zmuszając do solidarności: mają wybrać spośród siebie tego, który zostanie w więzieniu. Dowiaduje się potem, że ich ojcu, Jakubowi, urodził się jeszcze jeden syn, Beniamin, który stał się ukochanym synem ojca. Kryjąc się pod maską srogiego Egipcjanina, Józef domaga się od ojca przesłania Beniamina.

Oto chwila, w której każdy ponosi ofiarę. Gdy ojciec odmawia przesłania najmłodszego, włącza się Ruben, najstarszy, i tłumaczy, że w przeciwnym razie wszyscy zginą z głodu, i że daje za niego gwarancję w postaci własnego syna. Beniamin zostaje posłany do Egiptu. Jakub ryzykuje jego życiem ze względu na pozostałych braci.

W Egipcie Józef poddaje ich ostatecznej próbie: posądza Beniamina o kradzież srebrnych naczyń. Wtedy dzieje się coś niesłychanego: bracia Józefa – ci sami, którzy niegdyś chcieli go zabić z zawiści, chcą teraz ocalić Beniamina, *alter ego* Józefa, za cenę własnego życia. Juda mówi: „Wiem, że nasz ojciec tak kocha Beniamina, że jeśli coś mu się stanie, on umrze. Weź mnie".

Józef, choć nie jest do tego zobowiązany, stwarza braterstwo na nowo. Na nowo skleja tę popękaną rodzinę. To bez wątpienia opowiadanie o solidarności: czy jesteś gotów oddać tego, którego ty najbardziej kochasz, ze względu na braterstwo? Zaakceptować nierówną miłość, jaką darzy ojciec, i odnaleźć w tym wartość?

Wybrańtwo podkreśla wyjątkowość relacji i niemalże zmusza do przyjęcia drugiej osoby z całą siecią jej relacji. Dlaczego ofiara Jezusa ma skutki dla nas? Jesteśmy ważni dla Boga, bo jesteśmy ważni dla Jego Syna. Jezus mówi: to są moi ludzie, więc to są moje grzechy. Umieram za grzechy świata, bo ten świat jest mój.

Jest związek między motywem poświęcenia pierworodnego syna a zbawieniem przyniesionym przez śmierć Jezusa?

Tak, oczywiście – przecież Nowy Testament żywcem czerpie ze Starego. Biblia opowiada o tym, jak być w relacji z kimś, by przeżyć, jak czerpać z tego życie, a nie śmierć. Momenty ofiary – Izaaka, ofiarowanie w świątyni, Pascha, ukrzyżowanie – to momenty komunii, a nie śmierci. My, chrześcijanie, patrzymy na śmierć Chrystusa jako na ofiarę. A więc widzimy w tym nie moment odcięcia relacji, lecz jej nawiązanie.

Dotykamy tu istotnej teologii Ojców Kościoła i tym samym Nowego Testamentu. Wewnątrz narodu wybranego Jezus funkcjonuje analogicznie jak Józef wobec swoich braci. Zostaje odrzucony przez nich, bo twierdzi, że Jego relacja z Bogiem Ojcem jest szczególna. Nie potrafią przyjąć wybrańtwa Chrystusa, choć przecież nie neguje to ich relacji z Bogiem. Po co to wszystko się wydarza? Wierzymy, że ich działania staną się z Bożej opatrzności narzędziem, by ostatecznie ocalić relację z Ojcem i braterstwo między nimi. Co więcej – Jezus pragnie wprowadzić do relacji z Ojcem i Izraelem innych ludzi.

Teologię wybrańtwa bardzo dosłownie potraktował supersesjonizm. Jon D. Levenson pisze, że właśnie w tym poglądzie Kościół najbardziej zdradził swoją głęboką relację z judaizmem.

Supersesjonizm, nazywany „teologią zastąpienia", to obecne w pewnych nurtach chrześcijaństwa przekonanie, że Kościół całkowicie zastępuje Synagogę, i że nie ma ona już żadnego pozytywnego miejsca w historii zbawienia. Zwłaszcza niektóre teksty św. Pawła bywają tak interpretowane. Rzeczywiście, relacja „adoptowanych synów", tj. Kościoła, ze „starszymi braćmi" szczególnie za czasów Pawła bywała bardzo konfliktowa. Paweł wierzy jednak, że na koniec cała rodzina, „cały Izrael" będzie zbawiony. W biblijnym modelu relacji żaden brat nigdy nie jest w stanie zastąpić innego brata. Zabijając Abla, pozbywając się domniemanego konkurenta, Kain nie ściąga na siebie Bożego błogosławieństwa. Młodszy syn nie zastąpi pierworodnego – i odwrotnie. Obaj są w Bożym planie niezastąpieni.

© Rozmawiała
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

O. ŁUKASZ POPKO OP *(ur. 1978) jest dominikaninem. Doktor nauk biblijnych, wykładowca egzegezy Starego Testamentu w jerozolimskiej École Biblique oraz krakowskim Kolegium Zakonu Dominikanów.*

PETER HORREE / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

Andrzej Stankiewicz z Grand Pressem, Anna Goc i Michał Okoński – nominowani

ANDRZEJ STANKIEWICZ został laureatem nagrody Grand Press w kategorii PUBLICYSTYKA za tekst z „Tygodnika" – „Państwo prywatnej zemsty", pokazujący, że Jarosław Kaczyński pozwolił swoim ludziom używać państwa do osobistego rewanżu.

Nominowani zostali także inni nasi Autorzy:

ANNA GOC – w kategorii REPORTAŻ PRASOWY za tekst „Moi rodzice są z innego kraju", odkrywający, co czują dzieci głuchych rodziców, które już w wieku trzech-czterech lat muszą być ich tłumaczami;
MICHAŁ OKOŃSKI – w kategorii PUBLICYSTYKA za tekst „Kto nie dotknął piłki ni razu", w którym przekonuje, że mundial i futbol to nie tylko fenomen sportowy, ale i polityczny, społeczny oraz kulturalny.

Wszystkie te teksty dostępne są na naszej stronie internetowej pod linkiem **powszech.net/grandpress**

Wszystkim nominowanym i laureatom serdecznie gratulujemy.

Sandro Botticelli „Mistyczne Narodziny" (fragment), ok. 1500 r.

Z punktu widzenia anioła

SZYMON HOŁOWNIA

Nie znam lepszej drogi do ostatecznego unieważnienia prawdy o istnieniu aniołów niż wszystkie te banalne próby publikowania „anielskich encyklopedii", którymi wypełnione są nasze księgarnie.

Dokładnie pół wieku temu, w Wigilię Bożego Narodzenia 1968 r. załoga statku kosmicznego Apollo 8, trójka śmiałków, którzy jako pierwsi z ludzi wylecieli poza ziemską orbitę i okrążyli Księżyc, wylatując zza jego ciemnej strony, nad horyzontem naszego satelity ujrzeli widok, który wstrząsnął nimi do głębi: wschód Ziemi. Po raz pierwszy człowiek miał okazję zobaczyć swoją planetę w całym jej majestacie. Nagrania z kokpitu pokazują, że astronauci w popłochu zaczęli szukać aparatów fotograficznych i kolorowych filmów do nich, wtedy właśnie powstało jedno z najsłynniejszych zdjęć w historii astronomii. Frank Borman, dowódca misji, wspominał: „To był najpiękniejszy, najbardziej zapierający dech w piersiach widok w moim życiu. Zalała mnie fala nostalgii, olbrzymiej tęsknoty za domem. To była jedyna rzecz w kosmicznej przestrzeni, która miała kolor, wszystko inne pozostawało czarno-białe, tylko nie Ziemia. Nacjonalistyczne dążenia, głody, wojny, epidemie – tego wszystkiego nie widać tam, z góry. Jesteśmy po prostu kęsem ziemi, wody, powietrza, chmur, które krążą razem w przestrzeni. Gdy patrzy się stamtąd – naprawdę jesteśmy jednym światem. (...) To najpiękniejsza rzecz, jaką można zobaczyć w całym niebie. Ludzie tam, na dole, naprawdę nie zdają sobie sprawy z tego, co mają".

A może tak właśnie Ziemię, nasz świat, widzą aniołowie? Może dlatego, jak czytamy w Piśmie, stoją wciąż przed Bogiem, nieustannie oddając mu chwałę, ale przecież my też nie robilibyśmy niczego innego, gdybyśmy tylko zechcieli spojrzeć na ten świat jak na wspaniały, kompletny, zachwycający dar, a nie próbowali stale tej kosmicznej jedności rozparcelować na miliardy partykularnych interesów? I z innej strony: może właśnie dlatego, że ten świat, stworzony tak wspaniale i z takim rozmysłem, że na samej tylko kontemplacji procesów zachodzących w pierwszej sekundzie po Wielkim Wybuchu można by spokojnie spędzić całe życie, został przez nas do tego stopnia zepsuty, i żeby nie zwariować, trzeba stale wpatrywać się w boski awers spraw, a nie ten koszmarny ludzki rewers?

Odrębny i tajemniczy

Przeczytałem sporo angelologicznych traktatów, sam próbowałem mierzyć się po amatorsku z tematem na piśmie, wskutek czego wiem mniej niż kiedykolwiek o anielskim świecie. Bo w miarę jak chcesz go poznać, on jeszcze dobitniej odsłania swoją naturę: odrębność i tajemniczość. Widzę jedno: z czasem blakło we mnie pragnienie, by traktować aniołów wyłącznie jako Bożą firmę kuriersko-ochroniarską, z której usług korzysta Pan, gdy chce coś oznajmić albo ochronić przed czymś tych czy innych ludzi. Dziś dużo bardziej chciałbym, by mój Anioł Stróż uczył mnie patrzenia na ten świat swoimi oczami. Mam graniczące z pewnością przypuszczenie, że znaczna część kryzysów, których doświadczam, bierze się nie z niedoboru środków do ich rozwiązania, lecz ze źle wprowadzonych do systemu danych. W aniele szukam więc nie lokaja, ale inspiracji, nie speca od magicznych ↦

↦ sztuczek, ale od ustawiania perspektywy. Może wszystko, co ma mi do powiedzenia, zawiera się w tym właśnie pytaniu astronauty Bormana: czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co masz, co zostało ci dane?

Gdy więc w najbliższych dniach wpatrywać się po raz kolejny będę w lśniące złuszczoną emalią gipsowe figury pucołowatych, zniewieściałych młodych mężczyzn w barwnych, obszernych szatach, z obowiązkowymi skrzydłami (w Biblii aniołowie zjawiają się najczęściej pod postacią młodzieńców w lśniących strojach, reszta to nasza wariacja na temat), pochylających się nad umieszczonym w szopce żłóbkiem, spróbuję po raz kolejny podjąć próbę ominięcia narzucającej się kwestii „co aniołowie robią?", a zapytać: „kim i jak są?". Nie wyciągać kolejnych, opisywanych w wielu miejscach w Biblii i w jeszcze większej obfitości w apokryfach, tudzież w zbiorach pobożnych historii z gatunku „anioł uratował mi życie!", zleconych im misji. Spróbuję podejście teologiczno-technologiczno-roszczeniowe zamienić na empatię: wczuć się w anioła na tyle, by sprawdzić, czy w ten sposób nie da się jakoś sensowniej z nim być.

Umiejętne zagęszczanie powietrza

Być z nim, bo nim człowiek rzecz jasna być nie może. To dwie osobne kategorie stworzeń. Nagrobne napisy układane przez zrozpaczonych rodziców małych dzieci, które „powiększyły grono aniołków", to nie stwierdzenie faktu (owe dzieci już cieszą się u Ojca całą pełnią swojego człowieczeństwa), tylko poruszający zapis emocji, próbujących znaleźć w głowie i sercu sposób na pogodzenie wiary w Dobro i widoku schodzącej z tego świata samej niewinności i czystości. Popularne w religijnym myśleniu robienie z bycia aniołem najwyższej możliwej formy bycia człowiekiem to oczywisty błąd. Jezus całym swoim życiem pokazał nam przecież, że Bóg, naprawiając przez wcielenie, śmierć i zmartwychwstanie to, co człowiek zepsuł, wcale nie sugeruje: „okej, projekt Człowiek nie wyszedł, doprowadźmy do tego, by stali się aniołami" – On kanonizuje człowieczeństwo, z czegoś, co stało się trucizną, robi znów eliksir życia.

Podstawowe wiadomości o aniołach ma pewnie każdy, kto choć otarł się o katechezę: to byty duchowe, nieśmiertelne, niemające płci, obdarzone wolną wolą, inteligencją, funkcjonujące w wymiarach niedostępnych ludzkiemu poznaniu, a więc poznawczo lepiej od ludzi rozwinięte; w związku z tym, że nie mają ciała, pozbawione jednak doświadczeń płynących ze zmysłów. Św. Tomasz z Akwinu, wchodząc w temat z właściwą sobie kategoryczną wnikliwością, wyjaśniał, że aniołowie są bez wątpienia doskonalsi od ludzi, różnią się też jednak bardzo między sobą, a każdy anioł stanowi w zasadzie osobny gatunek (używał tu obrazowego porównania, że jeden anioł różni się od drugiego tak, jak człowiek różni się od psa; Tomasz w tej dziedzinie w ogóle wspinał się na szczyty teologicznej wyobraźni, wyjaśniając np., jak aniołowie chcąc przybrać pozorne ciało, tak by stać się widzialnymi, robią to przez umiejętne zagęszczanie powietrza).

Powołani do istnienia przy stworzeniu świata. Nie wiadomo, ilu ich jest, choć z faktu, że każdy z nas ma swojego Anioła Stróża wynika, że aniołów musi być co najmniej 7,6 miliarda. Tu jednak zagwozdka. Zainteresowani tematem chrześcijańscy pisarze deliberowali, czy związek Anioła Stróża z człowiekiem jest tak silny i wyjątkowy, że pozostaje on jego aniołem na zawsze, czy po wypełnieniu swojej misji i przeprowadzeniu kogoś do wieczności „wraca do puli" i zostaje przydzielony komuś innemu (jeżeli swojego wyjątkowego anioła mieliby mieć wszyscy żyjący dotąd na ziemi ludzie, liczba tych istot skacze nam do ponad 100 miliardów).

Zwracano uwagę (m.in. św. Augustyn), że anioł staje się aniołem dopiero, jeśli zlecona jest mu przez Boga konkretna misja (słowo *angelos* to z greckiego: posłaniec), dopóki jej nie ma – jest po prostu „duchem". Na różne sposoby próbowano opisywać i układać anielskie hierarchie, bazując na odnoszących się do niebiańskich duchów wyrażeń zawartych w Piśmie Świętym („serafini", „cherubini", „trony", „potęgi", „moce", „panowania", „księstwa"), w czym szczególnie zabłysnął syryjski mnich żyjący na przełomie V i VI w., Pseudo-Dionizy Areopagita. Generalna idea tych podziałów (inni je modyfikowali) była jednak taka, że aniołowie najwyższej kategorii zajmują się wyłącznie oddawaniem Bogu chwały, ci kategorii niższych – są od roboty i latania na ziemię z różnymi posługami.

Esemes od Boga

Do tej właśnie grupy (w klasyfikacji Pseudo-Dionizego: trzeciej triady) zaliczają się choćby m.in. czczeni w Kościele w specjalny sposób archaniołowie. O ich istnieniu dowiadujemy się z Księgi Tobiasza, która wspomina o „siedmiu aniołach, którzy stoją w pogotowiu i wchodzą przed Majestat Pański". We wspomnianej Księdze jeden z nich, o imieniu Rafał (Rafael, co oznacza: „Bóg uzdrowi"), towarzyszy w ludzkiej postaci głównemu bohaterowi tej wspaniałej księgi w trudnej wyprawie. Gabriel („Mąż Boży") zapowiada Zbawiciela prorokowi Danielowi, Zachariaszowi narodziny Jana Chrzciciela, i wreszcie Maryi – narodzenie Mesjasza. Michał („Któż jak Bóg!", ale też: „Jaki jest Bóg?") to z kolei znany (z Księgi Daniela, Listu św. Judy i Apokalipsy) pogromca aniołów upadłych, „książę wojska niebieskiego".

Księgarnie pełne są dziś wszelkiej maści „anielskich encyklopedii", przedstawiających tysiące powymyślanych innych imion, zachęcających do tego, by włożyć wysiłek w ustalenie imiennej tożsamości naszego osobistego opiekuna (oraz zakupić stosowne anielskie figurki i inne amulety). Nie znam lepszej drogi do ostatecznego unieważnienia prawdy o istnieniu aniołów niż wszystkie te banalne próby przebicia się przez zasłonę rozdzielającej nas i ich tajemnicy.

W tym roku, przy okazji świątecznego z nimi kontaktu, naprawdę chciałbym umieć wraz z nimi w tę tajemnicę zanurkować, zamiast próbować znów więzić ją w klatce pojęć i słów. Aniołom nie tyle zlecono, by nad tym żłóbkiem odczytali mi komunikat Dyrekcji Świata o Bożej miłości, co by przekazali mi tę miłość, zarazili mnie nią. Biblistka i teolożka Maria Miduch w swojej „Biografii Boga Ojca" zostawia czytelnikom przeciekawą myśl: a co, jeśli aniołowie pojawiający się w Betlejem i budzący pasterzy, by oznajmić im narodziny Jezusa, byli po prostu emanacją ojcowskiej dumy Ojca, który jak każdy ojciec, któremu w nocy urodzi się dziecko, natychmiast rozsyła esemesy wszystkim, których ma zapisanych w telefonie? Kogo tylko spotka, zaprasza na „pępkowe". Opowiada o tym również zupełnie obcym ludziom (których w tej opowieści widzimy pod postacią trzech króli).

Co, jeśli aniołowie, których oglądamy, są członkami rodziny, którzy wciąż wpatrując się w najpiękniejszą i najlepszą Twarz

(mówi o tym wprost Jezus, gdy stwierdza, że Aniołowie Stróżowie dzieci *non stop* wpatrują się w Boże oblicze) odbijają po prostu światło Tego, w którym są zakochani? To nie żadne Boże speckomando, nie poczta polowa. Anioł to jeszcze jedno „miejsce teologiczne", osoba, w której objawia się sam Bóg (znamienne, że tak jak anioł przybiera czasem postać człowieka, tak Bóg w Biblii sam zjawia się czasem pod postacią anioła).

Praktycy zachwytu

Gabriel jest członkiem rodziny w sensie ścisłym – bierze w końcu na siebie rolę ojca chrzestnego Jezusa (to on pierwszy ogłasza imię Chrystusa). Aniołowie są jak Jego rodzeństwo, rodzice, najbliżsi – gdy Jezus jest kuszony na pustyni, pomagają Mu, troszczą się o niego („i usługiwali Mu"). Z pewnością pęka im serce, gdy jest zabijany na krzyżu. Nie opuszczą Go ani na chwilę, wrócą, gdy nadejdzie czas końca świata.

Na czym będzie wtedy polegać zapowiadana w Piśmie, a mająca być przeprowadzana właśnie ich rękami, selekcja? Na tym, że oni, zakochani i zapatrzeni w kochającego nas Boga (więc kochający i nas, a niektórych z nas może nawet i podziwiający, i tak po przyjacielsku lubiący), zamienią się nagle w zimne skrzyżowanie bramkarzy z obozowymi strażnikami, jak w słynnym, kreślącym przerażającą eschatologiczną wizję wierszu Zbigniewa Herberta „U wrót doliny"? A może – gdy znów spojrzy się na to ich oczami – na niczym nie będzie im zależeć bardziej niż na tym, by jak najwięcej Bożych stworzeń dzieliło z nimi tę radość, pokój, miłość, w której oni już są zanurzeni, o której wiedzą, że na świecie nie ma nic lepszego?

Nie wyobrażam sobie lepszego uczczenia mojego Anioła-towarzysza drogi niż zamknięcie oczu i wyobrażenie sobie, co on musi czuć, gdy Bóg – jeśli tylko na to pozwalam – rodzi się we mnie. Jak bardzo musi go po anielsku boleć, gdy zamiast życia wybieram śmierć. Widzę w nim jednak też najlepszego potencjalnego nauczyciela kompletnie zarzuconej w naszym świecie umiejętności zachwytu. To nie postulaty pięknoducha, to bolesny realizm. Przecież gdyby ten świat rzeczywiście umiał zachwycić się urodzinami każdego z 300 tysięcy dzieci przychodzących nań codziennie z nadzieją i wyciągniętymi ramionami, tak jak zachwycają się nimi

W aniele szukam nie lokaja, ale inspiracji, nie speca od magicznych sztuczek, ale od ustawiania perspektywy.

ich Aniołowie Stróżowie, nie mielibyśmy koszmarnej śmierci głodowej dziesiątek tysięcy maleństw w Jemenie, handlowania nimi na narządy, upokarzania w niewolniczej pracy, wykorzystywania ich słabości na dziesiątki różnych sposobów. Gdybyśmy umieli nauczyć się od naszych aniołów tego, że chwalenie Boga to nie tyle próba oglądania Go, co wymienione z Nim pełne czułości spojrzenie – nie mielibyśmy idiotycznych skostnień i zupełnie ziemskich, smętnych przypadłości w Jego Kościele.

Gdybyśmy tylko wreszcie przestali stosować również do aniołów naszą wyrwaną z kontekstu i dzięki temu nasączoną mnóstwem kompletnie sprzecznych z Objawieniem znaczeń mantrę: „czyńcie sobie ziemię poddaną" (dla nas nie ma znaczenia, czy Puszcza Białowieska, czy niebo – nasz antropocentryzm tak pomieszał nam duchowe mózgi, że uważamy się za bogów, może ciut niższej kategorii). Gdybyśmy więc zwolnili ich wreszcie z katorżniczej służby u nas: zaczęli prosić nie tylko o pomoc w odnalezieniu portfela czy bezpieczny powrót do domu przez mroczny park, ale i o to, by przyjęli nasze zaproszenie na herbatę (którą, rzecz jasna, przy tym stole tylko my będziemy w stanie efektywnie pić).

By opowiedzieli nam o tym, jak sami zakochali się w Bogu (bo to była ich wolna decyzja, nie są marionetkami). Dlaczego nie zdecydowali się dołączyć do tych swoich ziomków, którzy (jest taka koncepcja w teologii) gdy jeszcze przed wcieleniem Jezusa zaprezentowano im jego ideę, odmówili dalszej współpracy twierdząc, że mogą służyć Bogu, ale na pewno nie człowiekowi? Co pięknego widzą ze swojej – dla nas księżycowej – perspektywy w świecie, w którym my widzimy tylko brud i zgrozę? Co pięknego widzą w nas, którzy dumę tak często mylimy z pychą, szczęście z przyjemnością, albo – z innej mańki – nie znamy umiaru w samooskarżaniu? By wytłumaczyli: jak pokolenie chrześcijan żyjących 20 wieków po Chrystusie ma praktycznie, już dziś, zreanimować w sobie zaprawioną wdzięcznością tęsknotę za Nim? Z której usychali ich przodkowie, a której już ani śladu w nas. Przerażonych, że gdyby Chrystus – Uzdrowiciel, Wyzwoliciel, Spełniciel Wiary – rzeczywiście zechciał wrócić na świat jutro, pokrzyżowałby nam plany, bo przecież mamy już na ten dzień umówionego lekarza, parę koszmarnie trudnych spotkań w pracy, a tak w ogóle to przecież nie zdążyliśmy się jeszcze wyspowiadać.

© SZYMON HOŁOWNIA

POŻEGNANIE

Msza św. za spokój dusz

Ś.† P.

Henryka Niewodniczańskiego

w 50. rocznicę śmierci oraz jego żony

Ś.† P.

Ireny z Prawocheńskich

w 28. rocznicę śmierci i syna

Ś.† P.

Tomasza

w 9. rocznicę śmierci

zostanie odprawiona w kościele pw. św. Marka w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia (26 grudnia) o godz. 9.00

SYN JERZY

Narodzenie bez świadków

PIOTR SIKORA

Wiele wskazuje na to, że ewangeliczne opowieści o początku życia Jezusa wcale nie przekazują informacji o faktach. Co znaczy akceptacja tej niewiedzy dla naszej wiary?

W dzieciństwie jednym z ulubionych momentów przygotowań do Bożego Narodzenia było dla mnie ustawianie w wigilijne popołudnie szopki – drewnianej, wyrzeźbionej przez mojego dziadka. Zawsze jednak miałem problem, kto powinien znaleźć się bliżej żłóbka – pastuszkowie czy mędrcy ze wschodu. Często rozwiązywałem go w ten sposób, że drewniane figurki jednych i drugich stawiałem przemieszane – badacze gwiazd stali wśród zaganiaczy bydła.

Nie sądzę, by widok mędrców i pastuszków klęczących ramię w ramię przed stajenką wydał się większości z nas dziwny. A przecież oni się ze sobą wcale nie spotkali.

Jeśli komuś powyższe stwierdzenie wydaje się podejrzane, warto zrobić eksperyment: przeczytać pierwsze rozdziały Ewangelii Mateusza i Łukasza (te, które opowiadają historię poczęcia, narodzin i dzieciństwa Jezusa), ale każdą opowieść osobno. Czytając wyraźnie uzmysławiać sobie przebieg wydarzeń, tak jak zapisany jest w każdej z ksiąg, bez dopowiadania tego, co zapisane w narracji drugiego ewangelisty. Spróbować uświadomić sobie, co myślelibyśmy o okolicznościach narodzenia Jezusa i początku Jego życia, jeśli znalibyśmy tylko jedną z ewangelii dzieciństwa: albo Mateusza, albo Łukasza.

Różnice

Sceneria, z którą najbardziej kojarzymy święta – stajenka ze żłobem, do której przybyli po długiej podróży z Nazaretu Józef z ciężarną Marią (bo zabrakło miejsca w gospodzie), pasterze i aniołowie – występuje tylko w opowieści Łukasza. Mateusz o nich milczy, a mędrcy, o których tylko on opowiada, znajdują Dziecko i matkę mieszkających w betlejemskim domu.

Inna część historii, którą zapewne nosimy w głowach, to ucieczka do Egiptu przed Herodem i rzeź betlejemskich niewiniątek. Ale przecież pisze o niej tylko Mateusz, według Łukasza zaś gdy tylko Jezus został ofiarowany w Świątyni, cała rodzina spokojnie wróciła do rodzinnego Nazaretu. Wedle Mateusza Jezus z rodzicami znalazł się tam znacznie później, dopiero po śmierci Heroda, i to nie dlatego, że tam był ich dom, lecz ponieważ w Judei panował syn Heroda – Archelaos.

Trudnych do uzgodnienia różnic pomiędzy wersjami obydwóch ewangelistów jest więcej (choćby komu ukazał się anioł i ujawnił pochodzenie, przeznaczenie i imię Dziecka; albo jaki jest właściwy rodowód Jezusa). Gdy uważnie prześledzimy teksty biblijne, zorientujemy się, że nie tylko pasterze i mędrcy nigdy się nie spotkali. Zobaczymy, że Mateusz i Łukasz opowiadają zupełnie różne historie, zgadzając się – na płaszczyźnie wydarzeń – jedynie co do miejsca narodzin Jezusa w Betlejem i co do tego, że w jakiś czas później (choć już nie: w jaki) zamieszkał On z rodzicami w Nazarecie.

Różnice pomiędzy opowieściami to nie jedyny problem. Istnieją poważne trudności z pogodzeniem ewangelicznych narracji z opisami tamtych czasów znanymi z innych źródeł. Np. Herod Wielki umarł w 4 roku p.n.e., spis ludności za Kwiryniusza odbył się zaś w 6 roku n.e. – nie jest

UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / GETTY IMAGES

możliwe więc, by Jezus urodził się za panowania Heroda – co sugeruje data zwiastowania oraz wersja Mateusza – jeśli brzemienna Maria musiała udać się z Józefem do Betlejem z powodu spisu ludności.

Schematy

Wszystko to sprawia, że większość biblistów wątpi w historyczną wartość przeważającej części opowieści ewangelicznych. Tym bardziej że w kluczowych miejscach opowieści wprawne oko łatwo rozpoznaje znane ze Starego Testamentu schematy narracyjne, wskazujące, że gatunek literacki tych tekstów służy przekazaniu raczej teologicznej wizji niż historycznych faktów.

Dotyczy to przede wszystkim fragmentów opisujących spotkania z aniołami przynoszącymi wieść o narodzinach – oraz przeznaczeniu! – Jana Chrzciciela i Jezusa. Przez całą Biblię powtarza się bowiem motyw, w którym niebiański posłaniec zapowiada komuś narodziny syna, objawia jego przyszłość i nadaje odpowiednie imię. Człowiek najczęściej wyraża wątpliwości, Bóg rozprasza je przez wyjaśnienia i potwierdza wiarygodność objawienia nadzwyczajnym znakiem. Tak właśnie przebiegają rozmowy Zachariasza i Marii z Gabrielem.

Większość biblistów uznaje zatem, że najbardziej uzasadnione jest uznanie, iż sceny zwiastowania oraz innych spotkań z istotami anielskimi nie mówią o historycznych wydarzeniach, lecz w narracyjny sposób przekazują prawdę o teologicznym znaczeniu oraz najgłębszej naturze kluczowych postaci. Taka interpretacja jest tym bardziej uzasadniona, że pozwala uniknąć innych jeszcze trudności rodzących się przy lekturze „historycznej". W tej drugiej perspektywie nie wiadomo bowiem np., jak pogodzić jasny i wyraźny przekaz zwiastowania z późniejszym niezrozumieniem przez Marię natury i misji Jezusa; a niezrozumienie to ujawnia się wyraźnie w scenie odnalezienia Jezusa w świątyni (Łk 2, 46-50) albo na początku Jego publicznej działalności (por. Mk 3, 21. 31-35).

Wykorzystywanie przez ewangelistów starotestamentowych toposów i historii kluczowych dla wiary Izraela ma miejsce także w odniesieniu do większych elementów narracji – np. cała struktura pierwszych rozdziałów Ewangelii Mateusza jest odpowiednikiem dzieciństwa i młodości Mojżesza. Można więc odczytać ją jako sugestię, iż Jezus jest nowym Mojżeszem. Sugestię o tyle uzasadnioną, że ta idea jest ważnym teologicznym motywem także w dalszych partiach dzieła Mateusza, leżącym u podstaw choćby kompozycji Kazania na Górze.

Opowieść Łukasza (Jezus rodzi się w stajni, a pierwszymi, którzy go rozpoznają pouczeni przez aniołów, są pasterze) także dobrze pasuje do teologii tego ewangelisty. Dla niego niezwykle ważne jest miłosierdzie Boga przełamujące rozmaite społeczno-religijne schematy i docierające do tych, od których inni ludzie – także pobożni i religijni – się odwrócili. Do takich zaś należeli pasterze, traktowani przez porządnych Izraelitów jako nieczyści i niedopuszczani do kultu Bożego.

Religia i obrona historii

Owszem, w kwestii interpretacji tekstów, zwłaszcza tak pełnych symboli i metafor jak ewangelie, nie ma jednoznacznie rozstrzygających rozwiązań. Podobnie w badaniach historycznych – często nie da się zupełnie odrzucić wielu konkurencyjnych hipotez. Dlatego wciąż podejmowane są próby obrony historycznej wartości przekazu ewangelii narodzenia i dzieciństwa. Próby takie wymagają jednak przyjęcia dość skomplikowanych i trudnych do racjonalnego uzasadnienia tez i konstrukcji myślowych.

Próby takie są podejmowane najczęściej z motywów religijnych. Warto się jednak zastanowić, czy chrześcijańska wiara zależy od ich powodzenia, czyli co dla wiary oznaczałoby uznanie perspektywy lepiej uzasadnionej z rozumowego punktu widzenia: to jest, iż wiemy tylko tyle, że Jezus najprawdopodobniej urodził się w Betlejem, na pewno zaś wychowywał się później w Nazarecie; natomiast czy którekolwiek w pozostałych wydarzeń opisywanych w pierwszych rozdziałach Ewangelii Mateusza i Łukasza miało miejsce – tego wiedzieć nie możemy.

Obrona faktograficznej wartości bożonarodzeniowych opowieści ewangelicznych wiąże się często z obawą, by chrześcijaństwo nie zostało pozbawione koniecznego zakorzenienia w historii. Warto jednak w tym miejscu zastanowić się, na czym to konieczne zakorzenienie w historii polega. Przewodnikiem może być tu dla nas św. Paweł. Tym, co według niego istotne, jest fakt, że Jezus „narodził się z kobiety, narodził pod Prawem" (por. Ga 4, 4). To jest historyczny rdzeń, empiryczna głowica węgła, na której się wspiera budowla naszej wiary. I tę informację ewangelie dzieciństwa wiarygodnie przekazują. Wszelkie inne okoliczności tego narodzenia nie mają już takiego znaczenia.

Zwyczajność niezwykłego

Akceptacja historycznej niewiedzy co do konkretnych okoliczności poczęcia i narodzin Jezusa oraz przyjęcie, że ewangeliczne bożonarodzeniowe narracje mają sens nie faktograficzny, ale teologiczny, może jednak przynieść duchowe pożytki.

Uznanie cudownych okoliczności narodzin Jezusa – takich jak obecność zastępów anielskich śpiewających „Gloria", pokłon mędrców ze wschodu – za literacki sposób wskazania wagi tych narodzin, a nie za faktograficzną relację, pomaga nie zapomnieć o kluczowej prawdzie wiary, iż Zbawiciel „stał się do nas podobnym we wszystkim, oprócz grzechu" (por. Hbr 4, 15). Także więc moment, w którym przyszedł na świat, nie różnił się zbytnio w tym, co zewnętrzne, od narodzin każdej i każdego z nas.

Faktograficzna interpretacja bożonarodzeniowych narracji ewangelicznych rodzi tendencję traktowania tego, co po bożemu najważniejsze (kusi, by powiedzieć: „nadprzyrodzone"), jako czegoś nadzwyczajnego, różniącego się w jawny sposób od okoliczności naszego codziennego życia. Szukając po omacku Bożej obecności we własnym życiu, myślimy sobie pewnie nieraz, że biblijni bohaterowie mieli pod tym względem lepiej niż my, np. Maria i Józef, którzy od początku wiedzieli, co się dzieje i w czym biorą udział – że dziecko z Ducha Świętego, że Syn Najwyższego, że zbawi lud od jego grzechów...

Lecz przecież, widać to wyraźnie z późniejszych wydarzeń, wcale nie wiedzieli, nie rozumieli; nawet w przypadku Marii świadomość, kogo urodziła, długo rosła i stawała się coraz wyraźniejsza. Jeśli więc jakieś ziarno historycznej prawdy tkwi w scenie zwiastowania albo w bożych snach Józefa – to raczej było to coś takiego, co i nam się zdarza: że dopiero po latach, z perspektywy czasu, nabytej mądrości i doświadczenia, dochodzi do nas, iż jakieś dawne, niewyraźne przeżycie było Bożym znakiem; że dopiero później, najczęściej o wiele później, rozpoznajemy Boże prowadzenie i obecność w naszym życiu. ↦

Piet Mondrian „Kompozycja No IV z czerwienią, granatem i żółcią".

↦ Jeśli zaś – wbrew pozorom tworzonym w naszej świadomości przez niewłaściwie rozpoznaną przez nas literacką formę opowieści – w życiu Zachariasza i Elżbiety, Marii i Józefa nic nie było bardziej wyraźne i oczywiste niż w życiu każdej i każdego z nas – to znaczy, że Bóg wcale nie był bliżej nich niż nas. Nie jest dalej od nas niż od nich – najważniejszych biblijnych bohaterów chrześcijańskiej wiary.

Złączenie historii

Sposób opowiedzenia przez ewangelistów początków historii Jezusa łączy Jego życie i życie Jego otoczenia z życiem najważniejszych bohaterów wiary Izraela – Abrahama, Mojżesza, Samuela, Dawida. Natchnieni autorzy chcieli pokazać swoim czytelnikom, że Bóg nie tylko działał kiedyś, w czasach ich przodków, lecz jest obecny także w życiu im współczesnego pokolenia.

Jeśli jednak tak, jeżeli narracje ewangeliczne nie są dokładną relacją z przeszłych wydarzeń, lecz środkiem ujawnienia obecności Boga w każdym pokoleniu, to nie robimy nic złego, nie zniekształcamy sensu Pisma, przeciwnie, właściwie go rozpoznajemy, łącząc w wyobraźni nasze życie z tamtym wydarzeniem.

Zgodna z sensem Pisma jest więc ludowa pobożność, która wieńczy szopkę wieżami krakowskiej bazyliki mariackiej i przyprósza je śniegiem, ubiera pastuszków w góralskie kubraki, a nawet – w jasełkowych przedstawieniach – umieszcza tuż za Trzema Królami współczesnych bohaterów. Wedle przesłania Ewangelii Chrystus nie narodził się bowiem gdzieś i kiedyś. Rodzi się tu i właśnie teraz. Jeśli mędrcy i pastuszkowie spotykają się wokół Dziecka, Matki i Józefa, to tylko wtedy, gdy i my tam jesteśmy.

Możemy się tam jednak znaleźć, jeśli pozwalamy się prowadzić – niczym mędrcy gwieździe – teologicznej prawdzie Ewangelii: iż Bóg miłosiernie przełamuje pobożne schematy i nie gardzi nikim, że jest otwarty na obcych, którzy nawet po omacku Go szukają, że strąca z wyżyn pysznych, a wywyższa pokornych, że wyprowadza nas z „Egiptu” – niewoli rozmaitych uwarunkowań, namiętności i grzechów, i prowadzi do siebie, nawet jeśli droga wiedzie przez pustynię.

Asceza ciekawości

Perspektywa, w której ewangeliczne narracje o wcieleniu traktujemy jako teologiczne przesłanie, a nie relację o faktach, wymaga ascezy naszej naturalnej ciekawości.

To, że taka asceza jest potrzebna, można jasno zobaczyć czytając bardzo rozbudowane apokryficzne ewangelie dzieciństwa. Były one właśnie owocem niekontrolowanej ludzkiej ciekawości. Teologiczna wartość tych dzieł jest jednak wątpliwa – raczej nie prowadzą swoich czytelników ku głębiom duchowości.

Uznanie naszej niewiedzy co do okoliczności początku życia Jezusa może być niepokojącym doświadczeniem. W pewnym momencie naszej duchowej drogi pozbawia nas w dużej mierze intelektualnych i – to nawet bardziej – emocjonalnych podpórek. Uznając swoją niewiedzę nie możemy się już łatwo wzruszać brakiem miejsca w gospodzie, biegiem pasterzy do stajni, cudownym ratunkiem przed okrucieństwem Heroda.

Niewiedza jednak – podobnie jak brak bodźców na pustyni – przenosi naszą uwagę z „tam i kiedyś” do naszego wnętrza tu i teraz. Pomaga doświadczyć prawdy odkrywanej przez wielu świętych i mistyków, dobitnie wyrażonej w dwuwierszu Anioła Ślązaka przetłumaczonym na polski już przez Adama Mickiewicza: „Wierzysz, że się Bóg zrodził w betlejemskim żłobie, lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie”.

Pozostawieni jedynie z teologicznym przesłaniem, wyraźniej widzimy jego treść. Po pierwsze, że wzywa nas nie tylko do symbolicznego połączenia współczesności z Historią Świętą, ale także, że domaga się uobecnienia postawy wcielającego się Boga w naszym życiu: przełamania schematów, uważności na znaki i podążania za nimi w nieznane, gotowości do uczestnictwa w życiu ludzi odrzuconych i pogardzanych.

Akceptacja niewiedzy jest także warunkiem doświadczenia najbardziej intymnej i zarazem całkowicie niepojętej Obecności, bo jak pisał przywoływany mistyk, Anioł Ślązak: „Bóg niczym jest, ni tu, ni teraz Go nie tyka; im bardziej chwytasz Go, tym bardziej ci umyka”.

©℗ PIOTR SIKORA

Moc nocy

O. MICHAŁ ZIOŁO, TRAPISTA:

Mnich to człowiek skonfrontowany z własnym brudem. Noc na niego napiera, narasta panika. Ten szok pozwala mu otworzyć się na Boga, być dzieckiem.

MACIEJ MÜLLER: Czy to istotne, że Pan Jezus rodzi się akurat w nocy?

O. MICHAŁ ZIOŁO OCSO: Bardzo. Panują ciemności, ale w szopie betlejemskiej rozbłyskuje małe światełko. Dobywa się z małego dziecka, o którym na razie świat nie wie. Noc chroni je, otula. A ono powoli rozświetla ciemności. I tak to trwa od dwóch tysięcy lat.

Czym jest noc dla mnicha, trapisty?

To czas uprzywilejowany w kontakcie z Bogiem. Cichną głosy świata, pozostaję sam na sam z ciszą i ciemnością, które mnie osaczają i prowadzą w głąb samego siebie. A tam również odkrywam noc. Zaczynam po omacku szukać światła. Z daleka od tego, co mówią mi światło dnia, reflektory, flesze, pytam: co jest prawdą o mnie? Konfrontuję się z nicością w sobie: ze słabością, zmęczeniem, niebytem. Modlę się. Modlitwa jest wołaniem o światło. Ciemność zostaje częściowo rozświetlona. Nie znika, bo to światło we mnie jest bardzo nikłe. To Duch Święty, który proponuje, żebym ja sam stał się światłem. Ognikiem, przy którym wprawdzie nie można się ogrzać, ale który wskaże drogę.

Nieracjonalnie?

No właśnie. Noc to wyzbycie się argumentów racjonalnych, wezwanie do odrzucenia fałszywych nadziei, do szukania prawdy o sobie i do wychodzenia krok za krokiem z ciemności. W Boże Narodzenie stajemy w ciemnościach przed Jezusem, który przychodzi jako słabe światełko i oczekuje, że my będziemy tak jak on, mali i pokorni.

W klasztorze celebrujemy o trzeciej nad ranem wigilię dnia następnego. To przemienianie nocy. Ona wróci, ale my bę-

JACEK TARAN DLA „TP”

Ojciec Michał Zioło, trapista, listopad 2018 r.

dziemy na nią przygotowani, ciemność skonfrontuje się z naszym czuwaniem i obecnością. Siedząc, stojąc, skłaniając się, klęcząc – zmieniamy noc w przestrzeń do zamieszkania.

„A była noc" – zaznacza św. Jan opisując, jak Judasz wychodzi z Wieczernika.

I potem Judasz przychodzi do Ogrójca z latarniami. Jest tam Bóg, który świeci swoim majestatem, ale Judasz, przyjaciel nocy, musi używać sztucznego światła.

Diabeł ukryty w ciemności nie ma twarzy ani imienia. Walczymy z nim na oślep, nie wiedząc, z której strony zaatakuje. „Jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć" – ostrzega św. Piotr. Noc z jednej strony więc otula, konfrontuje nas z własną słabością i zaprasza do poszukiwania światła, ale z drugiej – jest przestrzenią niebezpieczną. I może zniweczyć nasze dążenia. Ale nie chcę za dużo o tym mówić, bo łatwo popaść w pokusę mówienia o złu zamiast o dobru.

Jeszcze chwilę. Skoro odkrywamy w sobie noc – to czy tę diabelską również?

Tak – to wszystkie te tereny, które nie są zagospodarowane przez Pana Boga. Lubimy zostawić dla siebie ciemny pokój, w którym są nasze lęki, pożądliwości, rany, niezałatwione spory.

Wiemy, że to złe, ale nie mamy siły, by go otworzyć i wpuścić tam światło. Mówimy: jeszcze nie czas, jeszcze do tego nie dojrzałem. Ciemność w nas zaczyna żyć własnym życiem i w końcu nas wciąga. Dlatego chrześcijanin powinien codziennie zrobić rachunek sumienia z nocy w sobie. Zadać sobie pytanie, czego znowu nie oddał Bogu.

Odeszliśmy chyba za daleko od stajenki.

Nie, bo Boże Narodzenie to walka o to, żeby noc przerażająca nas zaczęła służyć nocy otulającej.

To się stanie, kiedy po dziecięcemu zaufamy, że w strasznej ciemności jest też obecny Bóg. Mnisi mówią – wbrew wszelkiej wiedzy pedagogicznej i psychologicznej – że czasem warto się przerazić. Bo wtedy wzywamy na pomoc Boga, a On przemienia noc.

To, co było złe, staje się środkiem pomagającym zbliżyć się do Niego. Przerazić się to znaczy uzmysłowić sobie, że jest ze mną tragicznie, że jak tak dalej pójdzie, to zginę. Od tego zresztą zaczyna się życie mnicha. Mnich to człowiek skonfrontowany z własnym brudem, świadomy, że jeśli czegoś z nim nie zrobi, zostanie potępiony. Noc na niego napiera, narasta panika – i ten pozytywny szok pozwala mu otworzyć się na Boga.

W nocy Bożego Narodzenia lęk i wszystko, co złe, przemienia się i zaczyna ↦

↦ prowadzić do Boga. To noc mistyczna, w której skazani jesteśmy na czystą wiarę.

Kościół się modli: „Boże, przez narodzenie Twojego Syna zajaśniała przed całym światem Twoja potęga". Gdzie ta potęga? Jest noworodek w śmierdzącej stajni.

Chcielibyśmy, żeby światło Boga było intensywniejsze. Bóg na to odpowiada: popatrz na dziecko leżące w gnoju wśród zwierząt, to jest moja potęga. Uczniowie Jezusa ciągle liczyli na Jego ostatnie słowo. Chodzili za Nim, nauczali, wyganiali w Jego imię złe duchy – wciąż przekonani, że to jeszcze nie wszystko. Najmocniej w tej logice zakotwiczył się Judasz. Widział, że ten zamaskowany Mesjasz jest głodny, śpi, spełnia czynności fizjologiczne, umie przyjąć pogróżki, jest dobrym polemistą – ale wciąż czekał na wybuch potęgi w ziemskim rozumieniu. Jezus to czuł, dlatego mówił: idziemy do Jerozolimy, gdzie Syn Człowieczy będzie wydany, upokorzony i ukrzyżowany. Okrzyki „zejdź z krzyża" to dla nas prowokacja, upokorzenie Jezusa. Ale to jest przecież wyraz tych pragnień: zrób coś wreszcie, pokaż moc! A tu nic. On umiera.

Jesteśmy podobni do tych uczniów. Stajemy nad żłóbkiem i mówimy: dlaczego jesteś mały i słaby, cóż mamy z tobą zrobić? Wolelibyśmy dorosłego Mesjasza, który by wystąpił jako mistrz i powiedział: medytowałem przez dwadzieścia lat u stóp Himalajów i przyniosłem wam prawdę, teraz zbudujemy nowy świat, a jego etapy będą następujące: przygotowanie, rozwój, koronowanie.

Gdyby do stajenki wszedł współczesny prałat i przeczytał to mszalne wezwanie o jaśniejącej potędze, to zdawałoby się ono oderwane od rzeczywistości.

To tylko zachęta do medytacji nad boską potęgą. Jaka jest różnica pomiędzy dzieckiem leżącym w gnoju a tym dostojnikiem ze złotym łańcuchem na piersiach? Odpowiedź jest prosta: nie ma żadnej. Tylko prałat może jeszcze o tym nie wiedzieć. Boże Narodzenie wzywa go do tego, żeby odkrył w sobie dziecko.

Dominację dziecka w sobie?

Mamy skłonność, żeby z dziecka wykrawać tylko najmilszą partię. A przecież dziecko jest też nieznośne, płacze, rzuca się na podłogę i wpada w histerię. Bóg myśli o nas całych – kapryśnych, wymagających, niesprawiedliwych. I mówi: takich was kocham.

Wolelibyśmy, by On kochał nas za coś, to dla nas prostsze do przyjęcia. A Jezus odmawia i mówi: nie będę was promował za coś, dam wam wszystko za nic.

Reguła św. Benedykta nazywa Jezusa ojcem. Coś tu się jakby nie zgadza: on może być bratem, mistrzem, lekarzem – ale ojcem? Ojciec to ten, który rodzi, popycha dziecko w żądanym kierunku, daje mu wizję tego, co ma robić. Benedyktowi chodziło o to, że Jezus nas rodzi do swojej logiki – logiki dziecka. W której jesteśmy kochani za nic. Mocno to odczuwa Maryja – że sama w sobie jest nikim, nie ma niczego, o czym mogłaby powiedzieć: to moje.

Niezbyt pociągająca wizja, nawet dla zakonnika.

Tak się może nam wydawać, bo robimy kariery, publikujemy książki, mamy z tego pieniądz i troszkę sławy. To nas umacnia w myśleniu, że w gruncie rzeczy nie jesteśmy tacy ostatni. A Jezus mówi: po pierwsze to nie jest twoje, po drugie to nie jest ważne. Wszystko otrzymujesz ode mnie. A ja cię kocham za nic. Możesz być, jaki chcesz, a ja cię i tak kocham. I to jest dla nas nie do zniesienia.

Wolelibyśmy, by On kochał nas za coś, to dla nas prostsze do przyjęcia. Apostołowie Jan i Jakub chcieli zasiadać po prawej i lewej stronie Chrystusa, być pierwszymi ministrami, dzielić chwałę Boga. Próbowali wymusić na Jezusie tę godność na zasadzie: zobacz, jacy jesteśmy, nam się należy więcej. A Jezus odmawia i mówi: nie będę was promował za coś, dam wam wszystko za nic.

Siostra Faustyna mówi Jezusowi, że sama jest nędzą. Czytelnik „Dzienniczka" pewnie się spodziewa, że Jezus zaprzeczy, powie: nie, jesteś moją ukochaną córką. Tymczasem on potwierdza: tak, jesteś chodzącą nędzą. Do Katarzyny ze Sieny mówi: jesteś nikim, Ja jestem wszystkim. To szokujące, ale taka jest prawda. Nie ma nic, co należy do ciebie, jesteś nikim, wszystko masz ode mnie.

Co miałoby wynikać z przyjęcia tej logiki dziecka?

Na przykład to, żebyśmy nie spychali dzieci z zespołem Downa na margines, tylko by żyły one z nami. Nikt by się nie oglądał w tramwaju na matkę z takim dzieckiem. Nawet nie żeby piętnować, tylko żeby współczuć. Gdybyśmy przyjęli perspektywę, w której wszystko otrzymujemy od Boga, a Bóg kocha nas takich, jakimi jesteśmy, nie byłoby takich postaw. Nie byłoby szkół integracyjnych. Ani kultu młodości do 95. roku życia.

Ta logika nas odświeża, stajemy się troszeczkę mniej okrutni. Każdy mały gest dobra, gest dziecka, zmienia świat. Dorosły ma wątpliwości: po co rozdawać ubogim jedzenie, lepiej zmieniać sytuację ekonomiczną.

Kiedy umiera starsza osoba, dorosły powie: to dobrze, już się nie męczy, dla rodziny to też dobrze, bo nie ma już kłopotu. Wypowiada to z pozycji kogoś, kto wszystko zaplanował i chce kontrolować. A dziecko mówi: już nie mam babci.

Co z tego wynika dla mnicha?

Oglądałem kiedyś film o karmelitankach i św. Teresie Wielkiej, i pamiętam scenę, która zażenowała wielu widzów. Zakonnice, te mocne, z jednego kawałka granitu wyciosane kobiety, tańczą z jakąś okropną figurką małego Jezusa. Padały pełne zrozumienia komentarze: bo one są pozbawione macierzyństwa, szukają rekompensaty... To nieprawda. Ten taniec rozluźnia je duchowo, a one próbują zrozumieć, o co Bogu chodzi, dlaczego mają słuchać dziecka. Dziecko płacze, sika, zanieczyszcza pieluszki, chce co chwilę jeść. Kiedyś noworodki podrzucano do klasztorów i mnisi stawali przed pytaniem: co teraz? Dobre pytanie. Bo my wolimy dyskutować nad tym, który z wymienionych w Regule stopni pokory już osiągnęliśmy. A tu doświadczamy tego, czego pragnie Bóg: mamy zaakceptować tego małego człowieka. Nie możemy mu powiedzieć: wiesz, mamy za chwilę modlitwy, musimy tam iść odczytać piękną prefację o potędze Boga. Temu dziecku nie możemy niczego powiedzieć, o nic je prosić. To Boża bezradność i potęga, On tak właśnie działa.

Dorosły Jezus pozostaje dzieckiem?

Tak. To widać, kiedy jest poniżany i opluwany przez żołnierzy. Nie mówi nic. Kilka słów wypowiada jedynie do arcykapłana, do Piłata. Tak jakby nie umiał mówić. Piłat wyraża w dwóch słowach to, o czym mówimy: *ecce homo*. Mówi to patrząc na Jezusa spływającego krwią jak noworodek wydobyty z łona matki. To powtórne narodziny Jezusa i upublicznienie Jego logiki. Ten znak jest przeznaczony dla nas i mówi, że my także mamy pójść za logiką dziecka. Boże Narodzenie trwa, powtarza się na każdym etapie ludzkiego życia. Twoje narodzenie do czegoś nowego musi być boże. Zrezygnuj z przemocy; w świecie ona działa, ale Królestwo Jezusa nie jest z tego świata. Żyj logiką tego Królestwa, czyli bądź jak dziecko.

Kto jeszcze potrafi ją przyjąć?

Tacy byli święci. Z przerażeniem patrzyłem na beztroskę Jana Pawła II. Pamiętam scenę na Wawelu: tłum, kamery, wszyscy czekają – a on się modli. Robi to przez 40 minut. Ślini palec, odwraca kolejne kartki brewiarza i trwa cisza w eterze. A my nie modlimy się z nim, tylko czekamy, kiedy skończy, zgasi lampkę i znowu będzie można go dotknąć, zrobić sobie z nim zdjęcie. Albo spotkanie międzyreligijne, imam siedzi w jednym kącie, rabin w drugim. Jan Paweł bierze ich za ręce i ciągnie do siebie – jak dziecko rozwodzących się rodziców. Jego wizja była bardzo prosta: pokój i przyjaźń z drugim człowiekiem są osiągalne. Ufał.

Mówimy o zaufaniu: a tu mamy do czynienia z Ojcem, który traci kontrolę nad tym, co się dzieje z Jego Synem. Prosi Maryję i Józefa: przyjmijcie Go, wychowajcie. Ale Pan Jezus w końcu wychodzi spod opieki tych dobrych ludzi, jest osaczany, ginie w straszny sposób. A Ojciec patrzy. Pozwala z Nim robić potworne rzeczy.

To Syn na to pozwala. Od maleńkości modli się do Ojca, ufa mu do tego stopnia, że w Ogrójcu prosi: oddal ode mnie ten kielich. Wie, co Go czeka: przesłuchania, tortury, brak wody, straszna śmierć. I dodaje: Abba, niech Twoja wola się stanie. Każda modlitwa jest wysłuchana, na każdą Bóg musi odpowiedzieć. Ale odpowiedź bywa inna, niż się spodziewamy.

Mówimy w wyznaniu wiary: „on to dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba". Ale czy ziemska misja Jezusa mówi nam coś o Jego relacji do Ojca?

Ona mówi, jaki jest Ojciec. W Ogrójcu powtarza się pustynia, przychodzi diabeł i kusi Jezusa. Wprawdzie wszyscy Go opuścili, ale On trwa, wierny do końca. Pokazuje w ten sposób, że Ojciec jest wierny, nie opuści nas. Bóg jest bezbronny. Nie użyje środków, które nie są dziecięce. Na pana pytanie odpowiada Wojtyła w „Kazaniu na Areopagu". Ojciec w Ogrójcu mówi Synowi: w imię miłości do ludzi – zrób to. Pokaż im naszą miłość. Do nich wszystkich: do zdrajców, także tych w koloratkach. Pokaż, że my ich bardzo kochamy za nic.

Dziecko zwycięży, powróci, a Jego pierwsze słowa zabrzmią: pokój wam, nie bójcie się, to ja. W nocy Bożego Narodzenia słyszymy słowa: nie bój się, bo wygrasz. Nie będzie to zwycięstwo takie, jakie sobie wyobrażasz, ale wygrasz.

Jak wygląda to zwycięstwo?

Widzę je w moich najstarszych braciach leżących w infirmerii. Lubię z nimi być. Oni już nie mają nic do stracenia. Pielęgniarki pytają: „jak tam, dziadziuś jadł dzisiaj?". Albo bezosobowo: „zjadł, oddał mocz?". Oni to akceptują, w ogóle im to nie przeszkadza. Są jak dzieci. Pocieszają nas, młodych. My jeszcze żyjemy w kategoriach walki – kto silniejszy, kto świętszy, kto na opata. A starsi uspokajają: to już wszystko było. Jak coś zbudujesz, przyjdzie drugi i to rozwali. Zamurujesz, a on zrobi tam okno. To opactwo powstało w XII w. i widziało już wiele rzeczy, ono nie należy ani do ciebie, ani do mnie.

Potem pogodnie odchodzą. Na grobach trapistów widnieją tylko imię i data śmierci. Czyli urodzenia dla nieba – bożego narodzenia. Nie używamy trumien. Owijamy ciało w habit, jak dziecko w pieluszki, i składamy do ziemi, jakby do łona matki. Dusza już jest narodzona dla nieba, a ciało czeka na narodzenie ostateczne. W perspektywie bożonarodzeniowej, dziecięcej logiki Boga, cmentarz to pole, na którym zasiano ziarna życia wiecznego.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Cystersi, trapiści i o. Michał Zioło

NA PRZEŁOMIE XI I XII W. opat benedyktyński Robert z Molesmes założył klasztor w Cîteaux w Burgundii. Nakazał podległym sobie mnichom powrót do pierwotnej surowości Reguły św. Benedykta. W 1112 r. do Cîteaux wstąpił Bernard z Clairvaux, postać kluczowa dla duchowości i polityki XII w., wielki krzewiciel nowego zakonu monastycznego – cystersów. W XII i XIII w. Europa zapełniła się setkami cysterskich fundacji: mnisi stosowali nowoczesne rozwiązania techniczne w rolnictwie, byli chętnie widziani przez władców i feudałów. W końcu wpadli w pułapkę własnego sukcesu, odchodząc od ideałów Roberta z Molesmes. Od XVII w. trwały próby reformy zakonu: opaci klasztoru w La Trappe we Francji sięgnęli do pierwotnej reguły cysterskiej, przywracając nakaz pracy, milczenie (w tym tzw. wielką ciszę od komplety do śniadania). Stolica Apostolska dopiero w 1894 r. zatwierdziła wyodrębnienie się z zakonu nowej gałęzi: cystersów ściślejszej obserwancji, zwanych trapistami. Ich zasady życia uchodzą za najsurowsze w Kościele katolickim. Mnisi żyją w izolacji od świata, dużo poszczą, utrzymują się m.in. z produkcji serów czy piwa i nie podejmują – w przeciwieństwie do cystersów – zadań duszpasterskich. Michał Zioło jest jedynym trapistą pochodzącym z Polski. W 1995 r. zamienił habit dominikański na – również czarno-biały – habit trapistów. Postulat odbył w Fezie w Maroku, gdzie opatem był o. Bruno Lemarchand, który zginął w Tibhirine w Algierii wraz z sześcioma innymi braćmi zamordowanymi przez ekstremistów muzułmańskich (pisał o tym niedawno na naszych łamach Stanisław Zasada: powszech.net/trapisci). Michał Zioło miał dołączyć do wspólnoty Tibhirine, jednak po tragedii z 1996 r. nie udało się jej odbudować. Ostatecznie trafił do Notre Dame d'Aiguebelle we Francji. Niedawno ukazał się wywiad rzeka Romana Bieleckiego OP i Katarzyny Kolskiej z o. Michałem Ziołą pt. „Po co światu mnich".

©℗ MM

„Boże Narodzenie”, ikona nieznanego pochodzenia (Ruś południowo-zachodnia?), połowa XVI w., Muzeum Narodowe w Krakowie.

GALERIA SZTUKI CERKIEWNEJ DAWNEJ RZECZPOSPOLITEJ. PAŁAC BISKUPA ERAZMA CIOŁKA. ODDZIAŁ MNK

Dzieciątko rozdwojone

Od czasu do czasu mam przyjemność zabrania gości do Muzeum Narodowego w Krakowie i zdarza mi się przy takiej okazji pokazywać zbiory ikon w Galerii Polskiej Sztuki Cerkiewnej w Pałacu Erazma Ciołka przy ulicy Kanoniczej. Bardzo lubię zatrzymać się na chwilę przy ikonie Bożego Narodzenia – opowiadam przy niej o tym, jak powielano przez wieki wykształcone w Bizancjum schematy ikonograficzne i jakie znaczenie miały niewielkie szczegóły albo motywy, które dziś wydają nam się już tylko dziwne. No bo czemu występują tu dwa Dzieciątka? Jedno leży w żłobie, a drugie jest kąpane przez położne.

W sztuce dawnej zdarzały się sceny ukazywane symultanicznie, gdzie w jednym obrazie widzimy kilkakrotnie tego samego bohatera w następujących po sobie wydarzeniach, lecz w tym wypadku ważne jest to, w jakiej roli występuje każde z dwóch Dzieciątek. Leżący w kamiennym żłobie Zbawiciel, ciasno owinięty tkaniną, to zapowiedź przyszłej męki Chrystusa: oto Bóg, który przyszedł na świat, aby złożyć siebie w ofierze i trafić do kamiennego sarkofagu, owinięty w całun. Tymczasem Dzieciątko kąpane przez położne ukazuje ludzką naturę Chrystusa: to nowo narodzone niemowlę jest – mimo boskości – zwykłym dzieckiem, które trzeba pielęgnować. Podkreślanie równoważności boskiej i ludzkiej natury Chrystusa było istotne już od czasów wczesnochrześcijańskich. Wokół tego tematu toczyły się wówczas spory z heretykami – to właśnie ten dualizm przedstawiono we wspomnianych ikonach.

Kolejnym ciekawym motywem jest ułożenie Matki Boskiej na czymś, co przypomina czerwoną poduchę.

To jest nawiązanie do bizantyńskiego określenia potomka cesarza jako „porfirogenety", czyli „narodzonego w purpurze". Purpura była najdroższym barwnikiem starożytności, a co za tym idzie – kolorem władzy (Owidiusz krytykował kobiety strojące się w purpurę pisząc: „Po co na sobie obnosić dochody swe całoroczne?"). Jednocześnie Matka Boża rodzi Zbawiciela w grocie, na ziemi, w biedzie; oto zatem kolejne paradoksalne połączenie: władca wszechświata przychodzi na świat w ubóstwie.

Mesjasz tkwi w szczegółach

MAGDALENA ŁANUSZKA

Sceneria Bożego Narodzenia wyraziście rysuje się w średniowiecznej wyobraźni. Wołek i osiołek liżą Dzieciątko, stajenka to ruiny pałacu. Narodzinom Jezusa towarzyszy położna ze sparaliżowaną ręką.

W przedstawieniach Bożego Narodzenia z tamtych czasów kryją się fascynujące opowieści. Skąd wzięły się ich motywy, ile w nich czystej fantazji, a ile teologicznej dyscypliny i finezyjnego wykładu wiary?

WIKIPEDIA.ORG

„Boże Narodzenie", miniatura z Psałterza St Albans, lata 30. XII w., Dombibliothek Hildesheim, fol. 21.

Ciało Chrystusa dla pogan i Żydów

Jednym z najciekawszych romańskich rękopisów jest Psałterz St Albans (Biblioteka Katedralna w Hildesheim), ukończony zapewne w latach 30. XII w. w benedyktyńskim opactwie w St Albans w Anglii, podarowany niezwykłej kobiecie, eremitce Christinie z Markyate. Na karcie 21. znajduje się całostronicowa miniatura ukazująca Boże Narodzenie. Jak to w romańskich dziełach bywa, przedstawienie jest linearne, bez głębi, ale za to z dosadną ekspresją: Maria wygląda, jakby tłumaczyła coś zdumionemu Józefowi, który jeszcze nie do końca ogarnął, co się właściwie wydarzyło... ale ogólnie mamy tu tradycyjne Boże Narodzenie, gdzie Maria-położnica leży i odpoczywa, nie zwracając się ku Dzieciątku. Boskość Nowonarodzonego ma tu pierwszeństwo przed Jego ludzką naturą. Jednocześnie stajenka ma formę architektury sakralnej: żłobek w tym kontekście staje się zarazem kamiennym ołtarzem, na którym złożony jest Baranek ofiarny. Ciało Chrystusa to Eucharystia, ofiara za zbawienie całego świata. Do uczty eucharystycznej zaproszeni są wszyscy, również poganie i Żydzi: tych zaś symbolizują wołek i osiołek, którzy w tej miniaturze zostali ukazani jako liżący Dzieciątko.

↦

WIKIPEDIA.ORG

WIKIPEDIA.ORG

Teatralne gesty

W średniowiecznych przedstawieniach Bożego Narodzenia często ukazywano Józefa, który siedzi u stóp Marii i drzemie. Apokryfy oraz tradycja ikonograficzna podkreślały zaawansowany wiek lub nawet niedołężność męża Matki Bożej – to nie przypadek, bo jego starość i pasywność mogły być dodatkową gwarancją dziewictwa Marii. W wielu średniowiecznych przedstawieniach Józef nie ma nawet nimbu, jest bardziej statystą niż świętym uczestnikiem Bożego Narodzenia. Również w ówczesnych dramatyzacjach liturgicznych Józef mógł pojawiać się w roli, którą nazwalibyśmy komediową: był niedołężny, nieporadny i nieco groteskowy. Ale z drugiej strony to właśnie dramatyzacje liturgiczne wpłynęły na zmiany ikonografii Bożego Narodzenia w późnym średniowieczu.

Z jednej strony nastąpiło „ożywienie" Józefa: już w XIV w. przestał być starcem w letargu albo zdziwionym małżonkiem, którego zaskoczył poród dziewiczej żony. W kwaterze z Ołtarza z Wyższego Brodu (ok. 1350 r., Galeria Narodowa w Pradze) Józef podjął aktywną rolę, przygotowując wraz z położną kąpiel dla niemowlęcia. Z kolei w kwaterze ołtarza w kościele św. Mikołaja w Bad Wildungen (Konrad von Soest, 1403 r.) Józef występuje w roli żywiciela rodziny: dmucha w ogień buzujący pod patelnią, na której przygotowuje strawę dla żony-położnicy. W obu tych przypadkach, poza wyraźną aktywnością Józefa, widoczna jest też zmiana w ikonografii Marii i Jezusa: Dzieciątko nie leży już w żłobie, lecz spoczywa w ramionach matki. Policzek Marii przytknięty jest do policzka Chrystusa – takie wizerunki, zakorzenione w bizantyńskich ikonach w typie zwanym Eleusa, miały podkreślać emocjonalną więź między Matką a Dzieckiem. Obrazy skupione na relacji Marii z Jezusem koncentrowały się na ludzkiej naturze Zbawiciela, ukazując Go jako dziecko potrzebujące matczynej miłości i opieki. Poza tym w tych przedstawieniach Dzieciątko nie jest już ciasno zawinięte w pieluszki, lecz nagie lub półnagie – to oczywiście nie oznacza rezygnacji z symboliki pasyjno-eucharystycznej. Dzieciątko nie leży już w żłobie, który nasuwa skojarzenia z sarkofagiem lub ołtarzem, ale Jego nagość jest zapowiedzią nagości na krzyżu oraz prezentacją Ciała Chrystusa.

Kolejna zmiana w ikonografii Bożego Narodzenia, tym razem naprawdę znacząca, nastąpiła w wyniku popularności wizji św. Brygidy Szwedzkiej.

Od góry: „Boże Narodzenie", kwatera z ołtarza z Wyższego Brodu, ok. 1350 r., Narodni Galerie w Pradze. Konrad von Soest „Boże Narodzenie, kwatera z ołtarza w kościele św. Mikołaja w Bad Wildungen, 1403 r.

WIKIPEDIA.ORG

Jacques Daret „Boże Narodzenie", kwatera z ołtarza z opactwa Saint-Vaast w Arras, 1435 r., Museo Nacional Thyssen-Bornemisza w Madrycie.

Mistrz z Flémalle „Boże Narodzenie", ok. 1430 r., Musée des Beaux-Arts w Dijon.

WIKIPEDIA.ORG

Dzieciątko na zamarzniętej ziemi

W Museo Nacional Thyssen-Bornemisza w Madrycie znajduje się obraz „Boże Narodzenie" pędzla niderlandzkiego malarza Jacquesa Dareta; to jedna z czterech zachowanych kwater z ołtarza Matki Bożej z opactwa Saint-Vaast w Arras. Nastawa, choć w całości nie przetrwała, jest jednym z najlepiej udokumentowanych zamówień w sztuce niderlandzkiej: to fundacja Jeana du Clercq, który został opatem benedyktyńskiego St-Vaast w 1428 r. W 1433 r. zamówił ołtarz u snycerza Collarda de Hordain: rzeźbioną szafę miały wypełnić drewniane figury, których pomalowanie zostało zlecone Daretowi. Malarz ten miał także wykonać kwatery na skrzydła ołtarza oraz malowane zasłony; nastawa była gotowa przed kongresem w Arras w czerwcu 1435 r. Za zdobioną drewnianą szafę opat zapłacił 60 liwrów, polichromie rzeźb oraz malowane kwatery skrzydeł kosztowały go zaś w sumie ponad 168 liwrów. Praca Dareta była wysoko ceniona – nie tylko dużo zarobił, ale też jego dzieło było chwalone przez uczestników kongresu, którzy mogli je podziwiać.

Stajenka w obrazie Dareta jest lichą drewnianą konstrukcją, a w tle rozciąga się tradycyjny, zielony krajobraz. Malarz północnoeuropejski nie może jednak powstrzymać się przed dodaniem drobnego elementu, który wskazuje na to, że scena ma miejsce w grudniu: oto na belce podtrzymującej zadaszenie stajenki widzimy sople lodu! Choć nie ma tu śniegu, to jednak czujemy, że Chrystus nie przyszedł na świat w cieple; tym bardziej zatem zaskakujący może wydawać się fakt, że Matka Boża położyła nagie nowo narodzone Dziecko wprost na gołej ziemi.

Tak zwana „Adoracja Dzieciątka" to formuła ikonograficzna Bożego Narodzenia, która ilustruje to wydarzenie nie wedle opisu ewangelicznego, lecz podążając za wizją św. Brygidy Szwedzkiej. Brygida (1303-73) była żoną rycerza, a owdowiawszy, wybrała życie zakonne. W szwedzkim mieście Vadstena założyła zakon Najświętszego Zbawiciela (tzw. Brygidki), pielgrzymowała także do Rzymu i do Ziemi Świętej. Była mistyczką, doświadczającą wizji już w dzieciństwie; jej „Revelationes" (przetłumaczone na łacinę) stały się niesłychanie popularne w całej Europie już w XIV w. Co ciekawe, nasza królowa Jadwiga Andegaweńska poleciła wykonanie przekładu Objawień św. Brygidy na język polski, a także ufundowała do katedry na Wawelu ołtarz św. św. Erazma i Brygidy, erygowany w 1406 r. Jan Długosz zanotował, że w 1410 r. Władysław Jagiełło miał dowiedzieć się o rzekomej przepowiedni św. Brygidy dotyczącej klęski zakonu krzyżackiego za przyczyną władcy (i oczywiście uznał, że chodzi o niego), w związku z czym postanowił ufundować w miejscu bitwy pod Grunwaldem ↦

↦ klasztor brygidek, ostatecznie jednak zrealizował tę fundację w innym miejscu, w Lublinie.

Kluczowa dla średniowiecznej ikonografii była wizja Brygidy dotycząca Bożego Narodzenia: wedle niej brzemienna Maria weszła do groty, a towarzyszący jej starzec przyniósł świecę i opuścił grotę. Maria uklękła w modlitwie i nagle przyszło na świat Dzieciątko. Brygida zaznaczyła, że nie widziała przebiegu porodu, że Dzieciątko pojawiło się błyskawicznie i zobaczyła je leżące na ziemi, jaśniejące cudownym światłem. Boski blask przyćmił światło świecy, a Dziewica skierowała modły ku dziecku. Stąd właśnie wzięła się ta zaskakująca kompozycja: Jezus nie występuje tu jako noworodek, który wymaga opieki, lecz jest Hostią w promieniach (niczym w monstrancji). Należy zatem paść przed Nim na kolana. W średniowiecznych obrazach Józef nie opuścił Marii, ale często trzyma świecę, która – tak jak to opisała Brygida – zbladła wobec blasku Chrystusa i nie daje żadnego światła.

Komponując swoje „Boże Narodzenie" Daret niewątpliwie zainspirował się kwaterą, która dziś przechowywana jest w Musée des Beaux-Arts w Dijon (przypisywana tak zwanemu Mistrzowi z Flémalle i datowana na ok. 1430 r.). Tam mamy nie tylko zbliżoną kompozycję sceny, ale dodatkowo także inskrypcje: lamówka płaszcza Marii zawiera wersy z „Salve Regina", aniołowie zgrupowani nad dachem stajenki trzymają zaś banderolę ze słowami „*Gloria in excelsis Deo*". Najciekawsze chyba są jednak „dialogi" ukazane przy prawej krawędzi obrazu: oto dwie kobiety i anioł mają banderole ze słowami: „*Azel: virgo peperit filium*" (ten napis trzyma kobieta ukazana tyłem, na pierwszym planie), „*Salome: [nullum] credam quin probavero*" (za plecami kobiety wskazującej na swoje wyciągnięte prawe ramię) oraz „*Tange puerum et sanaberis*" (w dłoni anioła). Te „dialogi" ilustrują opowieść przekazaną w apokryficznej Ewangelii Pseudo-Mateusza: oto położna Azel (Zahel) mówi, że dziewica urodziła syna; druga położna, Salome, wątpi w taką możliwość twierdząc, że nie uwierzy, póki nie sprawdzi, czy Maria rzeczywiście jest dziewicą. Karą za to zwątpienie jest paraliż (czyli „uschnięcie") ręki, który dotknął Salome; anioł jednak powiedział jej, że jeśli dotknie Dzieciątka, zostanie uzdrowiona.

WIKIPEDIA.ORG

Stanisław Samostrzelnik (?), inicjał w Mszale Biskupa Erazma Ciołka, ok. 1515 r., Biblioteka Narodowa w Warszawie, Rps 3306 III, fol. 102v.

Urodzony w ruinach pałacu

Adoracja Dzieciątka pozostawała najpopularniejszą formułą ikonograficzną Bożego Narodzenia przez cały wiek XV i część kolejnego stulecia. W rękopiśmiennym Mszale wykonanym ok. 1515 r. w Krakowie dla biskupa płockiego Erazma Ciołka (1474–1522), a dziś przechowywanym w Bibliotece Narodowej w Warszawie (Rps 3306 III), znajduje się piękny inicjał z Bożym Narodzeniem, przypisywany cysterskiemu malarzowi z podkrakowskiej Mogiły, Stanisławowi Samostrzelnikowi. Renesansowa iluminacja karty przedstawia Boże Narodzenie w owej formule Adoracji – w tym przypadku jednak stajenka nie ma ani formy groty, ani drewnianej szopy. Są to kamienne ruiny o okazałych formach architektonicznych; źródłem jest legenda, wedle której stajenka w Betlejem była usytuowana w miejscu, gdzie przed wiekami znajdował się pałac króla Dawida. Narodziny Zbawiciela w ruinach pałacu Dawidowego odnosiły się do pochodzenia Mesjasza, który zgodnie z zapowiedzią biblijną miał być potomkiem Dawida.

Rodowód Chrystusa podają dwie Ewangelie: wg św. Mateusza i wg św. Łukasza. Oba wywody prowadzą do Józefa, męża Marii, co jest o tyle problematyczne, że przecież nie miał on być biologicznym ojcem Mesjasza. Mateusz zaczyna od Abrahama i wymienia kolejnych przodków Józefa, z Dawidem po drodze; Łukasz zaś przedstawił tę genealogię w odwrotnym kierunku, cofając się od Józefa aż do pierwszego człowieka, Adama. Genealogie te jednak znacząco się różnią; różnice następują właśnie od osoby Dawida, a raczej od jego syna, ponieważ Mateusz upatruje przodków Józefa jako wywodzących się od Salomona, Łukasz z kolei wyprowadza pochodzenie dawidowe od Natana. Nad tą rozbieżnością głowili się już myśliciele wczesnochrześcijańscy i na ogół przyjmowano, że Mateusz faktycznie podał genealogię przodków Józefa, podczas gdy Łukasz wymienił tak naprawdę przodków Marii. A zatem pochodzenie od Dawida byłoby w przypadku Jezusa pewne – po matce oraz po jej mężu.

ARTYŚCI ŚREDNIOWIECZNI umieszczali w sakralnych scenach mnóstwo na pozór dziwnych szczegółów, ale nie były one wytworem ich fantazji, lecz symbolizowały treści ujęte w pismach teologów, w kazaniach, w apokryfach, w legendach oraz liturgicznych dramatach. Możemy oczywiście traktować te dzieła sztuki również jako ikonograficzne źródło wiedzy o średniowiecznej codzienności; stroje bohaterów, używane przez nich przedmioty oraz budynki w tle tych obrazów są osadzone w ówczesnej rzeczywistości. Najważniejszy jednak pozostawał przekaz symboliczny: kwestia dwóch natur Chrystusa, zapowiedź Jego przyszłej męki, kontekst eucharystyczny, osadzenie Mesjasza w starotestamentowych proroctwach i podkreślenie faktu, że Zbawiciel przyszedł do całej ludzkości.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

WYSTAWA CZASOWA

W POLSCE KRÓLA MACIUSIA

100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

DLA MAŁYCH I DUŻYCH DOROSŁYCH

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

polin.pl

9.11.2018 – 1.07.2019

Partnerzy:

Organizator: Mecenas: Współorganizator:

Jankilevitsch Foundation

Partner wystawy: Partnerzy muzeum:

Patroni medialni:

Obłaskawiony Pan Zamętu

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Jedni widzą w nim nowoczesny symbol komercji, apostoła kapitalizmu. Inni – kolejną inkarnację prastarego bóstwa, bardziej pierwotnego niż wszystkie tradycje, których próbujemy przed nim bronić. Kim jesteś, Mikołaju w wersji nieświętej?

Kilkaset francuskich dzieci zgromadziło się przed bramą katedry w Dijon, by spotkać Santa Clausa. Na widok charakterystycznej brody z tłumu rozległy się radosne okrzyki. Po chwili jednak zrobiło się dziwnie. Trzymetrową figurę świętego przywiązano do metalowej konstrukcji.

– Czy Santa Claus zasługuje na śmierć?! – zapytał młody człowiek w cylindrze.

– Tak, tak! – zaryczały dzieci, obrzucając podobiznę świętego skórkami pomarańczy.

A potem, ku uciesze gawiedzi, pod figurą rozpalono stos. Tłum patrzył, jak symbol amerykanizacji i zeświecczenia ginie w płomieniach. Był 24 grudnia 1951 r. Dziennikarze donoszą, że po Santa Clausie pozostały tylko rękawiczki. Może były azbestowe?

Santa Claus. Po naszemu zwykle Święty Mikołaj, chociaż każdy wie, że z prawdziwym Mikołajem, biskupem Miry, nie ma wiele wspólnego. Czy wiemy, kim właściwie jest facet, któremu co roku oddajemy we władanie przestrzeń publiczną i wyobraźnię naszych dzieci?

Dla jednych uosobienie „magii świąt" i nadzieja na spełnienie marzeń, dla innych – znak komercjalizacji, reklama Coca-Coli albo nawet sam szatan w przebraniu (*Santa → Satan*, przypadek?). Skąd przybył, co o nim wiemy? Gdzie narodził się towarzyszący mu folklor?

Prastare bóstwo o wielu imionach

Na stulecia przed narodzinami Chrystusa, wieki przed tym, kiedy ktokolwiek usłyszał o biskupie z Miry czy kapitalizmie, nad długimi, grudniowymi nocami panował On. Miał wiele imion, przywołajmy tylko niektóre z nich. Podczas Bachanaliów czczono go pod mianem Bachusa, Rzymianie na Saturnalia wybierali sobie ziemskiego następcę Starego Boga, który rządził miastem przez okres świąt (by potem zostać złożonym w ofierze). W nowożytnej Europie znany był jako Król Karnawału, Opat Głupców czy, jak nazywali go Anglicy, *Lord of Misrule* – Pan Zamętu. Ta dziwaczna postać ukryta w cieniu bardziej nobliwych bóstw przez dekady fascynowała badaczy kultury. Choć zmieniają się szczegóły, a bezpośrednią ciągłość między Saturnaliami i nowożytnym karnawałem trudniej wskazać, niż to sugerują stare badania w tym zakresie, to jednak sama esencja pozostaje niezmienna. Oto nagle społeczeństwo ogarnia duch zbratania, mocno podlany alkoholem. Panowie kłaniają się sługom, biedni wkraczają do domu bogaczy. Wszystkiemu towarzyszy hałas, seksualne rozpasanie, śpiewy oraz przesadna konsumpcja mięsa, wina i piwa.

Wybór momentu nie jest przypadkowy. „W północnych społecznościach rolni-

czych grudzień był »punktem zwrotnym« w rytmicznym cyklu pracy" – wyjaśnia historyk Stephen Nissenbaum, autor nominowanej do Pulitzera książki „The Battle for Christmas". Żniwa były zakończone, zapasy na zimę zgromadzone. Grudzień był także czasem spożywania świeżego mięsa. Zwierząt nie można było zarzynać, póki temperatura nie spadła na tyle, by chronić jedzenie przed natychmiastowym zepsuciem. Zarazem świeżego mięsa nie sposób było zachować na później. Stąd przymus natychmiastowej konsumpcji, połączony jeszcze z napływem świeżo sfermentowanego wina i piwa.

Posileni mięsem, podnieceni winem, plebejusze przyzywali na swego przewodnika Pana Zamętu, który podpowiadał im, że w tym wspaniałym czasie zasługują na jeszcze więcej. Rozochocony tłum łomotał więc do bram bogatych obywateli, żądając od nich więcej jadła, napojów i pieniędzy, nierzadko grożąc przy tym paskudnymi figlami. Wszystkich ogarniał szał konsumpcji. Potępiając te noworoczne obyczaje, biskup Asteriusz z Amazji (IV w. n.e.) ubolewał: „Święto to uczy chciwości nawet małe dzieci, proste i niewykształcone, ucząc je krążyć od domu do domu, gdzie rozdają drobiazgi w rodzaju posrebrzanych owoców. W zamian otrzymują dary dwukrotnie większej wartości, przez co ich młode umysły stają się interesowne i splugawione".

Biskup z Miry

Nasz bohater dzieli imię i prezentowy zapał ze św. Mikołajem (270–343), biskupem. Mikołaj stał się patronem obdarowywania z powodu hagiograficznej legendy, która przypisuje mu podrzucenie przez okno posagu dla trzech ubogich dziewcząt. Z kolei inna, popularna w późnym średniowieczu opowieść uczyniła go patronem młodzianków. W gnębionym głodem mieście pewien diaboliczny rzeźnik zwabił do swojego domu trzech chłopców, których następnie zamordował i zamarynował w beczce, pragnąc ich potem sprzedać jako szynkę. Do miasta z pomocą dla głodujących przybył biskup Mikołaj i niczym Sherlock Holmes momentalnie rozwikłał zagadkę zaginięcia dzieci. A następnie, wykonując nad beczką znak krzyża, przywrócił chłopców do życia. Stąd niezwykle popularne przedstawienie ikonograficzne ukazujące świętego i trójkę dzieci wyskakujących z beczki. Te dwie legendy o Mikołaju przemieniły się potem w zwyczaj obdarowywania w jego imieniu.

We wczesnym średniowieczu świąteczna wymiana darów przypominała raczej współczesne Halloween niż spokojne podkładanie podarków pod choinkę. Dzieci, które chciały dostać prezenty, musiały je sobie wychodzić, krążąc od drzwi do drzwi. Trochę zapewne przypominało to żywy w Polsce po dziś dzień obyczaj kolędowania. W XII w. nastąpiła na tym polu rewolucja. Francuskie zakonnice zaczęły same podrzucać prezenty w domach najuboższych dzieci w wigilię św. Mikołaja, zasługę przypisując świętemu, znanemu zarówno z hojności, jak i z miłości do dzieci.

W ten sposób narodziła się druga figura Świątecznego Donatora – Mikołaj zaciszny, domowy, daleki od ulicznych szaleństw Pana Zamętu. Opozycja między tymi dwiema figurami zasadzała się na pytaniu: po czyjej stronie jest inicjatywa? Z jednej strony mamy żądanie i wymuszanie prezentów, tłum na ulicach, przesyt, gorączkę – z drugiej spokojne obdarowywanie w zaciszu domów. To napięcie między dwoma obliczami świątecznej wymiany darów trwa do dziś, w kolejnych stuleciach zyskując nowe formy wyrazu.

Czas Mrocznych Kompanów

W ferworze reformacji instytucja świętych popadła w niełaskę. Niedziwne więc, że i na św. Mikołaja patrzono z nieufnością. Ponieważ jednak próba zupełnego odcięcia dopływu grudniowych prezentów groziłaby powszechną rewoltą dzieciaków, w wielu protestanckich domach ↦

GARETH FULLER / PA / EAST NEWS

Stacja metra Brixton, Londyn, 8 grudnia 2018 r.

↦ rolę św. Mikołaja przejęło Dzieciątko Jezus we własnej osobie.

Z taką zamianą wiąże się jednak zasadniczy kłopot. W XVII w. św. Mikołaj był już w wielu domach niezastąpionym straszakiem na niesforne potomstwo. Dzieciątko (odgrywane czasem w domach przez młodą niewiastę, bo przecież nie przez niemowlaka) mogło jeszcze od biedy przepytać najmłodszych z katechizmu, o straszeniu rózgą nie było już jednak mowy. Stąd właśnie nagłe pojawienie się Mrocznych Kompanów – Krampusa, Hansa Trappa, a także plejady dziwacznych postaci bezpośrednio inspirowanych postacią dawnego świętego, jak Ru-klaus, Aschenklas (Mikołaj z Popiołów) czy Pelznickel (Gniewny Mikołaj).

Ci asystenci, pierwotnie towarzyszący Dzieciątku, okazali się tak wspaniałym wynalazkiem, że przyjęli się nawet w domach, w których prezenty wciąż przynosił po dawnemu św. Mikołaj. Wymachując kijem, pobrzękując kajdanami oraz strasząc facjatą umorusaną sadzą z kominka, te złośliwe potwory tworzyły coś w rodzaju cienia czy złego *alter ego* biskupa z Miry. Święty stanowił małą zapowiedź nieba, już za życia nagradzając dzieci za dobre czyny, a jego kompani z piekła rodem przypominali o karze.

W ten sposób ujawnia się kolejny fascynujący aspekt postaci Świątecznego Donatora. Jak zwraca uwagę cytowany już Nissenbaum, jego przybycie zaczyna bowiem niepokojąco przypominać... Sąd Ostateczny! Donator cały rok obserwuje z ukrycia, ocenia dobre i złe postępki, by we właściwym momencie wypłacić należność w zabawkach lub rózgach.

Spisek Nowojorczyków

A teraz pora na najbardziej niesamowity rozdział tej historii. Moment, w którym przecinają się wszystkie wątki, a biskup spotyka Pana Zamętu i swe umorusane węglem *alter ego*. Spotkanie to wydarzyło się w Nowym Jorku. Bo gdzieżby indziej.

Nowy Jork w XIX w. jest miejscem przedziwnym. Błyskawiczny przyrost ludności wypiera z Manhattanu resztki sielskich, rolniczych posiadłości, pokrywając okolicę równiutką siatką ulic. W 1790 r. miasto ma nieco ponad 30 tys. mieszkańców. Dziesięć lat później – dwa razy tyle, po kolejnej dekadzie – dobija do 100 tys. Ulice nowej metropolii wypełnia tłum różnokolorowy, wieloetniczny, wyznający bardzo różne wartości. Jednym z nielicznych momentów, które jednoczą miasto, jest Boże Narodzenie. Ale „duch świąt" daleki jest od tego, który dziś kojarzymy z amerykańską Gwiazdką. Grudniowe uroczystości przypominają raczej starożytne Bachanalia. Każdego roku w okolicach 25 grudnia ulice przemierza podchmielony tłum. Czerń wdziera się do rezydencji bogaczy, żądając prezentów. Służba nachalnie upomina się o napiwki. Groźby pod adresem chlebodawców rzucają nawet *watchmen* – ochroniarze, którymi otaczali swe rezydencje zamożni mieszczanie, obawiający się konsekwencji społecznych nierówności.

Jego przybycie zaczyna przypominać Sąd Ostateczny!

Cały rok obserwuje z ukrycia, ocenia dobre i złe postępki, by we właściwym momencie wypłacić należność w zabawkach lub rózgach.

By zaradzić tej sytuacji, zawiązuje się przedziwny spisek. Stoi za nim grupa artystów, publicystów i uczonych znanych jako The Knickerbocker. Do tego grona należeli m.in. Washington Irving, James Kirke Paulding, Robert Weir i Clement Clarke Moore. Irving pisze pod pseudonimem satyryczną historię miasta, w ramach której przemyca wiele informacji o dziedzictwie Nowego Amsterdamu, a patronem metropolii czyni poważanego wśród Holendrów św. Mikołaja. Później tworzy jeszcze szereg świątecznych opowiadań kładących podwaliny pod nowego „ducha świąt" – opartego na umiarkowaniu, mieszczańskich wartościach, ogrzanego ciepłem domowego ogniska. Paulding wydaje „The Book of Saint Nicholas" – apokryficzną autobiografię świętego. Weir maluje obraz „Santa Claus or Saint Nicholas", na którym Świąteczny Donator bardzo już przypomina tego współczesnego.

Ale największą rolę w tworzeniu mitologii Santa Clausa odegra niewątpliwie Moore. Jego poemat „Noc wigilijna" (najczęściej przedrukowywany amerykański wiersz z XIX w.) zbiera w sobie niemal wszystkie elementy znanego nam do dziś folkloru: Santa zostaje związany z żywiołem zimy, przybywa saniami zaprzężonymi w renifery, które trzeba zaczarować, wypowiadając ich imiona, pali fajkę, wchodzi przez komin, a przede wszystkim – przez cały rok dniem i nocą szpieguje dzieci, oceniając ich postępowanie. Santa jest zresztą w tym zakresie bardzo świecki. Nie ma mowy o odpytywaniu z katechizmu czy tego typu sprawach. Świąteczny Donator ma natomiast obsesję na punkcie higieny osobistej i porządku.

Trudno o lepszy przykład tego, co badacze kultury nazywają „tradycją wynalezioną". Moore i spółka twierdzili, że tylko przypominają prastary zwyczaj, który przybył do miasta wraz z holenderskimi osadnikami. Dlatego właśnie Saint Nicolas zmienił się w niderlandzkiego Santa Clausa. Prawda jest jednak taka, że współczesny Santa Claus jest niemal w pełni wymysłem spiskowców z Knickerbocker. Owszem, w Holandii znano kult św. Mikołaja, lecz wyznawali go w większości tamtejsi katolicy, a nie protestanci stanowiący trzon imigracji do Ameryki. Sam wizerunek Santa Clausa był natomiast kompilacją wielu postaci, w tym Father Christmas czy Weihnachtsmanna, personifikujących sam okres świąteczny. Czytelne są także podobieństwa między Santa Clausem a Mrocznymi Kompanami – sadza, komin, rózga to atrybuty, które Santa przejął wprost od groteskowej czeredy towarzyszy Dzieciątka.

Dlaczego spiskowcy zadali sobie tyle trudu, by wprowadzić do amerykańskiego panteonu to nowe bóstwo? Otóż Santa Claus – wyczekiwany przez dzieci, związany z kominkiem i skarpetami – miał być przede wszystkim dobrotliwym opiekunem domowego zacisza. Kimś, kto przeniesie celebrację Bożego Narodzenia z przestrzeni publicznej, gdzie jej karnawałowa forma wzbudzała zgrozę wśród amerykańskich purytanów, w domowe pielesze. Santa Claus jest także projekcją i transformacją lęków nowojorskiej klasy wyższej. Nieproszony plebejski gość, który wdziera się do mieszkania z żądaniem okupu, zmienia się w dobrotliwego (choć wciąż nieco plebejskiego) elfa (w tej wersji Santa nie był człowiekiem!), przybywającego, by nas obdarować.

Kulturowe sprzeczności kapitalizmu

Przebiegły plan grupy Knickerbocker był częścią trwającej w całych Stanach Zjednoczonych wojny z bożonarodzeniowym

Ilustracja P.O.C. Darleya z poematu „Wizyta św. Mikołaja" Clementa Clarke'a Moore'a, Nowy Jork, 1862 r. Poniżej rycina J.W. Evansa z końca XIX w. przedstawiająca Clementa Moore'a.

szaleństwem. Ważnym sojusznikiem w tej batalii był kapitalizm. O ile w agrarnych społeczeństwach grudzień faktycznie był czasem przestoju, o tyle w zindustrializowanych stanach Nowej Anglii i w ogóle na Wschodnim Wybrzeżu był to – tak samo jak każda inna pora roku – doskonały czas, żeby robić biznes. Festiwal pijaństwa, próżniactwa i nieumiarkowanej konsumpcji był czymś radykalnie obcym purytańskiemu duchowi i chłodnym kalkulacjom przemysłowców.

Oskarżenia, które przedsiębiorczy Amerykanie formułowali pod adresem Bożego Narodzenia, sparodiowała XVII-wieczna angielska broszura „The Examination and Tryal of Old Father Christmas", opisująca proces, jaki Bożemu Narodzeniu (personifikowanemu przez postać Father Christmas) wytoczyły postaci takie jak Pan Jedzsam, Pan Głodzimysz, Pan Małodaj i szereg innych odrażających postaci uosabiających wyobrażenie Anglików o skąpych, chciwych purytanach, którzy nie rozumieją ducha świąt.

Ale czy na pewno Ameryka musiała wybierać: albo nowoczesna przedsiębiorczość, albo Boże Narodzenie? Santa Claus był szansą na pogodzenie kapitalizmu i ducha świąt. Zastępując uliczne szaleństwo rozsądną wymianą podarków sprawiał, że robotnicy mogli w porę wrócić do fabryki. Świąteczna charytatywność usuwała w cień agresywne praktyki kolędowania (ang. *wassailing*), w ramach których grupy młodych ludzi wdzierały się do zamożnych domów, prośbą i groźbą wymuszając alkohol, zakąski i pieniądze. Wkrótce miało się też okazać, że Santa

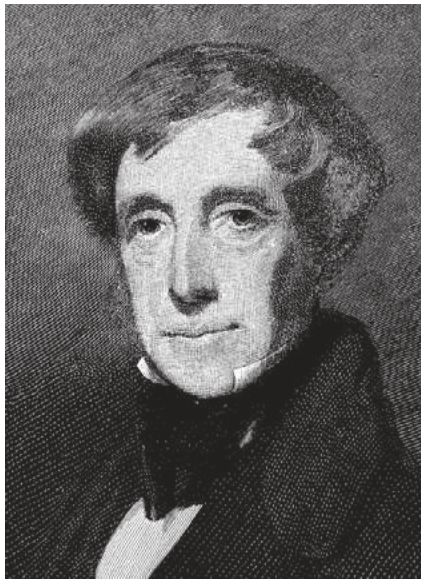

Claus jest jeszcze potężniejszym sojusznikiem przedsiębiorczych kapitalistów, niż to się pierwotnie wydawało.

Spójrzmy tylko na tłum pod świątecznym sztandarem szturmujący sklepy na Black Friday! Od razu widać, że z grudnia nigdy nie udało się w pełni wyplenić ekstatycznego i łapczywego ducha Bachanaliów. I faktycznie – już kilka lat po premierze poematu Moore'a bardziej rozrywkowa wersja Santa Clausa pojawiła się na czele świątecznych parad, a w gazetach drukowano dość śmiałe wierszyki, w których Santa ma nie tylko zabawki i orzechy dla dzieci, ale także coś mocniejszego dla starszych wyznawców. Zresztą, wystarczy przyjrzeć się któremuś ze współczesnych przedstawień, by w rumianym staruszku dostrzec coś z Bachusa.

Bóstwo o wielu twarzach

Kim więc tak naprawdę jest Santa Claus? Panem Zamętu w przebraniu czy biskupem, który przywdział zimowe szaty? Stróżem mieszczańskiego kominka czy rewolucjonistą stojącym na czele zbuntowanych tłumów? Wydaje się, że źródłem sukcesu naszego bohatera jest właśnie to, że łączy w sobie wszystkie te role.

Antropolog Claude Lévi-Strauss napisał fascynujący esej o egzekucji Santa Clausa (*vel* Père Noël) w Dijon. Pokazuje w nim, że Santa jest nie tylko symbolem amerykanizacji i komercjalizacji Bożego Narodzenia, lecz także najprawdziwszym bóstwem. To ponadnaturalna, wieczna istota, która cyklicznie powraca i czczona jest przez dzieci w określonej porze roku. Do Santa Clausa zanosi się modły (w postaci listów), nagradza on dobrych, a złych – karze.

Nasz noszący wiele imion bohater należy do pokolenia prastarych bóstw, które przez stulecia rywalizacji z młodszymi konkurentami nauczyły się przebiegłych strategii obronnych. Najpierw Saturnalia zaatakowali chrześcijanie, dokonując próby przejęcia grudniowego przesilenia. Potem św. Mikołaja z panteonu eksmitowali protestanci, a Father Christmas stanął przed trybunałem amerykańskich purytanów. I dziś nie brakuje takich, którzy atakują Santa Clausa, oskarżając go o podstępne podszywanie się pod „prawdziwego św. Mikołaja", a nawet wypieranie Chrystusa z poświęconych mu świąt. Santa przetrwał to wszystko, zmieniając przebrania i aliasy, a także wchodząc w nieoczywiste sojusze, a czasem po prostu idąc na ustępstwa.

Spalony na stosie w Dijon dołączył do długiego szeregu bóstw, które poniosły śmierć, by wkrótce się odrodzić. I to dosłownie. Już kilka dni po demonstracji przed katedrą, na wniosek tysięcy przerażonych dzieci, władze miejskie zainscenizowały powrót Santa Clausa, który z budynku ratusza ogłosił, że miewa się dobrze. Nie ma się czemu dziwić, skoro pod różnymi imionami przetrwał co najmniej dwa i pół tysiąca lat...

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Korzystałem m.in. z: Gerry Bowler „Santa Claus: A Biography"; Claude Lévi-Strauss „Męczeństwo Père Noël", w tegoż „Wszyscy jesteśmy kanibalami", przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2018; Stephen Nissenbaum „The Battle for Christmas".

Cicheńko

TEKST I ZDJĘCIA KATARZYNA MIRCZAK

Gdy żona Szojmera, rosyjskiego Żyda z Odessy, przyszła do Felicji na Wigilię, przez chwilę wydawało się, że Wałbrzyskie to nowe pustkowie Sin – z ludźmi jak manna, nieoczekiwanym darem.

Coś w tym krajobrazie kłuje. Może to wina doliny, w którą trzeba zjechać krętą drogą z wrażeniem nieuchronnego oddalania się. A może zaskoczenie urokiem tej niewielkiej wsi, gdzie pamięci świetności majątku rodziny Taube, z okazałym barokowym dworem i folwarkiem, broni XVIII-wieczna figura Jana Nepomucena. Woda, dwór i Nepomuk, który, mimo że nie przykłada palca do ust, wyraźnie mówi „tacui" – milczałem. „Tacui" to ważne słowo, podobnie jak „szpigo" – kłuje, bo jest to cisza kłująca, rana szarpana, gołym okiem widoczna nieobecność.

Ocalić słowa, łyżki, ziemię, ćwiczyć pamięć, powtarzać, wyśpiewywać tęsknoty, przechować nazwy ulic rodzinnej utopii, „strach, strach, strach" – słowa kolędy Sebastiana Rybeczki nucić na trzy głosy, nie zapomnieć.

Kamień i cegła

Początki Neu Waltersdorf (obecnie Nowy Waliszów, powiat kłodzki) sięgają XIV w., kiedy wybudowano tu kościół pw. św. Mikołaja. W drugiej połowie XVI w. powstaje pierwsza rezydencja, jednym z ostatnich jej właścicieli jest Augustin Taube (1831-96).

Obecnie mieszka tu kilka rodzin, zachował się kamień, cegła, siedmioosiowa fasada z centralnym wejściem, które poprzedza kolumnowy ganek zwieńczony balkonem, i cień jego dawnego uroku. Wieś funkcjonowała jako dziedziczny majątek ziemski należący do tzw. wolnego sędziego (niem. *Freirichter*). Wolny sędzia wspierał osadnictwo własnym majątkiem, pełniąc przy tym funkcję sołtysa. U schyłku średniowiecza na ziemi kłodzkiej wolni sędziowie stanowili odrębny stan, ciesząc się ogromnymi przywilejami.

Aż nadszedł ten czas, bo musiał nadejść. A kiedy już stało się wszystko, co w czasie przesiedlenia się dzieje (co zabrać? jak zostawić resztę? którą z dwóch krów wybrać? jakie ostatnie słowa wypowiedzieć na progu? jak odjechać w nieznane w bydlęcym wagonie?), Filipek powiedział, żeby się nie zadomawiać, bo przecież wrócą – a w słowa Filipka wierzono. Urodził się w 1907 r. w niewielkiej wsi nieopodal Tarnowicy Polnej na Kresach Wschodnich. A od czasu, gdy jako kilkuletni chłopiec przewidział pożar domu, obok którego przechodził z matką w drodze do kościoła, stało się jasne, że Filipek bardziej widzi to, co przyszłe, niż to, co obecne. Widział aż do śmierci, przewidując bezbłędnie. Poza tym jednym. Zostali.

Transportów z Tarnowicy Polnej, założonej w 1378 r., z terenów dawnej II Rzeczypospolitej (powiat tłumacki, województwo stanisławowskie) na tzw. Ziemie Odzyskane, było trzy. Przesiedlono całą, jedyną niemalże w całości, polską wieś. Tysiąc numerów, Hajdasze, Kruki, Szkwarki, splątani rodzinnymi więzami zostali rozsiani w rejony Dzierżoniowa, Oleszna, Kotliny Kłodzkiej i dalej w Lubuskie i Koszalińskie.

Teściowie Walerii Szkwarek przyjechali do Nowego Waliszowa 15 sierpnia 1945 r. Po dwóch tygodniach podróży na słomie czekała ich jeszcze jedna przesiadka, na wozy, którymi Niemcy zawieźli ich do swoich domów.

Opowieść Felicji

Było ich pięć. Mówili, że piękne jak róże, które ich matka hodowała w ogrodzie. Ruda, brunetka, szatynka, blondynka i mieszaniec – siostry. Felicja Kuchta kolor włosów odziedziczyła po ciotce szatynce, ale charakter po matce. Twardy, kamienny jak węgiel, który dyktował losy jej rodziny od co najmniej trzech pokoleń. Rodzice Felicji urodzili się w Westfalii, dokąd z kolei ich rodzice wyjechali z Wielkopolski za czarnym chlebem, do kopalń. Jej ojciec w wieku 21 lat przeniósł się z żoną do Francji i – mimo że awansować mogli tylko ci, którzy przyjęli obywatelstwo francuskie – on, jako jeden z nielicznych obcokrajowców, pełnił funkcję sztygara. Od czasu, gdy jako dziewięciolatek zaczął jeździć pod westfalską ziemią końmi, całe jego dzieciństwo systematycznie nasiąkało węglowym pyłem, aż w końcu i on sam skrupulatnie zaczernił się od środka.

Gottesberg, Boża Góra, na jej szczycie niemiecki dom, na piecu jeszcze garnek gotującej się zupy i wszechobecne pierze z rozdartej kołdry. Niemiecka góra szczególnych łask, przemianowana na Boguszów w 1947 r., tym samym,

w którym przybywa do kraju rodzina Felicji. Drzewa ciężko znoszą ciężar owoców, dzieci wbiegają do ogrodu, matka krzyczy na ojca, ale to nie z jego woli przyjechali do Polski. To ona dała się uwieść rozlewającej się pośród górników francuskich mrzonce agitatora. Niezliczone są zakręty tych losów, jest to żyła historii, która się nie wyczerpuje.

W liceum (obecnie II LO im. Hugona Kołłątaja) z Felicją do jednej klasy chodziło 28 osób. Sześcioro Polaków, pięcioro dzieci reemigrantów z Francji, reszta to Żydzi. Tuż po zakończeniu wojny mieszkało ich w Wałbrzychu tylko 20, ale już w październiku 1946 r. liczba ta wzrosła do 12 tysięcy. Dolny Śląsk na chwilę stał się domem, ciągnęli z obozów koncentracyjnych, ze Wschodu.

Rita miała 17 lat, kiedy wyjechała z rodzicami do Jerozolimy. Piękna, rude, krótkie włosy. Myślę o czasie, który spędziła w tej poewangelickiej szkole, zaprojektowanej w 1904 r. przez niemieckich architektów Kollera i Kranza z Charlotenbourga, o źródle, po którym został murowany szkielet koryta, a z którego musiała przecież pić wodę, kiedy ćwiczyła na dziedzińcu, o tajemnicy podziemi Szubienicznego Wzgórza, o które opiera się gmach. Minął miesiąc od jej wyjazdu, może dwa, kiedy dyrektor, jak kustosz tragedii, zwołał apel. Szelest pojedynczej kartki telegramu od jej matki i słowa jak kamienie o bruk – Rita zginęła na froncie.

„Pani Fela, jak wy robicie tę Wigilię?", pyta któregoś roku żona Szojmera, rosyjskiego Żyda wysiedlonego z Odessy. „A na szabes przyjdzie do nas pani?". „Przyjdę – mówi Felicja – ale przyjdzie pani do nas na Wigilię!". Przyszła razem z mężem i z dziećmi, pierwszy raz usiedli z katolikami do świątecznego stołu. Tydzień później Felicja z sąsiadką poszła do nich świętować szabat. Przez chwilę wydawało się, że to nowe pustkowie Sin, z ludźmi jak manna, ludźmi-pokarmem, nieoczekiwanym darem. Rodzina Felicji we Francji nie obchodziła Wigilii; mimo że byli bardzo religijni, nocy narodzin Chrystusa nie czczono. Była kolacja, po niej placek drożdżowy, chleb z masłem albo ziemniaki, wyczekiwanie. Dopiero w Boże Narodzenie był uroczysty obiad, głębokie talerze ze słodyczami, owocami i prezentami.

Wałbrzyskie pustkowie pomieszało jednak te porządki, pojawiła się choinka podpatrzona u Niemców, siano na stole od kresowego dziada. Rodziło się nowe, splatało, wżywało w siebie nawzajem.

Ścieżki

Joanna Grouman swój dom rodzinny w Nowym Waliszowie odwiedziła kilka razy. Weszła na górę, postała w ogrodzie, długo patrzyła na jabłonkę, niemal widać było, jak pęcznieją i na chwilę zakwitają wspomnienia. „Nie mów szybko, bo Michał nie rozumie. Mów powoli, to będzie wszystko wiedział" – Niemka grzmiała na męża.

Michał z żoną i dziećmi najpierw zamieszkał w domu pod lasem, dopiero później z Joanną i jej rodziną. Lubił swoich Niemców, gospodarstwa przed szabrownikami bronił jak swojego. Od przyjazdu z Tarnowicy Polnej minęły dwa lata, zanim Niemcy ostatecznie opuścili Neu Waltersdorf. Dwa lata wspólnego życia pod jednym dachem, „dzień dobry" po niemiecku, „dobranoc" w tarnowickiej gwarze, wspólny stół, wspólny obiad, bo jeden piec przecież, mężczyźni razem w pole, dzieci brudne jednym błotem.

Ponad pół wieku później Niemka z gospodarstwa pod lasem przyjechała zobaczyć miejsce, które przed laty musiała opuścić. Michał już nie żył, w las poszedł z nią mąż ↦

Łyżki przywiezione w transporcie z Tarnowicy Polnej (Kresy Wschodnie) do Nowego Waliszowa w 1945 r. Po lewej fotografia Katarzyny Mirczak z serii „Powracające". Artystka wykorzystuje w projekcie przedwojenną niemiecką porcelanę produkowaną w fabryce Carl Tielsch Altwasser Waldenburg, obecnie Zakłady Porcelany Stołowej WAŁBRZYCH.

jego córki. Został tylko mur, cegła w cegłę. „O, to mój tato ten tynk kładł, o, tu rurka, bo tu woda była" – tak tropiła dom. A potem poszli głębiej w las, ten sam, z którego jej ojciec co roku ścinał choinkę na święta, i to dla niej ścieżki okazały się łaskawe, bo on zupełnie się w tej drodze pogubił.

Nie kładź czapki na stole

Nie mów „mak", bo wszy będą. Nie idź do stajni, dzisiaj zwierzęta gadają, usłyszysz i umrzesz, albo idź i daj świniom słodki łubin, koniowi różowy opłatek i skibkę chleba z miodem. Baby połaźnika do domu nie wpuszczaj, bo koniec świata. Nie swarz się. Zamorusany nie chodź ani obciorany. Dziada postaw. Winszuj. Po wieczerzy na dziaducha się połóż. Rzeczy i szczęścia nie pożyczaj. Włosów nie czesz, bo głowa będzie cały rok boleć i kury zasiew zniszczą. Unikaj wideł, sierpów, kos, nożyczek, igieł, siekier, albo siekierę pod stół włóż i nogi na niej całą Wigilię trzymaj. Na łóżku legniesz i zboże się wyłoży. Nie kładź czapki na stole, bo krety będą ryły pola. Ziemniaków nie podawaj, bo wrzody będą. Od stołu nie wstawaj, to rodzina będzie razem. Izby nie zamiataj, śmieci i popiołu na dwór nie wynoś, albo wynoś i drzewa nimi obrzuć. Nogi od stołu łańcuchem opasaj, szczodraki rozdaj. Pamiętaj, o północy ze studni lub strumienia cudownej wody nanieś, pieniądz jej podaruj, gałązkę jedliny i chleb. W Boże Narodzenie tym chlebem mokrym i monetą twarz przetrzyj, o ruchu słońca jednak nie zapomnij i go w tym geście naśladuj.

Rewers

„Byliśmy, jesteśmy, będziemy" na awersie monety z 1970 r., wydanej z okazji 25-lecia przyłączenia tzw. Ziem Powracających do Polski – to hasło klucz.

Byliśmy na Wschodzie, na Kresach, w swoich domach, w swoich ogrodach, pośród naszych grobów. Byliśmy w miejscu, gdzie piękniej niż gdzie indziej śpiewają ptaki, gdzie kwiaty kwitną i pachną inaczej, gdzie wszystko było nasze. Byliśmy we Francji, w Jugosławii, w Rumunii, w Warszawie, w Grecji, byliśmy na ziemiach lwowskich, tarnopolskich, stanisławowskich, wołyńskich, poleskich, na Rzeszowszczyźnie, w łódzkim, lubelskim, w Wielkopolsce, Belgii, w Niemczech, byliśmy Żydami, Cyganami, często bezpaństwowcami. Byliśmy zmuszeni do szybkich pożegnań.

Jesteśmy w warmińsko-mazurskim, pomorskim, wielkopolskim, zachodniopomorskim i lubuskim, dolnośląskim, opolskim i części śląskiego.

Będziemy się wciąż uczyć siebie nawzajem, przyswajać obce słowa, obce gesty, od czasu do czasu przystaniemy na schodach zasiedlonych domów, bo będzie nam się wydawać, że ktoś jest tuż obok. Będziemy jak kiedyś nasze matki z pieca w Wigilię węgliki wyciągać, na blasze je kłaść i czekać, aż zgasną. Pierwszy to zboże, drugi buraki, trzeci cebula, czwarty jabłka, piąty ziemniaki. Potem delikatnie je z popiołu otrząśniemy, tam, gdzie będzie go najwięcej, znak odczytamy, że ten najlepiej obrodzi, że zbiór będzie obfity. W Boże Narodzenie będziemy wróżyć o śmierci. Patyki pod murem domu poukładamy, każdemu imię nadając wedle narodzin w rodzinie. Pierwszy to dziadek, za nim babka, ojciec i matka, wujowie i ciotki, dzieci na końcu. Będziemy czekać, który pierwszy się przewróci, cichą prośbę w gardle zaciskając, byle nie ja.

Matka róż

„Panie Bierut, ja muszę do domu". Babka Felicji miała 90 lat, kiedy dowiedziała się, że jej syn miał ciężki wypadek we Francji, że paraliż, że jego żona oszalała z rozpaczy, że nie ma kto się zająć czwórką ich dzieci. „Panie Bierut, ja muszę do Francji", powtarzała w drodze na spotkanie. Dwa dni później, wchodząc na pokład samolotu, podciągała długie, poznańskie dyrdony. Stopnie pokonywała lekko, jak w balecie, balansując między łagodnym, delikatnym ślizgiem stóp a szybkim krokiem wprowadzającym do wykonania piruetu. Na lotnisku Orly czekała karetka, nikt nie wiedział, w jakim będzie stanie. Żyła sto dwa lata. Po wylądowaniu poprosiła jeszcze pielęgniarkę o możliwość wysłania telegramu do dzieci.

„Jeżeli wrócę do Polski, to tylko aeroplanem" – napisała po niemiecku, bo inaczej przecież nie potrafiła.

© KATARZYNA MIRCZAK

Autorka jest fotografką, absolwentką archeologii. W twórczości wykorzystuje m.in. obiekty z archiwów instytucji naukowych i medycznych, wprowadzając w pole sztuki współczesnej elementy nowego języka wizualnego. Pochodzi z Wałbrzycha.

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim i Anną Goc!

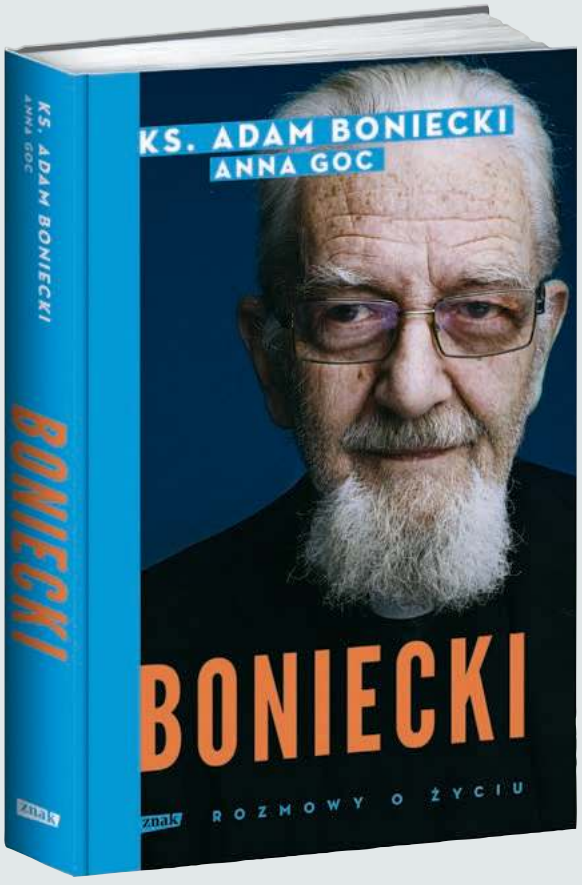

- **Jaka jest historia ks. Adama Bonieckiego?**
- **Co ukształtowało księdza, którego słowa są dziś ważne dla tak wielu ludzi?**
- **Dlaczego nie przywiązuje wagi do rzeczy i miejsc?**
- **Kim są jego mistrzowie?**
- **Czego żałuje, co zrobiłby inaczej?**

Zapraszamy na spotkanie z autorką wywiadu rzeki „Boniecki. Rozmowy o życiu" Anną Goc i jej bohaterem; po spotkaniu autorzy będą podpisywać książki, które w promocyjnej cenie będzie można zakupić w trakcie wieczoru.

Prowadzenie: Michał Olszewski.

Wtorek, 18 grudnia, godz. 18.30, Małopolski Ogród Sztuki (ul. Rajska 12).

Organizatorzy: „Tygodnik Powszechny", Wydawnictwo Znak, Małopolski Ogród Sztuki

TYGODNIK POWSZECHNY · znak · Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie · mos scena

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Wezyr Haman

Ester została królową, a Ahaswerus wydał z tej okazji wystawną ucztę, na którą zaprosił dostojników i arystokrację perską. Ogłosił specjalne święto, a do tego hojną dłonią rozdawał podarki. Ona otrzymała od władcy wszystko, co sobie życzyła. W ten sposób mogła wypromować swego wuja, a ten zasiadał u bramy królewskiej. Dzięki temu podsłuchał rozmowę dwóch komorników, którzy szykowali spisek przeciw władcy. Mordechaj przekazał o tym wiadomość Esterze, a ona królowi. Spiskowcy zostali ukarani śmiercią.

W ów czas wezyrem królewskim mianowano Hamana. Wszyscy padali przed nim na twarz. Bili pokłony. Wszyscy poza Mordechajem. Napełniło to Hamana popędliwością. A gdy dowiedział się, że Mordechaj jest Żydem, złość swoją obrócił przeciw wszystkim Żydom. Zażyczył sobie przed królem, by cały lud Izraela wytracić, bo nie słucha praw królewskich. Ahaswerus bez żadnych pytań czy wątpliwości wręczył wezyrowi swój pierścień i rzekł mu: czyń, co ci się podoba. Zaraz ten napisał listy we wszystkich językach imperium i gońcy rychło je rozesłali po wszystkich prowincjach. Ogłosił, że Żydzi muszą zginąć, a ich majątki mają być przejęte.

Nie wiemy, czy gońcy dotarli do Jerozolimy, dokąd zaczęli wracać z wygnania Żydzi i gdzie Ezra wprowadzał surowe prawa, by oczyścić swój lud i oddzielić go od pogan. O tym już pisałem. Opowieść o Mordechaju jako żywo przypomina historię biblijnego Daniela i trzech jego przyjaciół, którzy odmówili złożenia pokłonu idolom i zostali za to wrzuceni do ognistego pieca. Byli jak Mordechaj wierni zobowiązaniom wobec Adonaj i otrzymali dar życia, i nic im się nie stało. Dobro, jak wiadomo, w bajkach zwycięża.

W szabat przed świętem Purim Żydzi czytają fragment z Księgi Powtórzonego Prawa (25, 17-19): „Pomnij na to, coć uczynił Amalek w drodze, kiedyście szli z Egiptu. Jakoć zabieżał drogę, a pobił ostatnie wojska twego, wszystkie mdłe, idące za tobą, gdyś ty był utrudzony i spracowany, a nie bał się Boga. Przetoż, gdyć da odpocznienie Pan, Bóg twój, od wszystkich nieprzyjaciół twoich wokoło, w ziemi, którą Pan, Bóg twój, dawa tobie w dziedzictwo, abyś ją posiadł, wygładzisz pamiątkę Amalekową pod niebem. Nie zapominajże tego". Sens jest oczywisty: nie wolno zapomnieć o wrogach. Nie wolno też zapomnieć, że udało się nam przed nimi ujść.

Czytamy ten fragment Tory, by uświadomić sobie, że Haman był w prostej linii potomkiem Amalekitów i że jego nienawiść do Żydów była czymś trwałym, zaciekłym i koniec końców bezskutecznym. Z Biblii wiemy, że Amalek był wnukiem Ezawa. Wychował się pod jego opieką i w jego namiocie stale słyszał opowieść o tym, jak Jakub ukradł mu pierworództwo. Amalek wychował się w nienawiści do swego dalekiego krewnego. Niechęć do Izraela przetrwała pokolenia. Dotychczasowe próby wyniszczenia Hebrajczyków się nie powiodły. Wreszcie Haman zyskał szansę, by raz na zawsze skończyć z synami Jakuba. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nasze kiepskie czasy

W encyklice „Lumen fidei" papież Franciszek napisał: „Czas zawsze przewyższa przestrzeń. W przestrzeni krystalizują się projekty, czas natomiast zawsze kieruje ku przyszłości i pobudza do tego, by iść z nadzieją". Czyli przestrzeń jest tym, co już jest. Natomiast czas jest tym, co się dopiero zaczyna i dopiero w przyszłości zaistnieje pełniej, gdyż dzisiaj jest zaledwie przeczuciem, tęsknotą, marzeniem. Przestrzeń to historia, czas to przyszłość. To znaczy, że jak wszystko inne, czas też został zbawiony „ode złego" i działa na naszą korzyść. Prowadzi w przyszłość. Otwiera nowe możliwości, o których dzisiaj wiemy niewiele lub zgoła nic. O tej cudownej właściwości czasu, ocalającej przeszłość, rodzącej teraźniejszość i przyszłość, a w ostatecznym rozrachunku wieczność, przypomina kończący się Adwent.

Jako chrześcijanie nie czekamy przecież na przyjście Jezusa, nawet na drugie Jego przyjście, gdyż On już jest z nami bez przerwy. Gorzej z nami, my potrafimy z Jezusem „nie być". Pamiętamy, Jezus „przyszedł do swoich, ale swoi Go nie przyjęli". A wiadomo, że jeśli już coś się wydarzyło, to ma duże szanse na powtórkę.

W Biblii czytamy, że kiedy wypełnił się czas, Bóg Ojciec posłał swojego Syna, aby zgromadził rozproszone Dzieci Boże. To zjawienie się Jezusa tak opisuje autor Listu do Hebrajczyków (10, 5-10): „Przychodząc na świat, Chrystus mówi: Ofiary i daru nie chciałeś, ale przygotowałeś mi ciało. Nie podobały się Tobie całopalenia ani ofiary za grzechy. Wtedy powiedziałem: Oto przychodzę! W zwoju księgi napisano o Mnie: Chcę pełnić Twoją wolę, Boże". Skąd jednak wzięły się te zastrzeżenia wobec kultu, sprawowanego przecież na polecenie Boga?

Odpowiedź daje pierwsze i ostatnie zdanie cytatu. Z tych zdań wynika, że nie można więzi z Bogiem sprowadzać jedynie do kultu. Mówi o tym soborowa Konstytucja o liturgii „Sacrosanctum concilium". Owszem, liturgia, zwłaszcza Eucharystia, jest źródłem i szczytem chrześcijańskiego życia, ale życie w liturgii się nie wyczerpuje. Czego może zabraknąć? Uwzględnienia czynnika czasu i zmian, jakie czas przynosi. A to uniemożliwia dostrzeżenie Jezusa, który nie tylko był i kiedyś znowu będzie, ale nieustannie jest i zaprasza do współpracy.

Parę miesięcy temu na własne uszy słyszałem, jak po mszy niewielka grupka kobiet wzywała Matkę Bożą, aby „ochroniła Polskę przed najazdem hord muzułmańskich" i „powstrzymała Żydów przed szkodzeniem naszej ukochanej ojczyźnie". Ale jak to pogodzić z tym, że Maryja, Józef i Jezus też byli uciekinierami na obcej ziemi? Czy, jak zapytał w Gdańsku kard. Reinhard Marx, nic katolików w Polsce nie obchodzi, że w Morzu Śródziemnym tysiącami giną ludzie? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Eliasz już przyszedł

Duch wprowadza duszę
w wiekuisty Obraz,
z którego wyszła,
wedle którego Ojciec
ukształtował wszystkie
rzeczy, w którym
są one jednym.

MISTRZ ECKHART

Ściany tworzą dom.
Pomiędzy ścianami
nic nie ma.
Dlatego w domu
można mieszkać.

LAOZI

Wybrał PIOTR SIKORA

Ostatnie dni Adwentu upływają pod znakiem św. Jana Chrzciciela, który „przygotowuje drogę Panu". Ewangelia mówi o Janie, że jego misja (podobnie jak przyjście Mesjasza, z zachowaniem wszystkich proporcji) – jest również wypełnieniem obietnicy. Stary Testament przynajmniej dwukrotnie zapowiada ponowne przyjście Eliasza, które poprzedzi przyjście Pana. Co więcej: przestrzega, iż bez tego przyjścia Dzień Pana może się dla nas okazać przekleństwem.

Tak mówi Bóg przez proroka Malachiasza: „Oto Ja poślę wam proroka Eliasza (...), abym nie przyszedł i nie poraził ziemi przekleństwem" (Ml 3, 23-24). Kiedy uczniowie pytali Jezusa o wypełnienie tych słów, On im odrzekł: „Eliasz już przyszedł, a nie poznali go, i postąpili z nim tak, jak chcieli". Ewangelista dodaje: „Wtedy uczniowie zrozumieli, że mówił im o Janie Chrzcicielu" (zob. Mt 17, 10-13).

Na czym polega owa misja powracającego Eliasza? Pismo opisuje ją w kilku miejscach (Ml 3, 24; Syr 48, 10; Łk 1, 17) niemal w identyczny sposób: „On zwróci serca ojców ku synom, i serca synów ku ojcom, by przygotować Panu lud doskonały". Wygląda na to, że przyjście Pana wymaga uzdrowienia relacji rodzinnych, a także wspólnotowych. Jezus mówi: jeśli Mnie naprawdę oczekujecie, otwórzcie się na głębokie uzdrowienie waszych więzi w rodzinie i we wspólnocie Ludu Bożego.

Najwyraźniej Jego przyjścia nie da się wpisać w logikę „Jezus i ja". Moja prywatna wiara. Moje prywatne doświadczenie. Moja wsobna doskonałość i sprawiedliwość.

On się nie poddaje takiej logice i takiemu programowi. Kiedy Go tylko spotkam, On zaraz mnie zapyta, co słychać u mojego taty (albo u moich dzieci). A potem również o to, co słychać w konkretnej wspólnocie Ludu Bożego, do której należę: w parafii, w diecezji, w małej grupie. Czy wiem, jak się ma i czego uczy papież? A mój biskup?

Co więcej, pytanie, które tu się pojawia, brzmi: czy w ogóle dojdzie do mojego spotkania z Nim, jeśli moje serce nie zwróci się najpierw do mojego ojca i matki (syna i córki), i jeśli postawię się obok misji Jana/ /Eliasza, przygotowującego Panu „lud doskonały"? Czy nie jest tak, że spośród wielu dróg, jakimi Pan przychodzi w nasze życie, te właśnie drogi – rodzina i Kościół – są drogami uprzywilejowanymi i wybranymi? Przez Niego, nie przez nas...

W Psalmie 145 czytamy: „pokolenie pokoleniu głosi Twoje dzieła" (w. 4). To zachwyt, a nie lekceważenie wobec międzypokoleniowego, rodzinnego przekazu wiary (z serca ojca do serca syna; z serca matki do serca córki). Jezus zaś mówi do swoich apostołów: „Kto was słucha, Mnie słucha".

Mówimy często, że Święta Bożego Narodzenia mają charakter rodzinny. Mają też charakter wspólnotowy – cieszy nas Pasterka czy wspólny śpiew kolęd. To głęboka prawda. Jezus przychodzi w nasze życie rodzinne i kościelne. Przychodzi także przez nasze życie rodzinne i kościelne. Zarówno nasze rodziny, jak i nasz Kościół bardzo potrzebują tego przyjścia.

Amen. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23-30 XII)

4. niedziela Adwentu:
Mi 5, 1-4a; Ps 80; Hbr 10, 5-10; Łk 1, 39-45;
Poniedziałek, wigilia:
2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16;
Ps 89; Łk 1, 67-79;
Wtorek, Uroczystość Narodzenia Pańskiego:
Iz 52, 7-10; Ps 98; Hbr 1, 1-6; J 1, 1-18;
Środa, św. Szczepana:
Dz 6, 8-10; 7, 54-60; Ps 31; Mt 10, 17-22;
Czwartek: 1 J 1, 1-4; Ps 97; J 20, 2-8;
Piątek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;
Sobota: 1 J 2, 3-11; Ps 96; Łk 2, 22-35;
Niedziela, Świętej Rodziny: 1 Sm 1, 20-22. 24-28;
Ps 84; 1 J 3, 1-2. 21-24; Łk 2, 41-52.

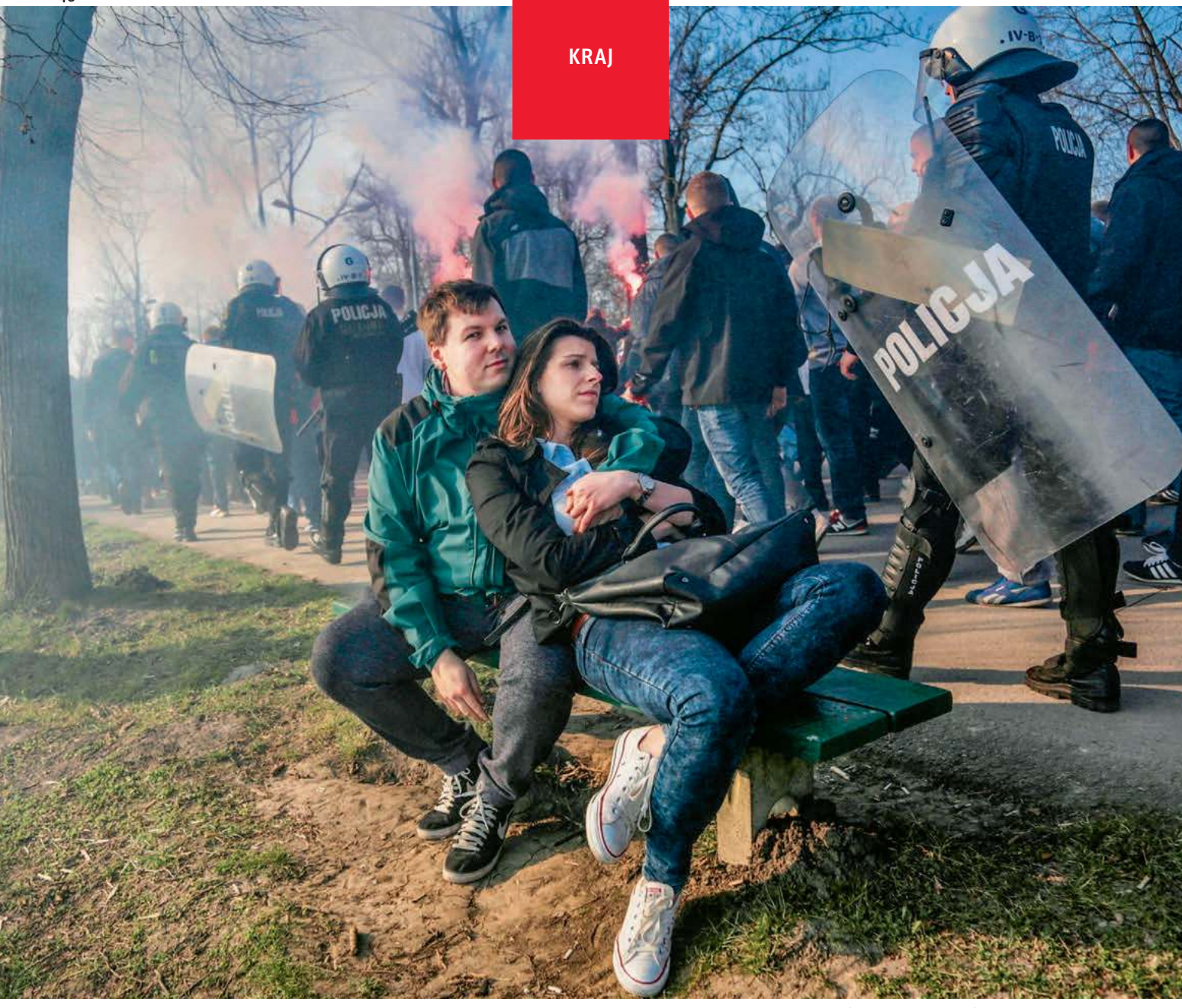

Policja eskortuje kibiców Cracovii, Kraków, marzec 2015 r.

JAK DALEKO ZAWIODĄ NAS MŁODZI

Albo się radykalizują, albo wycofują z życia publicznego. Zmiana pokoleniowa to tylko zaklęcie, które nie uzdrowi polskiej polityki.

PAWEŁ MARCZEWSKI

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Postulat zmiany pokoleniowej stał się jednym z haseł wytrychów polskiego życia publicznego. Powtarzane bezrefleksyjnie wezwania do „zrobienia miejsca młodym", zastąpienia opatrzonych i zgranych liderów opinii czy przywódców partyjnych nowymi twarzami, zyskały moc uniwersalnej recepty na odnowę krajowej polityki. No bo jeśli zmiana pokoleniowa, to zarazem dekomunizacja (w końcu dzięki przywilejowi późnego urodzenia młodzi automatycznie lokowali się poza „sporem o teczki"), liberalizacja (skoro ktoś urodził się w epoce wolnego rynku, to nie może przecież z nostalgią wspominać jako takiego bezpieczeństwa socjalnego w realnym socjalizmie), modernizacja (wiadomo, młodzi to *digital natives*, znają nowe technologie jak własną kieszeń, na pewno uczynią z Polski kraj nowoczesny i innowacyjny).

Zmiana pokoleniowa stała się zatem wyrazem nadziei na inną, lepszą Polskę – nieutopioną w nostalgii, sporach o przeszłość, jakby normalniejszą, a na pewno bardziej nowoczesną. Każdy w gruncie rzeczy mógł sobie pod to hasło podstawić dowolne marzenie o kraju, w którym chciałby żyć.

Zagubieni we współczesności

Problem jednak w tym, że choć potrzebę wymiany pokoleń zdają się dostrzegać niemal wszyscy, mało kto zadaje sobie pytanie, kim tak naprawdę są młodzi, którzy mieliby zastąpić starych. Nie jest to pytanie wyłącznie o metrykę – czy w polityce młodym jest się do czterdziestki, czy też może nawet do pięćdziesiątki, a może trzeba się z tą etykietą pożegnać przekroczywszy trzydziestkę? O wiele istotniejsza jest kwestia, czy urodzeni po 1989 r. lub niedługo przed i znający poprzednią epokę jedynie z opowieści lub zamazanych wspomnień z dzieciństwa rzeczywiście podzielają wszystkie te wartości, które miałyby z Polski uczynić kraj na miarę naszych marzeń. I to niezależnie od tego, czy marzymy akurat o Polsce wolnej od wyimaginowanego dyktatu Brukseli i nieoplecionej sieciami wpływów dawnej komunistycznej agentury, czy też o kraju starającym się po prostu jak najbardziej upodobnić do państw Europy Zachodniej.

Zarówno z badań socjologicznych, jak i preferencji wyborczych młodych Polaków wyłania się raczej obraz pokolenia zagubionego we współczesności, które z jednej strony niektóre swobody, jak choćby wolność podróżowania, traktuje jako oczywiste, ale z drugiej ma głębokie poczucie braku własnej sprawczości. Przedstawiciele tej generacji przyjmują bardzo różne strategie radzenia sobie z własnym zagubieniem. Drogowskazów i punktów odniesienia szukają w najprzeróżniejszych, niekiedy radykalnie odmiennych miejscach. Dzisiejszy świat stał się pod względem ideologicznym szalenie skomplikowanych miejscem, ideowe skłonności i sympatie polityczne nie dają się już łatwo przyporządkować do dawnych kategorii lewica-prawica, Wschód-Zachód, a nawet przeszłość-przyszłość. Chaos w głowach młodego pokolenia jest odzwierciedleniem chaosu, jaki panuje we współczesnym świecie. Bez prób zrozumienia tej skomplikowanej mozaiki tęsknot, nadziei, frustracji, które znajdują wyraz w bardzo nieoczywistych wyborach politycznych, hasła o konieczności zmiany pokoleniowej pozostaną w najlepszym razie puste, w najgorszym – niebezpieczne.

Z dala od wyborów

Niezły wgląd w polityczne sympatie młodych Polaków dają ich preferencje w ostatnich wyborach samorządowych. Według exit poll zrealizowanego przez IPSOS wyborcy w wieku 18-29 lat najczęściej wybierali... pozostanie w domu. O ile ogólna frekwencja była zaskakująco wysoka i wyniosła 54,9 proc., spośród najmłodszego pokolenia głos oddało jedynie 34,8 proc. Ta duża różnica powinna zaniepokoić i skłonić do przemyśleń wszystkich tych, którzy w młodym pokoleniu upatrują przyszłości polskiej demokracji. Okazuje się, że urodzeni i wychowani w demokratycznej Polsce w zdecydowanej większości nie korzystają z podstawowego demokratycznego narzędzia wpływu, jakim jest czynne prawo wyborcze.

Można próbować pocieszać się, choć to dość marne pocieszenie, że wybory samorządowe są o wiele bardziej skomplikowane i trudniejsze do zrozumienia niż parlamentarne czy prezydenckie, bo głosuje się na reprezentantów we władzach różnych szczebli, kart do głosowania jest dużo, pewna część kandydatek i kandydatów jest nieznana. Samorząd jest jednak tym szczeblem władzy, który cieszy się największym zaufaniem społecznym, w przeciwieństwie do dołujących w rankingach Sejmu i Senatu. Skoro zatem młodzi Polacy gremialnie nie głosują na swoich przedstawicieli w instytucjach cieszących się największym zaufaniem społecznym, załatwiających konkretne sprawy lokalnych społeczności, znaczy to tyle, że wielu z nich ma poczucie, iż obecny system polityczny ich nie reprezentuje. Nie dostrzegają zatem związku między swoim życiem prywatnym a demokratycznym życiem publicznym.

Ten pesymistyczny wniosek potwierdzają badania zrealizowane przez Instytut Spraw Publicznych i Fundację Bertelsmanna na początku 2017 r. Zapytana o to, czy demokracja jest według nich najlepszym systemem politycznym, tylko połowa młodych odpowiedziała twierdząco. Ta wyjątkowo niska akceptacja dla demokracji wśród młodych szczęśliwie nie znajduje potwierdzenia w innych badaniach, być może miał na nią wpływ fakt, że badanie dotyczyło przede wszystkim stosunku do UE i jej polityki migracyjnej, a realizowane było w czasie, kiedy media pełne były doniesień o „kryzysie uchodźczym".

Nawet jednak w innym badaniu ISP zrealizowanym w 2018 r., w którym przekonanie o wyższości demokracji nad innymi ustrojami wśród młodych podzielało 80 proc. młodych respondentów, 55 proc. było gotowych zawiesić demokratyczne prawa i swobody dla ochrony przed terroryzmem, a 40 proc. deklarowało, że byłoby gotowe poświęcić je dla lepszego poziomu życia. Okazuje się zatem, że akceptacja dla demokracji jest wśród młodych Polaków oparta na kruchych podstawach. Zdecydowana większość jest niezadowolona z sytuacji politycznej w Polsce – i niezadowolenie jest częstsze wśród najmłodszych spośród nich.

Przegrani transformacji

Warunkowa i płytka akceptacja demokracji wśród młodych nie bierze się znikąd. To polska demokracja nauczyła młodych, że nie powinni się po niej zbyt wiele spodziewać. Wbrew prostym schematom, wedle których starsi obywatele byli niejako z automatu zaliczani do grona „przegranych" polskiej transformacji, przeprowadzono ją przede wszystkim kosztem młodych. Chociaż przejście do gospodarki wolnorynkowej i zmiana systemu politycznego wywróciły życie wielu ludzi do góry nogami, starszym państwo miało często do zaoferowania osłony socjalne, renty i wcześniejsze emerytury pozwalające uciec przed bezrobociem. Młodym nie oferowało nic. ↦

↦ Jedyną obietnicą było mozolne zdobywanie wyższego wykształcenia w potężnie niedofinansowanym systemie szkolnictwa wyższego, który to wysiłek miał w przyszłości przynieść dobrą pracę i rosnące zarobki. Po wejściu Polski do UE pojawiła się też inna możliwość – emigracja, z której wielu młodych skwapliwie skorzystało, a państwo przyglądało się temu z ulgą, bo poprawiły się statystyki bezrobocia i zmalała presja na inwestycje w rynek pracy czy mieszkalnictwo, które mogłyby dać młodym lepszy start.

Jeśli dodać do tego fakt, że w polskim systemie emerytalnym to pracujący młodzi finansują emerytury starszych, a w obecnej sytuacji demograficznej nie mogą liczyć, że mechanizm solidarności społecznej zadziała również dla nich, to trudno się dziwić rosnącemu wśród młodego pokolenia poczuciu, że ten kraj nie jest ich i dla nich.

Hodowanie nihilistów

Skoro młodzi mają się w Polsce tak źle, to dlaczego kraju nie zalewają masowe protesty na wzór ruchu Occupy? Czemu lewicowe partie, które mają na sztandarach obronę prekariuszy przed wyzyskiem, nie zdobywają masowego poparcia wśród młodych, ale uzyskują w sondażach wyniki mieszczące się w granicach błędu statystycznego? Czemu zamiast wybuchać słusznym gniewem i kanalizować go w konkretne wybory polityczne, młodzi w zdecydowanej większości raczej po prostu nie idą na wybory?

Wyjaśnienia, że polska demokracja jest młoda, więc i żyjący w niej młodzi ludzie muszą się dopiero nauczyć, jakich mechanizmów użyć, by wyrazić swoje zdanie i przekuwać swoje interesy w preferencje polityczne, to uspokajające bajki. Prawie trzy dekady od zmiany systemu tego rodzaju wyjaśnienia brzmią równie powierzchownie i paternalistycznie, co bajania zachodnich „tranzytologów" tłumaczących zwycięstwo PiS w 2015 r. niedokończoną transformacją demokratyczną. Oba te tłumaczenia zakładają, że jest jakaś ustalona trajektoria osiągania demokratycznej dojrzałości, ściśle wytyczona ścieżka, której należy się trzymać i na którą po chwilowym błądzeniu można powrócić. Tymczasem sama demokracja jest dzisiaj na świecie w kryzysie, podkopywana przez zaplanowane działania autorytarnych przywódców oraz kryzys zaufania – ten z kolei jest skutkiem upadku (a w niektórych krajach świadomego demontażu) instytucji łączących i chroniących różne klasy społeczne. W tym kontekście widać, że młodzi w Polsce nie są już na etapie niepełnej edukacji obywatelskiej, ale w ogóle zwątpili w jej sens.

Dzisiejsi sfrustrowani młodzi nie zmądrzeją z wiekiem, ale zasilą grono Polaków różnych pokoleń, którzy nie czują się związani z państwem i uciekają w indywidualizm albo nacjonalizm.

Kiedy w 2012 r. przez kraj przelały się najliczniejsze protesty obywatelskie od czasu Solidarności, których uczestnicy domagali się odrzucenia przez polski rząd ACTA, niektórzy powierzchowni obserwatorzy uznali je za dowód obywatelskiego przebudzenia młodych. Bardziej wnikliwi analitycy, którzy zadali sobie trud rozmowy z protestującymi, odkryli głębsze nurty w ruchu anty-ACTA – wielu jego uczestników i uczestniczek wyznawało postawy skrajnie libertariańskie. Umowa o przeciwdziałaniu piractwu sformułowana tak, że mogła ograniczyć też wolność w internecie, ograniczała ich indywidualne prawa i możliwości, wyszli więc na ulice w geście oporu. Potem jednak niektórzy z nich czym prędzej wrócili do swoich prywatnych baniek i jak nie głosowali, tak nie głosują. W innych obudził się odruch, by w geście protestu rozwalić cały istniejący system polityczny – stąd w 2015 r. świetny wynik wśród młodych zarówno PiS, jak i ugrupowania Kukiza oraz partii Wolność Korwin-Mikkego.

Dla zbudowania prospołecznego ruchu czy partii politycznej konieczna jest wiara w przyszłość i zaufanie, że państwo można zmienić w drodze cywilizowanego sporu i wytrwałych działań obywatelskich. Polskie państwo zrobiło wiele, by tę wiarę w młodych podkopać, trenując ich poprzez swoje zaniechania w swoiście polskim kulcie zaradności, łączącym elementy darwinizmu społecznego i lęku przed deklasacją. To z tej mieszanki bierze się, potwierdzana w kolejnych badaniach, bardzo negatywna postawa zdecydowanej większości młodych wobec różnorodności etnicznej i kulturowej. Dobitny wyraz tej postawy stanowi paradoksalny lęk przed obcym, który zabiera zatrudnienie, podszyty poczuciem wyższości wobec niego, bo jest gotowy przyjąć pracę niechcianą przez Polaków. To zarazem zalążek osobowości autorytarnej, nieustannie miotającej się między lękiem przed silniejszym a pogardą dla słabszego.

Odzyskać politykę

Czy zamiast powtarzać mantrę o konieczności zmiany pokoleniowej w polskiej polityce, mamy spisać młode pokolenie na straty? Dzisiejsi sfrustrowani albo zniechęceni młodzi nie zmądrzeją z wiekiem, ale zasilą raczej grono Polaków różnych pokoleń, którzy nie czują się związani z polskim państwem i albo uciekają w skrajny indywidualizm, albo budują sobie protezę przynależności za pomocą np. skrajnie wyrażanego nacjonalizmu. W młodym pokoleniu są również, choć słabsze, tendencje świadczące o tym, że wiara w działanie na rzecz czegoś więcej poza prywatnym bezpieczeństwem i dobrobytem nie całkiem zaniknęła.

To młodzi organizowali w internecie akcje informacyjne, dementujące kłamstwa polityków i rządu na temat uchodźców. To najmłodsze pokolenie częściej niż ogół wyborców oddawało w ostatnich wyborach samorządowych głosy na ruchy miejskie, szukając konstruktywnych alternatyw dla partii i kandydatów, których uważało za niewiarygodnych. Młodzi, jak wynika z badań, są też o wiele częściej przekonani o pozytywnych efektach równouprawnienia kobiet i mężczyzn, zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym. Rzadziej mają też negatywne stereotypy na temat związków osób tej samej płci.

Przywrócenie młodym silnej wiary w demokrację jako ustrój, w którym i oni mają głos i wpływ, nie jest zadaniem skazanym na porażkę, ale nie ma na to łatwych recept. Dopuszczenie młodszych metrykalnie polityków do stanowisk dających władzę i apanaże nie jest receptą na skostnienie polskiej sceny politycznej. Dotychczasowe przykłady każą raczej obawiać się, że jest to raczej przepis na upowszechnienie żenujących praktyk korupcyjnych.

Z jednej strony państwo musi stwarzać możliwości partycypacji młodych w życiu zbiorowym – i to nie tylko poprzez oczywiste formy, takie jak samorządy uczniowskie czy studenckie, ale również przez sensowne inwestycje społeczne w rynek pracy, edukację i politykę mieszkaniową. Trudno „odzyskać" kogokolwiek dla demokracji bez dobrej jakości usług publicznych, które dają szansę udziału w życiu społecznym bez względu na zasobność portfela i kapitał kulturowy rodziców. Zmuszeni spłacać wieloletnie kredyty mieszkaniowe i zarabiać na nianię albo prywatne przedszkole dla dzieci, młodzi raczej nie staną się aktywnymi obywatelami.

Z drugiej strony sami młodzi, którzy angażują się w życie publicznie mimo zniechęcenia, nie powinni dać się złapać w pułapkę niechęci do polityki. Ruchy miejskie czy organizacje społeczne, lokujące się programowo poza sporem politycznym o wartości, w końcu będą musiały zderzyć się z brutalną rzeczywistością i odkryć, że nawet kwestie z pozoru niepolityczne, jak dotowanie miejsc w żłobkach czy przyznawanie świadczeń opiekuńczych, są w istocie oparte na wartościach, bo promują określony model rodziny. PiS i przychylne mu organizacje społeczne już dawno to zrozumiały. Na przykład Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zmusza urzędników, by wbrew ustawie i wyrokowi WSA wymagali od samotnie wychowujących dzieci beneficjentów programu Rodzina 500 plus zaświadczenia o zasądzeniu alimentów nawet na drugie i każde kolejne dziecko, choć dla rodzin wychowujących więcej niż jedno dziecko świadczenia miały być bezwarunkowe. W porównaniu ze skalą całego programu i wziąwszy pod uwagę koszty kontroli, nie przyniesie to resortowi wielkich oszczędności, ale może skłonić samotnych rodziców bez zasądzonych alimentów, by nie deklarowali samotnego wychowywania potomstwa z obawy przed utratą świadczenia. I oto w magiczny sposób Polska staje się nagle – na papierze – krajem pełnych, szczęśliwych rodzin, odpowiadających ideologicznej wizji partii rządzącej.

Jeśli młodzi nie chcą dać się wykorzystać, zasilając grono klientów politycznych zależnych od łaskawości decydentów, powinni odzyskać dla siebie politykę, zamiast się na nią obrażać. Nie muszą w tym celu koniecznie zaciskać zębów, zmuszając się do wstępowania w szeregi partii politycznych. Polityczna aktywność może być realizowana w wielu formach, np. poprzez patrzenie władzy na ręce w organizacjach typu *watchdog*. Co więcej, jak pokazują liczne protesty w obronie sądów, instytucje demokratyczne na poziomie krajowym czy unijnym potrzebują niekiedy popchnięcia do działania przez manifestujących na ulicach demonstrantów. W decydującym momencie można więc po prostu wyjść na ulice. Choć cynizm i zniechęcenie mogą podpowiadać co innego, to już bardzo dużo. Doświadczenie występowania razem w sprawie ważnej nie dla jakiejś jednej grupy, ale dla wszystkich obywateli, to esencja demokracji. Jeśli się jej raz spróbuje, smak nie daje się łatwo zapomnieć. © PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatele w forumIdei, think-tanku Fundacji im. Stefana Batorego.

REKLAMA

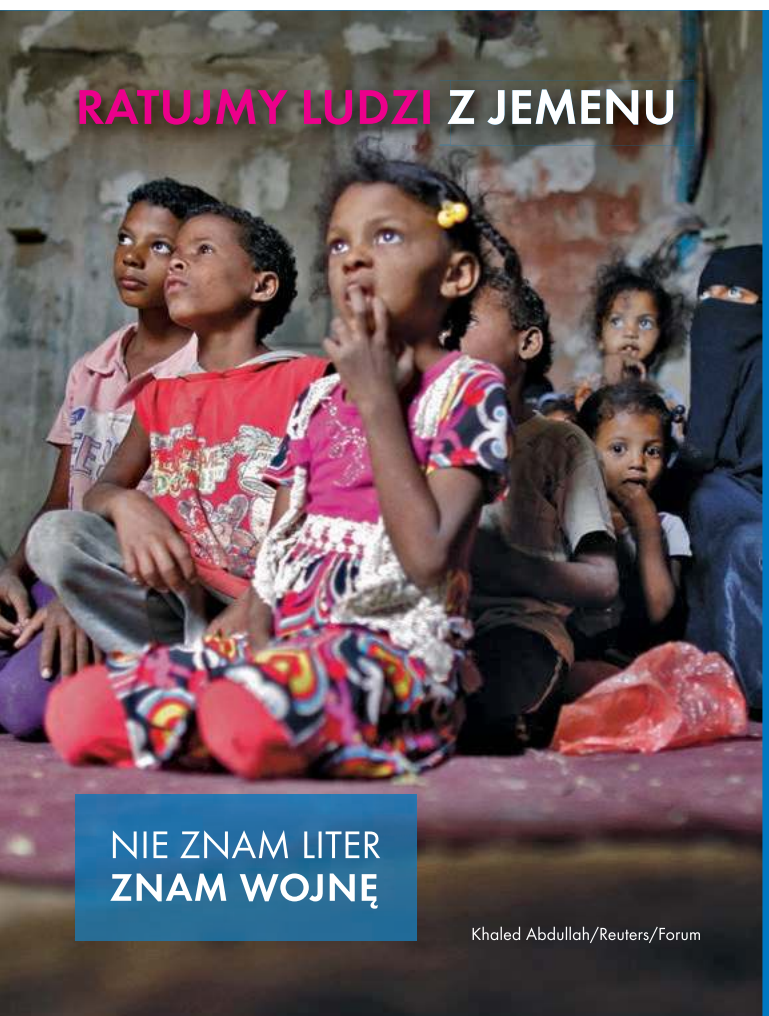

pah
Polska Akcja Humanitarna

WPŁAĆ:
na konto:
02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
z dopiskiem „JEMEN"
online: www.pah.org.pl/wplac

ANDRZEJ STAWIŃSKI / REPORTER

Andrzej Strejlau

MAŁGORZATA KUJAWKA / AGENCJA GAZETA

Jacek Gmoch

Wojna futbolowa

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Obaj u boku legendarnego Górskiego, obaj z zasługami, obaj – mimo niemal 80 lat – do dziś nie mogą żyć bez piłki. Ale siebie nawzajem Jacek Gmoch i Andrzej Strejlau tolerują z najwyższym trudem.

Na telefoniczną rozmowę (o spotkaniu nie ma mowy – ma napięty kalendarz) z Andrzejem Strejlauem czekam długo. Gdy wreszcie do niej dochodzi, słyszę o dziesięciu zaplanowanych „ewentualnie" minutach, a chwilę później, że liczba 10 ma charakter hipotetyczny, gdyż trener rozmową „na zaproponowany temat" nie jest zainteresowany (choć nie zdążyłem zaproponować tematu).

Jacek Gmoch, owszem, na rozmowę się godzi. A nawet uraczy dwugodzinną opowieścią przy stoliku w restauracji warszawskiego Sheratonu, gdzie zwykł ostatnio przesiadywać. Ale na temat sporu ze Strejlauem wyda tylko kilkuminutowe oświadczenie.

Włodzimierz Lubański (legenda, podopieczny obu trenerów) wypowie się chętnie, ale niekoniecznie o ich sporze. Zbigniew Boniek (też legenda, też podopieczny obu) rozmowy odmówi, gdy tylko usłyszy, o co chodzi.

Jerzy Chromik, znany dziennikarz sportowy i również dobry znajomy obu trenerów, wydał właśnie książkę „On, Strejlau". „Świadków tamtych pięknych piłkarskich czasów mamy już tylko dwóch. Niestety, skłóconych. A idealny byłby zapis w układzie 50/50. (...) Nie udało mi się jednak nakłonić ich do wspólnej encyklopedii – »Trzy ćwiartki wieku przy piłce«. No to mamy, to co mamy" – napisał we wstępie, mając na myśli dwie osobne książki trenerów (druga to „Najlepszy trener na świecie" – wywiad, który przeprowadzili z Gmochem Arkadiusz Bartosiak i Łukasz Klinke).

Pojedynek Gmoch–Strejlau A.D. 2018: współczesna odsłona trwającej od dekad rywalizacji; dogrywka meczu podwyższonego ryzyka.

KWADRANS I: kariery kontra kontuzje

Wstępna jego faza odbywa się w czasach, gdy nie wiedzą o swoim istnieniu. Gmoch (rocznik 1939) w latach 50. jest piłkarzem Znicza Pruszków, skąd trafi do Legii Warszawa. Strejlau (1940) w tym samym mniej więcej czasie przechodzi ze stołecznego AZS AWF do Gwardii.

Ich kariery zostaną przerwane przez kontuzje. Gmoch w 1968 r. kończy po kilku minutach grę w nieoficjalnym meczu kadry z pogruchotaną nogą. Strejlau żegna się z marzeniami o wielkiej piłce, zanim sprawdzi, czy się do niej nadaje. Rozgrywa jedynie półtora meczu w prowadzonej przez młodego Kazimierza Górskiego pierwszoligowej Gwardii, gdy ponownie odzywa się choroba kręgosłupa.

Gdy pytam Chromika, a także Stefana Szczepłka, innego z wąskiego grona dziennikarzy pamiętających lata 70. (i dobrego znajomego trenerów), jaki jest sportowy bilans Gmocha i Strejlaua, odpowiadają: nieporównywalny, na korzyść pierwszego. Ale dodają: młody piłkarz Gwardii świetnie rokował.

Szczepłek: – Gdyby w tamtych czasach stanęli naprzeciw siebie i zagrali jeden na jeden, wynik nie byłby pewny. Gdy kadra, ze Strejlauem już jako asystentem Górskiego, trenowała przed mistrzostwami w 1974 r., i przyłączył się on do ćwiczeń piłkarzy, bo brakowało jednej osoby, zagraniczni dziennikarze wpadali w popłoch: „Co to za zawodnik, my go w ogóle nie mamy na liście!". Techniczny brylant.

Mimo że Gmoch może pochwalić się porządnym piłkarskim CV, obiegowa ocena tego dorobku nigdy jego samego nie zadowalała. Gdy Interpress wydał przed mistrzostwami świata w 1978 r. folder z syl-

wetkami piłkarzy i członków sztabu, a o Gmochu napisano, że „nie był wielkim talentem", uznał ocenę za krzywdzącą.

– W ogóle nie wolno było nam pisać źle o trenerze i reprezentacji. Cały pierwszy nakład folderu poszedł na przemiał! – wspomina ze śmiechem Szczepłek. A sam Gmoch, pytany o to w książce, nie wypiera się interwencji („To był paszkwil! (...) Jak można w taki sposób mówić o trenerze kadry narodowej?!").

Szczepłek przytacza jeszcze inną anegdotę: – Jako młody dziennikarz napisałem w „Piłce Nożnej" tekst o Ryszardzie Szymczaku, mistrzu olimpijskim z 1972 r. A że zarówno on, jak ówczesny współpracownik Górskiego byli ze Znicza Pruszków, wymyśliłem tytuł: „Klub Szymczaka i Gmocha". Pojawiam się w PZPN, a Jacek wypala: „Dlaczego »Szymczaka i Gmocha«, a nie odwrotnie?! Jak ja grałem w Zniczu, Szymczak ganiał za orkiestrą w majtkach!".

Pasja

Naprawdę nie trzeba się wysilać, by odnaleźć punkty styczne.

– Widział pan kiedyś trenera Strejlaua na żywo? – pyta Jerzy Chromik. – Andrzej jest jeszcze szybszy w ruchach, gestykulacji niż Gmoch. Obaj byliby w stanie przewrócić stojącą przed panem szklankę. I to niekoniecznie w fazie sporu.

– A w fazie sporu? – pytam Chromika.

– Mogliby sobie skoczyć do gardeł.

To jeden z zabawniejszych wątków książki „On, Strejlau", w której Chromik próbuje wyjść poza futbol. Gdy pyta swojego rozmówcę o jedno z łotewskich miast, nawiązując do rodzinnych korzeni Strejlaua, ten odpowiada: „Nie byłem, bo nie grałem z Łotwą na wyjeździe, tylko w Iławie. Było 1:0 po golu Mielcarskiego".

O pasję, która zawłaszcza inne sfery życia, pytam też Gmocha: – Mój dzień zaczyna się od przeglądania sieci: Facebook, Twitter, portale. Oczywiście pod kątem piłki – przyznaje.

– W książce powiedział pan, że dla piłki byłby skłonny zrobić wszystko, poza morderstwem – przypominam.

– Trochę mnie sprowokowali – śmieje się Gmoch. – Ale na pewno zrobiłbym wiele.

W książce uznał śmierć na ławce trenerskiej za najpiękniejszy wariant końca. Ośmielony tą opinią, pytam Gmocha o jego wizję śmierci idealnej: – Polska gra finał mistrzostw świata, ja na ławce – odpowiada. – Jest 0:0, ostatnie minuty, sędzia dyktuje karnego. A my go wykorzystujemy.

KWADRANS II: prekursor kontra warsztatowiec

Główna myśl oświadczenia trenera Gmocha dotycząca trenera Strejlaua brzmi następująco: „Między nami nie ma konfliktu. Są tylko dwie kwestie do wyjaśnienia".

Kwestia pierwsza dotyczy uczestnictwa Strejlaua w igrzyskach z 1972 r.: – Stwierdził kiedyś, że był wówczas asystentem Kazimierza Górskiego. Nie był, i powinien to sprostować – uważa Jacek Gmoch.

Chromik: – Andrzej nie uważa, że był oficjalnym asystentem, ale że został wysłany jako obserwator. Zbierał informacje, analizował, a odpowiedź na pytanie, czy to się przyczyniło do sukcesu reprezentacji, jest jak wiele elementów ich sporu nierozstrzygalna.

Kwestia druga: – Strejlau znalazł się na tzw. liście Wildsteina. Wiem, że to niczego nie rozstrzyga, ale każdy może poprosić w IPN-ie o swoją teczkę, a następnie ją upublicznić – mówi Gmoch.

„Gmoch twierdzi, że ma status pokrzywdzonego, a ty nie wiadomo jaki..." – zagaja w rozmowie ze Strejlauem Chromik. „Pokrzywdzonego przez PRL i przewodnią siłę narodu? Taki pokrzywdzony, że po rezygnacji Kazimierza Górskiego powierzono mu reprezentację Polski w 1976 r.? Na ładne oczy?" – ripostuje Strejlau.

Główna odsłona ich rozgrywki odbywa się jednak wokół murawy w latach 70. Dekadzie szczególnej: na przestrzeni ledwie sześciu lat polska piłka zdobyła olimpijskie złoto, trzecie miejsce na mistrzostwach świata w RFN, srebro na kolejnych igrzyskach. Na mundial w Argentynie jechała jako jeden z faworytów.

Do większości tych sukcesów przyczyniają się obaj, zaciekle przy tym rywalizując: – Autokar wiezie reprezentację na jeden z meczów kontrolnych, Gmoch i Strejlau po bokach, zaczynają ożywioną rozmowę przechodzącą w ostry spór, Górski w środku – przytacza zdarzenie z lat 70. Jerzy Chromik. – Gdy dwaj „synkowie" się kłócą, „tata" się nie wtrąca. Przeciwnie: zaciera ręce.

– Kariera trenerska Gmocha, mimo że studiował na politechnice, była przedłużeniem tej piłkarskiej – mówi Szczepłek. – Strejlau uczył się fachu na AWF. W latach 70. istniał wyraźny konflikt między trenerami, którzy wcześniej byli graczami, a tymi, którzy karier piłkarskich nie zrobili, za to mieli solidne przygotowanie teoretyczne. Jedni drugich nie znosili.

– Strejlau był warsztatowcem, a Gmoch musiał się mocno postarać, by zdobyć papiery trenerskie – dodaje Chromik. – I znalazł niszę: prowadzenie banku informacji o rywalach. Robił to dobrze, nikt tego nie kwestionuje.

→

JAN ROZMARYNOWSKI / FORUM

↦ Warto pokazać kontekst. Piłka lat 70. i ta dzisiejsza to niemal dwie dyscypliny: tamta była wolna od dyktatu technologii i statystyk. Młody inżynier próbujący wprowadzić do niej uporządkowany system analizy musiał się jawić jako ekscentryk. Gmoch stosuje nawet elementy białego wywiadu. Sprowadza gazety sportowe ze świata, by na ich podstawie budować profil przeciwników: – Raz dałem na bramę uniwersytetu ogłoszenie, że potrzebuję językowców do tłumaczenia – opowiada. – Efekt? Do biura ustawiły się kolejki, a koledzy przez kilka dni mnie przeklinali, bo nie dało się pracować!

Pamięć

Po co im właściwie miejsce na księgarskich półkach w sąsiedztwie kleconych *ad hoc* biografii-hagiografii 30-letnich piłkarzy?

– Jak człowiek patrzy na życie z perspektywy 80 lat, to emocje są już mniejsze i łatwiej o dystans – mówi Gmoch. – Zgodziłem się na książkę, bo nazwisko jest ważne: żeby pozostało czyste, i żeby rodzina, wnuki, przyjaciele mieli się czym chwalić – przyznaje.

Andrzej Strejlau swoje motywy definiuje podobnie: chciał domknąć własną historię.

– Menedżerowie własnych nazwisk – mówi o obu Jerzy Chromik.

Jeśli tak, to wystarczająco rozumni, by jako partnerów do rozmowy nie dobrać bezkrytycznych chwalców: tak Chromik, jak i Bartosiak z Klinkem porywają się na pytania niewygodne. Pierwszy na zastrzeżenia Strejlaua, że nie chce rozmawiać o Gmochu, wypala: „Musisz". Skłania go też do wyznań dotyczących kosztów piłkarskiej kariery („Jestem pełen win, ale na fotografiach rodzinnych udaję, że nic się nie stało. Mówię *cheese* i wszyscy się uśmiechają").

Ale i Gmocha – mającego w środowisku opinię człowieka odpornego na pokusę samokrytyki – udaje się zmusić do wyznań zaskakujących.

– Przyznaje pan w książce, że był konformistą – zauważam.

– A nawet dodaję, że oportunistą też! Zapisałem się przecież do partii.

– Wszystko, by zostać selekcjonerem?

– Żyliśmy w pewnych uwarunkowaniach. W swoim najlepszym wieku chciałem się zrealizować. Jak miałem to zrobić? Uciec za granicę? Proszę też pamiętać, że wcześnie, bo w wieku 21 lat, założyłem rodzinę. Nie mogłem działać sam. Choć muszę dodać: władza mnie potrzebowała, bo stworzyliśmy całą koncepcję poprawy polskiej piłki. Mój tata zostawił mi dewizę: jak będziesz umiał, to będziesz potrzebny. Byłem potrzebny.

W latach 70. istniał konflikt między trenerami, którzy wcześniej byli graczami, a tymi, którzy karier piłkarskich nie zrobili, za to mieli solidne przygotowanie teoretyczne. Jedni drugich nie znosili.

Do samokrytyki sportowej trenera namówić jednak trudno: – Wie pan, dlaczego nie ma związku zawodowego trenerów? Bo każdy z nas uważa, że jest najlepszy na świecie – mówi autor „Najlepszego trenera na świecie".

KWADRANS III: selekcjoner i asystent

Rok 1976: gdy z reprezentacją żegna się Kazimierz Górski, wśród kandydatów do schedy po nim są Gmoch i Strejlau.

– Byli jak dwaj kawalerowie walczący o pannę – mówi Jerzy Chromik.

Pada na Gmocha. Dziś to kolejny punkt zapalny. Wedle Strejlaua Gmoch zostać selekcjonerem nie tylko chciał, ale też „robił wszystko, aby być następcą Kazia. Nie zaniedbał żadnego szczegółu. I partia się do niego uśmiechnęła". Gmoch sugeruje, że Strejlau dostał przed nim propozycję, ale i on, i inni kandydaci bali się ryzyka.

A jednak Gmoch zabiera Strejlaua na mundial do Argentyny – jako swojego asystenta. Tyle że starania obu wielkiego efektu nie przynoszą: Polska odpada w ćwierćfinałach, a sam selekcjoner dorabia się reputacji antytezy pojednawczego Górskiego.

– Atmosfera była tak fatalna, że nie wspominam tamtego czasu miło – mówi mi Włodzimierz Lubański. – Wiele było nieporozumień niezależnych od trenera, ale też zespół nie był pod kontrolą, za co odpowiada przecież szkoleniowiec.

Zadra

– Powstało przekonanie, które przeniosło się potem na kolejne pokolenia, że myśmy do Argentyny jechali po sukces. Wie pan, w Grecji jest takie powiedzenie: nie ma co się bić ze skałą. W kółko się powtarza, że miałem lepszą drużynę od Kazimierza Górskiego, a nic nie zrobiłem. Piąte miejsce w Argentynie było sukcesem. Miałem tych samych co Górski piłkarzy, tyle że starszych. Choć obok starych wyg miałem też młode wilczki, dzięki czemu mogłem wprowadzić element rywalizacji – mówi Gmoch.

– Oczekiwanie złota było uzasadnione. To Gmoch swoimi decyzjami, skłóceniem ludzi, doprowadził do takiego, a nie innego końca. W przegranym meczu z Brazylią zdecydował się na przedziwną taktykę, z Lubańskim na ławce rezerwowych. Z drugiej strony przekonuje mnie argument Gmocha, że innego decydującego meczu, z Argentyną, nikt by nie wygrał – ocenia Szczepłek, nawiązując do sędziego faworyzującego w tamtej potyczce gospodarzy.

Strejlau swoją szansę na sukces z reprezentacją dostanie w 1989 r. Ale nie zakwalifikuje się do żadnej mistrzowskiej imprezy. Szczepłek: – Jako trener był wyjątkowy, choć ironia polega na tym, że niewiele osiągnął. Pamiętajmy jednak: rok 1989 był czasem przełomu – piłkarze zaczęli wyjeżdżać za granicę, mieli już inną skalę wartości.

KWADRANS IV I V: banita kontra wzór

Zanim Strejlau dostanie swoją szansę, trwają lata 80., które znowu w zaskakujący sposób łączą trenerów. Obaj podążają drogą wyznaczoną przez Górskiego – lądują w Grecji. Gmoch jako pierwszy, jego niedawny asystent pięć lat później.

Strejlau zostanie jednak na obczyźnie tylko nieco ponad dwa lata, by w 1987 r. trafić na ławkę trenerską Legii (z tego okresu pochodzą dwa z nielicznych jego sukcesów: puchar Grecji i Polski), a następnie reprezentacji.

Gmoch popracuje w greckich i cypryjskich klubach ponad 20 lat. W Polsce w tym czasie jest banitą: wyjechał w cieniu podejrzeń o udział w zdefraudowaniu w 1978 r. przeznaczonych dla piłkarzy pieniędzy (jak tłumaczy, przejęła je związkowa centrala). W Grecji dorabia się reputacji trenerskiego geniusza.

Strejlau tymczasem kończy przygodę z reprezentacją, później grzęźnie w polskiej, ligowej rzeczywistości, by karierę zwieńczyć kontraktem w lidze chińskiej.

Ale dożywotni tytuł do chwały da mu coś innego: gdy w polskiej lidze zaczynają wychodzić na jaw korupcyjne szwindle na przemysłową skalę, okazuje się, że on – jako jeden z niewielu – nie splamił się nigdy kupczeniem meczami.

Szczepłek: – Andrzej do dziś, zasłużenie, uchodzi za jedną z niewielu postaci w polskiej piłce absolutnie kryształowych.

Wstrząs

– Pamięta pan, jak w książce odpowiada na pytanie, co głównie zawdzięcza Kazimierzowi Górskiemu? – pytam Jacka Gmocha.

– Oczywiście: konformizm – odpowiada bez wahania. – Ale konformizm w dobrym tego słowa znaczeniu! Chodzi mi o umiejętność dostosowania się do ludzi, wyczucia ich. O samokontrolę, emocjonalną inteligencję, i wyniesioną z czasów wojny umiejętność przeżycia. Pan Kazimierz był człowiekiem zgody. *Good guy*.

Przyznać wypada: dziś i tak waży słowa. W 2010 r. udzielił wywiadu „Przeglądowi Sportowemu": „Prawda jest taka, że to ja razem z matematykiem i informatykiem stworzyłem (...) koncepcję rozwoju polskiej piłki i to jej zawdzięczamy wszystkie sukcesy w latach 1972-86. To ja naprawdę byłem drugim trenerem w 1974 r., bo ten formalnie drugi był tylko fasadą" – mówił, wywołując wstrząs, a w relacjach ze Strejlauem ostateczny krach. „Chamstwo, tupet, bezczelność i zakłamanie pana Gmocha osiągnęły pułap, wobec którego musimy zareagować tak ostro, jak nigdy wcześniej" – napisało w odpowiedzi dziesięciu piłkarzy Orłów Górskiego. Gdy proszę jednego z nich, Lubańskiego, o komentarz, mówi krótko: – Podpisałem się pod listem i tego nie żałuję. Powiem tylko jedno: sukcesy lat 70. zawdzięczamy Kazimierzowi Górskiemu.

KWADRANS VI: strzałki kontra tweety

W ostatniej dekadzie los znów ich kojarzy, jakby mieli w ten sposób pokutować za wzajemne przewiny: obu do komentowania wydarzeń piłkarskich zaprzęgają stacje telewizyjne. I obaj wnoszą do nich niedający się skopiować koloryt.

Gmoch – poza fachowością – charyzmę, humor i językowe ekscesy („Pan Ładny to niech sobie chodzi po wybiegach, a nie gra w piłkę"). No i kłębowisko nie do końca dla przeciętnego kibica zrozumiałych strzałek, rysowanych na ekranie, dzięki którym dorobił się internetowych memów oraz parodii.

Strejlau: analityczny chłód w czasach, gdy piłkarski komentarz zsuwa się do poziomu emocji i plotki. Choć sławy na podobieństwo Gmochowych strzałek przysparza Strejlauowi... Twitter, do którego przekonał go współautor książki i którym trener posługuje się z szybkością równą jego gestykulacji.

DOGRYWKA

Jeśli ich sześć „kwadransów" uznać za mecz, książki można wziąć za dogrywkę. Choć bilansu ludzi, którzy tak wiele przeżyli, nie da się sprowadzić do cyferek ze stadionowej tablicy świetlnej (oczywiście Gmoch osiągnął jako trener znacznie więcej). Jeśli już, to do wysokiego bramkowego remisu, na który zresztą żaden z nich by się nie zgodził. Może i dobrze: choć razem skończą wkrótce 160 lat, nie wyglądają, jakby mieli zaraz zejść z boiska.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

Działalność przyziemna

ANNA GOC

Gdy zabrakło im pieniędzy, by zapłacić za transport leków, wprowadziły Nową Ekonomiczeską Politikę. Tymczasowo.

Spotykamy się na schodach do piwnicy.

– To taka nasza działalność przyziemna – mówi Bogdana Pilichowska-Ragno.

Środowy wieczór. W piwnicy kilkanaście kobiet zajmuje się swoją zwykłą środową robotą.

Przy wejściu podnoszona z jednej strony lada. W przyziemiu naprzeciw lady trzy biurka, kilka półek (do niedawna kuchennych), szafa (do niedawna parafialna). W rogu lodówka należąca wcześniej do Kazimierza Fugla, bez wnętrza, drzwi i elektryki, za to z kilkoma szufladami. Sejf.

1.

Bogdana Pilichowska-Ragno zapala papierosa: – Chodź, pokażę ci aptekę.

Za każdą półkę odpowiada jedna osoba. Zdarza się, że za więcej półek. Rzadziej: kilka osób za jedną półkę. To gwarantuje porządek.

Za fazę przedpółkową – Roman Soja, profesor, hydrogeograf, emerytowany, wciąż wykładający. To on zarządza segregacją transportów leków.

Półka 1: tzw. leki na brzuch – Maria Trafas i Urszula Knapczyk-Ślusarczyk, geodetki, oraz Maria Gruszka, mikrobiolog.

Półka 2: leki przeciwbólowe – Lilianna Konkiel, matematyczka.

Półka 3: leki na cukrzycę i sklerozę – Krystyna Malcharek, filolog angielska, tłumaczka, odpowiedzialna za korespondencję z Holendrami, którzy przysyłają leki.

Jedna z pań: – Przyszło dużo plastrów. Może część wyślemy na Ukrainę?

Bogdana Pilichowska-Ragno: – Kochanie, Ukraina jest już cała oplastrowana.

– A te strzykawki?

– Dajmy albertynkom.

Półka 4: krążenie – Krystyna Rudawska, geolog i Maria Kamińska, prowadzące zespół charytatywny przy parafii św. Jana Kantego.

Półka 5: leki psychiatryczne i na drogi oddechowe – Maria Majcher, chemiczka, skarbnik apteki.

Półka 6: witaminy i minerały – Maria Nowińska, lekarka.

Półka 7: leki urologiczne – Ewa Kubasiewicz, mikrobiolog.

Półka 8: pampersy, większe opatrunki – Zofia Satalecka, architekt.

W korytarzu Łucja Dzięgielewska, mikrobiolog, czuwa nad lekami i sprzętem dla Małopolskiego Hospicjum dla Dzieci.

I farmaceutki: Wanda Gajewicz, Marianna Anioł, Agnieszka Sitek, Ewa Ciszewska.

Większość pań to emerytki. Na jednej z tablic, nad stołem, przy którym w środę o 18.00 zaczyna się wspólne picie herbaty, kartka: „Nie rozmawiamy o polityce". – Nie zawsze się udaje. Ostatnio do szału pokłóciłyśmy się o kornika z Białowieży – mówi Bogdana Pilichowska-Ragno.

Na ścianie przy wejściu zdjęcie ks. Józefa Tischnera, który podarował aptece zysk ze swojej ostatniej książki, „Pomoc w rachunku sumienia".

Dalej pokój nr 18 Teresy Podoskiej, przez pół wieku pracującej w Wydawnictwie Literackim. Tam leki rzadkie – trudno dostępne w transportach i drogie.

Pokój nr 19, niewielki, wąski. Z regałem pełnym teczek: – Archiwizujemy listy od osób z północno-wschodniej Polski (Suwałki, okolice Sejn), którym wysyłamy leki. Najgrubsze teczki są sprzed kilkunastu lat. W nich także listy, notatki, ksera recept.

W przedpokoju kompletowanie wysyłek. Adresaci: Dzieło Pomocy o. Pio, siostry albertynki z Wadowic, s. Małgorzata Chmielewska, Towarzystwo Walki z Kalectwem.

W niewielkich składzikach – ubrania przygotowane do wysłania na Ukrainę, głównie do Kijowa, oraz książki, do Odessy. Tylko na Ukrainę w ostatnich trzech latach pojechało ponad 40 transportów. Ale wysyłano je też do Gruzji (za pośrednictwem cystersa o. Maksymiliana), do Kamerunu (pomogła lekarka, dominikanka s. Józefina), do Rwandy.

Zasady wydawania leków nie zmieniły się od 2 lipca 1990 r., kiedy zaczęła funkcjonować apteka darów na osiedlu Widok w Krakowie: wydaje się je tylko na recepty.

Wciąż przyjeżdżają transporty z Francji, Włoch i Holandii. Ostatni kosztował aptekę 3 tysiące złotych. Wyłożyła jedna z wolontariuszek. By jej oddać, wprowadzono Nową Ekonomiczeską Politikę: – Wysyłając leki stowarzyszeniom, prosimy, by za każdy zapłaciły nam 4 zł. Powoli wychodzimy z długu – mówi Bogdana Pilichowska-Ragno. – A gdybyś chciała pomówić o początkach apteki, sporo materiałów mam w domu.

2.

Kilka dni później.

Usiadłyśmy w salonie. Trzy kocice zainteresowały się nami nie od razu.

– To wszystko zaczęło się od zbiegu okoliczności – mówi pani Bogdana. – Był rok

GRAŻYNA MAKARA

Bogdana Pilichowska-Ragno i współpracowniczki w Aptekce Darów na osiedlu Widok, grudzień 2018 r.

1962. Jako studentka drugiego roku etnografii chodziłam od wsi do wsi na Spiszu i zbierałam materiał do badań. Spotkaliśmy się między polami żyta i kartofli. Oni – para Francuzów, rodzeństwo. Zgubili się. Na szczęście dziewczyna – Geneviève Raphanel, znała niemiecki, dogadałyśmy się. Dwadzieścia lat później, tuż po wybuchu stanu wojennego, zapukał do mojego mieszkania jej mąż – André Rochedy. Pracowali w Lyonie, w parafii, przy której zorganizowano punkt pomocy dla Polski.

Na stół wskakuje czarna kocica. Nie strąca filiżanek z kawą, omija migdałowe ciastka z opłatkiem na spodzie, z Prowansji.

– Ma oczy czarownicy, prawda?

3.

Bogdana Pilichowska-Ragno: – Do tej samej parafii w Lyonie trafił człowiek, któremu właśnie zmarł ojciec. Proboszcz opowiedział mu o swoim kłopocie: nie ma czym posłać do Polski transportu humanitarnego. „Mam tylko samochód do przewożenia koni, ale nim służę" – odpowiedział. I tak w 1984 r. Alain Michel przyjechał po raz pierwszy do Polski swoim końskim autem. Od moich przyjaciół dostał mój adres. Zaczęła się przyjaźń i współpraca, które trwają do dziś.

O jej mieszkaniu mówiono: wjeżdżając nocą do Krakowa, zobaczycie zapalone światło, to będzie tam. Przyjeżdżali głównie młodzi, nierzadko wychodzący z nałogów, głównie narkotykowego. Bo Alain Michel miał zacięcie pedagogiczne.

Pilichowska-Ragno: – Służyłam za gębę, miałam rozpoznawać potrzeby we wszystkich ośrodkach, które korzystały z pomocy, być z nimi w kontakcie, towarzyszyć im w punktach rozdziału transportów. Setka albo i dwie Francuzów przewinęło się przez nasze mieszkanie na początku lat 80. A z nimi dziennikarze, m.in. z „Le Monde", udający dentystów.

Wyobraź sobie: ja, mój mąż, nasz syn, kilkanaście, a czasem i ponad dwadzieścia kotów, 45 metrów kwadratowych, paczki – głównie z transportów prywatnych, zaopatrzenie dla mniejszych szpitali. No i co najmniej kilku Francuzów. Pomagali sąsiedzi, zabierając ich „na nocnik" – jak się mówiło po góralsku. Trzeba było ich wykarmić, a niczego nie było w sklepach. Robiłam knedle, codziennie po sto sztuk.

Odwdzięczali się. Wiedzieli, że jadąc do mnie muszą przywieźć papier toaletowy, bo w Polsce go nie ma, i puszkę, bo puszki zbieram.

BOGDANA PILICHOWSKA-RAGNO
(ur. 1944) jest etnologiem, działaczką społeczną. Jej mężem był Jan Bujak, etnolog. W 1989 r. zaangażowana w prace Komitetu Obywatelskiego Solidarność, współzałożycielka Fundacji EquiLibre. Od 1990 r. prowadzi Aptekę Darów na krakowskim osiedlu Widok. Jedna z założycielek i prezeska Stowarzyszenia Pomocy Obywatelskiej im. Anny Fiszerowej. Przez 18 lat współpracowała z Fundacją Kyoto-Kraków, prowadząc Archiwum Andrzeja Wajdy. Za swoją działalność uhonorowana Nagrodą im. księdza Józefa Tischnera (2002), odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011).

4.

Papieros na drogę i ruszamy zwiedzać mieszkanie.

– Tu portret matki mojego męża, namalowany przez Witkacego. Aniołek uratowany z ogniska, które w Mucharzu próbował rozpalić kościelny. Tak kończą stare i uświęcone rzeczy. Z tego samego ogniska – lichtarz do grubych świec. Ale on musiał już przejść przez jedno ognisko, być może pochodzi ze spalonego kościoła.

– A to zdjęcie?

– To moi rodzice. Obok dwa nasze ukochane psy: Milka, którą dostałam w prezencie na chrzciny, i jej syn Urwis. Zdjęcie zrobiłam siedząc na dębie. A tu, na tym maleńkim, ja. Zrobił je ojciec z dołu.

– Wysoka ta gałąź.

– Wdrapywałam się tam z książkami. Zdjęcie powiększył mój syn, Tomasz, fotografik.

– A ta półka pod zegarem?

– Zegar pochodzi z domu moich rodziców. Ojciec był zegarmistrzem. Na półce: wyratowana z ogniska kadzielnica, zobacz, jaka stara. Fragment kielicha bez nóżki. A to jedna z moich najpiękniejszych puszeczek: w formie książki.

– Przywieziona z Francji?

– Najprawdopodobniej. Mam przyjaciela, Rosjanina, artystę-mima. Pomagał nam odgrywając św. Mikołaja, gdy zawoziliśmy paczki dzieciom chorym na ↦

↦ mukowiscydozę. Gdy wyjeżdżał za granicę, spytał, co chciałabym dostać. „Mikołaju, wiesz, puszkę". „Aha – powiedział Mikołaj. – A jaką puszkę?" „Może być mała". „Aha" – powiedział znów Mikołaj i miał coraz większe oczy. Dopiero potem się zorientowałam, że „puszka" po rosyjsku znaczy „armata".

W samej tylko kuchni jest ich z dwieście.

– A te chyba londyńskie?

– Posyłała mi je pewna Angielka, którą spotkałam w stanie wojennym w sklepie, kompletnie zagubioną, usiłującą kupić cukier. Zgarnęłam dziewczynę do domu, tak zaczęła się nasza przyjaźń i wieloletnia korespondencja. Spójrz, te są najmniejsze. A ta puszeczka należała jeszcze do mojego ojca. Tu kolekcja bożonarodzeniowa. Tę lubię najbardziej: św. Józef robi zabawki, aniołek zagląda przez okna.

– Zapisała pani ich historie?

– Kiedyś próbowałam skatalogować wszystkie puszki. Ale pracując przez wiele lat jako archiwistka, w domu odpuszczam. Wszystko zostawiam. To mnie zgubiło. A te drewniane ptaki są jeszcze z domu moich rodziców. Bardzo je sobie cenię. A tę Cygankę na szkle namalował rabczański szewc. Był szewcem, ale najbardziej kochał być artystą. I jeszcze jedno muszę ci pokazać: moje książki, staruszeczki. Spójrz: 1868 rok, dostałam je od przyjaciółki, urodzonej jeszcze w XIX w., Zofii Sutorowskiej.

Na koniec: tu jedzą moje kocice. Woda w kryształowych miseczkach, żeby nie było. W każdej kamyki i muszle, które przywoziłam ze świata. Uwielbiają je.

5.

– Tak, wiem, powinnyśmy wrócić do *ad rem* – mówi Bogdana Pilichowska-Ragno.

Rozmawiamy o Francuzach. Spuszczali powietrze z opon, gdy utknęli pod mostem w Polsce; dolewali denaturatu do zbiornika z paliwem, gdy przyszły wielkie mrozy; spali pod samochodami, gdy zimą zatrzymano ich na przejściu granicznym (najdłuższy postój trwał dwa dni); wypili niejedną butelkę leku, bo celnicy żądali, by spróbowali.

Największe transporty – 25 ton. Poza zaopatrzeniem chorych i szpitali udawało się też pomóc m.in. Kołu Przyjaciół Dzieci z Celiakią czy Towarzystwu do Walki z Mukowiscydozą. Transportowano leki, odżywki bezglutenowe, mleko w proszku.

– Francuzi przygotowując transporty nie przebierali, pakowali wszystko, także zabawki. Jako etnograf znam się na zabawkach, więc przy pierwszej segregacji wysyłałam te, które wydawały mi się cenne, do kieleckiego Muzeum Zabawkarstwa. A pracownicy muzeum odpłacali się kupując zabawki dla dzieci chorych na mukowiscydozę. Tak zaczęła się nasza tradycja mikołajkowa – mówi Bogdana Pilichowska-Ragno.

Z tamtego czasu jest też segregator. A w nim listy: „Kochana Bogienko", „Droga Pani Bogno", „Pani Bogusiu", „Bogdziu", „Bogdo". Wykazy leków (przy niektórych informacje o dawkach, krzyżyki i minusy, nazwiska i daty, nazwy miejscowości i informacje o dawkowaniu). Podziękowania.

6.

Równolegle zaczyna działać wymiana polsko-francuska.

Bogdana Pilichowska-Ragno: – Mam jeszcze listy gości, z dopisanymi polskimi gospodarzami. Autokar z 40 osobami oznaczał wykonanie stu telefonów. A myśmy nie mieli telefonu. Dzwoniono więc do naszej sąsiadki z góry, Barbary Mękarskiej, orientalistki, która waliła wtedy moździerzowym tłuczkiem w sufit...

Coś ci jeszcze pokażę (*podchodzi do regału, wyjmuje kilka albumów*). To jest tylko część. Boże Narodzenie 1984, a tu 1985. I jeszcze Wielkanoc. Od samego początku zajęłam się kolportażem gazetek, a także wszystkim, co produkowała Solidarność. Były więc znaczki pocztowe, kartki świąteczne, zdjęcia, książki.

Jest rok 1984. Jednego dnia przyjechali do mnie kolporterzy z Kielc i z Podkarpacia. W domu zrobił się mały kociokwik, a że to był czas, kiedy wódka była na kartki, każdy honorowo w gości przychodził z butelką. Po jakimś czasie w domu było 15 osób, cudowny nastrój, wszyscy wymieniali się tym, czym handlowali. I wtedy sobie przypomniałam: Jezus Maria, za godzinę mamy kolędę. A tu dom hula, jak chce. Więc mówię: „Albo się zgodzicie, że was zamknę w pokoju i morda w kubeł, albo już teraz się wynosicie". Parę osób wyszło, reszta powiedziała, że będzie morda w kubeł. Męża zamknęłam w kuchni z kilkunastoma kotami. A ja próbowałam wywołać świąteczny nastrój przy pomocy obrusa i świeczek. To była pierwsza wizyta duszpasterska naszego proboszcza!

Ksiądz się modli i nagle słyszę ponure skrzypnięcie drzwi kuchennych. Zamarłam. Wszedł pierwszy kot. Proboszcz: „O, macie państwo kota". Ja: „Tak, mamy". Proboszcz: „O, dwa koty".

I tak poszło. Każdy kot ciekawy, kto tu stoi, czy się da na niego wskoczyć, czy można się zaczepić pazurami. A na końcu tego sznura kotów szedł mój mąż, który się poczuł – to był góral – obrażony: co go będzie baba zamykała w kuchni, jak on tu jest gospodarz.

7.

W 1989 r. Bogdana Pilichowska-Ragno z Alainem Michelem, Janiną Ochojską i prof. Zbigniewem Chłapem rejestrują polską Fundację EquiLibre. W 1990 r. ze wsparciem osiedlowego Komitetu Obywatelskiego Solidarność powstaje Apteka Darów. Później Stowarzyszenie Pomocy Obywatelskiej im. Anny Fiszerowej, którego Bogdana Pilichowska-Ragno jest prezeską.

– Komitet obywatelski bardzo się włączył, a Zarząd Budynków Komunalnych wynajął pomieszczenie, w którym jesteśmy do dziś – przyziemie przychodni na osiedlu Widok. W czasach największych kolejek na dyżurze realizowano ponad pół tysiąca recept.

– Został ktoś z tamtego czasu?

– Parę osób na krzyż. Ale zaraz. Tak się nawet zastanawiam, czy ta na krzyż to nie jestem ja.

8.

Palimy niebieskie winstony.

– Mocne.

– Dziecko, to są lighty. Coś ci muszę opowiedzieć. Była taka zima. Piękna. Słońce, śnieg skrzypiał pod butami. Szłam z papierosem w zębach wzdłuż Wisły. Z naprzeciwka wlókł się mężczyzna. Widać było, że postawił jedną nogę, to trzeba i drugą.

„Ja panią przepraszam, dałaby mi pani papierosa?" Wyciągam całą paczkę. „Proszę wziąć, ile panu trzeba". Wziął kilka. Odszedł. Zawrócił. „Ja pani coś powiem, bo ja szedłem się powiesić. Ale już tego nie zrobię".

Do tej pory kiedy to opowiadam, to się wzruszam. Ale nikt mi już nie powie, że palenie tylko zabija. ©℗ ANNA GOC

Aptekę Darów można wesprzeć wpłacając pieniądze na konto Stowarzyszenia Pomocy Obywatelskiej im. Anny Fiszerowej. Numer konta: 58 2130 0004 2001 0549 3002 0001, Volkswagen Bank direct.

ANNA

Dziewit-Meller: *Historia wody*

Nie jest tak, że mamy oficjalny zakaz pisania o polityce na święta, ale w gruncie rzeczy taki zakaz chyba nie jest potrzebny – jestem przekonana, że większość z nas w tym momencie roku odczuwa już zmęczenie jatką i potrzebę wewnętrznej ucieczki od programu publicystycznego, jakim jest życie w Polsce w 2018 roku. Ja na pewno. W serialu „The Crown" książę Filip, w czasie wyczerpującej, trwającej ponad pół roku oficjalnej podróży królewskiej pary po krajach Commonwealthu, mówi w końcu swej żonie, młodej królowej Elżbiecie: „Do diabła! Obudziłem się dziś w nocy z uniesioną ręką, wiesz dlaczego? Bo przez sen machałem do pozdrawiających nas tłumów". Otóż w grudniu bywam Filipem i mam dość.

Dlatego też pozwolę sobie w numerze świątecznym zająć się sprawą ulotną, niemającą wielkiego znaczenia dla większości ludzi, a także mogącą uchodzić za zbyteczną oraz zapewne zbytkowną. A wszystko z powodu Iwony Chmielewskiej, z którą mój wywiad o menstruacji i książce „Królestwo dziewczynki" mogli państwo przeczytać w „Tygodniku" w ubiegłym tygodniu (wywiad do czytania także na powszech.net/krolestwo-dziewczynki).

Szykując się do naszej rozmowy przeczytałam pośród wielu innych rzeczy wywiad z Iwoną zamieszczony w książce Agaty Napiórskiej „Jak oni pracują". Mówiła w nim między innymi o tym, że gdy pracuje nad książkami, lubi czuć na nadgarstku zapach perfum. Okazuje się bowiem, że jest maniaczką perfumiarstwa. Ja zaś za każdym razem gdy słyszę takie (nieśmiałe zazwyczaj) wyznanie, czuję podejrzaną radość i ekscytację, i od razu mam ochotę tę osobę poznać i równie nieśmiało powiedzieć: ja też!

Są bowiem wokół was, szanowni państwo, dziwni ludzie, którzy – często ukrywając to nieco przed światem – zmieniają swoje domy w kolekcje odlewek, małych fiolek, blisterków nasączanych wietrzejącą wonią, okazyjnych zakupów, prezentów robionych sobie samym.

Tak jak ja i Iwona. Nasza rozmowa rozpoczęła się przecież od oficjalnej wymiany darów – ja z Warszawy do Torunia wiozłam w kieszeni trzy malutkie odlewki perfum, które wydawały mi się dobrym towarzystwem dla takiego jak nasze spotkania, Iwona zaś ze swojej przepastnej szafy wyjęła dla mnie stareńkie miniaturowe buteleczki już nieprodukowanych perfum i wręczyła mi je, tak jak się wręcza szklankę wody spragnionemu. Gdy w ferworze wyjazdu na dworzec zostawiłam u Iwony bardzo ważny notes – w paczce, w której mi go przysłała, znalazłam dwie próbki wody toaletowej nieznanej mi marki, nazywające się „Historia wody", których mandarynkowo-kardamonowy zapach już na zawsze kojarzyć mi się będzie z historią naszej znajomości.

Jest nas zresztą więcej. Rozpoznajemy się w metrze albo pociągu po smudze zapachu snującej się z naszych płaszczy i swetrów. Tak nikt prócz nas nie pachnie. Tylko my jesteśmy gotowi spryskać nadgarstek czymś, co ma w sobie nuty benzyny albo smaru, tylko nas nie drażni mająca kilka dziesiątków lat nuta perfum znalezionych w sklepie wyprzedającym za psi grosz zapasy magazynowe z lat 60.

Miniaturki perfum mających w nazwie jedno z miast w Mali wiozłam kiedyś na spotkanie z inną polską pisarką, która, jak się okazało, od lat wymienia się próbkami z Iwoną Chmielewską, poznaną oczywiście na forum dla miłośników perfum. Ja zaś z Martą – moją serdeczną koleżanką, reżyserką teatralną – prócz poważnych rozmów o sztuce, polityce i dzieciach prowadzimy nieustającą dyskusję na temat promocji, przecen, możliwości zakupu jakichś niechcianych przez nikogo staroci i odlewamy sobie nawzajem próbki naszych ostatnich zdobyczy.

Bo my je zdobywamy jak prawdziwe Diany, przeszukując aukcje internetowe i najniższe półki dziwnych sklepów. Iwona zresztą mówi o nas, że może to jest szaleństwo, owszem, ale w sumie dzięki temu szaleństwu właśnie jesteśmy tymi, co ocalają dzieła sztuki przed zmarnowaniem. Na aukcjach internetowych przecież nieraz kupujemy na wpół opróżnione, ciemniejące od światła, wietrzejące którąś już dekadę buteleczki perfum, pochodzące zapewne z jakichś kolekcji osób zmarłych, wyraźnie staroświeckich i niedzisiejszych, których gust nie do końca odpowiadał potrzebom ich dzieci i wnuków, czyszczących z gratów ich mieszkania.

W tych na pół zużytych butelkach kryją się historie, które chętnie ożywiamy w naszej wyobraźni – myśląc najpierw o tych, którzy dziesiątki lat temu zbierali gdzieś w Grasse płatki róży albo jaśminu, myśląc o deszczu i słońcu, w których rosły te rośliny, o wybitnych „nosach", mieszających ich aromaty w formuły, które stały się ponadczasowe, o tych wreszcie, którzy nosili je na sobie, na nadgarstkach albo za uszami, pod linią włosów, tylko przy wyjątkowych okazjach – na ślubach, na pogrzebach, w kościołach, teatrach, na randkach. W świecie jednorazowych przedmiotów, których na pewno masę znajdziemy pod choinkami, dla nas ulotność perfum okazuje się najlepszym łącznikiem z przeszłością, czasem najtrwalszym śladem, jaki po sobie zostawimy, na nadgarstku kogoś innego. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

#przemocwpracy

Mam tu dziesięciu na twoje miejsce.
Zwiń sobie ten raport w rulon i wsadź w d...
Niczego nie potrafisz zrobić dobrze. Jesteś zerem.

TO NIE SĄ „NORMALNE” ODZYWKI SZEFA.
To przemoc w pracy. To mobbing. To łamanie polskiego prawa.

A JEDNAK W NASZYM KRAJU TO WCIĄŻ CODZIENNOŚĆ.
Dlatego rozpoczęliśmy rozmowę na ten temat. Rozmowę trudną, ale konieczną.

BYLIŚCIE PONIŻENI, ZASTRASZENI, WZGARDZENI PRZEZ PRACODAWCĘ?
Nadal czekamy na Wasze opowieści pod adresem **przemocwpracy@tygodnik.com.pl** (wybrane głosy opublikujemy anonimowo) lub z hashtagiem **#przemocwpracy**.

POKAŻMY OFIAROM, ŻE NIE SĄ SAME.
A sprawcom, że kończy się ich bezkarność, że zachowania, które uchodziły za dopuszczalne, według pracownic i pracowników są już nie do przyjęcia.

Czytaj także na www.tygodnikpowszechny.pl/przemocwpracy

Rzeczpospolita Mobberska

RAFAŁ WOŚ

Po trzech dekadach wolności. Z PKB na głowę pięć razy większym niż w roku 1990. Ze sprawiedliwością społeczną zapisaną w Konstytucji. W ramach NATO i Unii. Ale z relacjami pracy, które do tego wszystkiego wciąż nie dorosły.

Po naszym tekście „Feudalny mamy klimat” sprzed kilku tygodni (oraz internetowym apelu #przemocwpracy) do redakcji „Tygodnika Powszechnego” zaczęły falowo napływać opisy realiów polskiego mobbingu. Jedni chcą to wreszcie z siebie wyrzucić, inni wołają o pomoc. Jeszcze inni piszą, żeby dodać otuchy tym, którzy walczą teraz, jak oni kiedyś. Na podstawie tych listów da się stworzyć coś w rodzaju mapy. Krótkiego przewodnika po Rzeczypospolitej Mobberskiej. Słabo opisanej krainie, w której przyszło nam żyć.

Uczelnie, kościół, sklep

Z listów wynika, że mobbing może być obecny niemal wszędzie – nieważne, czy ustawiasz towary na półkach w dużej sieci dyskontów, czy wykładasz psychologię na szanowanej polskiej uczelni. Nie ma znaczenia, czy pracujesz w sektorze publicznym, czy w prywatnym. Ani czy branża jest schyłkowa, czy jednak na fali.

„»Tylko do worka jak koty i do Wisły« – to słowa dziekana, który lubi nam pokazać, że niczego nie umiemy załatwić” – relacjonuje Patryk. Na tej samej uczelni jeden z profesorów co roku organizuje swoje imieniny, na które jego sekretarka nie jest zapraszana. To znaczy ma obowiązek być, bo ktoś przecież musi posprzątać i zmyć naczynia. Albo renomowane liceum w dużym mieście. Pani dyrektor mówi do grona pedagogicznego tak: „Odnowione łazienki i nowe drzwi do sal, nowe kraniki i nawet miękki papier toaletowy. Wszystko macie. A wy co? Wam się w dupach przewraca od dobrobytu!”.

Celowo zaczynamy od inteligenckich bastionów – w końcu tutaj etos wydaje nam się elementarnym bezpiecznikiem. Chroni przed najgorszymi wykwitami przemocy w pracy. Ale jakoś nie chroni. Nie tylko w szkolnictwie. „W radio diecezjalnym zmuszano pracowników sekretariatu do fałszowania dokumentów, a szef ksiądz był tak agresywny, że zdarzyło mu się tracić równowagę i startować do bicia pracownicy. Wulgaryzmów używał jak przecinków”. Barbara dodaje, że większość czasu w pracy spędzała na załatwianiu prywatnych spraw przełożonego: przepisywaniu materiałów do jego publikacji naukowych, umawianiu wizyt u lekarza, płaceniu rachunków. „Bardzo źle się czułam na mszy sprawowanej przez tego księdza i gdy miałam przyjąć komunię z jego rąk. Niedługo po tym zwolniłam się z pracy i przestałam chodzić do kościoła”.

Czy lepiej działają świeckie filary demokratycznego porządku, o który tak bardzo się martwimy? „Większość decyzji wymuszana była krzykiem. Jak coś nie wyszło, to zawsze była moja wina. Nieważne, kto był winny i czy realnie w ogóle był jakiś problem. Nie można było powiedzieć słowa, bo to sprawiało, że wybuch był jeszcze większy i głębszy” – opowiada Andrzej, pracownik biura posłanki na Sejm. Mamy też obszerną relację mobbowanego pracownika sądu rejonowego oraz aplikanta adwokackiego. A czwarta władza, czyli media, które tak bardzo lubią recenzować poczynania innych. Gdy Paweł, operator w jednej z największych stacji telewizyjnych, zasugerował, że polskie prawo przewiduje nadgodziny i że może warto by o nich porozmawiać, usłyszał, że to bzdurny pomysł. A jeśli komuś się to nie podoba, to „może spier...”.

Czy po tym wszystkim możemy się dziwić relacji Sabiny, pracownicy gastronomii? „Przyszłaś tu do pracy, a nie na seks” albo „z tymi pomalowanymi ustami wyglądasz jak burdelmama”. Nie mówiąc już o standardowym powiedzonku jej szefowej „nie wkurwiaj mnie”.

Jaki rynek, tyle mobbingu

Największy błąd to uznać, że winny jest „materiał ludzki”. I że gdyby tylko pojedyncze osoby były dobre, a nie złe, to przemocy by w polskiej pracy nie było. To nie tak. Mobbing jest nadużywaniem władzy. Płynie z braku równowagi. Im potężniejszy pracodawca, a pracownik słabszy, tym mobbing będzie bardziej prawdopodobny. Trudno jednak nie zauważyć, że utrzymujące się przez lata strukturalne wychylenie rynku na korzyść pracodawcy stworzyło podglebie, by potencjał przemocy wobec słabszego faktycznie się rozwinął.

Przykład z branży teleinformatycznej. „Pensja tzw. »managerów« zależy od realizacji »targetów«. Wszyscy oczywiście »na firmach«, a więc ze świadomością, że po dwóch latach »małego ZUS-u« nadejdzie

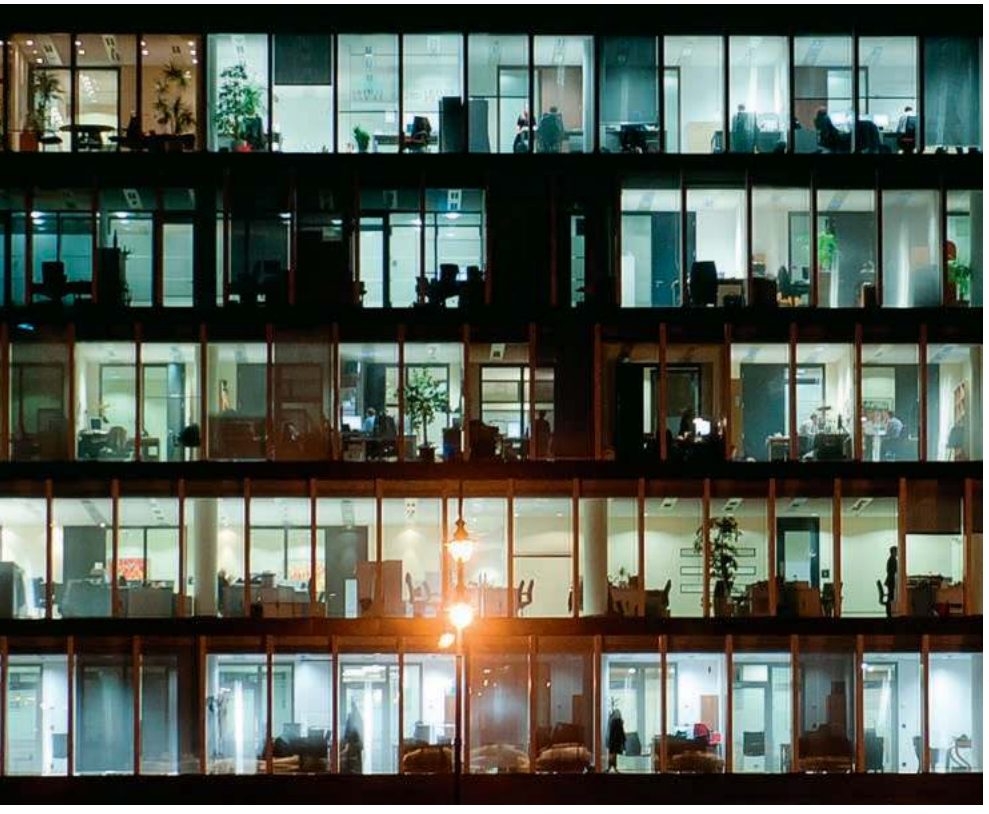

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

»duży«. Więc jak targety nie idą, to narasta ogólna frustracja. Na kim można się wyładować tak łatwo i bezkarnie, jeśli nie na pracownikach niższego szczebla. Czyli na tzw. »konsultantach«?!" – tłumaczy Wojtek, pracownik firmy, do której duża sieć satelitarna outsourcowała swoje usługi.

Adriana dostała pracę w rosnącej jak na drożdżach firmie z przyszłościowej branży. Z jednej strony: dostatek, perspektywy i optymizm. Z drugiej: polityka obliczona na to, by trzymać pracownika w szachu tak długo, jak się da. „Najpierw śmieciówka, żeby mi się w głowie nie poprzewracało. Potem okres próbny. Potem na rok z dwutygodniowym okresem wypowiedzenia. Teraz widzę, że był to rodzaj panowania"– relacjonuje. Przez pierwszych pięć lat pracownik daje z siebie wszystko i o nic nie prosi. A potem zaczyna stawiać warunki. Więc odchodzi. A firma zatrudnia nowego. I tak to się kręci.

Na razie było miło. Ale może być też niemiło. Na początku Ewa dawała jeszcze wybór. Jako dyrektor ds. personalnych w dużej spółce Skarbu Państwa realizowała politykę nowego szefa. Ta polityka polegała na wymianie jak największej części kadr. Po co? Bo nowi będą wdzięczni nowemu kierownictwu. A starym się ciągle coś nie podoba i czegoś chcą. Wybór, który dawała zwalnianym, polegał na tym, że najpierw wręczała rozwiązanie umowy za porozumieniem stron. Oczywiście nie było to żadne porozumienie, bo pracownik odchodzić nie chciał. Wielu brało jednak, co dawała. „Brali, bo w drugiej ręce miałam kij. Artykuł 52. kodeksu pracy. Czyli zwolnienie dyscyplinarne. Ostrzegałam szefa, że pracownik może iść z tym do sądu pracy. Nie robiło to na nim większego wrażenia. I co z tego – mówił. Będzie się sądził dwa-trzy lata. W tym czasie nie ma człowieka" – relacjonuje nasza rozmówczyni.

Elastyczny rynek pracy był od początku XXI w. traktowany przez polskich polityków (niezależnie od opcji) jak cudowne antidotum na wysokie bezrobocie. I wreszcie jest na rekordowo niskim poziomie. Pytanie o koszt tego sukcesu pojawia się jednak rzadko. Wszechwładza pracodawcy (np. w kształtowaniu treści elastycznych umów cywilnoprawnych) to jeden z kluczowych składników tej ceny. „Widziałem już karę 100 zł za »spóźnienie się do pracy«. Albo 400 zł za »nieobecność«. Albo 5000 zł odszkodowania za zerwanie zlecenia. Oczywiście, w jedną stronę, bo szef może zerwać umowę »w każdym czasie«. Sam prawie padłem tego ofiarą. Chciałem negocjować, ale szefowa wpadła w furię! Zamknęła drzwi i krzyczała, że »nie wypuści mnie, jeśli tego świstka nie podpiszę«" – relacjonuje Mariusz, człowiek z 20-letnim doświadczeniem w niejednej branży.

Strukturalnie kiepskie płace w wielu dziedzinach to część tego samego mechanizmu. „Osoby, które się na nie godzą, stawiają się z góry na przegranej pozycji. To jakby dawać sygnał: »Możecie zrobić ze mną, co chcecie«" – opowiada Anna, która w trakcie swojej kariery zaliczyła trzy uczelnie publiczne i jedną prywatną. W każdej doświadczyła mobbingu.

Sam się nie obronisz

Ofiary mobbingu czują się często jak tytułowy Kopciuch ze sztuki Janusza Głowackiego. To ta historia, gdy do zakładu karnego dla młodych kobiet trafia nowa dziewczyna o niepokornym usposobieniu. Zaczyna wierzgać przeciw terrorowi strażników. Zostaje jednak złamana. Ale nie przez opresyjne władze. Linczu dokonują współtowarzyszki niedoli. Te, które kiedyś też wierzgały, ale potem się dopasowały i próba podważenia *status quo* albo je drażni, albo budzi lodowatą obojętność.

Taki nastrój rozczarowania dystansem pomieszanym z wrogością współpracowników powraca w wielu opowieściach. Jest niestety klasyką gatunku. „Zastępczynie mojego szefa? A owszem, mówiłem im o sprawie. Jedna nie kryła, że ma to gdzieś. Druga uważała, że przesadzam, bo on taki jest, jak się zdenerwuje. Trzecia niby coś widziała, ale nie potrafiła zareagować konkretnie" – napisał Marek. „Kiedy idziesz na wychowawczy?" – koleżanki z działu mnie o to pytały, choć wiedziały, że nie stać mnie na bezpłatny urlop. Szefowa je nastawiła, bo jej zdaniem chodzę na opiekę za często. Tylko jedna mnie o to nie spytała. I jestem jej do dziś wdzięczna" – relacjonowała Marta.

Większość nie oczekiwała heroizmu od współpracowników. Ale obojętność bolała. „Mój prześladowca rozpowiadał, że jestem »chora psychicznie«. Kilka osób napisało mi w mailu, że jego zachowanie ocenia jako niewłaściwe, ale nikt nie wstawił się za mną publicznie. Najgorsze było, gdy niektórzy sugerowali, że sama jestem sobie winna i że »prawda zapewne leży gdzieś pośrodku«".

Jeżeli jednak w listach, które do nas napłynęły, można wyczytać jakieś pocieszenie, to płynie ono z oparcia w grupie. „Gdyby nie związek zawodowy, zostałbym już dawno zwolniony z pracy. Mobbing polega na tym, by ofiarę wypchnąć poza nawias wspólnoty pracowników. Pokazać, że jest sama, i w ten sposób sprawić, by pękła. To, że mogłem czuć się częścią ↦

↦ związku zawodowego, było zbawienne" – mówi Aleksander. Takich głosów było więcej. Nie chodzi o to, że za każdym razem istniejący w zakładzie związek zawodowy albo inna forma organizacji pracowniczej pomagały. Zasada jest inna: jeśli już ktoś mobbowanemu pomógł, był to najczęściej związek zawodowy.

Ja ofiarą mobbingu? Ja???

Wspomniana już Ewa – dyrektor personalna w dużej spółce publicznej – współpracowała ze swoim prezesem już wcześniej. Wiedziała, że trudno się z nim współpracuje. Potrafił powiedzieć: „Rozum to chyba przy szlabanie pani zostawiła". Ale nie mówił tego do niej, więc puszczała mimo uszu. Nawet jej tym swoim zdecydowaniem wyniesionym z doradztwa w firmie konsultingowej imponował. Czy wiedziała, że będzie robił czystkę? Tak, wiedziała. Pękała powoli. Za każdym razem przywoływał ją do porządku. W końcu usłyszała, że skoro nie umie zwalniać, to zwolni się ją. Wtedy zrozumiała, że tylko pozornie grali w jednej drużynie. Tak naprawdę tkwiła w mobberskiej relacji od dłuższego czasu. Musiała jednak zajść aż tak daleko, żeby to zrozumieć.

Dochodzenie do uświadomienia sobie: „Tak, jestem ofiarą mobbingu", to długi proces. Często przychodzi po fakcie. Bardzo często – nigdy. Pułapka polega na tym, że mobbing najmocniej uderza w tych, którzy swoją pracę traktują poważnie. Bo oni walczą. Nie chcą się pogodzić. Próbują. To powraca niemal we wszystkich opowieściach. „Czułam się winna, tak bardzo załamana, że ona mi nie wierzy, że przecież ja to miejsce kocham jak mój własny dom, na uszach staję, żeby wszystko się sprzedało" – mówi Zofia. Nie ona jedyna. „Zatrudniliśmy cię, zaufaliśmy ci, a ty nie wykonujesz swoich zadań. Może się zastanów, czy nadal chcesz być częścią naszego zespołu..." – tak brzmi najskuteczniejszy „argument", który mobber może odpalić w kierunku ofiary.

Cena jest bardzo realna

Marzena pisze tak: „Przytyłam w sumie 30 kg. Tylko jedzenie mi dawało ulgę. Rodzina widziała, co się dzieje, ale nie umieli pomóc. Zaczęłam psychoterapię, ale to kosztuje i musiałam w pewnym momencie przerwać. Trzęsą mi się ręce, mam atak hiperwentylacji, nie jestem w stanie skończyć zadań, które sobie próbuję wyznaczyć na dany dzień. Na samą myśl łzy mi lecą. Znowu mam ich widzieć w piątek, jak tam dojadę. Sztukę udawania, że wszystko jest w porządku, już opanowałam".

Joanna: „Byłam nieustannie napięta i ciągle chciało mi się płakać. Zaczęłam mieć problemy ze snem i zdrowiem, strasznie się roztyłam. Czułam się samotna i nic niewarta. Na sam koniec zaczęłam reagować agresją, miewałam myśli na temat podpalenia lokalu, kradzieży pieniędzy, wrzucenia mięsa za regał, zacementowania dziurki od klucza. Miałam tendencje autodestrukcyjne. Przepełniała mnie czarna rozpacz i nienawiść. Wyszłam stamtąd z poczuciem upokorzenia, wstydu, smutku i rozpaczy".

To jest walka o demokrację

Żyjemy w czasach, gdy znów wiele mówi się o znaczeniu demokracji. Taki namysł jest potrzebny. Również dlatego, żeby pokazać, jak bardzo niedemokratycznym miejscem mogą być polskie zakłady pracy.

Jeden z naszych rozmówców nazwał to „mikrototalitaryzmem". Mikro, bo może istnieć sobie na kilkudziesięciu metrach kwadratowych biura, hali czy lokalu. Albo nawet bez terytorium: sterowany przez telefon albo wymianę maili. W mikrototalitaryzmie najważniejsza jest osoba wodza. Czasem wódz sam buduje system. A czasem przychodzi na gotowe po poprzednim wodzu. Wszechwładzy sprzyja brak ograniczeń w długości i regułach piastowania funkcji. Wódz kocha kontrolować, a nienawidzi, gdy on jest kontrolowany. Kocha przyłapywać innych, a nienawidzi być przyłapany. To buduje jego moc i władzę.

Doskonałym miernikiem skali mikrototalitaryzmu jest tempo, w jakim pracownik, do tej pory uważany za przestrzegającego zasad współżycia, pod wypływem awansu na stanowisko kierownicze zmienia się w mobbera. Jego gorliwość może początkowo budzić śmiech, z czasem jednak już tylko przerażenie. Innym wyznacznikiem jest pustka na korytarzach. Rozmawia się cichcem po pokojach w bardzo ograniczonych gronach.

Typowa struktura społeczna w mikrototalitaryzmie: na szczycie wódz, potem jego ludzie, następnie szeregowi pracownicy, którzy są potrzebni, ponieważ ktoś musi pracować, a na końcu wichrzyciele. Ruchy kadrowe dokonują się głównie w obrębie szarej masy, czyli tych, którzy siedzą cicho. To z tej grupy może wyłonić człowiek wodza lub wichrzyciela. Gdy akurat wódz poczuje pęd do upadlania podczas kontroli X-a, ten ma dwie możliwości: paść pokornie na kolana i prosić o łaskę lub twardo obstawać przy swych prawach. Jasne jest, że w drugim przypadku X prędko zostaje zakwalifikowany do grupy wichrzycieli i dopiero wtedy następuje solidny atak. Brak nagród, awansów, kontrole, przenosiny, izolowanie. Wreszcie zwolnienie.

Wódz nagradza swe sługi. Jest w tym łaskawy i szczodry. Sprzyja temu niejasny system. Najlepiej, by nie było regulaminu w formie pisemnej, tak by nie były jasno określone kryteria. Bywa, że wódz dla przykładu wybaczy temu, kto pobłądził, okazując chwilowe nieposłuszeństwo. Ale uwaga, osoba ta koniecznie będzie musiała okazać wodzowi wdzięczność.

Szeregowi pracownicy zwykle mają świadomość, jaka jest sytuacja. Jednak wódz jest spokojny. Doskonale wie o tym, że mają oni dzieci na utrzymaniu, kredyty do spłacenia. Wychodzą z założenia, że wytrzymają te kilka godzin w pracy, a w domu odpoczną. Mylą się. Lęk to nie jest coś, co gwałtownie włącza się o siódmej rano i gaśnie po piętnastej z momentem wyjścia z pracy. Raczej wchodzi do krwiobiegu i już go nie opuszcza.

Wielu czytelników złapie się pewnie na tym, że ten zaczerpnięty od czytelnika opis jest im dziwnie znajomy. Może więc czas się zastanowić, czy walki o obronę/ /odnowę polskiej demokracji nie należałoby rozpocząć właśnie od mikrototalitaryzmów w miejscach pracy.

©℗ RAFAŁ WOŚ

Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Tygodnik Powszechny sp. z o.o., z siedzibą w Krakowie, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.
Podany adres e-mail przetwarzamy wyłącznie w celu pozyskania informacji o przypadkach mobbingu, które do celów akcji mogą zostać wykorzystane w sposób całkowicie anonimowy. Podstawą przetwarzania jest art. 6 ust. 1 lit a RODO, czyli Pani/Pana zgoda, która jest wyrażona poprzez przesłanie maila na podany adres.
Pani/Pana adres e-mail będzie przetwarzany nie dłużej, niż jest to konieczne do odebrania zawartych w nim informacji.
Przesyłanie wiadomości e-mail na adres przemocwpracy@tygodnik.com.pl jest dobrowolne.

REKLAMA

MAGIA SZEŚCIU DŁONI. FORTEPIANOWA PODRÓŻ PRZEZ ŚWIAT

BEL SUONO

3 ROSYJSKICH GENIUSZY FORTEPIANU

15 lutego 2019
ICE Kraków
Congress Centre

NAJWIĘKSZE MIĘDZYNARODOWE I KLASYCZNE HITY

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL

*BIZET * DESPACITO * VIVALDI * GAME OF THRONES * MAROON 5 * RACHMANINOV * ELTHON JOHN * TCHAIKOVSKY * QUEEN * PROKOFIEV * I WIELE INNYCH*

Prestige MIM | 15 Classic | Gazeta Bankowa | T3 | WP | cgm.pl | jazzSoul.pl | Multikino | STRÖER | VIXON | pap | Press Service

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

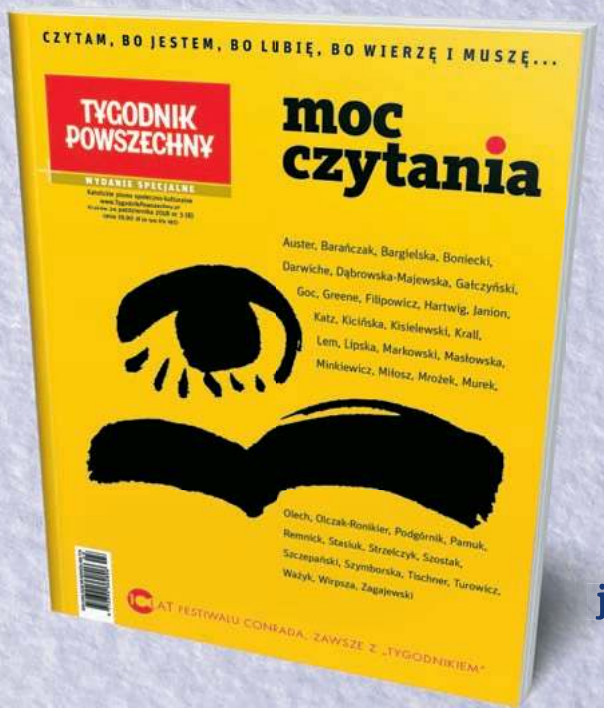

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów?
Weź, czytaj!

„Moc czytania”
już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/mocczytania

10 LAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

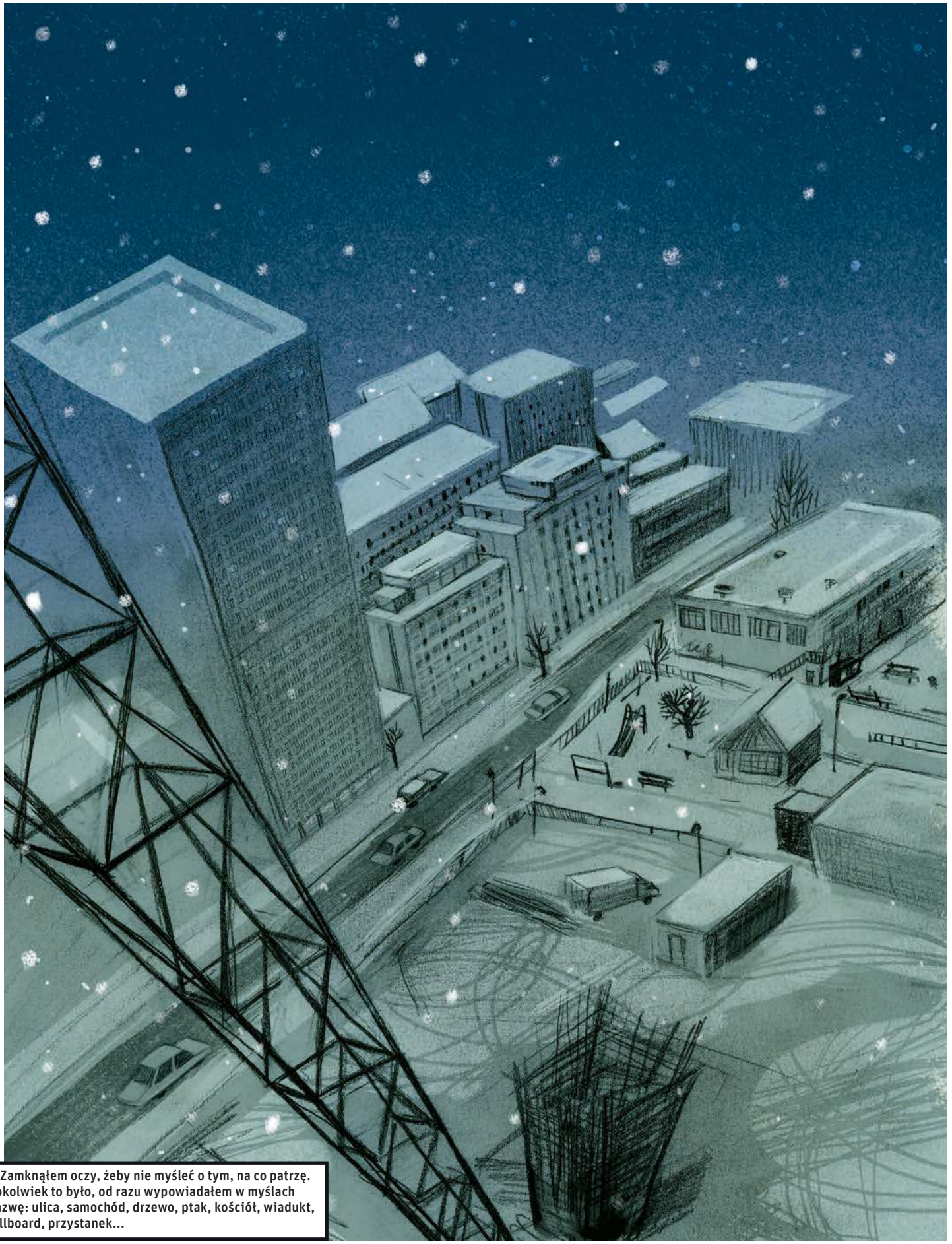

...Zamknąłem oczy, żeby nie myśleć o tym, na co patrzę. Cokolwiek to było, od razu wypowiadałem w myślach nazwę: ulica, samochód, drzewo, ptak, kościół, wiadukt, billboard, przystanek...

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

W GÓRĘ SERCA

TEKST GRZEGORZ BOGDAŁ ■ ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

W czwartek umarł mój pies, a w piątek nie wróciłem z pracy do domu. Zamiast zejść na dół, zostałem w kabinie. Powinienem był go zakopać w polu albo lesie, ale przerosło mnie, jak to zrobić. Drałować kilka kilometrów przez miasto z workiem na plecach, jechać taksówką albo nocnym autobusem, unikać odpowiedzi czy się tłumaczyć. O tej godzinie i tak bym nigdzie nie kupił łopaty. Mogłem poczekać do rana, wziąć wolne. Zawinąłem go w koc i zaniosłem do lecznicy. Zadzwoniłem, bo tam też już było nieczynne. Pół godziny później przyjechała weterynarz. Chodziliśmy do niej, kiedy chorował. Dwadzieścia kilo to niedużo, ale jeśli można wygodnie ująć. Wyślizgiwał mi się po drodze i musiałem go sobie podrzucać, raz położyć na chodniku, odwinąć i zapakować na nowo. Oddałem psa i poszedłem do bankomatu. Ona wiedziała, co trzeba zrobić. Na wszystko zgoda. Wyszło to drożej niż taksówka i łopata, a i tak się zmachałem. Zostało mi pół worka karmy i nie znałem nikogo, komu mógłbym ją oddać.

NIGDY NIE POLICZYŁEM, ILE SZCZEBLI PROWADZI DO KABINY ŻURAWIA, nie mierzyłem też czasu. Jedyne, o co dbałem, to żeby mi stopa nie zjechała, o mocny chwyt dłoni i ułożenie głowy: prosto, tak łatwiej uniknąć zawrotów. Ile metrów w górę, tyle w dół. Niektórzy nauczyli się wytrzymywać z pełnym pęcherzem, nie jedli też i mało pili, żeby nie schodzić w ciągu dnia. Czasami używali przygotowanej na taką okazję butelki. Ja robiłem sobie przerwę w połowie. Na placu budowy stał jeszcze jeden dźwig. Wyższy, nowszy, z windą. Obsługiwał go Waldek. Jak sobie pójdę, Krzysiu, mówił do mnie, to się przesiądziesz. Specjalnie tak się wyrażał, żebym nie wiedział, czy ma na myśli emeryturę, czy zgon, bo był po dwóch zawałach. Co za różnica. Planowałem dociągnąć do marca i się zwolnić.

Mieszkałem trzy przystanki dalej, za pętlą, z okna widziałem plac z hurtownią sportową w kształcie hangaru. Niedaleko stał opuszczony czteropiętrowy biurowiec. Od kilku lat nikt nie wynajmował w nim pomieszczeń, reklama na ścianie spłowiała od słońca. Wieczorami słyszałem podniesione głosy, śmiech, czasami ktoś stłukł butelkę. Przyzwyczaiłem się i mogłem spać mimo hałasu, ze snu wyrywały mnie raczej błyski policyjnych świateł. A wcześnie rano żwir chrzęścił pod kołami parkujących tam samochodów dostawczych. Kierowcy gasili niedopałki w puszkach po energetykach i szczali na mur. Nad ich głowami obluzowana linia wysokiego napięcia wisiała jak wymuszony uśmiech. Dalej były nieużytki.

Kiedy jeszcze pies żył, po południu wyprowadzałem go obok budowy, na której pracowałem. Niedaleko był park ciągnący się wzdłuż zasypanego koryta rzeki, a przy nim stare, solidne domy za murem z graffiti poświęconym zadźganemu tutaj chłopakowi. Imię zapisane imitującymi gotyk literami, daty narodzin i śmierci, obietnica albo groźba. Na dole dopisek inną ręką: „dobrze, że zdechł".

W piątek rano przestawiłem budzik, nie było już po co wstawać tak wcześnie, ja do toalety miałem blisko. Sześćdziesiąt procent mięsa, warzywa i minerały. Takie ogłoszenie powinienem dać. Kupiec wszedłby do mieszkania, rozglądnął się, wziął garść karmy, dopytywał. Ukradkiem powąchał palce, a okruchy wytarł w spodnie. Przynajmniej ja bym tak zrobił. Nigdy jej nie skosztowałem. To produkt o długim terminie ważności, niech stoi.

Z GÓRY OKOLICA BUDOWY WYGLĄDAŁA JAK MAKIETA POSKLEJANA Z PRZYPADKOWYCH MATERIAŁÓW. W muzeach trzymają takie pod kluczem, w kantorkach ze środkami czystości i portretami, które spadły ze ścian. Ruch tutaj to złudzenie optyczne, obrót figury niemożliwej. Z wysoka widoki, na dole bidoki, mówił Waldek. Przesada, znałem gorsze miejsca. Byłem tu sam i daleko od reszty. Nasz kontakt ograniczał się prawie wyłącznie do znaków, poleceń, pytań i odpowiedzi związanych z procedurami i pracą dźwigu. Przychodziłem ostatni, wychodziłem pierwszy, nie kolegowałem się. Byłem skupiony i dokładny, robiłem to, co trzeba, i nie oczekiwałem satysfakcji.

Po lewej, od wschodu, miałem częściowo wybudowane osiedle, po prawej, od zachodu, za garażami i klubem fitness, biurowiec i długi blok, zaokrąglony na jednym końcu, do połowy zielony, wyżej biały. Połączone ze sobą w pionie rdzewiejące balkony z ażurowymi balustradami przypominały woliery. Na piątym piętrze kobieta w dresie robiła wymachy i skłony. Przerywała, by zerknąć w dół, na kort tenisowy urządzony na dachu klubu, gdzie kilka osób ćwiczyło z trenerem. Można by pomyśle, że przesyła zaszyfrowaną wiadomość i wypatruje odpowiedzi. ↦

↦ Lewa i prawa, wschód i zachód to nie wszystko, ale dla mnie akurat. Po całym dniu dość miałem obrotów. Robotnicy się rozchodzili. Przez krótkofalówkę dałem znać, że wkrótce zejdę. Wiatr przechylał dźwig, przywykłem i przestałem się zapierać nogami. Schować twarz w dłoniach to jedyne, co można tu zrobić. Widziałem kiedyś młodego mężczyznę, próbował się ratować, rozpostarł ramiona i zniknął za kadrem. Puszczałem to od początku wiele razy. Byłem głodny i pozbawiony fantazji. Czas, który dotąd spędzałem na spacerze z psem, zamierzałem przeczekać w kabinie. Zamknąłem oczy, żeby nie myśleć o tym, na co patrzę. Cokolwiek to było, od razu wypowiadałem w myślach nazwę: ulica, samochód, drzewo, ptak, kościół, wiadukt, billboard, przystanek. Chyba zasnąłem. Nie na długo, ale kiedy się ocknąłem, na dole paliły się halogeny, a gruby stróż okrążał plac. Raz, drugi, trzeci. Mógł słuchać w swojej budce powtórek audycji, w zeszycie miał wypisane godziny, o których powinien zrobić obchód, ale raz wprawiony w ruch krążył po orbicie.

CHCIAŁEM SIĘ WYMKNĄĆ BEZ TŁUMACZENIA, CO TU ROBIĘ O TEJ PORZE. Może wcale by nie zapytał, ale ja i tak bym wyjaśniał. Każdemu, co się należy, nawet wbrew potrzebom. Nie było na to szans. Łaził, jakby wiedział, że się czaję. Temperatura mi nie sprzyjała, jeszcze pod koniec listopada przekwitały dmuchawce, a gołębie przesiadywały w kałużach. Grudzień był suchy i ciepły. Przestałem zwracać uwagę na stróża, z nudów zapatrzyłem się w okna nowych bloków. Dawniej ludzie częściej używali firanek i zasłon, teraz dało się zajrzeć do większości mieszkań. Nic, o czym warto by wspominać: kuchnie, kolacje, puste pokoje, laptopy, telewizory na ścianach, cisza i brak szczegółów, wejście i wyjście. Nie ma, jest. Właśnie tego potrzebowałem.

Na klatkach schodowych niespłaconych bloków nigdy nie gasną światła. Szpitalna biel przecina je na pół. W mieszkaniach żółć i pomarańcz w różnych odcieniach świecą i znikają albo pojawiają się znienacka tam, gdzie dotąd były ciemne prostokąty. Tych ostatnich stopniowo przybywa. Tyle zaobserwowałem podczas nocy spędzonej w kabinie dźwigu. Ale było jeszcze coś. Nad ranem na dziesiątym piętrze w jasnej kuchni zobaczyłem człowieka w skafandrze kosmicznym. Nie dało się rozpoznać, czy to kobieta, czy mężczyzna, kombinezon ukrywał sylwetkę, a przyciemniana szyba hełmu zasłaniała twarz. Postać chodziła niezdarnie i wolno, łapała równowagę, chwytając się blatów i szafek. W pewnym momencie otworzyła na oścież okno, wychyliła się przez nie i rozejrzała, jakby chciała sprawdzić, czy to jest planeta, na której chciała wylądować, czy tylko porzucone dekoracje z niezrealizowanego filmu. A potem schowała się i wyłączyła światło.

Stróż drzemał przy włączonym radiu, kiedy mijałem jego budkę. Z wiadomości nic nie zrozumiałem, ale jeśli prognoza pogody miała się sprawdzić, to, co miałem na sobie, jeszcze długo powinno mi wystarczyć.

Złapałem pierwszy autobus, zjadłem śniadanie, ustawiłem alarm w telefonie i położyłem się. Po nieprzespanej nocy do niczego się nie nadawałem. Wciąż byłem głodny, od pewnego czasu nie mogłem jeść nic innego niż chleb kukurydziany z masłem i solą. Tylko po tym nie dopadały mnie bóle brzucha, wzdęcia i biegunki. Odstawiłem też kawę i herbatę, piłem napary z szałwii i wodę z miodem. Miało to swoje dobre strony, bo oszczędzałem na jedzeniu, odpadły mi wydatki na psa, a do tego nie włączyłem jeszcze ogrzewania, i gdyby moja niedyspozycja się utrzymała, tak jak wysokie temperatury, mógłbym w przyszłym roku zrobić sobie dłuższą niż tamtym razem przerwę od pracy.

PRZYGOTOWAŁEM ZAPASY NA CAŁY DZIEŃ I KOLEJNĄ NOC, ŻEBY ZNOWU POPATRZEĆ NA ASTRONAUTĘ. Może tym razem skoczy, a grawitacja spłata mu figla i będzie się unosił przed oknami, nie mogąc ani wrócić, ani spaść. W misce dla psa ciągle jeszcze była woda. Zostawiłem ją z ciekawości, ile czasu minie, zanim cała wyparuje. Musiałem wstać i znów jechać do pracy. Po drodze ziewałem i wyzywałem siebie samego bez żadnego powodu, takiego dorobiłem się nawyku.

Odesłali mnie do domu przed południem. Zepsuł się dźwig Waldka i kierownik kazał mu zająć mój. Goniły nas terminy z powodu opóźnienia w poprzednim miesiącu, a Waldek miał większe doświadczenie i dłuższy staż w firmie. Przez resztę dnia siedziałem u siebie przy stole. Trochę spałem, z czołem złożonym na przedramionach, trochę się gapiłem.

Na ostatnim stopniu drabiny przed hurtownią sportową stał facet. Trzymał długą listwę okręconą sznurem z kolorowymi lampkami. Odwijał po kawałku i rozwieszał lampki nad wejściem. Potem odkładał listwę, schodził, żeby przestawić drabinę, i znów wchodził. Układał napis, jeszcze nie podświetlony, nieźle mu to szło. Każdą literę sprawdzał z dołu, cofając się aż na jezdnię i uchylając przed trąbiącymi samochodami. Za którymś razem, gdy był tuż przed szczytem drabiny, stracił równowagę, spadł i rąbnął tyłem głowy w bruk. Z hurtowni wyszło kilka osób, otoczyły pechowca i więcej go nie zobaczyłem. Najpierw przyjechała karetka pogotowia, później policja. Kiedy leciał w dół, ciągle trzymał listwę i zerwał układaną właśnie literę, tak że zostało tylko „Wes". Następnego dnia ktoś dokończył robotę, ale bez słów, pofalowanym szlaczkiem. Wymienił kilka żarówek, bo całość nie działała. Po zmroku lampki już świeciły.

Właścicielka była stara i obnosiła się z tym. Niepokoiło ją, że przestałem chodzić do pracy, dopytywała, czy na pewno jej nie straciłem. Zajmowałem lokal, który kiedyś był częścią jej mieszkania. Wstawiła cienką ściankę działową, zrobiła kuchnię, łazienkę i oddzielne wejście. Śmierdziała tanim koniakiem i stęchlizną, jakby nie tylko zakładała ubrania, które zbyt długo leżały w szafie, ale sama w niej przesiadywała. Pożyczałem jej pieniądze, niewielkie sumy, mówiła, że nie chce rozmieniać grubych. Miała odliczać od czynszu, ale nie robiła tego, a ja się nie upominałem. Do niedawna wytykała mi, że nie sprzątam po psie, kazała iść za sobą i pokazywała gówna na trawniku. To nieprawda, żadne nie było mojego. Znałem kształt, zapach i kolor jego odchodów jak własną twarz. Poza tym zwierzęta nie załatwiają się tam, gdzie żyją, ona jednak miała do czynienia wyłącznie z ludźmi.

DZIEŃ PRZED ŚWIĘTEM NA BUDOWIE PRACOWALI KRÓCEJ. Potem kierownik zaprosił na poczęstunek w naszym baraku. Przyszedłem pod koniec, trzymałem dietę, a takich spotkań

unikałem. Siedziałbym w domu, gdyby nie to, że mieliśmy dostać część wypłaty pod stołem. Nie potrzebowałem pilnie tych pieniędzy, odebrałbym je innym razem, ale wtedy musiałbym się przypominać.

Większość już wyszła, a reszta dojadała kawałki ryby i się żegnała, kiedy Waldek zasłabł. Nie pozwolił wzywać pogotowia, mówił, że to nic takiego, musi odpocząć. Zapytał, czy ktoś przyniesie mu tabletki, które zostawił w kabinie. Padło na mnie, inni się śmiali, że nie mają uprawnień do pracy na wysokościach. Załatwiłem to szybko, zerknąłem na blok z astronautą, ale na zewnątrz było jeszcze zbyt jasno, żeby coś zobaczyć przez okna. Nie znałem zresztą zwyczajów tej osoby, może to był jednorazowy wyskok, a może przebierała się i chodziła po mieszkaniu w skafandrze w określonych godzinach i dniach.

Waldek popił tabletkę kawą. Był blady i spocony. Wycierał twarz i szyję papierowymi ręcznikami i rzucał je pod nogi. Zdejmował i zakładał okulary z grubymi szkłami.

Idź, powiedział, w razie czego jest tu ochroniarz.

Wcale nie zamierzałem z nim zostawać, ale głupi by się domyślił, że prosi o coś innego, niż mówi. Zdecydowałem, że wyjdę, jak jego twarz odzyska normalny kolor. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, milczałem, za to on coraz więcej gadał. Co jakiś czas odwracałem głowę, bo wpatrując się w niego bez przerwy, nie zauważyłbym zmiany. Wreszcie wstał i stwierdził, że jest gotowy do wyjścia. Nie zapytałem, czy jest pewien, chociaż ewidentnie na to czekał.

Szliśmy tą samą drogą, więc odprowadziłem go na przystanek busa. Wlókł się i sapał, przez co się spóźniliśmy. Okazało się, że to był ostatni transport, rozkład jazdy został zmieniony. Waldek sprawiał wrażenie, jakby go to dziwiło. Mieszkał czterdzieści kilometrów stąd, w mieścinie, do której nie jeździły pociągi. Dzwonił po różnych ludziach, a potem referował mi rozmowy, objaśniał relacje. Czekałem na dobry moment, żeby wejść mu w słowo i się pożegnać. Nie znosiłem cudzych opowieści i sam też nikomu nie opowiadałem o sobie. Wszystkie historie, które usłyszałem, powtarzałem sobie potem w myślach, słowo w słowo, i długo nie mogłem się od tego uwolnić.

GDYBYM BYŁ NIEZRÓWNOWAŻONY, UZNAŁBYM, ŻE TO ZMOWA PRZECIWKO MNIE, bo do kogo Waldek nie dzwonił z prośbą, by po niego przyjechać, za każdym razem mu odmawiano. Była żona zaplanowała już wieczór i nic ją nie obchodziły jego problemy. Pomimo rozwodu wciąż mieszkali razem, przestali jednak się kłócić. Córka pojechała z wnuczką do teściów. Koledzy wymawiali się obowiązkami rodzinnymi albo wypitym alkoholem, niektórzy nie odbierali. Waldek uspokajał, że w końcu kogoś znajdzie, jakby się przede mną tłumaczył. Wyczuwałem, że zmierza to w złym kierunku, dlatego życzyłem mu powodzenia i odszedłem.

Krzysiu, zawołał, a ja udałem, że nie słyszę. Dawniej drażniło mnie to zdrobnienie, teraz jest mi obojętne. Dla siebie samego jestem bezimienny, a mimo to bez trudu się rozpoznaję.

Krzysiu, krzyknął znowu.

Przystanąłem i odwróciłem się.

No chyba że mógłbym u ciebie, dopóki po mnie nie przyjadą, zapytał.

Poszedłbym gdzieś, ale dzisiaj nie ma gdzie, wszystko pozamykane, dodał, bo milczałem.

Obiecuję mało się odzywać, wyciągnął z kieszeni tabletkę i przełknął ją na sucho.

Był wygłodniały, po pracy nie tknął jedzenia. Ostrzegłem go, że u mnie jest tylko chleb i masło, mieszkam sam, nie przyjmuję gości i nie urządzam dzisiaj kolacji. Niedaleko stała uliczna buda z żarciem otwarta na okrągło. Prowadzili ją byli, obecni i przyszli kryminaliści. Dawali duże porcje. Waldek usiadł przy drewnianej ławie, a ja złożyłem zamówienie. Wziąłem podwójną tortillę z wołowiną, żeby dłużej milczał, zajęty przeżuwaniem, i żeby zyskać na czasie. Liczyłem, że ktoś go jednak zabierze do domu, zanim dojdziemy do mnie. W przerwach między kęsami namawiał do spróbowania tortilli. Tłumaczyłem, że nie mogę, bo dostanę boleści, ale nie odpuszczał. Chciał podzielić ją na pół. Wgryzał się w nią tak, że upaprał sobie okulary sosem. Przetarł szkła szalikiem i się zaśmiał.

W monopolowym kupił dwie butelki żołądkowej gorzkiej, najlepszej na problemy z brzuchem, jeśli dodać do niej pieprzu, jak zapewniał. Dobrał też oranżadę i papierosy. Pisał esemesy, krzyczał, że każdy ma w domu pieprz, i narzekał, że daleko mieszkam. Szedł wolno, a ja specjalnie wybrałem trasę na piechotę, autobusem bylibyśmy w pięć minut. Nikt już nie oddzwaniał ani nie odpisywał. Ulice były puste. Przez ciemne niebo sunął sztuczny satelita. Waldek pił z gwinta, z wysoko zadartą głową i zamkniętymi oczami.

KIEDY WESZLIŚMY DO MIESZKANIA, POCZUŁEM SIĘ TAK, JAKBYM TO JA BYŁ GOŚCIEM. Linoleum w przedpokoju było wybrzuszone w paru miejscach, a z szafy, do której schowałem kurtki, zajechało jak z cmentarza. Po poprzednich lokatorach zostały tu niepotrzebne graty. Właścicielka zabroniła cokolwiek wyrzucać, regularnie sprawdzała, czy nic nie zniknęło, a nawet znosiła rzeczy, które się u niej nie mieściły. Ja sam nie miałem dużo. To nieco ułatwiało mi przeprowadzki, których nie cierpiałem. Gdybym mógł zamknąć oczy i otworzyć je w nowym miejscu, może częściej bym się decydował. Uprzedziłem Waldka, że mieszkanie nie jest jeszcze wywietrzone po zmarłym psie, plamy moczu niestarte, a sierść niezamieciona. W pokoju usiadłem na wersalce, a on przy stole, bo miałem tylko jedno krzesło. Wcześniej zamknąłem drzwi do kuchni, żeby nie rozchodził się smród z brei zatykającej odpływ w zlewie. Ze mną było podobnie, od dawna nie wziąłem kąpieli w wannie. Co kilka dni nachylałem się tylko nad nią i myłem się gąbką od pasa w górę, a potem siadałem na krawędzi wanny, najpierw przodem, później tyłem, i myłem się od pasa w dół. Niekiedy poprzestawałem na obcinaniu paznokci u stóp, to dawało wrażenie, że całe nogi są czystsze.

Wódkę piliśmy ze szklanek. Wolałem ból brzucha niż nieustanne odmawianie Waldkowi, który się uparł, że musimy napić się razem. Alkohol nie działał na moją głowę, myślałem i zachowywałem się po nim tak jak na trzeźwo. Jeśli przesadziłem, na drugi dzień rzygałem, nic poza tym. Waldek przesunął stół, bo siedzieliśmy za daleko od siebie. Ciągle zadawał mi pytania, jakby wypełniał ankietę personalną. Padła mu bateria w telefonie, a moja ładowarka nie pasowała. Kiedy mój pies szczekał za długo, chwytałem ↦

...jeszcze jeden dźwig. Wyższy, nowszy, z windą. Obsługiwał go Waldek. Jak sobie pójdę, Krzysiu, mówił do mnie, to się przesiądziesz. Specjalnie tak się wyrażał, żebym nie wiedział, czy ma na myśli emeryturę, czy zgon, bo był po dwóch zawałach...

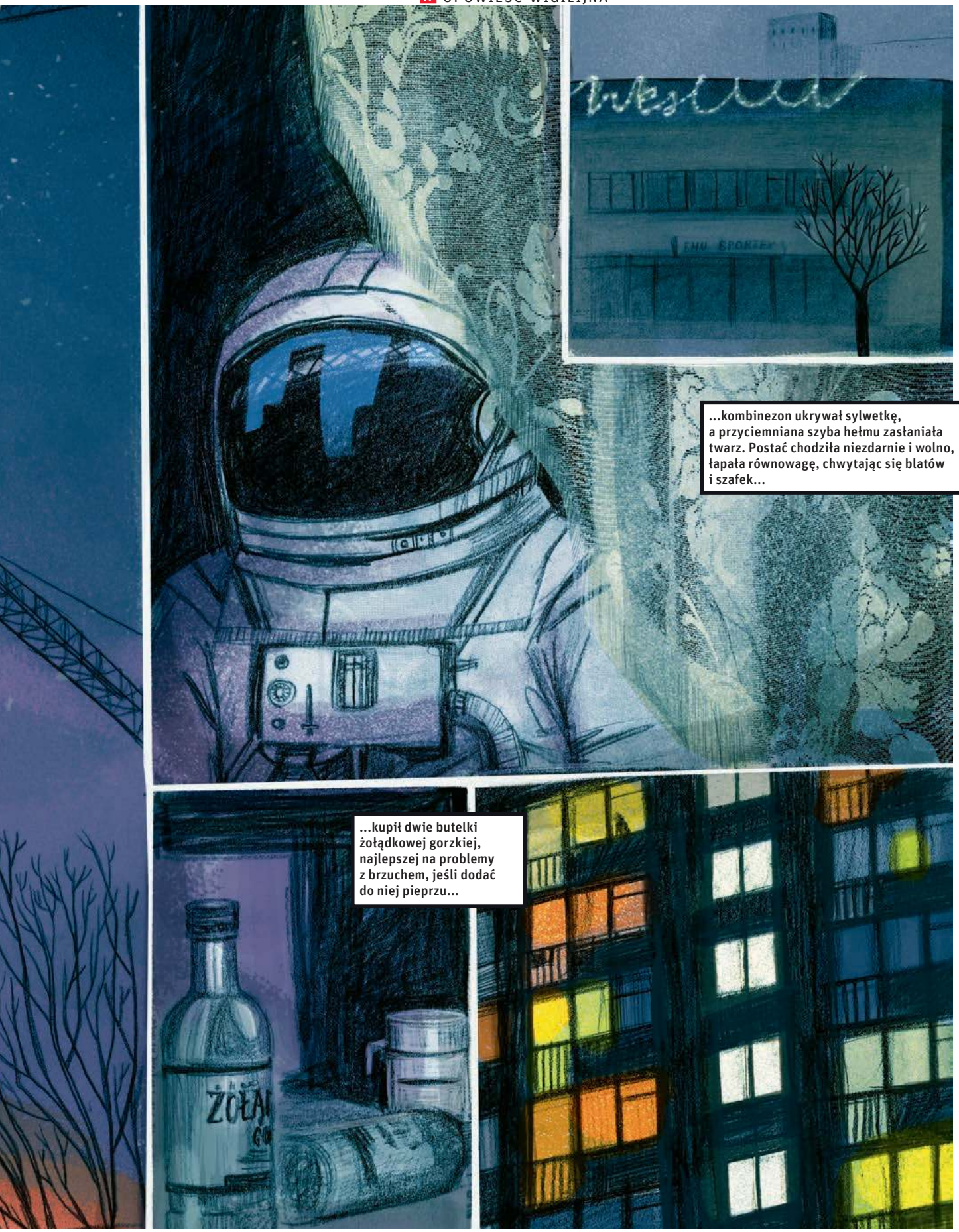
...kombinezon ukrywał sylwetkę, a przyciemniana szyba hełmu zasłaniała twarz. Postać chodziła niezdarnie i wolno, łapała równowagę, chwytając się blatów i szafek...
...kupił dwie butelki żołądkowej gorzkiej, najlepszej na problemy z brzuchem, jeśli dodać do niej pieprzu...

↦ go za skórę na karku i odciągałem do innego pomieszczenia. Skomlał i oglądał się na mnie, ale za chwilę wracał. Waldek ciężko oddychał. Zapytałem, czy potrzebuje pomocy.

To nic, powiedział, nic mi nie jest, taka uroda serca.

Mieszał tabletki z wódką, a ja nie reagowałem. Miałem nadzieję, że przynajmniej urwie mu się film i zaśnie. Nic z tego, trzymał się prosto i bez przerwy mówił.

NIE UDAŁO SIĘ PRZEŁOŻYĆ KARTY Z JEGO TELEFONU DO MOJEGO, RÓŻNIŁY SIĘ ROZMIARAMI. Wziął moją komórkę i próbował sobie przypomnieć numer do kogoś bliskiego. Wybierał na próbę i dzwonił po obcych ludziach, kłócił się z nimi i przeklinał. Jednocześnie opowiadał mi o zwierzętach, które lata temu jego znajomi z pracy zrzucali z dźwigów. O żabach, gołębiach ze skrępowanymi skrzydłami, kotach. Sam tego nie robił, jedynie patrzył. O tym, jak zmiażdżył nogi koledze, hakowemu, który źle zamocował ładunek. To pierwszy zawał. Te ponure anegdoty niewiele się różniły od tych, które sam znałem, ale w przeciwieństwie do Waldka zachowywałem je dla siebie.

Wyszedł się odlać, wtedy usłyszałem zza ściany kaszel właścicielki. Przeciągała go jak pacjent usiłujący wyłudzić od lekarza zwolnienie. Sąsiedzi nade mną puszczali jeden za drugim utwory z prostą melodią i niezrozumiałym tekstem. Zgadywałem niektóre słowa, dałoby się z nich ułożyć co najwyżej bajki dla idiotów. Nagle pomyślałem, że przegapiłem moment, kiedy mogłem dokonać jakiejś młodzieńczej zbrodni. Teraz byłbym zdolny jedynie do zbrodni obrzydliwej, na wieść o której odechciewa się jeść.

Waldek miał problem z trafieniem z powrotem do pokoju, wołał mnie, a ja nie odpowiadałem. Przypominał w tym mojego psa, zawodziła go pamięć, gubił się w mieszkaniu i szczekał, dopóki po niego nie poszedłem. Śmierdział jak dawno nieprana maskotka, był niemal ślepy i głuchy. Stukałem knykciami w podłogę, żeby zwrócić jego uwagę. Stare psy zazwyczaj dużo śpią, a on całymi dniami i w nocy dreptał po mieszkaniu, jakby krok w krok szła za nim śmierć, równie niedołężna jak on, i gdyby się zatrzymał, wreszcie by go dopadła. Pewnego wieczoru ułożyłem go na ręczniku, który służył mu za legowisko, i dopilnowałem, żeby się z niego nie ruszył.

Rozścieliłem łóżko, ale Waldek nie chciał się kłaść. Sobie rozłożyłem koce na podłodze, to bez znaczenia, przy obcym i tak bym nie zasnął. Skończył się nam alkohol, niewielka w tym moja zasługa, dochodziła północ, a on nadal był rześki. Monopolowy był już zamknięty. Zaproponował, żebyśmy w takim razie poszli na budowę, bo w kabinie dźwigu, pod fotelem, schował butelkę z drinkiem. Przekonywał, że nie może nagle przerwać picia, kiedyś tak zrobił i dostał drugiego zawału. Zgodziłem się, to lepsze niż siedzenie w mieszkaniu i słuchanie go, zwłaszcza że marudził.

Po ulicach plątało się trochę ludzi, minęło nas też kilka samochodów. Zgrzałem się i zdjąłem czapkę, rozpiąłem kurtkę. Wcisnęliśmy stróżowi kit, że Waldek zostawił na górze prezent dla wnuka, i weszliśmy. Powstrzymałem go przed wspinaczką, był już wstawiony, zjeżdżały mu stopy i zawisał na rękach. Ściągnąłem go za ubranie i zaoferowałem, że pójdę. Niespodziewanie poczułem lęk, jakbym miał to zrobić po raz pierwszy. Chwytałem zimne szczeble i wspinałem się. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że obserwuję z dołu siebie samego, jak wchodzę coraz wyżej, sztywno niczym robot z demobilu. Nagle spadam, roztrzaskuję się o ziemię i wysypują się ze mnie koła zębate, sprężyny, tranzystory i karty perforowane, a z wyciętego w metalu otworu imitującego usta wije się żółta wstęga z ostatnim raportem w systemie dwójkowym. Bit to najmniejsza ilość informacji potrzebna do określenia, który z dwóch równie prawdopodobnych stanów przyjął układ.

Byłem za połową, kiedy zaczął coś do mnie krzyczeć. Zatrzymałem się i spojrzałem w dół. Stał oświetlony reflektorami samochodu i machał, żebym zszedł. Kierowca, nie wiem, czy kobieta, czy mężczyzna, wciskał rytmicznie klakson. Zrozumiałem, że ktoś po Waldka jednak przyjechał, licząc, że będzie czekał w pracy, skoro nie ma z nim kontaktu. Wołał, że odwiozą mnie po drodze. Odpowiedziałem, że idę na górę i żeby nie czekał. Przywoływał mnie jeszcze chwilę, ale przestałem na niego zwracać uwagę i dalej się wspinałem. Kiedy popatrzyłem z kabiny, już go nie było. Za to stróż dawał mi znaki i darł się. Mógł wezwać patrol interwencyjny albo policję, ale pewnie się domyślił, że stąd trudno byłoby mnie ściągnąć, i w końcu wrócił do swojej budki. Musieliby mnie wziąć głodem i pragnieniem, kiedy opadłbym z sił i nie dał rady już strącać wspinających się po mnie funkcjonariuszy.

CZUWAŁEM DO RANA, NIE ODRYWAJĄC WZROKU OD OKNA, ALE ASTRONAUTY NIE ZOBACZYŁEM. Światła były ciągle zgaszone, najwyraźniej nikogo nie było w środku. Wymacałem butelkę pod fotelem. Landrynkowa oranżada z wódką. Zszedłem, przywitałem i pożegnałem się ze zmiennikiem stróża i poszedłem między blokami. Złapał pierwszy tej zimy suchy mróz. Opatuliłem się i przyspieszyłem. Za kratą zabudowanego śmietnika coś się srebrzyło. Na ziemi, obok kolorowych kontenerów, leżał skafander kosmiczny z nienaturalnie powykręcanymi rękawami i nogawkami, jak ofiara upadku z dużej wysokości. Nigdzie śladu hełmu. Sprawiał wrażenie staroświeckiego, czegoś, co zakłada się w podróż najdalej do Księżyca. To zresztą musiała być imitacja. Nawet jeśli, to czego chcesz, idioto, pomyślałem patrząc na czarne, zielone, żółte i niebieskie kontenery. Wszystko przecież jest na swoim miejscu: plastik, szkło, metal, papier, odpady mieszane.

©℗ GRZEGORZ BOGDAŁ

WOJCIECH

Bonowicz: *Dzieci*

Dzwonek do drzwi. Otwieram. Na klatce stoi dwóch chłopców, mają może po dziesięć lat. Chyba nie są z osiedla, w każdym razie nie rozpoznaję ich. Jeden, blondynek, wygląda tak, jakby chciał uciec. Drugi, ciemnowłosy i śniady, śmiało patrzy mi w oczy. W rękach trzyma skromną tekturową szopeczkę, jaką można kupić za kilka złotych w sklepie papierniczym. To on intonuje kolędę, a blondynek się dołącza. Głosy zderzają się, jakby śpiewało dwóch ludzi niesłyszących się nawzajem. Mimo to nie przerywam, próbując zgadnąć, czy będą znali również drugą zwrotkę. Znają, ale niedokładnie, kolęda rwie się, z trudem docierają do refrenu. Macham ręką i wręczam im pieniądze. Szybko zbiegają po schodach, nie mówiąc „dziękuję" ani „wesołych świąt". Widocznie tylko ja otwarłem im drzwi; mieszkamy na najwyższym piętrze, a wcześniej śpiewu nie słyszałem.

To było kilka, może kilkanaście lat temu. Teraz nikt już nie przychodzi. Kolędy śpiewają jedynie ministranci towarzyszący księdzu.

Za komuny chodzenie z szopką po miejskim osiedlu było ryzykiem. Czasem milicjanci spisywali kolędników. W sąsiedniej klatce mieszkał mężczyzna, którego nazywaliśmy „ormowcem". Czy naprawdę był w ORMO, nikt nie ośmielił się sprawdzić. Maciej Maleńczuk napisał o nim piosenkę zatytułowaną „Józef Kania", w której przedstawia go jako partyjniaka z komitetu blokowego. Wszyscy się go bali; kiedyś przypadkowo trafiłem piłką w jego konkubinę, za co oberwałem kilka razy w głowę. Opowiadano, że Kania zasadza się na kolędników i zabiera im pieniądze. Raz podobno z tego powodu go pobito; zrobili to chłopcy z innego osiedla, którzy nie przestraszyli się, bo nie wiedzieli, kim jest.

Jestem chłopem, ale miejskim. Dlatego lubiłem opowieści rodziców i dziadków o tym, jak się chodziło po kolędzie i „po śmiguście" na wsi. Na odpustach podziwiałem drewniane kogutki, które klaskały skrzydełkami – ubogich krewnych wózków kurkowych, z jakimi objeżdżano domy w okolicach Wielkanocy. Wyobrażałem sobie kolędników tłukących w okiennice, żeby im otwarto, łapiących dziewczyny za spódnice, jeśli im w końcu otworzono, i rzucających klątwy na dom, jeśli drzwi pozostały zamknięte.

Dawniej kolędowała raczej młodzież niż dzieci. Szymon Pietruszka, bohater powieści Wiesława Myśliwskiego „Kamień na kamieniu", opowiada, że kiedy w młodości chodził z chłopakami po kolędzie, „nikt nie chciał być królem Herodem, że niby śmierć ścina Herodowi głowę, a każdy wolał ostać się żywy. To zawsze Herodem byłem ja, bo wolałem być królem, niż się śmierci bać. Kosę mieliśmy prawdziwą, taką od żniwa, nie robioną z drewna. To gdy tą prawdziwą kosą śmierć głowę ścinała, czuło się, jakby i śmierć była prawdziwa, a nie Antek Mączka w białej płachcie przebrany za śmierć. Jeszcze za każdą śmiercią ostrze kosy musiało dotknąć mojego karku, nie tylko mi koronę z głowy zrzucić. Ale ani razu nie zadrżałem. Choć ile chałup obeszliśmy jednego wieczora, tyle razy śmierć mi głowę ścinała i po karku. Gospodarze, u których się kolędowało, nieraz patrzeć nie mogli, baby w pisk i oczy dzieciom zasłaniały. Ale gdzie gorzej się bali, to potem i po większym kawałku placka dali, i po kawałku kiełbasy, po kieliszku wódki". Raz tylko, opowiada Pietruszka, „Antek Mączka jakoś tak zajechał, że mi krew pociekła, to mu kosę odebrałem, wykopałem po dupie i więcej śmiercią nie był".

Przypomina mi się historia, którą usłyszałem od kolegi. W którymś z polskich sanktuariów organizowano przedstawienie pasyjne. Zgłosiło się sporo chłopów, w tym dwóch takich, którzy byli ze sobą poróżnieni. I tak się złożyło, że pierwszy dostał rolę Jezusa, a drugi rzymskiego żołnierza. Zaczęła się droga krzyżowa. Rzymski żołnierz nie zamierzał Jezusa oszczędzać: siekł powrozem, ile tylko miał sił. Jezus z początku dzielnie to znosił, w końcu jednak nie wytrzymał, puścił krzyż, wyrwał bijącemu powróz i sam zaczął go okładać. Ludzie rzucili się, żeby rozdzielić zwaśnionych, ale dopiero księdzu się udało. Żołnierzowi kazał iść z tyłu, żeby więcej Jezusa nie prowokował.

Chyba tylko raz na naszym blokowisku pojawili się prawdziwi kolędnicy: król z berłem, śmierć z kosą, diabeł z widłami i tak dalej. Zapamiętałem ich sylwetki ściśnięte w prostokącie drzwi i kręcącą się gdzieś w tle za nimi gwiazdę. Nie weszli do mieszkania, stali na korytarzu i śpiewali. Na pewno złożyli nam życzenia. Tata z czarnego materiału uszył mi potem maskę diabła. Rogi sterczały jak dwie marchewki, z otworu na usta wychylał się czerwony jęzor. ©

Tekst pochodzi ze zbioru „Sto lat. Książka życzeń", który ukaże się 5 stycznia nakładem wydawnictwa Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 1274/17, na wniosek Miasta Stołecznego Warszawy, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zygmuncie Rzeżuchowskim, zm. 22 kwietnia 2014 r. w Nowym Dworze Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

A NA KOŃCU I TAK WYGRYWA MERKEL

Po 18 latach jako przewodnicząca CDU odeszła z tej funkcji na własnych warunkach. To dowód, że Angela Merkel dobrze rozpoznała kierunek zmian w niemieckim społeczeństwie.

GRZEGORZ SZYMANOWSKI Z BERLINA

Jeśli oceniać polityków po tym, jak oddają władzę, to Angeli Merkel sztuka ta udaje się wyjątkowo dobrze. Wybór jej następcy na czele Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) na kongresie tej partii w Hamburgu 7 grudnia stał się niemal partyjnym sądem nad jej dziedzictwem. Dwójka czołowych kandydatów, którzy chcieli objąć schedę w partii po niej, dobrze uosabiała bowiem niemiecką chadecję sprzed i po „erze Merkel".

Dla Friedricha Merza – jednego z tej dwójki pretendentów – była to próba powrotu do polityki po tym, jak to właśnie Merkel wypchnęła go z partii jeszcze na początku wieku. Po latach kariery na rynkach finansowych Merz apelował teraz o powrót do konserwatywnych korzeni chadeków. Jego rywalka, Annegret Kramp-Karrenbauer, do berlińskiej polityki przeszła z fotela premiera Kraju Saary dopiero na początku 2018 r. – i pod protekcją kanclerz. Bliżej jej do kursu Merkel, która w ostatnich 18 latach skierowała konserwatywną partię w stronę centrum.

Gdy na koniec, po dogrywce i tylko niewielką liczbą głosów delegaci wybrali na nową przewodniczącą 56-letnią Kramp-Karrenbauer, cieszyła się również Angela Merkel. Właśnie zwiększyły się szanse na powodzenie jej planu, który ogłosiła pod koniec października: że choć ustępuje z fotela przewodniczącej partii, to kanclerzem chce zostać aż do następnych wyborów w 2021 r.

Czas polaryzacji

Tymczasem w CDU już od miesięcy przybierała na sile opozycja wobec jej rządów. Ostatecznie do „odejścia na raty" zmusiły Merkel słabe wyniki chadeków w jesiennych wyborach landowych w Bawarii i Hesji. Choć CSU (bawarska odmiana chadecji) oraz CDU je wygrały, to kanclerz na siebie wzięła odpowiedzialność za utratę znacznej części elektoratu.

Problemem Merkel nie jest gospodarka. Gdy w 2005 r. została szefową rządu, w kraju największym wyzwaniem było bezrobocie na poziomie 11,7 proc. – pracy szukało wtedy prawie pięć milionów Niemców. Dzisiaj jest ono na rekordowo niskim poziomie (4,8 proc.), a z rosnącą gospodarką i niemal 40-miliardową nadwyżką budżetową Niemcy ekonomicznie dominują na kontynencie.

Jednak jej polityka nie pasuje do czasów społecznej polaryzacji, która przybrała na sile w czasie kryzysu migracyjnego. Od kilku lat CDU traci głosy z jednej strony na rzecz skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), której politycy zasiadają obecnie już i w Bundestagu, i we wszystkich 16 parlamentach krajów związkowych. Z drugiej strony chadekom głosy odbierają także Zieloni, którzy najostrzej krytykują AfD.

Oszczędny i pragmatyczny styl Merkel nie pasuje do czasów emocjonalnego sporu. Wielu w partii tęskni za bardziej konserwatywną polityką, o czym świadczy dobry wynik Friedricha Merza na kongresie w Hamburgu.

Od początku ostrożna

Już okoliczności, w jakich Merkel zostaje kanclerzem, wiele mówią o przyszłym stylu jej rządów.

Gdy w wieczór wyborczy 18 września 2005 r. pojawia się w studiu telewizyjnym, nie wygląda na pewną siebie. Nic

MARKUS SCHREIBER / AP / EAST NEWS

Angela Merkel na ostatnim zjeździe swojej partii, podczas którego wybrano jej następczynię w funkcji przewodniczącej CDU. Hamburg, 8 grudnia 2018 r.

dziwnego: mimo że CDU i CSU uzyskały najwięcej głosów, to zapowiadana w sondażach duża przewaga nad socjaldemokratami (SPD) okazuje się minimalna: zaledwie 35 proc. do 34 proc. Merkel wygląda na zaskoczoną. „Poza [postkomunistyczną – red.] Partią Lewicy będziemy rozmawiać ze wszystkimi" – zapowiada ostrożnie.

„Wynik jest jednoznaczny: nikt poza mną nie jest w stanie zbudować stabilnego rządu" – ogłasza tymczasem, niemal równocześnie, rozpromieniony kanclerz Gerhard Schröder (SPD), choć i jemu brakuje większości. Na wizji Schröder traci nerwy i spiera się z telewizyjnymi moderatorami. Wyklucza możliwość „wielkiej koalicji" chadecko-socjaldemokratycznej, z Merkel w roli kanclerza. Butnie dorzuca: „Czy naprawdę wierzycie, że moja partia podejmie taką rozmowę?".

– Tamtego wieczoru wrażenie było takie, jakby to Merkel przegrała wybory – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem" Philip Manow, profesor politologii na uniwersytecie w Bremie, i dodaje: – Być może dlatego nikt nie mógł przewidzieć, że jej rządy potrwają tak długo.

Wobec braku innych koalicji realizuje się bowiem właśnie ten scenariusz, który wykluczał Schröder: SPD zaczyna rozmawiać z CDU/CSU i tworzy wspólnie z chadekami rząd. Dzięki temu, że nie dała się sprowokować w wieczór wyborczy, Merkel zostaje kanclerzem, a Schröder znika z niemieckiej polityki (szybko się odnajdzie – ale już w roli prorosyjskiego lobbysty).

Gdy Angela Merkel wprowadza się do Urzędu Kanclerskiego w listopadzie 2005 r., w Polsce od trzech tygodni premierem jest Kazimierz Marcinkiewicz, we Francji rządzi prezydent Jacques Chirac, a George W. Bush jest dopiero na początku drugiej kadencji jako prezydent USA.

Jest ona w tym momencie nie tylko pierwszą kobietą na stanowisku kanclerza Niemiec, ale też pierwszą szefową rządu pochodzącą z byłej komunistycznej NRD. Do tego najmłodszą: urodzona w 1954 r., obejmując urząd ma dopiero 51 lat.

We mgle

Pragmatyczna do znudzenia, ideologicznie nieokreślona, retorycznie słaba – to, co często zarzuca się Merkel jako słabość, było wizerunkiem starannie pielęgnowanym przez nią i jej ekipę.

Dziennikarze towarzyszący jej w zagranicznych podróżach piszą o różnicy w jej zachowaniu przy wyłączonych mikrofonach. Bo w nieformalnych sytuacjach Angela Merkel opowiada anegdoty, żartuje, jest charyzmatyczna. Gdy stoi przed kamerami, ogranicza się do suchych konkretów, rzadko pokazuje emocje.

To pasuje do oczekiwań Niemców. Gdy w październiku 2008 r. kryzys z Wall Street zaczyna zagrażać niemieckim bankom, Merkel zapewnia przed kamerami: „Mówimy naszym obywatelom, że ich depozyty, ich oszczędności są bezpieczne". Tylko tyle i aż tyle.

Socjolog Heinz Bude oceniał później w dzienniku „Tagesspiegel": „Jej wypowiedzi były tak niefortunne, że uczyniły ją wiarygodną. Była niepewna i niezdecydowana. Przesłanie brzmiało: jedziemy tak daleko, jak widzimy we mgle, więc musimy zachować spokój. W tej sytuacji nikt w Niemczech nie życzyłby sobie pretendującego charyzmatyka, wyrywającego się do przodu z pomysłami".

W 2009 r. Merkel znów wygrywa wybory – i teraz tworzy rząd z liberałami z FDP. Symbolem tej kadencji stanie się decyzja o odejściu od energii nuklearnej. A raczej to, jak do niej doszło. Najpierw w 2010 r. rząd Merkel unieważnia wcześniejszą decyzję rządu SPD i Zielonych i zgadza się na wydłużenie pracy reaktorów. Sytuacja się zmienia, gdy w marcu 2011 r. dochodzi do awarii elektrowni w japońskiej Fukushimie. Dwie trzecie Niemców chce zamknięcia elektrowni atomowych. W górę szybuje poparcie Zielonych, którzy postulują to od dawna. Niecałe trzy miesiące po Fukushimie rząd Merkel pisze ustawę o zamknięciu elektrowni jądrowych w Niemczech do 2022 r. ↦

„Dziewczynka Kohla"

↦ Politolog Philip Manow tak mówi o paradoksie rządów Merkel: – Niemiecki system polityczny uchodzi za skostniały, wymagający dużo koordynacji. Instytucje blokują się wzajemnie i potrzeba wielu koalicji oraz negocjacji, żeby coś osiągnąć. Tymczasem za rządów Merkel raz po raz dochodziło do zaskakujących decyzji.

Manow nazywa je „kontrolowanymi detonacjami systemu", dzięki którym Merkel udało się zawieszać lub unieważniać stare zwyczaje niemieckiej polityki.

Przykładem może być już jej kariera w partii. Angela Merkel, doktor chemii fizycznej na wschodnioniemieckiej Akademii Nauk, w politykę angażuje się dopiero po upadku muru berlińskiego w 1989 r., w wieku 35 lat. W pierwszych wyborach po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. dostaje się do Bundestagu z listy CDU. Ówczesny kanclerz Helmut Kohl bierze ją do rządu jako minister ds. kobiet i młodzieży, a potem ochrony środowiska. To wtedy do Merkel przylega protekcjonalne określenie – „dziewczynka Kohla".

Pozbywa się go 22 grudnia 1999 r. Po przegranych rok wcześniej wyborach CDU jest w opozycji, a krajem rządzi Gerhard Schröder, gdy wychodzi na jaw, że Kohl przez lata przyjmował nielegalne dotacje dla CDU na „czarne konta" partii, poza kontrolą Bundestagu. To wtedy Merkel na łamach dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung" publikuje tekst-deklarację, ogłaszając, że partia musi odciąć się od Kohla, który po przegranych wyborach pozostał honorowym przewodniczącym partii.

Na przekór regułom

Teraz media piszą o niej „ojcobójczyni". Ale w partii przyznają jej rację: CDU odcina się i od Kohla, i od razu także od namaszczonego przez niego na nowego przewodniczącego Wolfganga Schäublego (choć potem okaże się, że o nielegalnym procederze niczego nie wiedział), który przewodniczącym chadecji został z namaszczenia „kanclerza jedności". I tak oto w roku 2000, niewiele ponad 10 lat od rozpoczęcia kariery politycznej, na partyjnym zjeździe Angela Merkel zostaje przewodniczącą CDU, a w następnych latach umacnia swoją pozycję.

– Zwyciężyła outsiderka bez lojalności wobec reguł, według których dotychczas następował przydział władzy – ocenia Manow, bo do przywództwa w CDU szykowało się wtedy wielu polityków, wszyscy z nich to mężczyźni z zachodnich krajów związkowych.

Dzięki temu, że nie miała głębokich korzeni w CDU, swobodniej mogła obchodzić się z partyjnymi dogmatami. „Czasem jestem liberalna, czasem konserwatywna, czasem chrześcijańsko-socjalna" – mówiła w 2009 r. Głównym źródłem jej władzy było poparcie opinii publicznej. Dopóki dobrze odczytywała jej nastroje i wygrywała dla chadeków wybory, inni chadeccy prominenci partyjni albo ją popierali, albo lądowali na marginesie.

Zmiany stanowiska są potrzebne, aby dogonić zmiany zachodzące w społeczeństwie. Tak jak w 2017 r., gdy Merkel znosi dyscyplinę partyjną przed głosowaniem w sprawie zawierania małżeństw przez pary homoseksualne. Popiera to 75 proc. Niemców, a zbliżają się wybory. I choć sama Merkel głosuje przeciw, to projekt zdobywa większość i temat ten przestaje być dla CDU politycznym zagrożeniem.

Wobec kryzysu strefy euro

W Unii Europejskiej jej rządy przypadają na czas kryzysu, którego przyczyną jest rosnące zadłużenie niektórych krajów strefy euro. To od stanowiska Berlina w dużym stopniu zależy odpowiedź Unii na problemy Grecji i innych krajów z unijnego południa.

– W przeciwieństwie do Kohla, który uważał, że kryzysy należy wykorzystywać do pogłębiania integracji, Merkel skupiała się na zarządzaniu bieżącymi procesami i na nawigowaniu od kryzysu do kryzysu – ocenia w rozmowie z „Tygodnikiem" Josef Janning, szef berlińskiego biura think-tanku European Council on Foreign Relations.

Merkel broni wspólnej waluty, ale szybko wykłada swoją logikę: zamiast tworzyć nowe instytucje i dzielić się budżetem oraz długami, każdy rząd strefy euro powinien samodzielnie wdrażać wspólne regulacje, które – odpowiednio stosowane – wystarczą do pokonania kryzysów. W zamian za nowe kredyty Grecja i inne kraje południa mają się reformować. I przede wszystkim oszczędzać.

Polityka oszczędności z jej poważnymi skutkami społecznymi, jaką w krajach Południa przeforsowała (niektórzy mówią: narzuciła) ze swoim ministrem finansów Wolfgangiem Schäublem, będzie jej najważniejszym i najbardziej kontrowersyjnym dziedzictwem w Unii Europejskiej.

Ostrożna i pragmatyczna

Janning wymienia kilka powodów słynnej ostrożności Angeli Merkel podczas kryzysu.

Pierwszy z nich miałby mieć charakter osobisty. – Jej najważniejszym życiowym doświadczeniem był upadek muru berlińskiego. Z tej perspektywy ważniejsze było utrzymanie spełnionego marzenia, jakim była Unia w dzisiejszej formie, a nie jego pogłębianie – ocenia politolog.

Drugi powód to czas: gdy Merkel dochodzi do władzy, entuzjazm zjednoczeniowy z przełomu wieków już traci na sile. Traktat konstytucyjny upada w referendach we Francji i w Holandii na kilka miesięcy przed tym, jak zostaje ona kanclerzem. Nowy traktat lizboński z 2007 r. zwiększa już rolę państw narodowych w podejmowaniu decyzji. – To odpowiadało stylowi Merkel, dla której polityka polega na uporządkowanych procesach i negocjacji interesów – mówi Janning.

Ostrożna polityka pasowała opinii publicznej w kraju. – Niemcy zawsze mówią, że są „za Europą", ale gdy przychodzi do konkretów, to są bardzo wstrzemięźliwi, właściwie eurosceptyczni – uważa Janning. Dodaje: – Boimy się, że inni chcą tylko naszych pieniędzy. Kohl powiedziałby: „Może i chcą, ale dzięki temu mamy możliwość, aby popchnąć integrację do przodu". Merkel woli tego argumentu nie używać i zostawia Niemców w mentalnym szpagacie.

To działa. W wyborach do Bundestagu w 2013 r. chadecy pod wodzą Merkel zdobywają 41 proc. głosów – do samodzielnej większości brakuje im tylko kilku posłów. Rząd znowu tworzy „wielka koalicja" CDU/CSU i SPD, która dysponuje teraz aż 80 proc. głosów w Bundestagu.

Ścisk w politycznym centrum

Na niemieckiej scenie politycznej rządy Angeli Merkel to czasy postępującego politycznego rozdrobnienia. Podobnie jak w innych państwach zachodniej Europy, powoli kończy się era dużych „partii ludowych". Najwyraźniej widać to na dwóch przykładach: osłabienia lewicowej SPD i narodzinach skrajnie prawicowej AfD.

Gdy spotykamy się na początku grudnia, Cansel Kiziltepe, socjaldemokratka, jest w kiepskim nastroju. Sondaż, który ukazał się tego dnia, daje SPD najniższy wynik w historii: 13,5 proc.

– To boli, gdy widzisz 150-letnią partię upadającą tak nisko – mówi Kiziltepe

MELDE PRESS / SIPA PRESS / EAST NEWS

Obok siebie, ale już nie razem: były kanclerz Helmut Kohl i Angela Merkel – od kilku miesięcy pełniąca funkcję przewodniczącej CDU – na obchodach 10. rocznicy zjednoczenia Niemiec, 2000 r.

w swoim biurze w Bundestagu. Okno za jej plecami wychodzi na aleję Unter den Linden, już dawno zapadł wczesny zimowy zmrok.

Kiziltepe jest posłanką SPD od 2013 r. Wybrana w okręgu wyborczym w lewicowych berlińskich dzielnicach Friedrichshain i Kreuzberg, znana jest w partii jako krytyczka „wielkiej koalicji" z chadekami.

Już gdy wstępowała do SPD w 2005 r., partia borykała się z utratą co bardziej lewicowych wyborców, którzy nie mogli wybaczyć kanclerzowi Schröderowi jego liberalnych reform rynku pracy pod hasłem „Agenda 2010". Kiedy partia weszła wtedy do „wielkiej koalicji", Kiziltepe była sceptyczna, ale uznała, że to konieczny kompromis.

– Od tamtej pory było tylko gorzej – ocenia dziś. Ówczesny kompromis przybrał bowiem trwały kształt i dziś socjaldemokraci są koalicjantami Merkel już przez dziewięć z trzynastu lat jej rządów. Tymczasem w koalicji z partią Merkel SPD stale traciła swój profil i poparcie. – Pani kanclerz przejmowała na swoje konto wiele naszych zasług. Np. gdy prezentowała się jako zwolenniczka wprowadzenia płacy minimalnej, co było w naszym programie – mówi Kiziltepe.

Co więcej, liberalne reformy Schrödera, które pociągnęły w dół notowania SPD, wydają owoce właśnie w czasie kanclerstwa Merkel. To także dzięki dobrej koniunkturze kanclerz do dziś zyskuje.

SPD pada ofiarą „bezalternatywnego" stylu Angeli Merkel. Choć jeszcze w poprzedniej kadencji socjaldemokraci mogliby uzbierać większość wspólnie z Zielonymi i Partią Lewicy i w efekcie obalić Merkel, to jej liderzy bali się koalicji z postkomunistami.

Kiziltepe mówi otwarcie: – Jeśli cały czas boimy się wyraźnie powiedzieć, że chcemy lewicowej większości, to nikt nam nie uwierzy. W Angeli Merkel trudno mieć przeciwnika, bo nie mówi ona głośno swojego zdania. Nikt nie zna jej przekonań albo jej wizji społeczeństwa.

Na kilka dni przed wyborami nowego kierownictwa CDU Cansel Kiziltepe miała jeszcze nadzieję, że wygra je Friedrich Merz. Ze swoim mocno konserwatywnym profilem i doświadczeniem w sektorze finansowym byłby dobrym celem do ataku dla socjaldemokratów. Zwycięstwo Kramp-Karrenbauer, która symbolizuje kontynuację kursu Merkel, nie mogło jej ucieszyć.

Granice pozostają otwarte

Najbardziej kontrowersyjną częścią spuścizny Angeli Merkel jest jej decyzja z 5 września 2015 r., gdy podczas zaostrzenia kryzysu migracyjnego zgodziła się na przyjęcie w Niemczech uchodźców, którzy na piechotę ruszyli z Węgier w stronę Austrii i Niemiec.

Dziś często mówi się, że Angela Merkel „otworzyła granice" dla uchodźców. Ale w rzeczywistości granica między Niemcami a Austrią była już otwarta w ramach strefy Schengen. Merkel zdecydowała, aby jej nie zamykać. – Mit otwarcia granicy jest nieprawdziwy, ale nie udało jej się go pokonać i to stało się jej problemem – ocenia w rozmowie z „Tygodnikiem" Gerald Knaus, szef think-tanku European Stability Initiative.

Zgodnie z unijnymi przepisami za przyjęcie uchodźców odpowiedzialny powinien być pierwszy kraj Unii, do którego przybyli. – Merkel nie chciała rozwiązywać kryzysu kosztem innych Europejczyków i odrzuciła nierealistyczny pomysł, by wszystkich uchodźców zatrzymać w Grecji – mówi Knaus. W latach 2015-16 wnioski o azyl złożyło w Niemczech 1,2 miliona ludzi.

W innych krajach Unii kontrowersje wzbudziła jednak idea relokacji uchodźców. – Ten pomysł był nie tylko bardzo polaryzujący, ale przede wszystkim niewykonalny. Komisja Europejska, Niemcy i inne kraje zbyt długo się go trzymały – ocenia Knaus. – To była desperacja, próba znalezienia jakiegokolwiek rozwiązania.

Josef Janning zwraca uwagę na głębsze tendencje, które wzmocniły tamte nieporozumienia: – Za czasów Angeli Merkel Niemcy stają się na tyle silne, że wielu zaczyna wierzyć, że nie musimy specjalnie oglądać się na innych. Szczególnie po kryzysie w strefie euro Niemcy zajmują niejako prezydencjalną rolę i rzadko słuchają opinii innych, bo są przekonani, że inni i tak dostosują się do ich stanowiska.

Gdy w Niemczech maleje entuzjazm wobec przyjmowania uchodźców, w marcu 2016 r. Merkel wspólnie z holenderskim premierem negocjuje umowę o współpracy z Turcją, dzięki której liczba docierających do Unii przez Bałkany radykalnie się zmniejsza. Ten pomysł pochodził od Knausa i jego think-tanku. – Wbrew opinii, że Merkel straciła kontrolę nad granicami, w rzeczywistości dopiero zawarta przez nią umowa z Turcją doprowadziła do odzyskania kontroli – przekonuje Knaus.

W kraju na sile przybierają jednak antymuzułmańskie i antyuchodźcze protesty ruchu PEGIDA, wiatru w żagle nabiera też AfD. Partia ta, powstała jeszcze w trakcie kryzysu strefy euro, w proteście ↦

↦ przeciwko wspólnej walucie, w 2013 r. nie dostała się do parlamentu. Teraz właśnie antyuchodźcza retoryka sprawia, że zdobywa miejsca w kolejnych parlamentach krajowych (landtagach), aż w 2017 r. z wynikiem 12,6 proc. wchodzi do Bundestagu.

AfD jako szansa?

Partia, która swoim głównym hasłem uczyniła „Merkel musi odejść", właściwie powinna teraz świętować. Ale na spotkaniu AfD w berlińskiej dzielnicy Reinickendorf na początku listopada z początku nie widać dużych emocji.

W sali restauracji z kuchnią bałkańską siedzi ponad 60 osób, w większości mężczyźni; średnia wieku wynosi powyżej 50 lat. Połowa z nich należy do AfD, reszta to sympatycy. Dopiero gdy omawiana jest zmiana władzy w CDU, na nazwisko Kramp-Karrenbauer sala reaguje buczeniem. – Dla nas to jest to samo, co Merkel – mówi Rolf Wiedenhaupt, reprezentujący partię w radzie dzielnicy. Sam był wcześniej członkiem CDU, a do AfD przeszedł w 2014 r., sprzeciwiając się unijnej pomocy dla pogrążonej w kryzysie Grecji.

Ale na sali są też dawni wyborcy innych partii. 72-letni Günther Klinger przez większość życia głosował na SPD. Teraz bierze formularz zgłoszeniowy, aby zapisać się do AfD. Do SPD zniechęciły go już liberalne reformy. – Nawet CDU nie obniżyło podatków najbogatszym tak, jak uczynił to Schröder – mówi oburzony. Na AfD Klinger zaczął głosować po kryzysie migracyjnym.

Fakt, że AfD zapewne na trwałe pozostanie w niemieckiej polityce, jest konsekwencją kursu Merkel i ceną, jaką kanclerz gotowa była zapłacić za skierowanie CDU w stronę politycznego centrum. Matthias Jung, demoskop uważany za bliskiego kanclerz, już w 2014 r. opublikował analizę pod tytułem „AfD jako szansa dla CDU/CSU". Argumentował w niej, że powstanie skrajnie prawicowej partii uwiarygodni modernizację, jaką przeszła chadecja, i jeszcze bardziej utrudni w przyszłości zbudowanie lewicowej koalicji.

Na razie, od czasu ubiegłorocznych wyborów do Bundestagu, AfD utrzymuje się w sondażach na stałym poziomie 13-15 proc. poparcia.

– Mimo polityki Merkel i faktu, że Niemcy przyjęły najwięcej uchodźców w Europie, AfD nadal jest o wiele słabsza niż inne partie tego typu we Włoszech albo we Francji. Nie ma też zdolności koalicyjnej, jak Partia Wolnościowa w Austrii – ocenia Gerald Knaus. – Według mnie wynika to z faktu, że kryzys był w miarę dobrze zarządzany, a w kraju nie powstały miasteczka namiotowe jak we francuskim Calais – dodaje.

Potwierdzenie kursu

Odkąd przed ostatnimi wyborami do Bundestagu we wrześniu 2017 r. zaczęto spekulować, że Angela Merkel rozważa wycofanie się z polityki, jej pozycja się zachwiała. Po tych wyborach, w których chadecja – mimo poważnych strat – znów dostała najwięcej głosów, przez długi czas nie mogła zbudować stabilnej rządowej koalicji. A przez czas, jaki minął od tych wyborów, pracę rządu zdominowały ataki na jej politykę migracyjną.

– Do ostatnich wyborów rządy Merkel to czas wyciszenia politycznego sporu. Decyzje przychodziły z zaskoczenia, bez przygotowania na gruncie partyjnym, a Urząd Kanclerski skutecznie przedstawiał politykę Merkel jako jedyną rozsądną i wręcz bezalternatywną – mówi Philip Manow z uniwersytetu w Bremie. – Ale z tego braku wyraźnego sporu narodziła się AfD. Odkąd ta partia weszła do Bundestagu, obserwujemy ponowną polaryzację systemu politycznego. Zaostrzają się debaty w parlamencie, rośnie też frekwencja wyborcza.

Prezydencjalny styl Merkel coraz gorzej pasuje do tej sytuacji – czego dowodem był także odpływ chadeckich wyborców w dwóch kierunkach: do AfD i do Zielonych (ci ostatni dawno już utracili rys partii buntowników – dziś jest to w gruncie rzeczy partia liberalno-ekologiczna, popularna wśród klasy średniej).

Dylemat, przed jakim stała kanclerz, pokazuje jednak również fakt, że w wyborach landowych w Bawarii oraz w Hesji największą grupą wyborców, których stracili chadecy, byli ci, którzy... zmarli. Modernizując konserwatywną partię i przesuwając ją do centrum, Merkel reagowała na zmiany społeczne, które zaszły w Niemczech w ostatnich dwóch dekadach. Los SPD uczy, co dzieje się z partiami, które tych zmian nie rozpoznają.

To, że niewiele robiła sobie z utartych zasad niemieckiej polityki, było jej kluczem do sukcesu. Wybór Annegret Kramp-Karrenbauer na jej następczynię w CDU pokazuje, że partii bardziej zależy teraz na zmianie personalnej niż na wyraźnej zmianie kursu, nawet jeśli nowa przewodnicząca będzie musiała wyciągnąć rękę do konserwatywnego skrzydła partii, by zasypać narastające w niej podziały.

Dziedzictwo i kanclerstwo Angeli Merkel nie są jednak zagrożone. Przynajmniej na razie.

© GRZEGORZ SZYMANOWSKI

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Bertolt Brecht
Kariera Artura Ui
reżyseria Remigiusz Brzyk

www.teatrwkrakowie.pl

DAVID MDZINARISHVILI / REUTERS / FORUM

Salome Zurabiszwili, prezydent-elekt Gruzji, udziela wywiadu agencji Reutersa. Tbilisi, 1 grudnia 2018 r.

Czas Salomei

WOJCIECH JAGIELSKI

Po raz pierwszy od prawie tysiąca lat, od czasu królowych Tamary i Rusudan, przywódczynią gruzińskiego państwa została kobieta. Jednak Salome Zurabiszwili trudno będzie nawiązać do osiągnięć swych wielkich poprzedniczek.

Wolną elekcję wygrała dopiero po dogrywce, co nigdy wcześniej w Gruzji się nie zdarzyło. Odkąd w 1991 r., po rozpadzie Związku Sowieckiego, kraj odzyskał niepodległość, we wszystkich wyborach prezydenckich zwyciężał zawsze, i to bezdyskusyjnie, akurat ten z polityków, którego Gruzini mieli za męża opatrznościowego. Tak właśnie wygrał w 1991 r. Zwiad Gamsachurdia, potem Eduard Szewardnadze, a po nim Micheil Saakaszwili. Mieli, rzecz jasna, rywali, ale żaden z nich się nie liczył.

Ostatni, czwarty prezydent, Giorgi Margwelaszwili – choć nikt męża opatrznościowego w nim nie widział – zwyciężył w 2013 r. bezdyskusyjnie, bo na prezydenta namaścił go najbogatszy z Gruzinów Bidzina Iwaniszwili, w którym rodacy dostrzegali nowego zbawcę po rozczarowaniu, jakie sprawił im Saakaszwili.

O drugą kadencję Margwelaszwili się już nie ubiegał. Wybrany na prezydenta nagle zhardział, przestał słuchać rozkazów Iwaniszwilego, spełniać jego zachcianki. Iwaniszwili powiedział potem, że żałuje, iż nie poznał się zawczasu na Margwelaszwilim, i że wyznaczenie go na prezydenta było jego największym błędem.

Kto wie, czy właśnie nie po to, aby uniknąć w przyszłości podobnej sytuacji, bogacz z Tbilisi kazał w 2017 r. tak poprawić konstytucję, by odebrała prezydentowi wszelką władzę i znaczenie? Tegoroczne wybory były ostatnimi, w których głowę państwa wyłoniono w powszechnym głosowaniu – następnego wybiorą już nie obywatele, lecz posłowie i radni. Odtąd rzeczywistym przywódcą będzie premier, wyznaczany przez rządzącą partię, którą Iwaniszwili za własne pieniądze założył, i której pozostaje panem i władcą. Tak właśnie lubi rządzić: z tylnego fotela, decydując o wszystkim i za nic nie ponosząc odpowiedzialności.

Z namaszczenia bogacza

Nikogo się nie radząc i nie zwracając uwagi na protesty partyjnych towarzyszy, Iwaniszwili postanowił, że w tegorocznych wyborach jego rządząca partia Gruzińskie Marzenie nie wystawi własnego kandydata, lecz udzieli poparcia Zurabiszwili – byłej szefowej dyplomacji, kobiecie znanej i szanowanej (choć nie przez wszystkich). Dwa lata temu, dzięki poparciu Iwaniszwilego, choć nie należy ona do „marzycieli", została posłanką do parlamentu.

W Tbilisi zachodzono w głowę, czy tajemniczy bogacz ma słabość do tej kobiety? Czy też w swoim wyborze, jak ↦

↦ w interesach, kierował się wyłącznie wyrachowaniem?

Iwaniszwili musiał sobie zdawać sprawę, że po sześciu latach rządów „marzycieli" rodacy są już nimi zmęczeni, a każde wybory mogą przerodzić się w plebiscyt zaufania. Gdyby Iwaniszwili je przegrał – dotąd wszystkie wygrywa – straciłby nimb niezwyciężonego, a to mogłoby się okazać początkiem końca jego rządów. Aby uniknąć ryzyka, postanowił postawić na Zurabiszwili. Gdyby przegrała, odciąłby się od niej i obarczył winą za porażkę. W razie wygranej przypisałby sobie całą zasługę, a jako jej polityczny wierzyciel miałby prawo oczekiwać od niej posłuszeństwa.

Bez niego – wierzył Iwaniszwili – bez jego błogosławieństwa i bez jego pieniędzy Zurabiszwili niczego by w gruzińskiej polityce nie osiągnęła. Tak, była znana i lubiana. Gruzini, którzy – w przeciwieństwie do sąsiadów Ormian, Czeczenów czy Czerkiesów – nie żyją w diasporze, zawsze mieli słabość do tych nielicznych rodaków, którym udało się wybić na osobistości o światowej sławie. Kiedyś szczycili się Saakaszwilim, o którym było głośno w świecie, byli dumni z Szewardnadzego, przyznają się nawet do tyrana Stalina [patrz „TP" 48/2018 oraz na powszech.net/stalin – red.].

W przypadku Zurabiszwili już samo jej pojawienie się w kraju dało Gruzinom posmak wielkiego świata.

Paryżanka w Tbilisi

Salome Zurabiszwili, rocznik 1952, przybyła do Gruzji w czasie ulicznej młodzieżowej rewolty przeciw pysze i korupcji rządzących. O gruzińskiej rewolucji róż z listopada 2003 r. mówił cały świat: stawiano ją za przykład, jak dochodzić sprawiedliwości i obalać przywódców, którzy nie rozumieją, że oto nadchodzą nowe czasy.

Przyjechała jako obywatelka Francji i jej dyplomatyczna przedstawicielka w ojczyźnie przodków. A więc jako Francuzka, paryżanka.

A także jako wnuczka gruzińskich uchodźców politycznych. Na początku XX w. jej dziadkowie należeli do gruzińskiej elity. Dziadek ze strony matki zakładał czarnomorski port w Poti i budował w Gruzji kolej żelazną. Dziadek ze strony ojca był ministrem w rządzie z czasów pierwszej niepodległości z lat 1918-21. Obaj byli towarzyszami pisarza, myśliciela i działacza społecznego Ilii Czawczawadzego (zginął w zamachu w 1907 r.), uważanego w Tbilisi za narodowego bohatera. Zurabiszwili twierdzi, że jej rodzina jest spowinowacona ze szlachetnymi rodami Orbelianich i Barataszwilich.

W 1921 r., gdy bolszewicy podbili Gruzję i ponownie włączyli ją do Rosji (teraz bolszewickiej), dziadkowie Salome Zurabiszwili uciekli do Francji. Politycznym emigrantem i pisarzem, który uciekł z kraju przed komunizmem, był też zmarły przed sześcioma laty mąż Zurabiszwili, Janri Kachia (Żanri Kaszia).

Wykształcona we Francji i USA (studiowała nauki polityczne), podjęła pracę we francuskiej dyplomacji. Służyła na placówkach w Rzymie, Brukseli, Wiedniu, czadyjskiej Ndżamenie, Waszyngtonie i Nowym Jorku, a w paryskiej centrali zajmowała się badaniami strategicznymi. Gruzję odwiedziła po raz pierwszy dopiero w 1986 r., już jako dorosła kobieta.

Na czele dyplomacji

Jesienią 2003 r. została mianowana ambasadorem w Gruzji. Nie zdążyła się jeszcze zadomowić, gdy w Tbilisi doszło do rewolucji róż, która obaliła starego prezydenta Eduarda Szewardnadzego i wyniosła do władzy przywódcę buntu Micheila Saakaszwilego.

Wiosną następnego roku Saakaszwili (już prezydent) zapytał Zurabiszwili, czy nie chciałaby kierować jego dyplomacją, stając się tym samym pierwszą w Gruzji kobietą na tym stanowisku. – Zgodziłam się bez wahania, ale tłumaczyłam Saakaszwilemu, że to się po prostu nie może udać – opowiadała mi w grudniu 2004 r., podczas wizyty w Warszawie. – Mówiłam mu, że jako obywatelka Francji mogę co najwyżej zostać jego doradczynią. Ale ministrem? Byłam pewna, że to niemożliwe. Ale Saakaszwili powiedział, że wszystko załatwi. Był akurat w Paryżu z wizytą i przekonał prezydenta Chiraca, żeby mnie zwolnił z Francji do Gruzji.

Została szefową gruzińskiej dyplomacji, choć pozostała obywatelką Francji. Francuski rząd płacił jej też gruzińską ministerialną pensję.

Wtedy w Warszawie opowiadała mi, że gdy przyjechała z wizytą do Moskwy, jej rosyjscy gospodarze, a także dziennikarze i słuchacze moskiewskich stacji radiowych byli zdumieni, a nawet oburzeni tym, że minister z Gruzji nie mówi po rosyjsku. – Dziwili się, że Gruzinka może nie znać ich języka, dzwonili do radia z pretensjami, zarzucali mi demonstrację polityczną, niemal prowokację – mówiła Zurabiszwili.

Tam i z powrotem

Na posadzie szefowej MSZ utrzymała się ledwie półtora roku. Swoim temperamentem, niezależnością, brakiem obycia w lokalnej polityce i nieznajomością osobliwości posowieckich zwyczajów politycznych – wszystkim tym szybko narobiła sobie wrogów.

Ci zaś skarżyli się na nią do przewodniczącej parlamentu Nino Burdżanadze. Ambitna i zazdrosna o władzę Burdżanadze należała do „triumwiratu", który przewodził rewolucji róż, a po niej, aż do wyboru Saakaszwilego na prezydenta w styczniu 2004 r., pełniła obowiązki szefa państwa.

Oskarżana o bałagan w MSZ, a także o niekompetencję i arogancję, jesienią 2005 r. Salome Zurabiszwili została zwolniona. Nie posiadając się z oburzenia, obwieściła, że zamiast wręczać jej dymisję, Saakaszwili powinien rozpędzić na cztery wiatry nieżyczliwy jej parlament. Nie robiąc tego – groziła – popełni błąd, którego gorzko pożałuje.

Saakaszwili nie zmienił zdania, więc Zurabiszwili przeszła do coraz liczniejszego obozu jego przeciwników. Jesienią 2005 r. założyła własną partię opozycyjną Droga Gruzji, a dwa lata później przewodziła demonstracjom, podczas których żądano ustąpienia Saakaszwilego, niedawnego ludowego bohatera.

W 2006 r. bez powodzenia ubiegała się o stanowisko burmistrza Tbilisi, a w 2008 r. chciała walczyć z Saakaszwilim o prezydenturę i domagała się, by wykreślić z konstytucji zapis, że kandydat na prezydenta musi mieszkać w Gruzji co najmniej 15 lat od dnia poprzedzającego wybory.

Nie została dopuszczona do elekcji. Ale zjednoczona przeciw Saakaszwilemu opozycja obiecała jej (cieszyła się wówczas sporą popularnością jako polityk z zewnątrz, spoza układów), że po wygranej zostanie premierem w nowym rządzie. W wyborach zwyciężył jednak Saakaszwili, a zniechęcona Zurabiszwili obwieściła w 2010 r., że w Gruzji nie ma co liczyć na demokrację, więc wycofuje się z polityki i przyjmuje posadę w ONZ.

Do Gruzji i tutejszej polityki wróciła w 2012 r., gdy bogacz Iwaniszwili ogłosił, że poruszy niebo i ziemię, by odsunąć

Saakaszwilego. „Urząd prezydencki jest dla mnie wprost skrojony" – oznajmiła Zurabiszwili, zgłaszając się do wyborów w 2013 r. Znów nie została dopuszczona, bo wciąż posługiwała się paszportem francuskim. Dopiero dwa lata temu wygrała swoje pierwsze wybory i została posłanką.

Kiepski start do prezydentury

Początkowo wydawało się, że sprawy pójdą bezproblemowo po myśli Zurabiszwili i jej mecenasa Iwaniszwilego.

Od sześciu lat „marzyciele" wygrywają w Gruzji wszystkie kolejne wybory (Gruzini są rozczarowani rządzącymi, ale jeszcze bardziej opozycją). A mając polityczne, administracyjne i finansowe poparcie obozu władzy, Zurabiszwili mogła liczyć na wygraną i na to, że zostanie pierwszą kobietą na stanowisku prezydenta kraju.

Wszystko skomplikowało się wraz z rozpoczęciem kampanii, gdy wywołała awanturę, stwierdzając, że w „wojnie pięciodniowej" w sierpniu 2008 r. to Gruzini oddali pierwsze strzały. „Rosja była agresorem, ale to myśmy dali się jej sprowokować" – oznajmiła.

Przypominając tę przegraną wojnę, chciała ugodzić boleśnie ówczesnego prezydenta Saakaszwilego i jego protegowanego Grigola Waszadzego – także byłego ministra dyplomacji, który teraz był jej najgroźniejszym rywalem spośród 25 kandydatów do prezydentury. Ale zaszkodziła wyłącznie sobie. Choć krytyczni wobec Saakaszwilego, Gruzini uważają się za ofiary tej wojny i odrzucają wszelkie próby obarczania ich winą. Opozycja zarzuciła Zurabiszwili zdradę, dawni wojskowi oświadczyli, że nie jest godna ubiegać się o przywództwo kraju.

Konserwatywnym w większości rodakom – i niezwykle wpływowej Cerkwi prawosławnej – naraziła się też wyznaniem, że w młodości eksperymentowała z narkotykami w ogarniętym obyczajową rewolucją Paryżu.

Gruzja zalegalizowała niedawno marihuanę jako używkę taką samą jak alkohol czy tytoń, ale w kraju trwa spór o przyznanie państwu wyłącznego prawa do przemysłowej hodowli konopi indyjskich i handlu marihuaną. Opozycja oskarża Iwaniszwilego, że mając już władzę i majątek, chce zagarnąć dla siebie także cały biznes wokół marihuany, i że chce przerobić Gruzję na republikę już nawet nie bananową, lecz konopną.

W Tbilisi zachodzono w głowę, czy tajemniczy bogacz ma słabość do tej kobiety?

Czy też w swoim wyborze, jak w interesach, kierował się wyłącznie wyrachowaniem?

Zza pleców mecenasa

Nie był to koniec kłopotów Zurabiszwili. W kampanii oskarżano ją też, że miała romans z ojcem chrzestnym własnych dzieci, że jest – o zgrozo! – katoliczką, a przede wszystkim, że gruzińskim językiem włada kiepsko i z francuskim akcentem (na marginesie zauważmy, że kłopoty z mową ojczystą mieli też inni emigranci, którzy obejmowali urzędy w swych ojczyznach, np. wychowana w Kanadzie prezydent Łotwy Vaira Vīķe-Freiberga czy prezydent Estonii Toomas Ilves, który wrócił z USA). Tylko Iwaniszwili, który połowę dorosłego życia spędził w Rosji, nie widział nic zdrożnego w obcym akcencie swej faworytki. „Niektórzy wytykają jej sposób, w jaki mówi – powtarzał. – Moim zdaniem francuski akcent dodaje jej tylko uroku".

Jednak lingwistyczne wpadki i niewyparzony język sprawiły, że Zurabiszwili wiele straciła w oczach rodaków. „Ta kobieta to iście diabelskie połączenie gruzińskiego prowincjonalizmu i francuskiej arogancji" – przekonywał jej rywal Grigol Waszadze.

Pierwsza runda wyborów, pod koniec października 2018 r., zakończyła się rozczarowującym dla Zurabiszwili remisem. Poparcie Iwaniszwilego miało jej zapewnić ponad połowę głosów i pewną wygraną. Tymczasem zdobyła nieco ponad 38 proc. – tylko trochę więcej niż Waszadze. Iwaniszwili uznał ten wynik za policzek: pierwszy raz w życiu nie wygrał wyborów.

Ktoś, kto odwiedził Gruzję pod koniec listopada, gdy wyznaczono wyborczą dogrywkę, nie zauważyłby nawet, że uczestniczy w niej Zurabiszwili. Po pierwszej remisowej rundzie Gruzinka z francuskim akcentem zniknęła, a zamiast niej na scenie pojawił się jej dobrodziej Iwaniszwili. Teraz to on przemawiał za nią na wiecach i to jego portrety zastąpiły jej plakaty. Na tydzień przed głosowaniem ogłosił, że jeśli wygra jego kandydatka, to z własnej kieszeni wypłaci ponad milion dolarów i w ten sposób ureguluje długi zaciągnięte przez ponad pół miliona rodaków.

W drugiej turze Salome Zurabiszwili zdobyła akurat ponad pół miliona głosów więcej niż w pierwszej i pokonała Waszadzego 60 do 40 proc. Ale to nie ona, lecz Iwaniszwili ogłosił zwycięstwo i to on wystąpił z okolicznościowym przemówieniem. Podziękował rodakom za zaufanie i głosy, obiecując, że nie zawiedzie. Ona pokazała się dopiero godzinę później. Wieczorem w gruzińskim internecie furorę zaczęło robić zdjęcie uśmiechniętego od ucha do ucha Iwaniszwilego. Opatrzono je podpisem: oto pierwsza kobieta na stanowisku prezydenta Gruzji.

W cieniu królowej Tamary

Za „złoty wiek" Gruzji uważa się czas, gdy na przełomie wieków XII i XIII rządziła królowa Tamara – prawnuczka Dawida Budowniczego, jednego z największych władców w historii całego Kaukazu. Za panowania Tamary gruzińskie królestwo było potęgą, rozciągało się od Morza Czarnego po Morze Kaspijskie, jak równe z równym toczyło wojny z Turkami, Persami oraz z Bizancjum. Po Tamarze rządziła jej córka Rusudan, a kres wspaniałości Gruzji położyły najazdy Mongołów.

Potem czteromilionową dziś Gruzją rządzili już tylko mężczyźni. Jedynie tymczasowym prezydentem (aż dwukrotnie, za każdym razem między listopadem a styczniem 2003-04 i 2007-08) była jeszcze Nino Burdżanadze. Jako przewodnicząca parlamentu zastępowała do czasu wyłonienia nowego przywódcy najpierw obalonego Szewardnadzego, a potem Saakaszwilego, który na żądanie opozycji ustąpił z urzędu, by poddać się osądowi rodaków w nowych wyborach.

Salome Zurabiszwili, pierwsza kobieta na stanowisku prezydenta kraju, nie nawiąże raczej do osiągnięć swoich poprzedniczek Tamary i Rusudan. Nie przełamie też męskiej dominacji w gruzińskiej polityce.

Przeciwnie: jej elekcja i wszystko, co jej towarzyszyło, wskazują, że przynajmniej do kolejnych wyborów – tych najważniejszych, parlamentarnych – Gruzja nadal będzie pozostawać zakładniczką dwóch samców alfa: Saakaszwilego, wciąż spragnionego władzy, oraz Iwaniszwilego, który mu ją odebrał.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Strażnicy lasu Mau

TEKST I ZDJĘCIA
AGATA KASPROLEWICZ Z KENII

Od ludzi wolą drzewa. Choć wygrali prawną batalię z rządem w Nairobi, ich domy nadal płoną. Ogiekowie to jeden z ostatnich ludów zbieracko-łowieckich w Kenii.

Kiedy Isaak Rutuh przyszedł na świat, był tu tylko las. Nie było krętej, kurzącej się rdzawo drogi ani pól kukurydzy. Nie było też obcych drzew. Zanim na zboczach lasu Mau pojawili się ludzie z piłami, rosły tu tylko gatunki, które Ogiekowie potrafili nazwać w swoim języku. *Saptet, epurruet, lelechuet, silipuet, masaita.* Brzmiały jak czarodziejskie zaklęcia i miały magiczną moc. Dawały naj-

Dzieci Ogieków na pogorzelisku. W połowie września 2018 r. nieznani sprawcy podpalili 179 domów należących do ogieckich rodzin.

słodszy miód i lekarstwa. Skrywali się w nich bogowie i duchy przodków.

– Nasze życie zaczęło się zmieniać w latach 90., kiedy rząd w Nairobi zapowiedział, że sięgnie po ziemię w Mau – mówi Isaak i wraca pamięcią do dzieciństwa, kiedy po szkole zdejmował mundurek, zakładał ogiecki strój ze skóry, szedł z ojcem zbierać owoce i polować. Tęskni za tymi dniami. Gdyby tylko dawne życie mogło wrócić, znów zrzuciłby bez zastanowienia ubranie i zaszył się w głębokim lesie. Niegdyś las dawał Ogiekom schronienie przed światem, którego nigdy nie byli ciekawi.

Po drzewach tylko przemoc

Ogiek znaczy: „opiekun wszystkich roślin i dzikich zwierząt". To lud zbieracko-łowiecki zamieszkujący od niepamiętnych czasów las Mau, położony na stromych zboczach centralnej Kenii. Mau to największy las we wschodniej Afryce, a także najważniejszy, jest bowiem źródłem siedmiu rzek, które zasilają m.in. Jezioro Wiktorii, dając wodę milionom ludzi. Ogieków żyje dziś około 50 tysięcy. I prawie nikt o nich nie słyszał.

Zanim wycięto drzewa, Ogiekowie żyli w pokoju. Kiedy zniknęły, pojawiła się przemoc. Jej ostatnie ślady to zwęglone kawałki drewna, wypalone prostokątne plamy kreślące sylwetki domów, które w połowie września zaczęły płonąć. W jednym z nich mieszkał Joel Langata z żoną i siedmiorgiem dzieci. Joel ma 45 lat, ale kiedy opowiada mi o nocy, w której stracił dom, gorycz na twarzy dodaje mu wieku.

– Kiedy pierwsze domy zaczęły się palić, było już ciemno. Zaczęliśmy uciekać. Biegnąc patrzyliśmy za siebie, ale widzieliśmy tylko ogień. Nazajutrz obudziliśmy się pod gołym niebem. Wróciliśmy na miejsce, gdzie stały nasze domy. I oto, co zastaliśmy. Wokół nie było żywej duszy – mówi Joel i prowadzi mnie na rdzawo-czarny kawałek ziemi. Pod stopami kruszą się kawałki węgla. Wokół pogorzeliska odrasta trawa. Niewielki osiołek skubie jej źdźbła i od czasu do czasu ciężko zawodzi.

Joel wgniata popiół w czerwoną glebę i zatrzymuje się w miejscu, gdzie jeszcze niedawno mieszkał. Opowiada dalej, że kiedy przyjechał lokalny zarządca i zaczęła się narada, z sąsiedniej wsi doszły ich krzyki. Tam też ktoś podpalił domy. Do dziś nie udało się odnaleźć sprawcy. Obok domu Joela stał sklep jego sąsiada Stanleya Kwilla. Można było w nim kupić cukier, ubrania, napoje, był też stół bilardowy. Przychodzili tu grać chłopcy z okolicy. Stanley jeszcze niedawno uważał się za bogatego człowieka. Był kimś. Teraz nie ma nic.

Strach i szept

Kilka kilometrów dalej kolejne pogorzelisko. Tu spłonął dom Emily Tangus i jej ośmiorga dzieci. Napastnicy ukradli także zwierzęta. Głowę kobiety zdobią starannie zaplecione warkoczyki, zaczesane do tyłu. Pokazuje łagodne wzgórze, na którym wypasała owce w dniu, kiedy przyszli podpalacze. Widziała sylwetki mężczyzn, którzy weszli do jej domu, a potem już tylko płomienie i gęsty dym. Nie mogła nic zrobić, tylko patrzeć. Opowiada szeptem. Twarz ma nieruchomą.

– Ogiek nigdy nie pójdzie do obozu. To jest wbrew naszej kulturze. Ludzie, którzy stracili domy, zamieszkali na trochę u sąsiadów, teraz na spalonej ziemi budują nowe domy – mówi Joseph Towett, przewodniczący ogieckiej starszyzny. Na podwórku Emily, obok pogorzeliska stoi nowa lepianka z błota i drewna. Mimo strachu rodzina nie chce opuścić ziemi, która należała do ich przodków. Gdzie zresztą mieliby pójść? ↦

Członkowie plemienia Ogieków; pierwszy z prawej Christopher Kipkones.

Emily Tangus i jej syn, jeden z ośmiorga dzieci.

↦ W ciągu dwóch dni, 14 i 15 września 2018 r., spłonęło 179 domów należących do Ogieków. Towett nie wierzy, że były to spontaniczne ataki. Twierdzi, że nie udałoby się ich przeprowadzić bez aprobaty rządu. Jego zdaniem władze przy wsparciu posłusznych im bandytów realizują plan wysiedlania Ogieków z ich ziemi.

Czas wysiedleń

Historia prześladowań Ogieków, rdzennych mieszkańców lasu Mau, jest długa i sięga czasów kolonialnych. Pierwszy rozdział zaczyna się w 1911 r., kiedy biali osadnicy zaczęli zajmować żyzne ziemie środkowej Kenii, nazwane potem na pamiątkę ich inwazji White Highlands. Wybudowana za setki milionów funtów kolej, łącząca port Mombasy z Jeziorem Wiktorii, zwana przez miejscowych „żelaznym wężem", przewoziła w luksusowych wagonach przyszłych posiadaczy ziemskich, plantatorów kawy i herbaty, którzy kenijską ziemię uważali za swoją, bez względu na to, czy ktoś na niej już mieszkał. Tak Brytyjczycy wysiedlili część Masajów do lasu. Wtedy Ogiekowie po raz pierwszy stracili swoją ziemię.

Niepodległość wywalczona przez Kenijczyków w 1963 r. na bardzo krótko przyniosła Ogiekom wytchnienie. Najgorsze przyszło wraz z objęciem władzy przez drugiego prezydenta Kenii Daniela arap Moia. Zaczęła się bandycka eksploatacja zasobów naturalnych, niekontrolowana wycinka drzew, zajmowanie terenów leśnych pod plantacje herbaty, szczególnie te, których właścicielami był prezydent Moi i jego zausznicy, prześmiewczo nazywani w Kenii osobami „politycznie poprawnymi".

Początek lat 90. to także początek krwawych starć plemiennych, podsycanych przez polityków. Kulminacja nastąpiła w 1992 r., kiedy w wyniku przemocy na tle etnicznym zginęło pół tysiąca ludzi, a 75 tys. straciło dach nad głową. To był 14. rok żelaznej prezydentury Moia, autokraty brutalnie dławiącego opozycję i prodemokratyczne aspiracje rodaków.

Jedni mówili, że prezydent inspirował konflikty plemienne, by usprawiedliwić swoje dyktatorskie aspiracje. Podsycając etniczne walki chciał dowieść, że Kenii potrzebne są rządy silnej ręki, a odejście od modelu jednopartyjnego pogłębi tylko kryzys w skłóconym już wewnętrznie kraju. Inni podkreślali, że Moi był Kalendżinem i jego prezydentura oznaczała przełamanie politycznej dominacji Kikujów – największego plemienia w Kenii, z którego wywodził się pierwszy prezydent Jomo Kenyatta. Moi wiedział, jak przynależność plemienna dyktuje wybory polityczne Kenijczyków. Rozumiał etniczną arytmetykę wyborczą i znał skuteczność strategii rozdawania ziemi za głosy. Wkrótce stało się to jedną z najbardziej śmiertelnych chorób kenijskiej polityki, z której kraj nie wyleczył się do dziś.

Moi sprowadził do lasu Mau Kalendżinów. Tak zaczęła się kolejna fala wysiedlania Ogieków. Ruszył nielegalny handel drewnem i karczowanie lasu Mau na przemysłową skalę. W miejscu drzew wyrosły pola kukurydzy, ziemniaków czy fasoli. Pojawiły się też obce gatunki drzew, które rosły szybciej od tych rdzennych. Sadzili je na żyznych zboczach Mau właściciele tartaków. Szacuje się, że od 1976 r. las Mau skurczył się o jedną czwartą.

Miłość po przodkach

I tak nastał czas, który Isaak Rutuh nazywa końcem dzieciństwa, a starsi Ogiekowie – końcem świata. Drzewa zatraciły swoją magiczną moc, stały się źródłem zarobku, drewnem na sprzedaż. Ogiekowie zaś stali się ofiarami wszystkich grzechów głównych Kenii: grabienia ziemi, podsycania walk plemiennych, korupcji, chciwości i żądzy władzy za wszelką cenę. Pozbawieni praw i politycznego głosu, nie potrafili się bronić. Tysiące rodzin zostało wysiedlonych. Płonęły ich domy i mało kogo to obchodziło.

– To jest część lasu, którą Ogiekowie opiekowali się od zarania dziejów – mówi mi Christopher Kipkones, aktywista Ogiek. Opowiada o drzewach nazywanych *saptet*, których nikt bez pozwolenia starszyzny nie miał prawa tknąć. Były najważniejszym elementem rytuału przejścia, kiedy chłopiec zmieniał się w mężczyznę. Tuż przed obrzezaniem chłopiec przy wsparciu dorosłych mężczyzn musiał wyrwać drzewo z ziemi. To był dowód męstwa. Zwierzęta i rośliny, drzewa i ludzie byli częścią tego samego leśnego krwiobiegu. Las gwarantował im przetrwanie, był źródłem tożsamości i kultury.

Joel Langata do dziś wspomina wydarzenia z tamtej nocy, kiedy spłonął jego dom.

Joseph Towett: – Miłość do lasu zapisana jest w naszej historii. Odziedziczyliśmy ją po naszych przodkach. Poza tym las był naszą twierdzą, chronił nas przed niebezpieczeństwem z zewnątrz. Mieliśmy swoje zwierzęta, dzikie owoce, pszczoły i ule na drzewach. Zniszczenie tego lasu naraziło Ogieków na przemoc ze strony innych społeczności. My nie lubimy kontaktu z innymi ludźmi. Nie lubimy rywalizacji ani konfliktów. Zawsze od nich stroniliśmy.

Przełomowy wyrok

Ogiekowie postanowili walczyć. Rozpoczęła się batalia prawna przeciwko władzom w Nairobi, która miała swój finał w ubiegłym roku w Aruszy, w sąsiedniej Tanzanii, gdzie znajduje się siedziba Afrykańskiego Trybunału Praw Człowieka i Ludów. Sędziowie uznali, że rząd kenijski wysiedlając tysiące rodzin z ziemi ich przodków pogwałcił prawo Ogieków do ziemi, religii, kultury i rozwoju.

To było święto. Do Aruszy pojechało ponad 70 Ogieków, wszyscy ubrani w tradycyjne stroje. Po ogłoszeniu werdyktu wykonali zwycięski taniec, śpiewali triumfalne pieśni. Rząd w Nairobi miał uznać istnienie Ogieków jako ludu autochtonicznego zamieszkującego las Mau i wypłacić odszkodowania rodzinom, które ucierpiały w poprzednich latach. Wyrok w Tanzanii miał być też dobrą nowiną dla wszystkich rdzennych ludów, których prawa są łamane przez rządy, szczególnie ludów zbieracko-łowieckich uznanych przez ONZ za najbardziej zmarginalizowaną grupę społeczną na świecie.

Szybko okazało się jednak, że władze nie mają zamiaru uszanować postanowień z Aruszy. Christopher Kipkones uważa, że wrześniowa fala przemocy, która pozbawiła 179 ogieckich rodzin domów, przyczyniła się do śmierci 10 osób i wielu okaleczeń, jest brutalnym komunikatem rządu w Nairobi, który chce w ten sposób powiedzieć, że i tak usunie Ogieków z lasu Mau.

– Władze sprowadziły w te strony podpalaczy, którzy na nas napadli – mówi, dodając, że Ogiekowie nie mają zamiaru się poddać. Kipkones poleciał do Gambii, by przed Afrykańską Komisją Praw Człowieka i Ludów odczytać oświadczenie skarżące władze Kenii o nierespektowanie postanowień sędziów Trybunału.

Jezus pił naszą wodę

Mijamy niewielką osadę Marioshoni. To kilka drewnianych baraków pomalowanych niebieską farbą, ich dachy pokrywa blacha falista. W ziemię wbity jest znak z napisem „Centrum kultury społeczności Ogieków", który kryje w sobie bolesną sprzeczność. Bo przecież od niepamiętnych czasów źródłem kultury ogieckiej był las. Drzewa opowiadały legendy, były częścią rytuałów, skrywały bogów. A tu zostały dawno wycięte, w miejscu, gdzie niegdyś rosły, rozciąga się teraz zielona polana. Ogiekowie znaleźli się w próżni. Świat, w którym żyli od zarania dziejów, przestaje istnieć, w nowym nie ma dla nich miejsca. Na ławkach zbitych z kilku desek siedzą młodzi mężczyźni i zabijają czas. Nie mają pracy.

Jednym z nich jest Isaak Rutuh. Choć tęskni za czasami, kiedy Ogieków chronił gęsty las, to nie żyje przeszłością. Mówi, że dziś najważniejsza jest edukacja. Tylko że nikt nie chce zbudować tu szkoły.

Nikt nie chce też zatrudniać Ogieków. Nawet kenijskie lasy państwowe, choć Ogiekowie nazywają siebie strażnikami lasu.

– Dlatego nie lubimy przemysłu ekologicznego. Zbieranina ludzi, którzy udają, że zależy im na przyrodzie, a tak naprawdę szukają sposobu na zarobienie pieniędzy – mówi Joseph Towett z wyrzutem. Wierzy, że uczciwy sposób ochrony środowiska w Kenii musi polegać na wzmocnieniu roli rdzennych społeczności zamieszkujących lasy, Ogieków i innych ludów.
– My nie damy skrzywdzić lasu, bo las to nasz dom – dopowiada.

Na koniec podzielił się ze mną pewną myślą. I choć opowiadając śmiał się, nie jestem pewna, czy żartował: – Te mokradła w lesie Mau są źródłem siedmiu rzek, które dają wodę dziesięciu milionom Kenijczyków. Zasilają też Jezioro Wiktorii, źródło Nilu Białego, który potem łącząc się z Nilem Błękitnym wpływa do Egiptu. Słyszałem, że Święta Rodzina uciekła do Egiptu przed Herodem, co znaczy, że Jezus pił naszą wodę z Mau, kiedy Ogiekowie już tu byli i opiekowali się lasem. Jestem pewien, że kiedy Jezus wróci na ziemię, przyjmie naszą petycję i wybaczy nam nasze grzechy. © AGATA KASPROLEWICZ

CHRIS BRUNSKILL / FANTASISTA / GETTY IMAGES

Kibice Boca Juniors podczas meczu z River Plate, pierwszego spotkania finału Copa Libertadores. Buenos Aires, 10 listopada 2018 r.

Puchar niewyzwolonych

MICHAŁ OKOŃSKI

Najważniejszy mecz turnieju ustanowionego na cześć wyzwolicieli Ameryki Południowej odbył się w stolicy dawnego imperium kolonialnego. To tylko fragment opowieści, która dzięki futbolowi pozwala zrozumieć Argentynę.

SCENA PIERWSZA – OTWARTY TRENING PIŁKARZY klubu Boca Juniors na słynnym, faktycznie przypominającym pudełko czekoladek stadionie La Bombonera. Jutro mają się zmierzyć z drużyną River Plate w drugim meczu finału Copa Libertadores. Nigdy jeszcze dwa zespoły argentyńskie nie rywalizowały w tym finale. Żeby zobaczyć nie samo spotkanie, lecz jedynie rutynowe zajęcia przygotowawcze, na trybunach zjawia się ponad 60 tys. widzów; kolejnych kilkanaście tysięcy policja zatrzymuje na ulicach, w obawie, że nadmierny ścisk na stadionie zagrozi bezpieczeństwu. Liczba dziennikarzy, którzy poprosili o akredytacje na mecz, awizowany jako najważniejszy w dziejach Ameryki, przekracza dwa i pół tysiąca.

Scena druga – pożegnanie piłkarzy Boca na ulicach Buenos Aires. W drodze na lotnisko, skąd mają odlecieć na rozstrzygający mecz, autobus musi się co chwilę zatrzymywać. Są race, flagi, sztuczne ognie, ogłuszająco głośne śpiewy, a także ludzie wdrapujący się na znaki drogowe i słupy sygnalizacji świetlnej, by choć przez chwilę zobaczyć swoich idoli z bliska.

To ta przyjemniejsza strona. Folklor, koloryt, pasja i miłość do piłki nożnej, w Ameryce Południowej wyrażająca się z taką intensywnością, że turyści ze świata zjeżdżają na rozgrywane tu mecze, by tonąc w deszczu konfetti przeżyć jeszcze jedną niezapomnianą przygodę, a miejscowe telewizje oferują komentarze w wersji „zen" dla fanów z kłopotami zdrowotnymi (w tradycyjnej wersji relacji sprawozdawca krzyczy w zasadzie bez przerwy, a jego „gooooooooool!!!" potrafi trwać kilkadziesiąt sekund).

Jest jednak i strona bardziej mroczna.

Rewanż przełożony

Scena pierwsza – znów na La Bombonera. Dziesiątki tysięcy czekających na mecz fanów (tylko jednej drużyny, bo na stadiony pięciu najważniejszych argentyńskich klubów, tzw. *grandes*, ze względów bezpieczeństwa nie wpuszcza się kibiców gości) daremnie próbują się schronić pod dachem. Trwa straszliwe oberwanie chmury. Niebiosa rozstępują się, jakby nie chciały dopuścić do tego, co się wydarzy w najbliższych tygodniach. Po deszczu murawa jest w tak fatalnym stanie, że spotkanie trzeba opóźnić o 24 godziny. Wtedy mecz odbywa się już bez przeszkód. Emocje są faktycznie wielkie, padają cztery gole, w tym jeden samobójczy. Boca remisuje z River 2:2 i o wszystkim ma rozstrzygnąć rewanż na równie słynnym co Bombonera stadionie El Monumental.

Scena druga – znów na ulicach Buenos Aires. Na Avenida Monroe autobus z piłkarzami Boca zostaje zaatakowany przez pseudokibiców River Plate. W ruch idą kamienie, w pojeździe wylatują szyby. Do akcji wkracza policja, usiłując rozpędzić napastników przy pomocy gumowych kul i gazu łzawiącego. Ten ostatni dostaje się do wnętrza autokaru. Sportowcy kaszlą, łzawią, wymiotują. Stan dwóch z nich jest tak poważny, że zamiast na stadion, trafiają do szpitala. Mijają godziny, na El Monumental (i kilkanaście kilometrów dalej na Bombonerze, gdzie trwa relacja na telebimach) kibice wciąż czekają na pierwszy gwizdek. Obecny w Buenos Aires prezydent Światowej Federacji Piłkarskiej w interesie sponsorów i telewidzów naciska na jak najszybsze rozpoczęcie meczu, choć wie, że co najmniej jedna z drużyn nie nadaje się do gry. Trwają nerwowe negocjacje, zmieniają się godziny rozpoczęcia spotkania, w końcu staje się jasne, że tego dnia mecz się nie odbędzie.

Nie odbył się również następnego dnia, ani nawet kolejnego, nie odbył się w Argentynie. Musiały minąć prawie dwa tygodnie, by losy tegorocznego Copa Libertadores – południowoamerykańskiego odpowiednika europejskiej Ligi Mistrzów – zostały w końcu rozstrzygnięte. By można było wyłonić zwycięzcę najważniejszego meczu w dziejach Argentyny, dwa kluby z Buenos Aires musiały spotkać się w Madrycie. W mieście, w którym kiedyś decydowano o podboju Nowego Świata. W kraju konkwistadorów i kolonizatorów, którym patroni rozgrywek – m.in. Simón Bolívar, José de San Martin czy Manuel Belgrano – rzucili wyzwanie.

Kwestia, kto wygrał, zeszła tymczasem na drugi plan.

Przypis do Maradony

„Tango, zaginieni, Maradona" – tak brzmi odpowiedź Pepe Carvalha, bohatera cyklu powieści Katalończyka Manuela Vázqueza Montalbána, na pytanie, co wie o Buenos Aires. Wielu z nas odpowiedziałoby pewnie tak samo. Z tą może różnicą, że ci bardziej świadomi tragedii „brudnej wojny" – podczas której argentyńska junta porywała, torturowała i uśmiercała tysiące obywateli swojego kraju – mają w tyle głowy także konflikt z Wielką Brytanią o Falklandy. Inni pamiętają finansowy krach z przełomu XX i XXI w. O historii Argentyny ostatniego stulecia można opowiadać na różne sposoby, czerpiąc również z literatury (Borges...) i popkultury (musical o Evicie Perón...) – ale nie tylko dla Carvalha pierwszym skojarzeniem będzie piłka nożna, z koniecznym dołączeniem do nazwiska Diega Maradony Lea Messiego.

O tym, dlaczego tak się stało, można by mówić długo, cofając się do lat 30. XX w. Wtedy powstał pomysł, by do budowania nowej argentyńskiej tożsamości – tożsamości społeczeństwa, które szybko zmieniało się z wiejsko-rolniczego na miejsko-przemysłowe, integrując przy tym masowo przybywających z Europy imigrantów – wykorzystać futbol. A poczucie dumy z *argentinidad* oprzeć na dumie z reprezentacji piłkarskiej (zastępowała w miejscowej mitologii niepasujących już do urbanizującego się kraju gauczów).

W tamtym czasie był to – jak pisze historyk futbolu Jonathan Wilson w książce „Aniołowie o brudnych twarzach" – „kraj stabilny politycznie, o dobrze prosperującej gospodarce, zamieszkały przez kwitnący młody naród, wypadający korzystnie w porównaniu z Kanadą czy Australią". W 1928 r. Argentyna była ósmym państwem świata, jeśli idzie o produkt narodowy brutto. Dziś jest w szóstej dziesiątce.

Wraz z rozwiewaniem się kolejnych złudzeń na temat świetlanej przyszłości, podczas kolejnych kryzysów, wojskowych zamachów stanu i bankructw gospodarki, coraz bardziej sfrustrowani Argentyńczycy lokowali więc nadzieje na odzyskanie godności w swoich piłkarzach. Kochając, nienawidząc i nakładając niemożliwe do spełnienia oczekiwania – nie tylko na Maradonę i Messiego (którzy, podobnie jak tysiące rodaków, przy pierwszej okazji emigrowali, by grać o wielkie pieniądze i jeszcze większy prestiż w klubach Europy), ale także na tych, którzy jeszcze wyjechać nie zdążyli albo z przyczyn sentymentalnych postanowili u schyłku kariery wrócić do ojczyzny: na piłkarzy ligi argentyńskiej, grających także w River i Boca. Klubach, które – mimo wielkich tradycji i wsparcia kibiców – radzą sobie tak kiepsko, że dziś musi im pomagać państwo kupując prawa do transmisji telewizyjnych.

„Jako naród jesteśmy tylko przypisem do Maradony", mówi autor znakomitego „Głodu", argentyński pisarz i kibic Boca Juniors, Martín Caparrós.

Przewrotki i pięści

Oczywiście kibic zauważy w tym miejscu, że argentyńskich piłkarzy da się kochać. Zdobyli wszak dwa mistrzostwa świata, a oprócz Messiego i Maradony znalazłoby się w ich gronie jeszcze kilka innych największych gwiazd tej dyscypliny, choćby Alfredo di Stéfano. Rzecz jednak nie w tym, czy piłkarze są dobrzy, czy nie, ale w tym, że, jak napisał Carlos Fontanarrosa w nieistniejącym już słynnym czasopiśmie sportowym „El Gráfico", „w tym nieszczęsnym kraju największą radość daje sport".

Przez lata stadiony oferowały Argentyńczykom możliwość ucieczki przed beznadziejną rzeczywistością. Przez lata także narastała towarzysząca piłce przemoc – w gruncie rzeczy bardziej odbicie stosunków społecznych niż coś, co specyficznie należałoby wiązać z futbolem. Organizacja Salvemos Al Fútbol wymienia z nazwiska 328 ofiar śmiertelnych awantur okołostadionowych (pierwszy kibic zginął w 1922 r., a tylko w ostatniej dekadzie zgonów było 93). Mecze zakończone krwawymi rozprawami pamięta się tu równie dobrze, jak najpiękniejsze bramki Maradony.

Także w dziejach Copa Libertadores pełno jest nie tylko rozrób między kibicami i piłkarzami (z kilkunastominutową bijatyką zawodników Boca i chilijskiego Colo Colo z 1991 r. na czele), ale podstępów i szwindli mających zapewnić przewagę którejś z drużyn: np. dosypywania środków przeczyszczających do przedmeczowych przekąsek albo kierowania autobusu z drużyną gości rozmyślnie okrężną drogą, przez przedmieścia pełne wrogo zachowujących się kibiców, by na stadion dotarła odpowiednio wystraszona. Był taki mecz, na który trener jednej z drużyn zabrał ekipę bokserów, powierzając im rolę ochroniarzy. Oficjalnie występowali jako fotoreporterzy i jeszcze na trapie samolotu jeden z nich zdzielił próbującego uzyskać ekskluzywny wywiad dziennikarza.

Wściekli młodzi ludzie

W tym roku jednak wszystko miało być inaczej. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy do finału Copa Libertadores przedarły się dwa argentyńskie kluby. Także dlatego, że – jak mówił prezydent Argentyny, a zarazem dawny prezes Boca Juniors Mauricio Macri – Argentyna chciała pokazać światu nowe oblicze. Kraju, który dojrzał i potrafi już rozstrzygać o swoich sprawach pokojowo.

Otóż nie potrafi. Więcej: niezdolność do zapewnienia spokojnego przebiegu dwóch meczów jest raczej ilustracją stanu ↦

państwa, w którym inflacja dobija 50, a stopy procentowe 70 proc. Gdzie jedna trzecia populacji żyje w skrajnym ubóstwie, wydatki socjalne są ograniczane, przestępczość kwitnie, walki między politykami toczą się zaś z zawziętością porównywalną do burd członków organizacji kibicowskich, zwanych *barras bravas* – z którymi zresztą nie tylko Macri pozostawał w zażyłych stosunkach (a przynajmniej nie próbował uniemożliwiać im zaangażowania w przemyt, wymuszenia, handel narkotykami albo jakże poszukiwanymi w Buenos Aires miejscami parkingowymi).

To temat, który rzadziej pojawia się w mediach opisujących zamieszanie wokół tegorocznego finału Libertadores: skąd się biorą „wściekli młodzi ludzie" zasilający szeregi *barras bravas*. Kiedy nie wierzysz, że państwo jest w dobrych rękach, kiedy nie masz nadziei na pracę, kiedy na każdym kroku trafiasz na przykłady korupcji, nepotyzmu i lekceważenia procedur, jedyną wspólnotą, która wydaje ci się autentyczna, jest ta, która od zawsze zrzeszała twoich przyjaciół i znajomych, sąsiadów i krewnych – wspólnota skupiona wokół klubu z twojej dzielnicy.

Esse est percipi

Cytowany przez Jonathana Wilsona eseista i ekonomista Enrico Udenio dowodził w rozprawie „La hipocresía argentina", że „Argentyńczycy to neurotyczne społeczeństwo, którego członkowie czują się niespełnieni i odczuwają potrzebę działań autodestrukcyjnych", a zarazem „społeczeństwo zbudowane na marzeniach, które – gdy marzenia się nie spełniają – szuka wytłumaczeń i odpowiedzialnych za ten stan rzeczy na zewnątrz". Autor „Aniołów o brudnych twarzach" zauważa, że Buenos Aires to miasto, w którym freudowska psychoanaliza cieszy się największym wzięciem w skali świata (z wyłączeniem Nowego Jorku, rzecz jasna). Ale oprócz rekordowo dużej liczby gabinetów terapeutycznych jest tutaj aż 36 stadionów z trybunami zdolnymi pomieścić co najmniej 10 tys. widzów. „W zasadzie jedyną sferą, w której Argentynie udało się sprostać pokładanym nadziejom, jest piłka nożna" – pisze Wilson.

Rzec można: spełniła i tym razem. Madrycki mecz między Boca i River, rozegrany 9 grudnia, dostarczył równie wielu emocji, co spotkanie w Buenos Aires. Była czerwona kartka, remis po 90 minutach i dogrywka, cztery gole, z czego co najmniej dwa fantastyczne, bramkarz przegrywającego Boca, który ostatnie dziesięć minut spotkania w zasadzie grał na połowie rywala, szalone tempo i niepewność wyniku aż do końca, bo przed tym, jak padła trzecia bramka dla River Plate, jeden z zawodników Boca trafił w słupek. Ostatecznie wygrało River Plate, wbrew ścigającej tę drużynę reputacji *gallinas* – kurczaków, które zawsze wywracają się na ostatniej prostej.

Nie chciałbym jednak kończyć jeszcze jedną barwną anegdotą o latynoskim futbolu. „Tak długo jak dziesiątki tysięcy ludzi co niedzielę udawały się na stadion, a setki tysięcy chciwie słuchały transmisji radiowych, rozmowy w kawiarniach czy fabrykach dotyczyły futbolu, a nie radykalnego socjalizmu i anarchii" – pisał badacz dziejów argentyńskiego futbolu o latach 30. XX w. i zdanie to pozostaje niepokojąco aktualne. Patrząc na miliony Argentyńczyków, którym piłka nożna przesłania cały świat, przypomina się opowiadanie Borgesa i Bioy Casaresa „Esse est percipi", którego bohater uświadamia sobie nagle, że stadiony, jakie znał, rozsypały się w proch, futbol należy już do przeszłości, a zastąpiło go widowisko realizowane przed kamerami przez aktorów w podkoszulkach.

Prawda, jaką zobaczyliśmy przy okazji najważniejszego meczu Ameryki, jest smutna jak tango: dla władzy dużo lepiej, gdy ludzkość siedzi wygodnie w domach i jej uwagę pochłania ekran (albo jak wyładowuje nagromadzone emocje na stadionach), zamiast myśleć albo, co gorsza, angażować się politycznie.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Czytaj także „Futbol jest okrutny" – piłkarski blog autora: www.okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAŻYNA MAKARA

TP

Klucz do Miasta Krakowa na aukcji WOŚP!

Dzięki uprzejmości pani ALEKSANDRY CHMIELEWSKIEJ z Gdańska, która zwyciężyła w naszej licytacji 2 lata temu, Klucz do Miasta Krakowa po raz kolejny trafia na aukcję na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zachęcamy do udziału!

Klucz, który otrzymaliśmy z okazji 70-lecia „TP", umieszczony jest w eleganckim etui; widnieje na nim napis „CRACOVIA URBS CELEBERRIMA". Wewnątrz futerału znajduje się oryginalna grawerowana tabliczka z gratulacjami dla „Tygodnika Powszechnego" od prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego. Waga: 500 g, długość: 21 cm.

Całkowity dochód z aukcji zostanie przeznaczony na cele Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

weź, licytuj na powszech.net/wosp

REKLAMA

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE

„STARE I NOWE KOLĘDY"

zaśpiewają:

Beata Rybotycka, Edyta Krzemień, Joanna Pocica, Maciej Balcar, Zbigniew Preisner, Zespół Jana Karpiela Bułecki

10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
17 stycznia 2019 – CKK Jordanki Toruń
19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · 15 RMF Classic · wprost · Do Rzeczy · T3 · WP · trojmiasto.pl · cgm.pl · Multikino · empik · pap · STRÖER · VIXON · PRESS SERVICE

REKLAMA

MIĘDZYUCZELNIANY KOMITET OBCHODÓW 100-LECIA UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO,
AGENCJA PRESTIGE MJM ORAZ MARCELIN MANAGEMENT
WE WSPÓŁPRACY Z KLASSICS MUSIC MANAGEMENT ZAPRASZAJĄ NA KONCERT

ANDREA BOCELLI

THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

11 MAJA 2019
STADION POZNAŃ

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL , EMPIK, www.andreabocelli.com/tickets

andreabocelli.com · ALMUD · KMM Klassics Music Management

Prestige MJM · MARCELIN MANAGEMENT · 100 Uniwersytet Poznański 1919-2019 · POZnań · Teatr Muzyczny w Poznaniu · TVP3 Poznań · Głos Wielkopolski · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · Viva! · Uroda · pap · cgm.pl · WP · naszemiasto. · Multikino · empik · Press Service · VIXON · ams

NIEZNANY CUD NAD WISŁĄ

W cieniu wojny z Armią Czerwoną polscy naukowcy stoczyli sto lat temu dramatyczną walkę z groźną epidemią, która wędrowała ze wschodu na zachód Europy. Zatrzymali ją tuż przed linią Wisły.

TOMASZ TARGAŃSKI

W 1920 r. ziemie wschodnie odradzającej się Rzeczypospolitej – choć przebieg granic wciąż był jeszcze niewiadomą – stały się sceną nadzwyczaj niepokojących zjawisk. Wojenna zawierucha przywiała na tamte tereny księgosusz, nazywany również dżumą bydlęcą.

Wzmianki o tej nadzwyczaj zakaźnej chorobie pojawiają się już w starożytnym Egipcie – i choć księgosusz jest niegroźny dla człowieka, to bardzo wysoki poziom śmiertelności wśród bydła równał się zwykle ruinie całego rolnictwa na obszarze, gdzie pojawiała się ta epidemia.

Księgosusz objawia się wysoką gorączką, gwałtownym wysuszeniem dróg oddechowych oraz przewodu pokarmowego zarażonego bydła. Do wybuchu epidemii dochodziło najczęściej podczas wojen, ponieważ armie, aby się wyżywić, pędziły ze sobą stada.

Niedobór paszy, brak wody i zmęczenie powodowały spadek odporności, co ułatwiało wirusowi rozprzestrzenianie się wśród zwierząt. Równocześnie wojskowi kwatermistrze chętnie wymieniali sztuki chore na zdrowe – odebrane miejscowej ludności – przenosząc w ten sposób ognisko epidemii na nowe tereny.

Z gwałtownością pożaru

W latach poprzedzających I wojnę światową Europa zdawała się wolna od tej choroby. Ostatnia epidemia wybuchła w latach 90. XIX w. na odległych obszarach carskiej Rosji, jak Kaukaz Południowy czy Zabajkale. Ale została zduszona – w czym niemały udział miał zresztą Polak Marceli Nencki, pracownik Instytutu Medycyny Doświadczalnej w Petersburgu (o którym będzie jeszcze mowa w tej opowieści).

Podczas rewolucji rosyjskiej, a w szczególności wojny domowej, tereny te stały się obszarem intensywnych walk i przemarszów wojsk. W efekcie około roku 1919 księgosusz przedarł się przez Kaukaz, zalewając następnie szeroką falą europejską część Rosji. Stamtąd zaraza potrzebowała już niewiele czasu, aby dotrzeć do granic Rzeczypospolitej – w czym wydatnie pomogła rozpoczynająca się wojna polsko-bolszewicka.

Pierwsze relacje na temat masowego pomoru bydła na ziemiach wschodnich pojawiły się w pierwszej połowie 1920 r. Zaskoczenie było zupełne – polscy specjaliści żyli bowiem w przekonaniu, że ogniska choroby w Rosji zlikwidowano na dobre przed 20 laty.

Dramatyczny opis pierwszych tygodni epidemii pochodzi od prof. Piotra Andrijewskiego ze Studium Weterynaryjnego Uniwersytetu Warszawskiego: „Epizoocja [tak specjaliści nazywają masową zarazę wśród zwierząt – red.] szerzyła się z gwałtownością olbrzymiego pożaru i idąc od granic wschodnich docierała już prawie do Warszawy".

Wedle ówczesnych szacunków tylko w ciągu trzech miesięcy tamtego roku padło ok. 40 tys. sztuk bydła. Warto przy tym nadmienić, że na wschód od Wisły bydła w ogóle było niewiele, a te nieliczne stada, które udało się ocalić przed rekwizycjami wojennymi w ciągu wcześniejszych lat, teraz padały ofiarą wirusa. Służby weterynaryjne odnotowały przypadki księgosuszu aż w 10 na 17 ówczesnych województw.

Pospolite ruszenie naukowców

Biorąc pod uwagę masowy charakter zjawiska, izolacja wszystkich zarażonych krów nie wchodziła w grę. Tak postępowano wyłącznie w rejonach bezpiecznych, np. w Wielkopolsce. Inną możliwością była prewencyjna likwidacja, czyli wybicie całego pogłowia.

Dla powstającego państwa, dla jego gospodarki i jego ludności (nie tylko wiejskiej – w grę wchodziło też zaopatrzenie w żywność) była to perspektywa dramatyczna. Tymczasem rząd polski znalazł się pod presją państw zachodnich, szczególnie Niemiec, które naciskały na jak najszybsze zatrzymanie pochodu epidemii bez względu na koszty.

Pełniący stanowisko ministra rolnictwa Juliusz Poniatowski nie zgodził się jednak na masowy ubój. Zamiast tego zlecił przeprowadzenie masowych szczepień, a zadanie zorganizowania wytwórni surowicy przeciwksięgosuszowej złożył na barki Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach.

Kierownikiem Instytutu był prof. Leon Marchlewski. Paradoksalnie w czasie, kiedy prof. Marchlewski organizował zespół naukowców, który miał stawić czoło epidemii, jego starszy brat Julian – działacz międzynarodówki komunistycznej – zakładał w zajętym przez bolszewików Białymstoku marionetkowy rząd sowiecki w Polsce, tzw. Polrewkom.

↦

NAC

Pobieranie krwi w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, 1929 r.

↦ Najbliższym współpracownikiem Marchlewskiego – odpowiedzialnym za rekrutację personelu i uruchomienie produkcji surowicy – został dr Feliks Jaroszyński. Ten wybitny serolog miał niemałe doświadczenie w walce z księgosuszem: jeszcze przed I wojną światową organizował podobne stacje w Zurnabadzie na Kaukazie oraz Czycie na Syberii.

We wrześniu 1920 r. – a więc mniej więcej w czasie, gdy trwała operacja nad Niemnem (druga decydująca bitwa polskiej kontrofensywy, która odepchnęła Armię Czerwoną daleko na wschód) – minister Poniatowski wydał rozporządzenie, na mocy którego Rzeczpospolitą podzielono na dwoje.

Linia wyznaczająca strefę ochronną przed epidemią biegła wzdłuż Zbrucza, Bugu, Narwi oraz Wieprza i miała za zadanie rozgraniczać wschodnią część kraju (będącą siedliskiem księgosuszu) od części zachodniej. Linii tej nie mogła odtąd przekroczyć ani jedna sztuka bydła; taki sam zakaz obejmował przewóz mięsa, skór, a nawet ściółki wraz z obornikiem. Transport koni i świń ze wschodu na zachód mógł się odbywać tylko za pomocą kolei.

Granica między strefami była ściśle chroniona przez pięcioosobowe posterunki, rozmieszczone co 5 km na lądzie, a na rzekach co 10 km.

Sztab główny w Puławach

Centrum walki z epidemią stał się wspomniany Instytut w Puławach. Lata wojennej zawieruchy przetrwał on jako nad wyraz dobrze zorganizowana jednostka, dysponująca świetnymi specjalistami oraz rozległymi terenami, gdzie można było ulokować stację oraz – co najważniejsze – odizolować ją od świata.

Na miejsce wytwórni surowicy wybrano leśniczówkę nazywaną Michałówka, położoną w odległości paru kilometrów od Instytutu. Wokół niej wyznaczono liczącą ok. 8 ha, ogrodzoną drutem kolczastym strefę zamkniętą, do której prowadziła tylko jedna droga.

W budynku Michałówki mieściła się odtąd administracja punktu i pomieszczenie dla personelu naukowego. Stajnię przerobiono na dział zakaźny, dom straży leśnej na pracownię serologiczną, a stodołę na oddział szczepień krwią zakaźną.

Wkrótce leśniczówka okazała się zbyt mała na potrzeby stacji. Dyrekcja Instytutu zleciła budowę kolejnych obiektów: w ciągu zaledwie kilku tygodni wokół Michałówki powstały trzy duże obory dla zwierząt, dom dla strzegących obiektu policjantów i skromna willa dla pracowników naukowych.

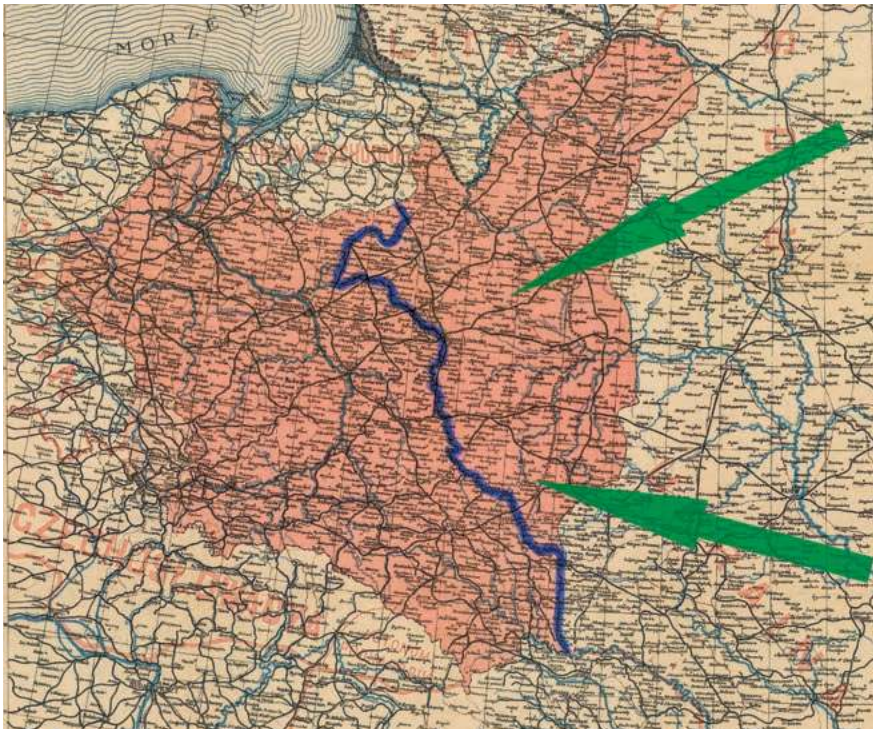

BIOWET PUŁAWY

Linia wyznaczająca strefę ochronną przed epidemią księgosuszu, 1920 r.

W pracach brali udział właściwie wszyscy, nie wyłączając miejscowych robotników leśnych oraz cieśli, którzy, jak w artykule poświęconym organizacji stacji pisał prof. Marchlewski, „rozumiejąc doniosłość stacji, pilnością swoją i sprawnością w znacznej mierze przyczynili się do rychłego jej uruchomienia". W innym miejscu Marchlewski dodał, że bywały dni, kiedy przy powstawaniu stacji pracowało „160 siekier".

Środki bezpieczeństwa na terenie Puław były restrykcyjne. Wszyscy mieszkańcy stacji – a w szczytowym momencie było to przeszło sto osób – podlegali ścisłej kontroli. Wychodzący musieli w budce strażnika poddawać się dezynfekcji za pomocą rozczynu karbolu.

Inspekcja, która w maju 1921 r. zjawiła się w Michałówce z ramienia Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego, zwracała uwagę na nadzwyczajną dbałość personelu o kwestie higieny. Autor relacji opisuje: „Zaraz u bramy wejściowej w domku warty kazano każdemu z nas nadziać kalosze, których znaczną ilość utrzymuje się do użytku zwiedzających. Nie dość na tym: u wejścia do oddziału zakaźnego każdy z nas musiał umaczać podeszwę w naczyniu z płynem odkażającym".

Stacji przez 24 godziny na dobę pilnował oddział policjantów. W nocy teren był oświetlony lampami żarowo-benzynowymi, a teren wokół ogrodzenia stale patrolowano.

Ratunek w surowicy

Prace nad surowicą pod kierunkiem dr. Jaroszyńskiego prowadził zespół lekarzy weterynarii: Piotr Andrijewski, Józef Cegłowski, Władysław Walkiewicz, Leon Bezuhły oraz lekarze z innych krajów. Poza personelem Michałówki w zwalczanie księgosuszu na terenie kraju zaangażowanych było prawie 300 lekarzy, 300 felczerów oraz ponad 200 studentów weterynarii.

Jeszcze przed ukończeniem prac budowlanych Feliks Jaroszyński ruszył w teren, by na obszarach objętych zarazą szukać krów, które na księgosusz zachorowały, ale przeżyły. Nazywano je ozdrowieńcami. Były to te nieliczne sztuki, które wykształciły odporność.

Po gruntownej dezynfekcji przywieziono je do stacji kolejowej w Puławach, skąd specjalnej konstrukcji kolejka odstawiła je do Michałówki. Były one jedynym wówczas źródłem pozyskiwania surowicy.

Drugą rzeczą, której potrzebował Jaroszyński, była zarażona wirusem krew, co w warunkach epidemii nie stanowiło kłopotu. W grudniu 1920 r. przywiózł ją z okolicy Siedlec.

Następny etap polegał na podaniu surowicy pobranej od ozdrowieńców krowom przywiezionym do Puław z regionów, gdzie zaraza jeszcze nie dotarła (m.in. z Galicji czy Wielkopolski). Wraz z surowicą wszczepiano im niewielkie ilości zarażonej krwi, po czym izolowano je w dziale zakaźnym, odgrodzonym od reszty stacji.

Tak rozpoczynał się proces hiperimmunizacji: zdrowe krowy służyły w nim jako swoiste „fabryki" surowicy. Po ok. 34 dniach pobierano od nich krew, którą w specjalnie wyjałowionych, szklanych cylindrach składowano w pracowni, gdzie za pomocą pieców utrzymywała się stała temperatura 25-30 stopni.

W tych warunkach następowało wydzielenie surowicy, która chroniła przed atakiem wirusa. Każdą partię uzyskanej w ten sposób surowicy badano później pod kątem efektywności i bezpieczeństwa.

Epidemia opanowana

Zastosowana w Puławach metoda walki z księgosuszem nie była nowa: bazowała na doświadczeniach wspomnianego już Marcelego Nenckiego, który począwszy od 1895 r. walczył z epidemią dżumy bydlęcej na Kaukazie Północnym. Nencki dowiódł, że wstrzykując zwierzętom zainfekowaną krew, pobudza się organizm do wytwarzania przeciwciał.

Uzyskana w ten sposób surowica służyła do szczepienia zarówno zwierząt chorych – co powodowało w znacznym procencie ich wyleczenie – jak i zdrowych, zapobiegając ich zachorowaniu.

Dzięki wysiłkom Nenckiego epidemia, która powodowała straty wśród krów i owiec idące w setki tysięcy sztuk rocznie, została niemal całkowicie opanowana.

Niestety, polski naukowiec nie doczekał się międzynarodowego uznania za swoje osiągnięcia. W tym samym czasie, co w carskiej Rosji, epidemia księgosuszu wybuchła w Afryce Południowej, gdzie pracował zespół niemieckich bakteriologów pod kierunkiem Roberta Kocha (późniejszego laureata Nagrody Nobla za badania nad gruźlicą).

Koch i Nencki nie znali się – niezależnie opracowali tę samą metodę. Choć Polak jako pierwszy ogłosił artykuł o swoich sukcesach (w 1896 r.), to jego publikacja w języku rosyjskim, a później polskim, nie odbiła się dostatecznie dużym echem. W efekcie walkę z pomorem bydła za pomocą szczepień surowicą wiązano raczej z nazwiskiem Kocha.

BIOWET PUŁAWY

Feliks Jaroszyński (1870–1940)

Życie na wyspie

Tymczasem o ile produkcja surowicy w Puławach przebiegała zgodnie z planem, o tyle życie codzienne na tej odosobnionej placówce nie należało do łatwych. Wymagało samozaparcia i determinacji.

Ze względów bezpieczeństwa nikt nie mógł opuszczać stacji bez pozwolenia. Michałówka stała się odciętą od świata wyspą: personel tylko raz w miesiącu mógł skorzystać z parodniowego urlopu, jadał posiłki na miejscowej stołówce, spał w wybudowanych na potrzeby stacji budynkach.

Mimo trudnych warunków morale skoszarowanych tak ludzi było wysokie – wizytujący stację inspektor zapisał, że „wszyscy wyglądają jak najlepiej, ożywieni duchem (...) poświęcenia i oddani pracy wybornie zorganizowanej, metodycznej w każdym calu, wydajnej ponad wszelką zwykłą rachubę".

Choć może to budzić niedowierzanie, mięso zarażonych zwierząt nie było utylizowane, ale gotowano je w specjalnych kotłach, solono, przechowywano w beczkach, po czym – pod ścisłą kontrolą weterynaryjną – żywili się nim mieszkańcy Michałówki. Nawet skóry – po uprzednim odkażeniu – magazynowano i sprzedawano.

Dużo większym problemem było zaopatrzenie tej osobliwej „wyspy" w paszę dla zwierząt. Aby uniknąć kontaktu z ludźmi z zewnątrz i zapobiec skażeniu okolicy, dyrekcja Instytutu poleciła uruchomić kolejkę, której tory biegły od stacji kolejowej w Puławach aż do specjalnie wybudowanej rampy przy ogrodzeniu stacji. Zawartość transportów przerzucano po prostu na drugą stronę parkanu, a tam przejmowali ją ludzie Jaroszyńskiego. Natomiast nawóz zostawiony przez zarażone bydło kompostowano, po czym zasypywano niegaszonym wapnem.

Świat się zapoznaje

W sumie w latach 1921-22 ośrodek w Puławach wyprodukował 15,5 tys. litrów surowicy. Kolejne jej partie – za pośrednictwem Komisarza Naczelnego do Walki z Księgosuszem – były transportowane do wszystkich województw. Tam lekarze weterynarii dystrybuowali je w zagrożonych punktach. Z raportów wynika, że szczepienia przynosiły błyskawiczny skutek: nie dało się uratować tylko zwierząt, w mocno zaawansowanym stadium choroby.

Wiosną 1922 r. na podstawie informacji o wygaśnięciu epidemii Ministerstwo Rolnictwa poleciło wstrzymać dalszą produkcję surowicy. Znaczny jej zapas zachowano jednak, na wypadek pojawiania się nowych ognisk zarazy.

Szacunkowy koszt całego przedsięwzięcia, włącznie z budową stacji i uruchomieniem produkcji, wyniósł niemal 250 mln ówczesnych marek polskich, co było dla cierpiącego niedostatek, odradzającego się państwa sumą znaczną (w przeliczeniu po dzisiejszym kursie dolara pokonanie epidemii kosztowało rząd polski ok. 900 tys. dolarów). Rzeczpospolitą w tym trudnym okresie wspomogły, dostarczając przyrządów i chemikaliów, rządy Danii, Francji i Szwecji.

Skuteczna walka polskich naukowców z epidemią wzbudziła duże zainteresowanie w Europie. Uczeni z różnych krajów poczęli zgłaszać się do Puław, by zapoznać się z osiągnięciami Jaroszyńskiego i jego zespołu. Dr Andrijewski wspominał: „Pozostało mi do dziś dnia żywo w wyobraźni oryginalne życie w Michałówce wśród lasów i za drutami kolczastymi, gdzie obok Polaków pracowali Francuzi, Duńczycy, Szwedzi, Niemcy, Czesi oraz przejeżdżali delegowani przez swe rządy fachowcy z wielu krajów, nawet z Argentyny, aby zapoznać się z produkcją preparatów antyksięgosuszowych". ↦

↦ Zapotrzebowanie na surowicę szybko zgłosiły m.in. Niemcy i Argentyna. Także Rosja bolszewicka, z którą jesienią 1920 r. zawarto rozejm (a następnie w marcu 1921 r. traktat pokojowy), wyraziła chęć kupna preparatu „w każdej ilości".

Rząd polski miał dylemat: czy pomagać państwu, które jeszcze rok wcześniej prowadziło swoje wojska na Warszawę? Ostatecznie postanowiono sprzedać bolszewikom surowicę pod warunkiem, że szczepienia – pod okiem polskich weterynarzy – rozpoczną się od granicy z Rzeczpospolitą i postępować będą systematycznie na wschód.

Inny patriotyzm

Z punktu widzenia przyszłości młodego państwa, podnoszącego się z wojennych ruin, zasługi skupionych wokół Feliksa Jaroszyńskiego naukowców oraz wszystkich zaangażowanych w walkę z zarazą są nie do przecenienia. Rolnictwo, będące wtedy podstawą gospodarki Drugiej Rzeczypospolitej, uniknęło poważnego kryzysu, który z pewnością by nastąpił, gdyby zdecydowano się na masowy ubój bydła.

Dyrektor Instytutu w Puławach, prof. Marchlewski, w jednym z nielicznych artykułów o tamtych wypadkach uznał zakończoną sukcesem walkę z epidemią za najlepszy dowód, że „w Polsce można znaleźć ludzi zdolnych do rzeczy ważnych nie tylko wówczas, gdy chodzi o czyn wielki, ale obliczony na krótką metę, ale także wówczas, gdy rezultatów spodziewać się można jedynie przy pomocy wytrwałości, pedantyczności, sumienności drobiazgowej i pilności".

To także dowód, że patriotyzm niejedno ma imię, a heroizm i poświęcenie przejawiają się nie tylko na polu zbrojnej walki.

© TOMASZ TARGAŃSKI

Tekst powstał na podstawie artykułu Beaty Orzechowskiej, Liliany Bezpalko, Małgorzaty Lis i Janusza Boratyńskiego pt. „Powstrzymanie epidemii księgosuszu w Polsce w latach 1921-1922", opublikowanego z okazji 100-lecia niepodległości na łamach „Postępów Higieny i Medycyny Doświadczalnej" (dostęp online na stronie www.phmd.pl).

Z Workuty do Poznania

JERZY SOBCZAK

W Wigilię roku 1960 ukazał się historyczny wymiar obyczaju, tak przestrzeganego w Polsce wieków XIX i XX: aby przy stole zostawiać wolne miejsce. Z myślą także o kimś, kto mógłby nagle wrócić.

Zwyczaj ten kultywowano również w moim domu rodzinnym i tak jest do dziś. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że w ten wieczór zbratania i miłości zrządzeniem Opatrzności dane nam będzie gościć kogoś, o kim tak pisał Wincenty Pol:

Bóg się w ziemi rodzi,
Więc powraca znów otucha,
Że więźniowi drzwi otworzą,
Że wygnaniec przetrwa mękę
I że tułacz z wolą Bożą
Poda jeszcze wszystkim rękę...

Był rok 1960. W kamienicy przy ul. Niegolewskich w Poznaniu mieliśmy zasiąść do wigilii jak zwykle tuż po szesnastej, gdy pojawi się pierwsza gwiazda.

Dochodziła czternasta, mama z babcią czyniły przygotowania do wieczerzy, gdy rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Pospieszyłem otworzyć. Ujrzałem człowieka wynędzniałego, w postrzępionym płaszczu. Jego twarz była niezwykła (pamiętam to do dziś): zaczerwienione, zapadłe policzki, nieco zarośnięte, były pomarszczone i wysuszone; spod czapki wystawały kosmyki siwych włosów. Wyglądał na 50-60 lat. Pomyślałem, że to pewnie żebrak, którego sylwetka i twarz świadczą, że często głodował.

Ciszę, która zapadła, przerwało jego nieśmiałe pytanie: o sąsiadkę mieszkającą na wysokim parterze. Nie umiałem odpowiedzieć i poprosiłem do drzwi mamę, która mogła być bardziej zorientowana. Gdy odpowiedziała przybyszowi, że także nie wie, ten po chwili milczenia zapytał cichym głosem: „Czy pani mnie poznaje?".

Mama milczała, przyglądając się bacznie, po czym powiedziała: „Pan wybaczy, ale chyba pana nie znam". Wówczas przybysz rzekł, nadal cicho: „Nazywam się Tadeusz Hebel. Może mnie pani sobie przypomni; jako student mieszkałem u sąsiadki na parterze".

GDY PODAŁ NAZWISKO, już wiedziałem, kto stoi w drzwiach. Mama zawołała: „O Boże! Poznaję! Pan żyje! Proszę wejść!".

O tym człowieku w naszej kamienicy mówiło się często, bo kilkanaście lat wcześniej, w 1947 r., nagle ślad po nim zaginął – po prostu przepadł bez wieści. Mieszkał u sąsiadki na parterze, z której dwoma synami i córką zaczął studia na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. W trakcie studiów wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego, którym kierował Stanisław Mikołajczyk.

Po ucieczce premiera na Zachód w październiku 1947 r. Urząd Bezpieczeństwa aresztował wielu działaczy ludowych – był wśród nich Tadeusz Hebel. Dotarła do nas tylko wieść, że został aresztowany, lecz jego dalszy los był nieznany. Ktoś wspominał, że idąc przez hol dworca kolejowego we Wrocławiu zauważył jego sylwetkę, lecz gdy podszedł do niego i powiedział „Cześć, Tadzik, co tu robisz?", nagle zjawiło się dwóch tajemniczych osobników, którzy nakazali, by się oddalił. Byli to zapewne funkcjonariusze bezpieki. To był ostatni ślad po tym człowieku.

MIJAŁY LATA. W kamienicy sąsiedzi nieraz się zastanawiali, co się stało z sympatycznym studentem, którego matka i siostra mieszkały w Świebodzinie. Nagle w 1958 lub 1959 r. ktoś przyniósł wieść, że Radio Wolna Europa podaje nazwiska Polaków przebywających w łagrach sowieckich, przesłane na Zachód przez jednego z tych, którym udało się wrócić. Wśród nich miał być Tadeusz Hebel. Jednak nikt nie przypuszczał, że kiedyś powróci. Tymczasem była Gwiazdka 1960 r. i oto stał w naszych drzwiach, wyniszczony i najwyraźniej chory.

Mama wprowadziła go do pokoju. Wigilijny stół był już gotowy, tradycyjnie z jednym nakryciem więcej. Pośrodku stołu leżał talerzyk z opłatkiem, a między oknami stała przybrana już choinka. Usiedliśmy wszyscy przy stole i zaczęła się długa rozmowa o minionych latach.

Gość opowiedział swoją historię. Jak się okazało, przed 1939 r. mieszkał w Grodnie, tuż nad Niemnem. Idąc codziennie do szkoły, przechodził obok więzienia i przez głowę mu nie przeszło, że kiedyś spędzi w jego murach najstraszliwsze chwile swego życia. Podczas niemieckiej okupacji wstąpił do Armii Krajowej, walczył, a gdy na te tereny wkroczyła Armia Czerwona, nie złożył broni. Po pewnym czasie udało mu się wraz z rodziną zabrać się transportem przesiedlanych Polaków – i tak trafił do Świebodzina.

Potem, jak już wiedzieliśmy, zaczął studia w Poznaniu i wstąpił do PSL. Ale Urząd Bezpieczeństwa aresztował go także za to, że walczył w AK przeciw Związkowi Sowieckiemu. Od dawna był na liście i tylko czekano na odpowiedni moment, by go aresztować.

Wywieziony z Poznania do Wrocławia, stamtąd po pewnym czasie w transporcie więźniów trafił do Grodna, gdzie osadzono go w więzieniu. Niebawem odbył się proces: został oskarżony o walkę zbrojną przeciw władzy sowieckiej i skazany na śmierć. Miał jednak szczęście: wyrok zamieniono na 25 lat ciężkich robót w łagrach.

Tak zaczęła się jego tułaczka po północno-zachodnich krańcach Rosji, w dorzeczu rzeki Peczory, w rejonie między Workutą a półwyspem Jamał, gdzie są kopalnie węgla.

BEZNAMIĘTNYM GŁOSEM opowiadał o tym: o potwornych warunkach panujących w obozach, gdzie więzieni byli Polacy, Rosjanie, Niemcy, Węgrzy, Włosi, Czesi... Wielu zmarło, niedożywionych i wycieńczonych nieludzką pracą po 12 godzin dziennie. Tak mijały lata, bez kontaktu z rodziną i krajem.

Nieoczekiwanie z początkiem 1956 r. przeniesiono go do innego obozu, o złagodzonym nieco reżimie, informując, że niebawem zostanie zwolniony i otrzyma zgodę na wyjazd do Polski. Ale w połowie roku zmieniono decyzję, bez podania przyczyn, oznajmiając, że będzie musiał jeszcze pewien czas zostać w obozie.

Czekał kolejne cztery lata, nie wiedząc, dlaczego opóźniono jego uwolnienie. Dopiero od mojej matki dowiedział się o możliwych przyczynach zatrzymania w łagrze: rodzice opowiedzieli mu, co zdarzyło się pamiętnego roku 1956, o krwawym poznańskim Czerwcu, a potem o polskim Październiku i stłumionym przez wojska sowieckie powstaniu na Węgrzech. Słuchał z przejęciem.

Mama nie miała odwagi przekazać mu w ten wigilijny dzień wiadomości, że jego matka zmarła niemal rok wcześniej, nie doczekawszy powrotu syna.

Słuchałem jego historii, jednej z wielu, o których w ówczesnej Polsce nie wolno było głośno mówić ani tym bardziej ich opisywać. Dla mojej rodziny (która niemiecką okupację przeżyła w Poznaniu) i dla mnie, wówczas 20-letniego chłopaka, była to przerażająca lekcja nieznanej dotąd historii.

DLACZEGO TADEUSZ HEBEL zjawił się w naszej kamienicy zaraz po przybyciu do Polski? Okazało się, że bilet wystawiono mu jedynie do Poznania. Chciał więc pożyczyć pieniądze na podróż do oddalonego o sto kilometrów Świebodzina. A że nie zastał sąsiadki, zastukał do nas, gdyż pamiętał, że przed laty wynajmował u nas pokój jego kolega ze studiów (odwiedzając wtedy naszego sublokatora, poznał też moich rodziców).

Chciał jeszcze w ten wieczór ruszyć w dalszą drogę, do swej rodziny do Świebodzina. Mama zorganizowała więc szybko wieczerzę wigilijną. Najbardziej wzruszającym momentem tego spotkania była chwila, gdy mama podała opłatek, by przełamał się z nami. Wówczas w oczach naszego gościa pojawiły się łzy. Ten opłatek był znakiem, że jest w kraju, wśród swoich.

A jaki był dalszy los Tadeusza Hebla? Jak mi wiadomo, dawni koledzy pomogli mu w powrocie na uczelnię. Wkrótce ukończył studia rolnicze.

Dalsze koleje jego życia nie są mi znane. ©

Gułag w Workucie, ok. 1945 r.

LASKII DIFFUSION / EAST NEWS

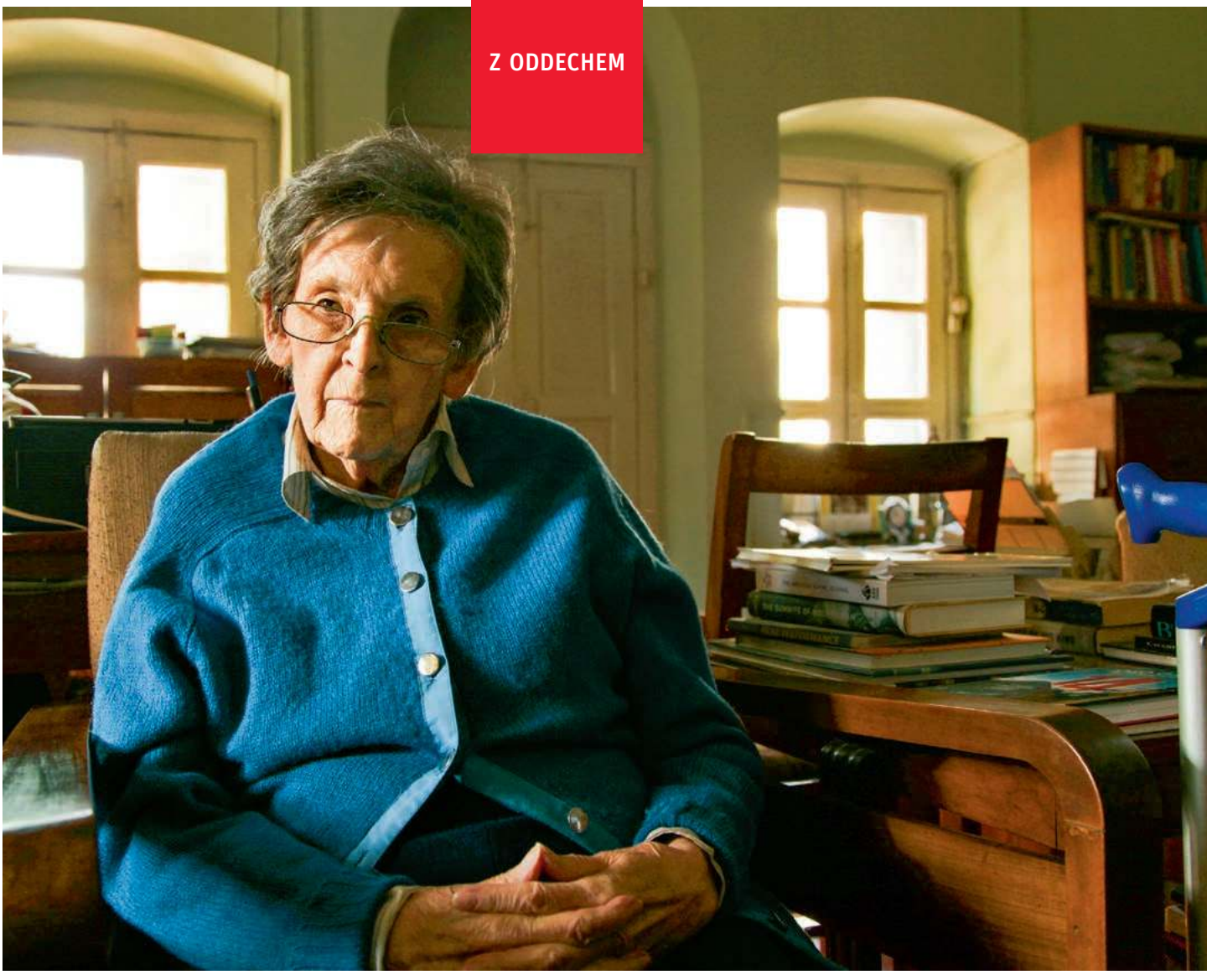

BARTEK DOBROCH

Elizabeth Hawley, Katmandu, 2014 r.

HIMALAJSKA WYROCZNIA

Elizabeth Hawley nigdy nie wspinała się po górach.
Nie przeszkodziło jej to na pół wieku stać się żywą encyklopedią
i ostatnią instancją dla pokoleń wspinaczy.

BARTEK DOBROCH

Miała cechy największych kronikarzy – trzymała rękę na pulsie wydarzeń, była skrupulatna, dociekliwa i długowieczna. We wszystkich opowieściach polskich himalaistów była już starszą panią. Nic dziwnego – spotykali ją zazwyczaj dopiero w latach 80. Ale w listopadzie 2014 r. Elizabeth Hawley była już naprawdę staruszką. Ukończyła 91 lat.

W Nepalu przeżyła trzech królów, a za panowania czwartego – rewolucję i upadek monarchii. Przez 50 lat od jej przybycia do Katmandu liczba wejść na Mount Everest wzrosła ponad tysiąckrotnie. Ewoluował himalaizm – od pionierskiego, przez eksploracyjny, sportowy i kolekcjonerski, aż po dominację wypraw komercyjnych.

Telefon w Katmandu

Dłuższy pobyt w Nepalu wydawał się ostatnią szansą na spotkanie z Elizabeth Hawley. Dla kogoś, kto dotykał wprawdzie podnóży ośmiotysięczników i wchodził na kilka niższych szczytów, lecz nigdy nie był himalaistą, zaaranżowanie wizyty u przyjaciółki Edmunda Hillary'ego i Reinholda Messnera było misją na miarę organizacji prywatnej audiencji u papieża. Jej asystenci Billi Bierling oraz Richard Salisbury odpisali jednak szybko w niemal jednobrzmiących mailach: „Jak będziesz w Katmandu, możesz po prostu zadzwonić do Miss Hawley na nr 4412436".

Miss Hawley – panna Hawley. Tak najchętniej sama lubiła być tytułowana.

Wybrałem numer. Odebrała. Wiedziała już o mojej prośbie z przekazanego jej maila. Poprosiła o numer telefonu. Nazajutrz oddzwoniła.

Biografka Hawley, Bernadette McDonald, której „Strażniczka gór" (w przekładzie Andrzeja Górki i pod tytułem z drugiego wydania amerykańskiego) wyszła tej jesieni w Polsce, mówi „Tygodnikowi": – Pierwszy wydawca książki chciał ją zatytułować „Call Me in Kathmandu" („Zadzwoń do mnie w Katmandu"). Nie możemy tak zatytułować książki – zaoponowałam – bo to ona zawsze dzwoni do wszystkich. „Ale to lepiej brzmi", upierał się wydawca. Gdy posłałam jej projekt, wpadła w złość: „Kto to wymyślił? Czy to ty? To jest najgłupszy tytuł. Nikt do mnie nie dzwoni. Zawsze ja dzwonię do wszystkich".

Ostatecznie książka ukazała się pod tytułem „I'll Call You in Kathmandu" – „Zadzwonię do ciebie w Katmandu".

Oddzwaniając powiedziała, że wyśle po mnie kierowcę. W stolicy Nepalu nazwy ulic funkcjonowały w powszechnej świadomości jedynie w turystycznym sercu miasta, na Thamelu oraz na wiecznie zatłoczonych arteriach. Reszta pozostawała bezimienna. I bezkształtna. Nawet taksówkarze i rikszarze, żeby dotrzeć pod wskazany adres, potrzebowali mapy, wskazówek pasażera lub nawigującego ich przez telefon adresata.

Punktualnie o umówionej godzinie pod hotel podjechał błękitny volkswagen garbus. Jedyny taki w całym mieście. Rocznik 1963. Hawley kupiła dwuletnie wówczas auto od księcia Basundhary, młodszego syna nieżyjącego już wtedy od dekady króla Tribhuvana. Jeździła nim jeszcze w pierwszej połowie lat 90., potem zatrudniła szofera.

Nazywał się Suban, ubrany w nienagannie skrojoną beżową liberię otworzył mi drzwi garbusa i prowadząc w białych rękawiczkach wiózł z wdziękiem omijając slalomem dziury, z których głównie składała się ziemna nawierzchnia bocznych ulic. Za kilka dni większość z nich przed rozpoczynającym się w Katmandu szczytem SAARC – Południowoazjatyckiego Stowarzyszenia Współpracy Regionalnej – miała zostać zalana asfaltem niczym grubą warstwą makijażu, maskującą niedoskonałości na zmęczonej życiem twarzy.

Brytyjskie maniery

Dom położony był w centrum, w dzielnicy Dilli Bazaar. Najważniejszy był w nim jej gabinet, stanowiący jednocześnie archiwum, które wypełniało ciężki stół i biurko, drewniane szafy z wielkimi szufladami, kryjącymi niemal całą wiedzę o historii himalaizmu w górach Nepalu, oraz regały uginające się od książek. Fasada i wystrój nie zmieniły się zapewne przez pół wieku. Przypominały jeszcze o czasach brytyjskiej kolonizacji.

Hawley była rówieśniczką porozumienia, na mocy którego Wielka Brytania uznała suwerenność Nepalu. W swoich manierach ona też wydawała się bardziej brytyjska niż amerykańska. Przywodziła na myśl surową dyrektorkę starej angielskiej szkoły. Wielu sądziło, że jest Angielką. W błąd wprowadzał otaczający ją sztab służących, asystentów, sekretarka i szofer, dzięki którym nigdy nie musiała nawet wychodzić na zakupy. Mogła prowadzić życie skupionej na ważnych sprawach damy, oddawać się codziennym rytuałom – od wczesnego śniadania wypełnionego lekturą gazet po wieczorną partię pasjansa. Nigdy dobrze nie nauczyła się nepalskiego, posługiwała się angielskim. Narodowość zdradzał dopiero akcent oraz prawdziwie amerykańska przebojowość, którą szybko zyskała autorytet wśród himalaistów, dziennikarzy, dyplomatów oraz przedstawicieli nepalskich wyższych sfer.

Urodziła się w 1923 r. w Chicago, do którego pod koniec XIX w. przeprowadzili się jej dziadkowie. Dziadek ze strony matki, Edward Everett Gore, z zawodu księgowy, szybko piął się po szczeblach kariery stając w końcu na czele Chicagowskiej Komisji ds. Przestępczości. W czasach prohibicji grupa Ala Capone'a niejednokrotnie groziła mu śmiercią. Wykształcenie zdobyła także jego żona, babcia Elizabeth. Nie dziwi więc, że ich córka Florelle też skończyła studia i angażowała się w pracę na rzecz Ligi Kobiet Głosujących.

Florelle wyszła za mąż za służącego podczas I wojny światowej w marynarce wojennej Franka Hawleya. Gdy wybuchła kolejna wojna, ojciec chciał, by młodsza z ich dwojga dzieci studiowała matematykę i podjęła po tym pracę w fabryce, w czym widział akt patriotyzmu wobec zaatakowanego w Pearl Harbor kraju. Elizabeth uparła się jednak na historię, argumentując, że jej znajomość pozwoli jej przygotować się na zwycięstwo pokoju. Na studiach angażowała się w działalność Post-War Council, studenckiego stowarzyszenia organizującego wykłady wybitnych intelektualistów – jak choćby filozofa Bertranda Russella.

Drogi do źródeł

Po wojnie podjęła pracę w magazynie „Fortune", ale nie jako reporterka. W redakcji hołdowano bowiem starym wzorcom, według których mężczyźni pisali artykuły, kobiety zaś zajmowały się ich dokumentacją, robiły notatki dla autorów. Wpierw u boku tychże, później sama, zbierając materiały zaczęła podróżować po Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, a nawet Brazylii. Rozbudzona ciekawość świata prowadziła do kolejnych wypraw. Pierwszym europejskim przystankiem była oczywiście Wielka Brytania. W Niemczech widziała ledwie ostygłe krematoria w Dachau i zburzony Berlin. Z akredytacją dziennikarską w ręku wyruszyła do Jugosławii. W Belgradzie rozmawiała z marszałkiem Tito. Opisywała zniszczenia w Laponii, spotykała się tam z Saamami, a dla magazynu „Life" przygotowywała raport o fińskim socjalizmie. W Chartumie podczas rejsu po Nilu zakochała się w sudańskim urzędniku. Po wyjeździe do Kenii, wówczas Brytyjskiej Afryki Wschodniej, więcej go już nie spotkała, choć korespondowali i uważała go za jednego z nielicznych mężczyzn, których mogłaby poślubić.

W 1957 r. odwiedziła też zniszczoną Warszawę. Była na pierwszym pochodzie pierwszomajowym z udziałem Gomułki, a także na uroczystości zawierzenia Polski pod opiekę Matce ↦

↦ Boskiej Częstochowskiej przez kard. Wyszyńskiego, który w tym samym czasie, po uwolnieniu z internowania, trafił na okładkę „Time'a". Najmocniej w pamięci zapadło jej jednak spotkanie w Łodzi ze skarżącym się na antysemityzm przewodniczącym gminy żydowskiej, którego rodzina była jedną z zaledwie ośmiu ocalałych z likwidacji wileńskiego getta.

Inspirowały ją postaci niezależnych podróżniczek i pisarek – Karen Blixen, Freya Stark, Alexandra David-Néel oraz Gertrude Bell. Drogi trzech ostatnich zaprowadziły ją na Bliski Wschód i do Azji. Za opowieściami Bell wyruszyła do Aleppo. Współpasażerem, z którym podróżowała taksówką (podkreślmy: taksówką!) z Karaczi do Bombaju, okazał się być pisarz, autor „Ciemności w południe" Arthur Koestler. Z kolei w Bejrucie zaprzyjaźniła się z młodym Brytyjczykiem, Kimem Philbym, który został później zdemaskowany jako podwójny agent MI6 i KGB.

Na początku pobytu w Nepalu sama pracowała zresztą dla Knickerbocker Foundation, którą dziś uważa się za przykrywkę CIA. Jej przyjazdowi do Katmandu w 1959 r. towarzyszył też cel zawodowy: w Nepalu odbywały się pierwsze wybory powszechne, król Mahendra ogłaszał pierwszą konstytucję kraju (którą rok później złamał, rozwiązując parlament i prowadząc kraj na drogę autorytaryzmu). Niemalże w przededniu tych wydarzeń, we wrześniu 1960 r., Hawley zafascynowana zmieniającym się, dotąd niemal nieznanym krajem powróciła do Nepalu – już jako pracująca na pół etatu korespondentka magazynów „Time", „Life" i „Fortune". Dwa lata później słała depesze dla Agencji Reutera. Nie spodziewała się, że jej pobyt przedłuży się o wieczność. „Przybyłam do Nepalu i nie zamierzałam tu zostać. Po prostu nigdy nie wyjechałam" – wyjaśniała po latach. A zapytana, co ją skłoniło do pozostania, odpowiadała: w Katmandu każdego dnia dowiadywała się czegoś nowego.

Depesza dla Kennedy'ego

Himalaistów poznała podczas przyjęć w mieszkaniu Borysa Lissaniewicza, tancerza baletowego, uciekiniera z Rosji, bliskiego przyjaciela i powiernika króla Tribhuvana. Katmandu lat 60. XX w. zamieszkiwało grono wyjątkowych postaci, oryginałów, poszukiwaczy przygód i sensu życia, uciekinierów od rzeczywistości.

Był pośród nich pochodzący także z Chicago ojciec Moran, misjonarz, jezuita, założyciel szkół św. Ksawerego w Indiach i w Katmandu oraz prekursor radia w Nepalu. Był Toni Hagen, szwajcarski geolog, który pierwszy sfotografował z samolotu ośmiotysięcznik Sziszapangmę, a później zasłużył się jako pionier pomocy rozwojowej ze swojego kraju i dobroczyńca tybetańskich uchodźców. Była amerykańska dziennikarka i kochanka księcia Basundhary, Barbara Adams, z którą Hawley wyruszy w ostatnią podróż w duchu młodzieńczych wojaży, niczym Paul Theroux, koleją z Londynu do Hongkongu. Był Peter Aufschnaiter, tyrolski alpinista, geograf, znany przede wszystkim jako partner Heinricha Harrera z tułaczki opisanej przez niego w książce „Siedem lat w Tybecie".

Last but not least – mieszkał tu także Edmund Hillary, pierwszy zdobywca Everestu. Na jednej z zabaw sylwestrowych prezentował znalezioną w górach skórę yeti, która w rzeczywistości należała do rzadkiego niedźwiedzia himalajskiego.

Elizabeth pisała już wcześniej teksty, które dotyczyły gór – m.in. o chińsko-nepalskim układzie o przebiegu granicy na Everešcie. Ale dopiero za sprawą informacji o himalajskim wyczynie przekroczyła reporterski rubikon. W 1963 r., podczas pierwszej amerykańskiej wyprawy na Mount Everest, Willi Unsoeld i Tom Hornbein wspięli się na szczyt nową drogą przez grań zachodnią i stromy żleb, który nazwano później Kuluarem Hornbeina. Dokonali też pierwszego trawersu góry. Depesza o osiągnięciu trafiła wpierw do prezydenta Kennedy'ego. Była to depesza Hawley, która dzięki nasłuchowi radiowemu z amatorskiej radiostacji ubiegła inne media.

Nigdy nie odniosła większych sukcesów dziennikarskich. Tylko raz jej tekst informujący o śmierci w 1982 r. pierwszego demokratycznie wybranego premiera Nepalu, a zarazem jej dobrego znajomego, B.P. Koirali, trafił na okładkę „New York Timesa". Gdy zaś pięć lat później w Katmandu wylądował pierwszy samolot z Lhasy lecący poza Chiny, do jej biura dotarło dwóch ludzi z pisemnymi raportami i zdjęciami zamieszek w Tybecie. Nadany do Reutera teleks oraz wysłane przez lecącego do Delhi pasażera zdjęcia obiegły świat.

Rejestr szaleńców

Niedługo po sukcesie Amerykanów relacjonowała mieszkającej w Stanach matce: „Tutejsze góry aż roją się od szalonych ludzi, którzy chcą zdobywać najwyższe wierzchołki. Myślę sobie, że lepiej byłoby, gdyby pozostali w domach przy żonach i dzieciaczkach".

Fizycznie z himalaizmem nie miała nigdy do czynienia. Gdy jeden ze wspinaczy poirytowany jej kąśliwymi uwagami na temat stylu prowadzonej przez niego działalności przewodnickiej zapytał ją, czy kiedykolwiek się wspinała, jeździła na nartach lub choćby chodziła po górach, odpowiedziała: „Nie, nawet nie przeszło mi to przez myśl". Kiedy jednak w połowie lat 60. wybrała się w zamieszkany przez Szerpów rejon Khumbu, uznała trekking, zajęcie polegające według niej na wchodzeniu na strome zbocza, by następnie schodzić z nich bez końca w dół, za męczący. Niektórzy dziwili się, że ani wówczas, ani później nie doszła choćby do bazy pod Everestem, mimo że opisywała dziesiątki wypraw, które startowały z niej na najwyższy szczyt świata. Zasłaniała się nadmiarem obowiązków.

Należały do nich przede wszystkim spotkania z kierownikami wypraw zmierzających i powracających z Himalajów.

Zdziwienie wielu budzi, jak to robiła, że do hoteli, do których przyjeżdżały, dzwoniła dosłownie na moment po ich zameldowaniu. Przyjeżdżała następnie garbusem i zadawała pytania. Kim są uczestnicy ekspedycji i zdobywcy szczytu? Którędy wiedzie droga? Na jakiej wysokości stanęły kolejne obozy? Takie oraz znacznie bardziej drobiazgowe. A czasem abstrakcyjne. Po zdobyciu przez Jerzego Kukuczkę Sziszapangmy, ostatniego ośmiotysięcznika w jego „Koronie Himalajów i Karakorum", pytała go, z kim pojechałby na kolejną wyprawę. „Oczywiście znowu z Arturem Hajzerem" – odpowiadał. „A z kim udałbyś się na bezludną wyspę?" – drążyła. Kukuczka wskazał uczestniczącego w tamtej wyprawie znajomego z harcerskich czasów Ryśka Wareckiego.

Zebrane informacje lądowały w teczkach, stanowiąc bazę danych na temat szczytów i historii ich podboju. Wiedzę z 15 tys. przeprowadzonych wywiadów uzupełniały doniesienia z gazet, książek, korespondencji. W swojej „Himalaya Database" zarejestrowała informacje na temat 9,5 tys. ekspedycji z lat 1905–2017

na 450 najwyższych lub najbardziej znaczących szczytów Nepalu (a kilku w Tybecie, do którego punktem startowym było także Katmandu), z udziałem ok. 70 tys. ludzi.

Jedynym warunkiem otrzymania informacji z tej bazy było zadawanie jej mądrych pytań. Ceniła też tych, którzy udzielali mądrych odpowiedzi. Formularz, który wręczała himalaistom, zawierał pytanie o stan cywilny. Reinhold Messner zaznaczył wszystkie cztery możliwe odpowiedzi tłumacząc, że ożenił się we Włoszech, a rozwiódł w Niemczech, Włochy jednak rozwodu nie uznały, w związku z czym w jednym kraju jest żonaty, w drugim rozwiedziony, żyje z nową partnerką, a czuje się samotny.

Górski Sherlock Holmes

Ze swojej samotności nie zwierzała się nikomu, choć być może mrówcza, nieustanna praca była rodzajem remedium na nią, wypełnienia pustki wynikającej z braku rodziny, permanentnego oddalenia od najbliższych osób. Jej dobry przyjaciel zastał ją kiedyś w Boże Narodzenie zupełnie samą i płaczącą przy zastawionym stole. Szczególna przyjaźń łączyła ją z Hillarym. Przez wiele lat była dyrektorką Himalayan Trust, organizacji dobroczynnej założonej przez słynnego wspinacza. Gdy jego żona i córka zginęły w Nepalu w wypadku awionetki, to Hawley wsiadła w helikopter i przekazała mu tragiczną wiadomość.

Był to jeden z najtrudniejszych momentów w jej długim życiu – obok śmierci brata w młodym wieku oraz chwili, gdy podpalała stos z ciałem zmarłej matki, którą w ostatnim roku jej życia sprowadziła do Katmandu.

W uznaniu zasług rząd Nowej Zelandii powierzył jej, Amerykance, funkcję konsula honorowego wyspiarskiego kraju. Pełniła ją przez 20 lat, choć wiązało się to często z kłopotami. Na przykład, gdy pomagała Nowozelandczykowi przyłapanemu na przemycie do Singapuru płynnego haszyszu i na posługiwaniu się dwoma podrobionymi paszportami. Ów okazał się w istocie Polakiem o nazwisku Matlak.

Z niegodziwością i oszustwami, a czasem zwykłymi pomyłkami, stykała się także w himalaizmie. Nie wszyscy, którzy deklarowali zdobycie szczytu, faktycznie osiągnęli jego główny wierzchołek. Gdy czuła, że ktoś nagina prawdę, zamieniała się w detektywa, zadawała podchwytliwe pytania, dociekając, co było widać ze szczytu lub jak on wyglądał. Hillary nazywał ją „Sherlockiem Holmesem górskiego świata". Znała ośmiotysięczniki niejednokrotnie lepiej niż ich zdobywcy. Doskonale wiedziała, jak wyglądają ich wierzchołki. Że większość wspinających się na Sziszapangmę kończy na jej ledwie przekraczającym 8000 m wierzchołku centralnym, a na Dhaulagiri chorągiewki modlitewne wcale nie znajdują się w najwyższym punkcie.

Jej werdykty zmieniały historię himalaizmu, obalały jego koronowane głowy. Zwłaszcza ten z 2010 r., gdy zakwestionowała wejście na Kanczendzongę Koreanki Oh Eun-sun, ogłoszonej już pierwszą kobietą z „Koroną Himalajów i Karakorum".

Jej werdykty zmieniały historię himalaizmu, obalały jego koronowane głowy. Zwłaszcza ten kwestionujący wejście na Kanczendzongę Koreanki Oh Eun-sun, ogłoszonej już pierwszą kobietą z „Koroną Himalajów i Karakorum" w 2010 r.

Z werdyktem musiał zgodzić się nawet Messner, który zdążył umieścić już zdjęcie Oh na „ścianie chwały" w swoim muzeum na zamku w Bolzano.

Przyjaciele z książek

Miss Hawley była ostatnią instancją w międzynarodowym himalajskim sądzie koleżeńskim. Obdarzoną ciętym, sarkastycznym poczuciem humoru. Adam Bielecki, który jako jeden z ostatnich Polaków spotkał w 2017 r. Hawley, wspomina, że gdy zapytana przez współpracowniczkę, ile w końcu ośmiotysięczników zdobył pewien kontrowersyjny chiński wspinacz, odparła: „Cokolwiek mówi – minus cztery". Tłok pod Everestem podczas jednego z sezonów w latach 80., gdy rozstawiła pod nim bazę m.in. licząca 283 osób chińsko-japońsko-nepalska Wyprawa Przyjaźni, skomentowała dosadnie: „Będzie tam prawdziwe zoo".

Oczywiście popełniała też błędy – jak wtedy, gdy zbyt pochopnie uznała największe oszustwo w dziejach himalaizmu, czyli niedokonane w rzeczywistości przez Tomo Česena pierwsze przejście południowej ściany Lhotse. Być może jej czujność przytępił podziw, jaki budzili w niej podejmujący się najtrudniejszych wyznań himalaiści, których z początku uważała za szaleńców.

Obok Hillary'ego i Messnera należeli do nich z pewnością Wojtek Kurtyka i Jerzy Kukuczka. Podczas naszego spotkania w Katmandu, poruszająca się już wówczas o kuli, zgarbiona, pomarszczona, ubrana w zapinany na guziki granatowy sweterek Miss Hawley podkreślała cierpliwość i determinację Kukuczki, potrafiąc odtworzyć w pamięci szczegóły jego wejścia na Manaslu, choć minęło od niego prawie 30 lat i znała je tylko ze słyszenia.

Gdy jednak dwa lata później podczas prowadzenia wywiadu pogubiła się i poczuła, jakby jej umysł nagle zgasł, oficjalnie zdecydowała się przejść na emeryturę.

– Była wyjątkowo pragmatyczną osobą i gdy podjęła decyzję, już jej nie zmieniała – opowiada mi jej najbliższa współpracowniczka, niemiecka dziennikarka i himalaistka Billi Bierling. – Ostatnie dwa lata życia spędziła w domu, przez większość czasu czytając książki swojej ulubionej autorki Dorothy Sayers. Ilekroć wchodziłam do jej słabo oświetlonego mieszkania, zastawałam ją przy solidnym dębowym stole zgarbioną nad jedną z książek Sayers, które czytała niezliczoną ilość razy. „Ludzie w tych książkach są moimi przyjaciółmi – odpowiadała pytana, czemu ignoruje wszystkie inne książki leżące na stole – Dlaczego miałabym czytać książki z ludźmi, których nie znam i których nie lubię?".

Zmarła 26 stycznia 2018 r. Jej zwłoki zostały skremowane na stosie przy wznoszącej się ponad Katmandu świątyni Swayambhunath. Archiwum, zgodnie z jej wolą, trafiło do American Alpine Club. W jej domu nadal mieści się siedziba Himalayan Trust. A niebieskiego garbusa jeszcze za jej życia odkupił od niej Simone Moro z zamiarem umieszczenia go w przyszłości w muzeum alpinizmu we Włoszech.

© BARTEK DOBROCH

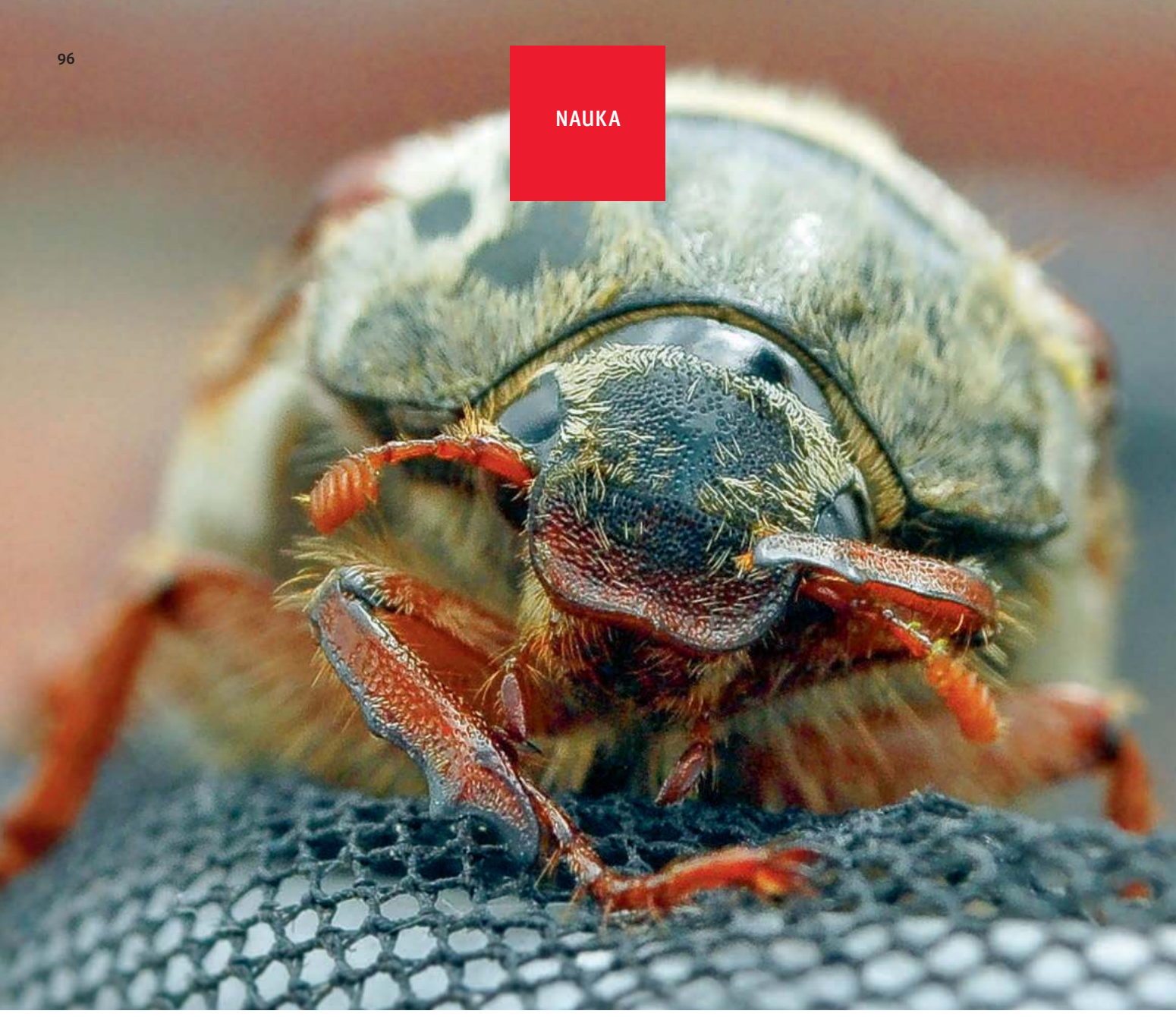

Z MIŁOŚCI DO CHRZĄSZCZY

Żadna inna grupa zwierząt nie osiągnęła podobnego sukcesu ewolucyjnego. Chrząszcze opanowały Ziemię – dzięki temu, że się jej podporządkowały.

SZYMON DROBNIAK

John B.S. Haldane, brytyjski genetyk i biolog ewolucyjny, został kiedyś zapytany przez teologa o wnioski, jakie można wyciągnąć na temat Stwórcy badając przyrodę. „Musi mieć przesadny sentyment do chrząszczy", odpowiedział ponoć Haldane. Choć prawdziwość tych słów nigdy nie została potwierdzona, chrząszcze od zawsze zajmowały szczyt piedestału niezwykłości biologii ewolucyjnej.

Jeden z moich zaprzyjaźnionych entomologów zwierzył mi się kiedyś, że za każdym razem wchodząc do hali mieszczącej kolekcję chrząszczy Muzeum Historii Naturalnej w Londynie czuje się, jakby wchodził do gigantycznej bombonierki pełnej lśniących czekoladek. Trudno oprzeć się takiemu skojarzeniu – precyzyjnie rozłożone w wielkich, wysłanych suknem gablotach chrząszcze lśnią jak zawinięte w wielokolorowe sreberka słodycze, we wszystkich możliwych kształtach, odcieniach i fakturach.

Mamy wśród nich miniwielbłądy, mamy gatunki stosujące mechanizmy wytwarzające kolor precyzyjniej niż dowolny stworzony przez człowieka pigment. Mamy też minireaktory biochemiczne z buzującą w nich mieszanką żrących chemikaliów, mamy wreszcie małe cuda molekularnej maszynerii produkujące światło wydajniej niż wszystkie wymyślone przez ludzkich inżynierów jarzeniówki. Wszystko to – i znacznie więcej – znajdziemy w tym niezwykłym rzędzie owadów. Dlaczego właśnie chrząszcze eksplodowały tak niesamowitą, nieprzebraną różnorodnością form i stylów życia na tle innych grup owadów, i zwierząt w ogóle?

PIXABAY

Jedna czwarta stworzenia

Wylosujmy sobie dowolny organizm zwierzęcy. Jeśli zrobilibyśmy to używając (z żalem to przyznam – jeszcze nieistniejącej) hipotetycznej Księgi Wszystkich Gatunków Zwierząt, będziemy mieć jedną szansę na cztery, że wylosowane zwierzę będzie chrząszczem. Nasze szanse rosną jeszcze bardziej w terenie. Chrząszcze charakteryzują się z reguły większymi populacjami niż np. kręgowce – losując więc dowolny organizm zwierzęcy np. w lesie czy na łące potęgujemy wrażenie wszechobecności chrząszczy w przyrodzie.

Znamy obecnie około 400 tys. gatunków chrząszczy (dokładne wartości są trudne do oszacowania ze względu na problemy z określeniem precyzyjnej przynależności gatunkowej niektórych taksonów), co stanowi jedną czwartą opisanych gatunków zwierząt i prawie połowę znanych gatunków owadów.

Liczby zaczynają robić jeszcze większe wrażenie, jeśli pomyślimy o tym, ilu gatunków nie znamy. Po raz pierwszy takie ćwiczenie umysłowe wykonał na odpowiednią skalę w 1982 r. amerykański badacz owadów Terry L. Erwin, choć jego podejście było dość kontrowersyjne. Erwin założył, że deszczowy las tropikalny, jako biologiczny tygiel przewyższający pod kątem bioróżnorodności inne ekosystemy, powinien być najlepszym punktem wyjścia do dokonania oszacowań faktycznego bogactwa gatunkowego owadów – i życia w ogóle. Wybrał kilkanaście drzew gatunku typowego dla równikowego lasu deszczowego w Panamie, opryskał je dokładnie silnym środkiem owadobójczym, a następnie zebrał spadające z nich owady, katalogując i oznaczając pozyskane w ten sposób chrząszcze. W eksperymencie zidentyfikował prawie 1200 gatunków. Biorąc pod uwagę kilka faktów (niektóre chrząszcze żyją tylko na konkretnym gatunku drzewa) oraz liczbę znanych gatunków drzew w panamskich lasach i zakładając występowanie dwukrotnie większej liczby gatunków chrząszczy w koronach drzew niż w leśnej ściółce – Erwin stwierdził, że w tropikalnych lasach Panamy powinno żyć ponad osiem milionów drzewnych gatunków chrząszczy oraz przeszło 30,5 mln gatunków stawonogów.

Tymczasem jak dotąd naukowcy opisali i nazwali niespełna dwa miliony gatunków (wliczając zwierzęta, rośliny, jednokomórkowe glony i pierwotniaki oraz grzyby). Oszacowania Erwina szybko więc zaczęto podważać, wytykając mu szereg błędów, m.in. zignorowanie międzygatunkowego zróżnicowania w tym, do jakiego stopnia różne gatunki drzew „wychowują" sobie tylko wierne gatunki chrząszczy. W znacznie nowszej pracy, opublikowanej w 2015 r. przez zespół Nigela E. Storka, na podstawie danych ekologicznych i fizjologicznych dotyczących brytyjskich chrząszczy, całkowita liczba gatunków w rzędzie Coleoptera oszacowana została na ciągle imponującym poziomie 0,9–2 mln gatunków.

Ewolucyjny autostop

Co sprawiło, że chrząszcze w tak niezwykły sposób oparły się wszechobecnej sile wymierania? To ona, ścierając się z procesem wyodrębniania gatunków we wszystkich innych grupach zwierząt prowadzi do ograniczenia bogactwa gatunkowego. Odpowiedź na to pytanie może nie tylko zaspokoić czysto akademicką potrzebę wyjaśnienia procesu ewolucyjnego, który dał początek oszałamiającej menażerii chrząszczy. Odkrycie tajemnicy tej grupy owadów może również wspomóc badaczy w zdefiniowaniu zestawu cech i uwarunkowań biologicznych, które konkretnym grupom organizmów żywych zapewniają szczególną przewagę w nieustającym wyścigu rodzących się i wymierających gatunków. Tajemnicy, która w erze katastrofalnych zmian środowiska i spowodowanego przez człowieka masowego wymierania gatunków może nam pomóc przynajmniej niektóre z nich ocalić.

Zacznijmy od historii. Ostatnie badania umiejscawiają pierwsze udokumentowane gatunki chrząszczy około 300 milionów lat temu. Na przełomie jury i kredy chrząszcze brylowały na biologicznych salonach, osiągając największe taksonomiczne bogactwo od czasów swojego paleozoicznego początku. Po latach tłustych przyszła katastrofa kredowego wymierania (ok. 65 mln lat temu) – która z powierzchni ziemi starła niemal 90 proc. istniejących rodzajów chrząszczy. Szybko doszło też do odrodzenia – od początku kenozoiku liczba notowanych rodzajów chrząszczy szybuje ostro w górę i już dawno przekroczyła pięciokrotność rekordu z przełomu jury i kredy. Uważne spojrzenie na te notowania wskazuje jednak ciekawy trend, bardzo istotny dla wyjaśnienia szczególnej „eksplozywności" chrząszczowej różnorodności. Grupą chrząszczy szczególnie, wydawać by się mogło, uprzywilejowaną są gatunki roślinożerne. Ich liczba przyrasta znacznie szybciej niż w przypadku gatunków drapieżnych i saprofitycznych (żywiących się martwą materią organiczną). Bardzo ciekawa analiza tego niezwykłego trendu, opublikowana w 1998 r. przez Briana Farrella, wskazuje na intrygujące wyjaśnienie.

Farrell zbadał pary tzw. siostrzanych taksonów roślinożernych chrząszczy: takich, które powstawały przez rozdzielenie się jakiejś ewolucyjnej ścieżki na drzewie życia chrząszczy, by następnie niezależnie ewoluować niejako równolegle do siebie. Ciekawa zależność pojawiała się w przypadku takich par taksonów siostrzanych, gdzie jeden z nich tuż po oddzieleniu się od drugiego nabywał ↦

↦ zdolności żerowania na roślinach okrytozalążkowych (są to rośliny powszechnie określane „kwiatami", skrywające swoje zalążki głęboko w strukturach kwiatów właśnie – w odróżnieniu od roślin nagozalążkowych, takich jak np. drzewa iglaste, noszących swoje zalążki „nago" na wierzchu struktur budujących ich szyszki). Prawidłowość była uderzająca: w każdej takiej parze linia żerująca na roślinach okrytozalążkowych miała setki, a nawet tysiące razy większe liczebności gatunków.

Chrząszcze, ze swoim całym bogactwem, są więc swego rodzaju autostopowiczami podwożącymi swój ewolucyjny sukces na sukcesie innej bardzo „udanej" grupy organizmów.

Rośliny okrytozalążkowe są taką właśnie ewolucyjną *success story*: dzięki serii fizjologicznych i ekologicznych ulepszeń rozpoczęły one marsz przez wszystkie możliwe siedliska, strefy klimatyczne i style życia, dając początek nieprzebranemu bogactwu form, struktur – i wyzwań, jakie stawiają one próbującym na nich żerować organizmom. Chrząszcze roślinożerne, chcąc nie chcąc, musiały grać w tego ekologicznego berka, wciągane w coraz to nowe nisze ekologiczne i strategie życia przez – jak by na to nie patrzeć – swoje szybko ewoluujące źródło pożywienia.

Pędraki i upór

Ale ewolucyjny autostop to nie wszystko. Eksplozja różnorodności roślin kwiatowych była niewątpliwym paliwem ewolucji chrząszczy – jednak nie wszystkich. Mamy przecież masę gatunków zupełnie od roślin niezależnych, nawet w swojej zamierzchłej przeszłości niewywodzących się z taksonów roślinożernych. Inne cechy chrząszczowej biologii również musiały przyczynić się do ich oszałamiającego sukcesu.

Pewną wskazówką może być analiza tego, jak mają się obecnie „starożytne" rodziny chrząszczy, czyli grupy taksonomiczne mające swoje początki w odległej ewolucyjnej przeszłości tej grupy. Analiza taka przeprowadzona w dowolnej innej grupie zwierząt zawsze prowadzi do jednego wniosku: do czasów dzisiejszych dożywa jedynie niewielki procent istniejących niegdyś i opisanych w postaci skamieniałości rodzin taksonomicznych. Chrząszcze są inne: aż 63 proc. znanych obecnie rodzin chrząszczy występuje w zapisie kopalnym.

Co więcej, grupa chrząszczy najliczniejsza w gatunki, tzw. *Polyphaga*, nie utraciła w wyniku wymierania ani jednej notowanej w zapisie kopalnym rodziny! Przetrwały one nawet wielkie kredowe wymieranie, które zabiło dinozaury. Ta niezwykła odporność chrząszczy na wymieranie może wynikać m.in. z ich cyklu życiowego. Chrząszcze przychodzą na świat jako dość duże, mięsiste larwy zwane pędrakami. Są one nie tylko świetnie wyposażone i autonomiczne, ale przede wszystkim żyją z reguły w zupełnie innym środo-

Chrząszczowa menażeria

ŻUK BOMBARDIER (*Brachinus sp.*). Prawdziwy alchemik! W odwłoku mieści dwa pęcherzyki produkujące nadtlenek wodoru (składnik wody utlenionej i perhydrolu) oraz mieszaninę hydrochinonów. W razie niebezpieczeństwa pęcherzyki wstrzykują chemikalia do specjalnej komory, gdzie dochodzi do reakcji uwalniającej tlen i jednocześnie utleniającej hydrochinony. Powstaje buzująca ciecz o temperaturze prawie 100 stopni Celsjusza, którą bombardier spryskuje niczego niespodziewającego się wroga.

CHRZĄSZCZE BOGATKOWATE (*Buprestidae*). Ich pokrywy skrzydłowe bez pomocy jakiegokolwiek pigmentu produkują tak olśniewające kolory, że cała grupa zyskała sobie miano „chrząszczy-klejnotów". Ich chitynowe pancerze zawierają wielowarstwowe komórki wypełnione cząsteczkami polimerów tworzącymi układ przypominający ciekły kryształ. W zależności od kąta padania światła rozpraszają one inne długości fali, tworząc obłędne, irysujące palety barw.

ŚWIETLIK (*Photinus pyralis*). Końcówka odwłoka tego mistrza świetlnych pokazów zawiera dwie kluczowe warstwy komórek: warstwę odbiciową, działającą jak zestaw minizwierciadeł, oraz warstwę produkującą światło. Komórki tej drugiej przeprowadzają reakcję chemiczną, w której lucyferyna przy udziale tlenu, źródła energii (ATP) oraz enzymu lucyferazy produkuje chłodne, żółtozielone światło. Całość zaopatrzona jest w misterną sieć tchawek kontrolujących dopływ tlenu. Niektóre świetliki potrafią synchronizować swoje świecenie z innymi osobnikami, tworząc w sezonie rozrodczym monstrualne fale światła, pulsujące nocą pośród drzew.

„CHRZĄSZCZ STOJĄCY NA GŁOWIE" (*Onymacris unguicularis*). Maleńki mieszkaniec pustyni Namib, jednego z najsuchszych miejsc na ziemi, który bryluje w sztuce wyciskania wilgoci z pustynnego powietrza. Jego pancerz pokryty jest chitynowymi, hydrofobowymi wypustkami, które powodują skraplanie się pary wodnej w chłodzie pustynnego poranka. Mikroskopijne kropelki wody spływają następnie hydrofobowymi kanalikami pancerza wprost do otworu gębowego owada, gdy ten ustawia się głową w dół.

„CHRZĄSZCZ Z UCHWYTEM NA KARKU" (*Eocorythoderus incredibilis*). Ten kilkumilimetrowy jegomość jest jednym z najmniejszych chrząszczy na świecie. Żyje w gniazdach kambodżańskich termitów, żywiąc się hodowanymi przez te społeczne owady grzybami. Jest ślepy i pozbawiony skrzydeł. Prawdopodobnie oszukuje termity, zmuszając je do tolerowania swojej obecności w ich gnieździe. Termity wręcz pomagają mu, transportując go z miejsca na miejsce w gnieździe, trzymając za specjalny wyrostek tułowiowej części chitynowego pancerza. ©

Obok: popularna „majówka" (*Melolontha melolontha*)

wisku i polegają na innych zasobach niż osobniki dorosłe. Takie rozdzielenie i dywersyfikacja zasobów potrzebnych do przeżycia w czasie cyklu życiowego znacznie zwiększają sukces osobnika, poprawiają jego odporność na drastyczne zmiany środowiska oraz pozwalają efektywniej eksplorować nowe nisze ekologiczne. Wszystkie te czynniki dały chrząszczom niespotykany gdzie indziej „ewolucyjny upór", pozwalając im opierać się gatunkowym wymieraniom i budować bogactwo najcudowniejszej, najbardziej zróżnicowanej grupy organizmów znanych na ziemi.

Bombonierka w rękach dziecka

W swoich oszacowaniach gatunkowych, choć dziś podważonych i zastąpionych bardziej wiarygodnymi, Erwin nie mylił się co do jednego: tropikalne lasy równikowe faktycznie są tyglem kipiącym bioróżnorodnością i strategicznym bogactwem życia. Chrząszcze nie są tutaj wyjątkiem: jeśli marzysz o odkryciu nowego dla nauki gatunku – wybierz się w ostępy dżungli Panamy, Brazylii czy Hondurasu. Masz niemalże stuprocentowe szanse, że wśród chrząszczy spadających na twoją głowę z dowolnego uderzonego dłonią pnia drzewa będą gatunki nauce nieznane (inna sprawa, że jeśli nie jesteś entomologiem, prawdopodobnie nie będziesz w stanie odnaleźć tych jeszcze niepoznanych).

Jednocześnie, jak mało który ekosystem na ziemi, lasy tropikalne rozjeżdżane są przez ludzką działalność i chęć zagarnięcia możliwie dużej ilości ziemskich zasobów dla potrzeb naszego jednego gatunku. Robiąc to, w zasadzie unicestwiamy tę gigantyczną „bombonierkę ewolucji", nie rozpakowując nawet kolejnych sreberek.

I możemy ją bezpowrotnie stracić, jeśli chrząszcze okażą się znacznie mniej odporne na wymieranie niekoniecznie „naturalne", a bardziej „ludzkie", spowodowane zachłanną gospodarką człowieka. Dotyczy to oczywiście wszystkich grup taksonomicznych na równi – ale w przypadku tej jednej strata byłaby wyjątkowo dotkliwa.

© SZYMON DROBNIAK

KOSTIK2PHOTO / ENSTOCK / EASTNEWS

Duch ameby

ŁUKASZ LAMŻA

Sympatia do stworzeń z granitu i pary wodnej to dla nas zbyt wygórowane żądanie. Możemy sobie jednak śmiało pozwolić na próbny akt solidarności z amebą.

Na początku był Chaos. W „Teogonii" z VIII w. p.n.e., prawdopodobnie najstarszym europejskim opisie stworzenia, Hezjod pisze na jego temat niewiele. Ot, że był „najpierwszy", i że z niego wyłoniło się stopniowo wszystko inne. Owidiusz w „Metamorfozach" w I w. n.e. daje nam już konkretniejszy obraz pierwotnego chaosu: „Nim było morze, ziemia i niebios sklepienie, / Jedyny miało wyraz całe przyrodzenie. / Zwano go zamęt [Chaos]... / Woda jeszcze nie płynna i ziemia nie stała / I powietrze bez światła; w ciągłym z sobą sporze / Swej postaci nie mają, w jednym bowiem zbiorze / Zimno z gorącem, suchość z wilgocią walczyła..." (tłum. B. Kiciński).

Potem, pisze Owidiusz, wkracza twórca („ktokolwiek z bogów nim być może"), urządzając, rozdzielając i porządkując, pełniąc więc rolę Demiurga: boga rozumianego nie jako kuglarz, lecz jako artysta. Co to właściwie oznacza? Na to świetnie odpowiedział Arystoteles, 400 lat po Hezjodzie, ale 300 przed Owidiuszem. Artysta bierze do ręki bezkształtną Materię, jak rzeźbiarz surową glinę albo nieociosany blok marmuru, i narzuca nań Formę, którą można też nazwać Słowem (*logos*), Prawem albo Porządkiem. Jeszcze 2300 lat później Katechizm Kościoła Katolickiego tak mówi o Najwyższym: „On jest Ojcem, jest Bogiem, Stwórcą, Sprawcą, Porządkującym", a w konstytucji „Gaudium et spes" przeczytamy, że „wszystkie rzeczy bowiem z samego faktu, że są stworzone, mają własną trwałość, prawdziwość, dobroć i równocześnie własne prawa i porządek". Grzech to zaś, jak uczył św. Augustyn, po prostu złamanie porządku.

Trudno zaprzeczyć, że taki system kosmologiczny ma przekonującą logikę. Ze złego chaosu do dobrego uporządkowania, pod przewodnictwem Prawodawcy, którego my sami powinniśmy naśladować w naszym lokalnym dążeniu do porządku. Kosmologię taką potwierdzają też nauki, opowiadające nam dziś o wyłonieniu się wszystkich form porządku z pierwotnego Wielkiego Szumu. Dzisiejszy Wszechświat jest już więc tworem wysoce uporządkowanym: „Państwem Bożym", chciałoby się rzec, w którym nie tylko noc jest już oddzielona od dnia, ale również rośliny od zwierząt i uczciwe umowy kredytowe od nieuczciwych.

Gdy więc w 1755 r. niemiecki malarz miniatur i entomolog (ależ wspaniałe połączenie fachów!) August Johann Rösel von Rosenhof odkrył „małego Proteusza" (*der kleine Proteus*) – mikroskopijną grudkę protoplazmy niewykazującą żadnych form uporządkowania, szydzącą z naszych klasyfikacji i z całego dzieła stwórczego, zapanowała niejaka konsternacja.

Stworzenie rozproszone

Miejsce dla „małego Proteusza" w nauce o przyrodzie znalazło się dopiero w następnym stuleciu, gdy stało się jasne, że proces stworzenia nie daje się zamknąć w dawno minionych sześciu dniach. Dzięki niestrudzonej, detektywistycznej pracy przyrodników w połowie XIX w. można było już to powiedzieć z pełnym przekonaniem: świat jest wciąż w akcie stwarzania.

Współautorem teorii ewolucji oraz jej zapalonym entuzjastą był Herbert Spencer, który stworzył pierwszą i do dziś niemającą sobie równych ze względu na swój rozmach Wielką Wizję Ewolucyjną. Przelećmy może wzrokiem przez „First Principles" (1860), Spencerową biblię stworzenia, w której motywem przewodnim jest ciągłe, niestrudzone przechodzenie od jednorodnego do niejednorodnego. Choć detale naukowe miejscami się zestarzały, sama genialna wizja Spencera – ani trochę:

„Materia naszego Układu Słonecznego w toku swej integracji staje się coraz bardziej wieloraka (...) Struktura Ziemi staje się z każdym wiekiem bardziej ↦

↦ skomplikowana poprzez kumulowanie się warstw (...) różnorodność ta została znacznie wzmocniona poprzez działanie jądra Ziemi na jego powłokę; stąd wynikają nie tylko różnorakie rodzaje skał magmowych, ale i wykrzywianie się warstw osadów pod rozmaitymi kątami, powstawanie uskoków i metalicznych żył (...)

Pierwsze spośród stawonogów, przykładowo, mają kończyny nieodróżnialne od siebie nawzajem – tworzące jednorodną serię – jednak poprzez ciągłą rozbieżność wyłoniła się pośród nich niepodobność rozmiarów i form, jaką obserwujemy u kraba i homara (...)

Ruch od jednorodnego do niejednorodnego jasno ilustruje postęp najmłodszego i najbardziej różnorodnego stworzenia – Człowieka (...) nasz gatunek jako całość stał się bardziej różnorodny poprzez zwielokrotnienie się ras i ich różnicowanie się (...) Społeczeństwo na swym pierwszym i najniższym etapie jest jednorodnym zbiorowiskiem jednostek, które mają podobne moce i funkcje (...) każdy mężczyzna jest wojownikiem, myśliwym, rybakiem, wytwarza narzędzia i buduje domy (...)

Wszystkie formy języka pisanego, malarstwa i rzeźby mają swój wspólny korzeń w tych prostych rysunkach na skórze i ścianach jaskiń, za pośrednictwem których dzicy upamiętniają wielkie czyny swych przywódców (...) Egipcjanie mieli lirę o trzech strunach. Wczesna lira grecka miała cztery, konstytuujące tetrachord. W późniejszych stuleciach stosowano już liry o siedmiu i ośmiu strunach, a po tysiącu lat rozwinęły się do postaci »wielkiego systemu« podwójnej oktawy" (tłum. własne).

Chaos chaos

Ulubioną maskotką Spencera stały się oczywiście ciała „najniższych organizmów", nieposiadających żadnej widocznej formy porządku, nazywane rozmaicie: *Proteomyxa*, *Amoebae* czy *Monera*. Ernst Haeckel umieścił je później, w 1879 r., u samego korzenia swego słynnego wizerunku drzewa ewolucyjnego – to z takich kropelek „czystego biologicznego nieporządku" miałyby, na drodze długiego procesu różnicowania, ostatecznie wykształcić się wszystkie stworzenia żywe.

Nic nie ilustruje lepiej fascynacji, z jaką przyglądały się amebom kolejne pokolenia badaczy, niż walka o znalezienie dla nich stosownej nazwy. Von Rosenhof

SCIENCE HISTORY IMAGES / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Ameba pożera orzęska

W świecie miał panować boski porządek.

Gdy więc w 1755 r. August von Rosenhof odkrył mikroskopijną grudkę protoplazmy niewykazującą uporządkowania, zapanowała konsternacja.

użył terminu *der kleine Proteus*, ponieważ stale zmieniająca swą postać ameba skojarzyła mu się z greckim bóstwem wód, które, zupełnie jak powierzony mu żywioł, wiecznie odmieniało swój wizerunek. Karol Linneusz, który w tym samym czasie pracował nad swoim wielkim „Systemem przyrody", zasugerował termin „Chaos", a w duchu swojego ukochanego nazewnictwa dwuimiennego nadał mu formalne miano Chaos chaos. Oto „czysty biologiczny chaos", zdawał się mówić. Nazwa rodzajowa Chaos jest zresztą stosowana w formalnym nazewnictwie biologicznym do dziś.

W połowie XIX w. stało się jasne, że istnieje wiele gatunków podobnych do małego proteusza. W odniesieniu do nich wszystkich łącznie zaczęto więc stosować termin *Amoeba*, od greckiego *amoibe* oznaczającego zmianę; ten sam rdzeń jest też w łacińskim *mobilis*, ruchliwy. Ameba to więc po prostu „ruchlik" albo „zmieniadełko". W 1879 r. opisano gatunek *Amoeba proteus* – nazwa ta jest w użyciu do dziś. Pod koniec XIX w. okazało się – głównie dzięki żmudnej obserwacji przez coraz lepsze mikroskopy optyczne – że ameby nie są wcale bezkształtnymi kroplami, lecz złożonymi organizmami, które po prostu wyjątkowo zręcznie kryją przed nami swój porządek. Lub też, mówiąc nieco inaczej, których porządek jest tak odmienny od tego, który znamy na co dzień, że dla dostrzeżenia w amebie kształtu, porządku i prawa trzeba po prostu wysiłku, tyleż intelektualnego, co estetycznego i emocjonalnego.

Poczuć jedność

Czysto naukowe zrozumienie, że istnieje doskonała, ciągła jedność ewoluującej przyrody, od pierwotnego chaosu aż po „wczorajsze nowinki", nastąpiło w XIX stuleciu. Wiek XX przyniósł tylko rosnącą precyzję opisu Wielkiego Porządkowania oraz wiedzę o tym, że również kosmos w najszerszej skali nie jest spod tej zasadniczej logiki wyłączony.

Jest jednak spora różnica pomiędzy zrozumieniem i zrozumieniem. Na głębszym poziomie – autentycznego żywego przekonania, iż inne stworzenia różnią się ode mnie może kolorem i kształtem, ale nie samym faktem, że tętni w nas ten sam Porządek i że z Chaosu wyrwało nas to samo Prawo, że jesteśmy aktorami jednego spektaklu, że jedziemy wszyscy na tym samym wózku – tak naprawdę dopiero powoli wygrzebujemy się z mgły konfuzji.

Musiały minąć tysiąclecia od czasów Hezjoda, abyśmy zaczęli tak naprawdę rozumieć, że wszyscy członkowie naszego gatunku są sobie braćmi. William Blake prosił nas w 1789 r., abyśmy ujrzeli boski wizerunek „w poganinie, i Żydzie, i Cyganie", prawdopodobnie przeczuwając, że włączenie Indian albo czarnych do tej i tak kontrowersyjnej listy wzbudziłoby najwyżej pełen politowania uśmieszek. Jeszcze 80 lat później Spencer pisał osobno o „ludziach" i „dzikich".

Drzwi empatii rozwierają się jednak nieubłaganie, wraz z przesączaniem się przez jej szpary wiedzy, że Dobroć, Litość, Pokój i Miłość mieszkają w coraz to kolejnych stworzeniach. Prymatolog Frans de Waal od dekad uparcie przekonuje nas, że Litość mieszka w sercach wielu naszych krewnych zwierzęcych, a szympansy potrafią wiele poświęcić w imię pokoju. Raz otwartych drzwi nie da się zamknąć, i do naszej

starannie bronionej twierdzy, w której od jakiegoś czasu nieśmiało, na próbę dzielimy się już chlebem i poczuciem komunii z wszystkimi *Homo sapiens*, wdzierają się teraz wszystkie zwierzęta, a za nimi i reszta Stworzenia.

Jak by miało wyglądać naprawdę uniwersalne Współczucie, naprawdę uniwersalna Empatia, z naprawdę wszystkimi stworzeniami? Tego nie uczy nas tradycja chrześcijańska. Nasi bracia ze Wschodu zmagają się jednak z tą obezwładniającą świadomością od wieków. Nie jest to łatwa wiedza i bywa wręcz paraliżująca. Jakże inaczej nazwać lęki radykalnych wyznawców dżinizmu, którzy rytualnie zamiatają ziemię pod swoimi nogami, aby nie zgnieść któregoś z braci najmniejszych? Swoje odchody pracowicie rozdrabniają patykiem, aby nie spadł na nich ciężar karmiczny za stworzenia narodzone w ludzkim nawozie, które po jego wyczerpaniu się czekałaby niechybna śmierć.

W mniej skrajnych wersjach filozofii uniwersalnego współczucia życie „mniejszych stworzeń" oferuje się raczej do namysłu medytacyjnego. Poczucie choćby chwilowej, przemijającej solidarności z chmurą albo górą stanowi samo w sobie pewien wkład w globalną cyrkulację współczucia. Sympatia do stworzeń z granitu i pary wodnej to wygórowane żądanie. Myślę, że możemy sobie jednak śmiało pozwolić na próbny akt solidarności z amebą. Jest to ćwiczenie akurat odpowiednio trudne: to bądź co bądź stworzenie żywe, a więc dzielące z nami pewne elementarne potrzeby i skłonności. Poza tym jesteśmy coś winni tym małym stworzonkom, które długo uważaliśmy za ostatnią kroplę Chaosu w świecie Porządku.

Na koniec tego tekstu przeczytajmy więc może parę krótkich urywków z artykułu „The Daily Life of Amoeba Proteus", który w 1908 r. w czasopiśmie „The American Journal of Psychology" opublikowali David Gibbs i O.P. Dellinger. Jeżeli chcemy zaprzyjaźnić się z amebą, trudno o lepszy pretekst.

Życie codzienne Amoeba proteus (fragmenty)

„Celem badania opisanego w tym artykule było ustalenie zdarzeń zachodzących w życiu codziennym *Amoeba proteus* – okresów jej spoczynku i aktywności, jej reakcji na pożywienie i inne naturalne bodźce w jej środowisku; jak żyje i co robi. Badanie przeprowadzono, przez sześć dni i pięć nocy obserwując bez przerwy kilka ameb i starannie odnotowując ich aktywność. Jedną amebę śledzono ze szczególną uwagą. (...)

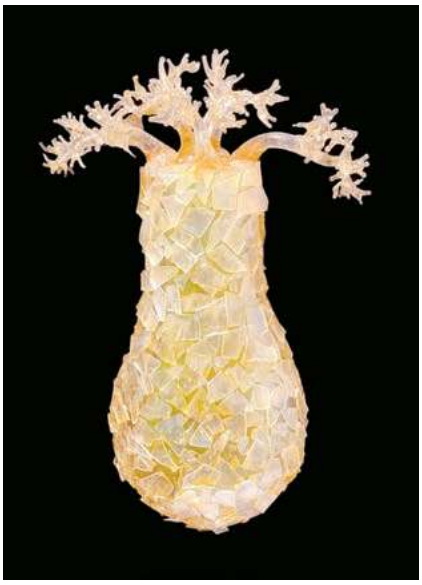

THE NATURAL HISTORY MUSEUM / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Ameba Difflugia pyriformis

Porządek ameb jest tak odmienny od tego, który znamy na co dzień, że **dla dostrzeżenia w amebie kształtu, porządku i prawa trzeba wysiłku** intelektualnego, estetycznego i emocjonalnego.

Dla wszystkich zwierząt fundamentalne jest poszukiwanie pożywienia oraz rytm pracy i wypoczynku. (...) Rytm jest niezbędny dla przeżycia wyższych zwierząt, jednak wielu autorów wątpi, że występuje on w życiu pierwotniaka. (...) Nasze badanie pokazuje jednoznacznie, że *Amoeba proteus* wykazuje okresy aktywności i odpoczynku. (...) Aktywnie porusza się, zdobywając pokarm, aż będzie solidnie wypełniona pokarmem, po czym przez pewien czas jest spokojna. Okres odpoczynku wydaje się być po prostu skutkiem nasycenia, albo czasem przeznaczonym na regenerację. Wydaje się być najprostszą formą snu; skłonność do odpoczynku, do snu jest reakcją na najedzenie się u zwierząt wyższych.

Gdy amebę dotknie orzęsek, wysuwa ona nibynóżki w jego kierunku. (...) Gdy orzęsków jest wiele, ameba wysuwa wiele nibynóżek, tworzących kieszonki, jak gdyby w gotowości, i często skutecznie je w ten sposób łapie. (...) Ów szczególny zarys kieszonek i haczykowate nibynóżki wydają się być charakterystyczne tylko dla tych ameb, które regularnie przez jakiś czas żywiły się orzęskami. (...) Ameba często podąża za orzęskiem, dopóki ten nie zostanie schwytany lub ucieknie. Ten »pościg« może trwać nawet dwadzieścia minut. (...) W trakcie »pościgu« za orzęskiem ameba nie odpowiada zwykle na inne bodźce, zwłaszcza gdy jest już blisko swej ofiary.

To niezwykle interesujący widok, gdy ameba po wielu próbach w końcu kładzie swoje nibynóżki wokół orzęska, zaciskając je i obejmując go, a następnie stopniowo zgniatając miotającą się ofiarę. (...) Wymaga to wielu przystosowań i znacznych umiejętności, które, jak wynika z naszych obserwacji, uzyskiwane są metodą »prób i błędów«. (...) Gdy całkowicie zmieni się pokarm amebie, na przystosowanie się do nowej sytuacji potrzeba czasem kilku dni. (...) Nie wszystkie ameby są jednak identyczne: jedne osobniki przystosowywały się łatwo, podczas gdy innym się to nie udało. Ameba nagle umieszczona pomiędzy wieloma orzęskami, które uderzają w nią i stukają, zwykle nie reaguje na te bodźce, lecz wydaje się »zagubiona«. Po pewnym czasie niektóre ameby wyciągają nibynóżki i gonią jednego pantofelka, nie zwracając już uwagi na dotyk innych; inne osobniki nigdy nie odzyskują równowagi, lecz wycofują się i przyjmują kształt kulisty" (tłum. własne).

Trochę jak człowiek

Jeżeli po lekturze tego tekstu nasuwa się myśl, że „ameba jest trochę jak człowiek", to trzeba ją odepchnąć. Nie, nie o to chodzi. Nieco bliższe prawdy byłoby może zdanie „człowiek jest trochę jak ameba". Ale to też jakby nie to. Chodzi przecież o wspólną nam iskrę Formy, która nie jest ani ludzka, ani amebia. Świetnie wyraził to XIX-wieczny teolog James Martineau, całe życie zafascynowany ideą jedności Stworzenia: „Wszędzie szukamy fizycznych sygnałów jednej wiecznej Woli, Wszechświat odcyfrowujemy zaś jako autobiografię Nieskończonego Ducha, powtarzającego się w miniaturze w naszym własnym Skończonym Duchu".

Tak, w amebie też. ©℗ ŁUKASZ LAMŻA

PAWEŁ SOŁTYS (ur. 1978) jest wokalistą, pisarzem, dziennikarzem muzycznym, autorem tekstów piosenek i kompozytorem. W świecie muzycznym znany jako Pablopavo. Wydał kilkanaście płyt, zagrał około tysiąca koncertów. Za debiutanckie „Mikrotyki" (2017) otrzymał Nagrodę Literacką im. Marka Nowakowskiego i Nagrodę Literacką Gdynia. Znalazł się także w finale Nagrody Literackiej Nike oraz otrzymał nominacje m.in do Paszportów „Polityki". Jesienią ukazała się jego nowa płyta „Marginal".

OBCUJCIE Z NIEPEWNOŚCIĄ

PAWEŁ SOŁTYS:

Gdy ma się już dziecko, to najpierw lubisz to swoje, a potem jeszcze cudze zaczynasz lubić. To fatalne. Teraz jak u kogoś na rękach dziecko płacze, to nie mogę z tym dojść do ładu.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ma Pan ulubioną kolędę?

PAWEŁ SOŁTYS: „Bóg się rodzi", ze względu na tekst Franciszka Karpińskiego.

A moja córka lubi „Przybieżeli do Betlejem" – śpiewa z dużą dozą ekspresji. Jeszcze zawsze mnie poruszał „Oj, maluśki, maluśki", jest w tej kolędzie matczyna emocja i piękna melodia. Ale jako dziecko nie byłem fanem kolęd. Raczej interesowały mnie bombki i prezenty.

Ale w domu śpiewaliście kolędy?

W ogóle w domu było dużo śpiewania. Moi rodzice potrafią i lubią razem śpiewać. Pamiętam z dzieciństwa, że na imieniny przychodziło sporo ich znajomych. I jak już państwo się troszkę napili, to najpierw były tańce, choć mieszkanie ciasne, a potem śpiewy. W pewnym momencie wstawała ich znajoma i pięknie śpiewała „Rebekę". A dziadek, rodem z Kijowa, jak się napił, śpiewał czastuszki. Mama mi zasłaniała uszy, mimo że nie znałem wtedy jeszcze rosyjskiego. Ale wiadomo: poważne czastuszki są dosyć obsceniczne. Więc jednym z pierwszych wspomnień z dzieciństwa jest to, jak stoję w korytarzu, a za przymkniętymi drzwiami słyszę śpiewających dorosłych.

Czy jakaś Wigilia szczególnie Panu zapadła w pamięć?

W 1991 r., miałem 13 lat i ogromnie cieszyłem się z prezentów, bo zacząłem trenować koszykówkę i dostałem oryginalną piłkę oraz sportowe buty. To były kosztowne rzeczy, rodzice nie byli majętni, musieli specjalnie na to odkładać. Pamiętam też pierwszą Wigilię z moją żoną. W pierwszy dzień świąt jechaliśmy do rodziców, ale Wigilię spędziliśmy w domu we dwoje. Pomyślałem wtedy, że chyba już jestem dorosły.

A ta Wigilia, kiedy urodziła się Pana córka?

Ona była dla nas o tyle ciężka, że odbywała się 13 dni po urodzinach, więc byliśmy w amoku, przerażeni i zajęci wszystkim poza Wigilią.

Lepiej pamiętam pierwszą świadomą Wigilię mojej córki. Miała rok i widziałem, ile radości dawały jej ozdoby, światełka i tata, który śpiewa. Dziś moja 4-letnia córka już nie może się doczekać świąt. Obiecałem jej, że będziemy kleić łańcuchy, żona, że upieką razem pierniki. Im człowiek jest starszy, tym bardziej radość wigilijna bierze się z radości dzieci.

Część Pana rodziny jest białoruska...

Pod względem narodowościowym to bardziej skomplikowane. Dziadek pochodził z Kijowa, a babcia z Pińska, ale jakiej oni byli narodowości? Raczej uważali się za Polaków, choć babcia w Pińsku mówiła pewnie mieszaniną białorusko-polską. W Wigilię robiła kutię, która jest powszechna w całej wschodniej Europie, jednak ja za nią nie przepadam. Ale opowieści świątecznych dziadków to nie pamiętam. Za to pamiętam inne opowieści. Jedną z okupacji tak niewiarygodną, że gdybym nie wiedział, że jest prawdziwa, sam bym w nią nie uwierzył.

Proszę opowiedzieć.

Dziadek znał dobrze rosyjski, przyjechał do Polski, repatriował się do Poznania na podstawie umów polsko-radzieckich z 1933 r. Miał wtedy 15, 16 lat, a jego pierwszym językiem był rosyjski. Po różnych perturbacjach, będąc w stopniu podchorążego, w 1940 r. znalazł się w Ostaszkowie. Znając sowiecką mentalność, wyczuł, że trzeba się stamtąd zwijać jak najszybciej. I razem z kolegą, który też świetnie znał rosyjski, zagadali z jakimś enkawudzistą, że oni są obecnie obywatelami niemieckimi, gdyż mieszkają w Poznaniu, który został wcielony do Rzeszy. I że oni chcą się uczyć. A ten enkawudzista kazał im pisać list do Stalina... Więc napisali. Oczywiście Stalin takiego listu nie dostał, ale jakiś oficer podjął decyzję, by ich wysłać pociągiem do Poznania, gdzie pewnie też byliby aresztowani z kolei przez Niemców. Więc dziadek z kolegą pod Warszawą przy pomocy harcerzy uciekli, kiedy pociąg stanął na bocznicy.

Dziadek opowiedział mi o tym dopiero w 1989 r. Wcześniej uważał, że w ogóle się nie powinno o czymś takim mówić, zwłaszcza że narracja oficjalna na temat Katynia była zupełnie inna.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Pan studiował rusycystykę. ↦

ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

↦ W domu zawsze było dużo rosyjskiej literatury i muzyki, słuchania Okudżawy i Wysockiego. A gdy rodzice nie chcieli, bym rozumiał, o czym rozmawiają, przechodzili na rosyjski.

Jednak nie chciałem iść na rusycystykę, rodzice też mi ją odradzali. Dostałem się na trzy kierunki – polonistykę, filozofię i rusycystykę. Uznałem, że rusycystyka da mi znajomość języka. Nie skończyłem studiów – na czwartym roku okazało się, że jestem zawodowym muzykiem. Nie dawałem rady pogodzić koncertowania z nauką. Poza tym program studiów zakładał produkcję nauczycieli języka rosyjskiego – czego nigdy nie chciałem robić.

Która z pieśni Okudżawy robi na Panu największe wrażenie?

Okudżawa jest najciekawszy, kiedy schodzi z patosu, który z czasem u niego zaczął mi przeszkadzać. Ale na przykład „Wańka Morozow" to jest jedna ze wspanialszych piosenek, znam ją na pamięć:

Za czto ż wy Wańku-Morozowa
Wied' on ni w czem nie winowat.
Ona sama jego morocziła,
a on ni w czem nie winowat.

On w nowyj cirk chodił na płoszczad'
i tam cirkaczku polubił.
Jemu b kogo-nibud' poproszcze,
a on cirkaczku polubił.

Ona po prowołokie chodiła,
machała biełoju rukoj,
i strast' Morozowa schwatiła
swojej mozolistoj rukoj.

I tak dalej... To w pewnym sensie podobne do tego, co później sam pisałem. Historia o przetrąconych ludziach, z miłością nieszczęśliwą na poboczu głównego nurtu życia.

A patos jest szkodliwy?

Jego nadmiar mną wzdraga. Są piosenki, gdzie jest niezbędny, natomiast mnie duże słowa odpychają. Często są już zużyte – fasadę mają sporą, ale w środku są puste.

A Wysocki?

Dzisiaj myślę, że bliższy jest mi Okudżawa, ale gdy byłem nastolatkiem, to robił na mnie wrażenie zachrypnięty głos Wysockiego. On napisał niewiarygodną liczbę piosenek. Nikt nie jest w stanie tego do końca policzyć, bo też nie wszystkie się zachowały. Podobają mi się jego stylizacje na piosenki błatne, czyli złodziejskie. Ten rodzaj folkloru zawsze mnie pociągał. Podobnie zresztą z warszawskimi piosenkami podwórzowymi, to też było obecne, Grzesiuk, Orkiestra z Chmielnej.

W domu słuchało się jeszcze Matwiejewej, dziś ta świetna pieśniarka jest zapomniana. Ona napisała być może najpiękniejszą piosenkę na świecie pt. „Korablik". Matwiejewa gra nieortodoksyjnie na tej gitarze i śpiewa bardzo wysokim głosem o okręcie, który sobie płynął po oceanie – sam wypuścił się w rejs. Też znam ją na pamięć.

Śledzi pan współczesną rosyjską scenę muzyczną?

Bardziej śledziłem ją w czasach studenckich. Interesowało mnie, jak się zmienia język, np. w hip hopie rosyjskim. Tam się działo to, co w Polsce, tyle że na większą skalę nastąpiła absorpcja anglicyzmów. W latach 90. Rosjanie nagle przestali pracować w „biuro", zaczęli w „offisie". Natomiast nie mogę powiedzieć, żebym był znawcą rosyjskiej muzyki jak Kostek Usenko. Parę rzeczy mnie interesowało, lubiłem zespół Zwuki Mu. Lecz w głównym nurcie rocka rosyjskiego mnie dużo rzeczy śmieszyło niezamierzenie.

Ten patos?

Rosjanie mają do niego ogromną skłonność. Proszę zauważyć, z jaką emfazą rosyjscy aktorzy czytają wiersze – nas już to śmieszy, u nich to jest normalne. Z jednej strony to wzruszające i piękne, a z drugiej to mnie chwilami drapie.

Ale jako nastolatek słuchałem też zupełnie innej muzyki – głównie interesował mnie hipisowski rock, punk i sporo nowofalowych rzeczy, Siekiera, Klaus Mitffoch. Wtedy na plecaku pisałem sobie „The Doors", a nie „Okudżawa". Nie byłem tzw. sweterkowcem. Doorsom mnóstwo zawdzięczam. Gdy się czymś zafascynowałem, to szedłem na całość. Ukazała się wtedy biografia Morrisona „Nikt nie wyjdzie stąd żywy", gdzie przeczytałem, że Doorsi słuchali bluesa, więc i ja go zacząłem słuchać. Że czytali bitników, no to sprawdzałem, kto to byli ci bitnicy.

Ma Pan odruch, by notować co ciekawsze cytaty?

Pisanie księgi cytatów zarzuciłem, gdy miałem 17 lat. Jeśli coś mnie ujmuje, to robię podkreślenie w książce. A poza tym znam dużo piosenek na pamięć. Koledzy śmieją się, że znam więcej piosenek cudzych niż swoich. Ale to też jest właśnie pozostałość z okresu do 21., 22. roku życia, kiedy ma się jeszcze miejsce na twardym dysku. Dzisiaj z tym jest o wiele trudniej. By coś zapamiętać, trzeba coś zapomnieć. To już ten moment, niestety. No i trzeba myśleć po swojemu, a nie cytatami.

Kiedy zaczął Pan myśleć po swojemu jako pisarz?

Dosyć późno. I to jeden z powodów, dlaczego dosyć późno zadebiutowałem. Przez lata byłem obsesyjnym czytelnikiem – to jest niebezpieczne, bo można ulec czyjejś frazie. Są pisarze z frazą tak zaborczą, że trudno się uwolnić spod jej czaru.

Kto jest zaborczy?

Z jednej strony Babel i Hrabal, z drugiej – Stasiuk i Varga. Oni mają głos oddzielny i niepodobny do innych – łatwo jest bezwiednie zacząć przepisywać ich pisanie. To znaczy pisze się swoje historie, ale nie swoim językiem.

Kiedy już na poważnie podjąłem decyzję, że wydam „Mikrotyki", które pisałem właściwie całe życie, to próbowałem uwolnić się spod wpływów pisarskich. By nie stać się epigonem, robiłem sobie posty czytelnicze – przez dwa miesiące nie czytałem niczego.

I?

I ciężko jest bez książek. Ale wtedy pisałem swoje rzeczy. Jest też druga metoda: trzeba wywołać w sobie mętlik. To znaczy czytać trzy bardzo różne książki naraz, wtedy im trudno ulec. Wziąć do ręki coś bardzo współczesnego, powiedzmy: Saundersa, a obok tego mieć Sándora Máraia oraz coś z literatury popularnej, gdzie język jest przezroczysty jak u autorów kryminałów. Wtedy robi się melanż w głowie, z którego może się coś urodzić.

Ciekawe.

Z trzeciej strony, by samemu sobie zaprzeczyć, zdarza się i tak, że czasem czytam kogoś z piękną frazą i to bywa zapładniające. Trzeba potem tylko tę frazę troszkę zepsuć, by to jednak było moje.

Pamiętam, jak bardzo mnie ucieszyło, kiedy czytałem wywiad rzekę z Hrabalem „Drybling Hidegkutiego", gdzie on przyznaje, że właściwie nauczył się pisać, kiedy przeczytał Babla. Z kolei Ota Pavel, przypuszczam, że półżartem, ale bardzo ładnie

napisał, że najpierw był dziennikarzem sportowym i gdy zdecydował, że bierze się za coś poważniejszego, to kupił sobie klasykę – Szekspira, Dostojewskiego, Tołstoja, Cervantesa, przeczytał wszystko, a potem już nie tknął się żadnej beletrystyki.

Pisarze, których kocham, mają podziemne połączenia – one czasem szły właśnie pod Polską – między Bablem a Hrabalem, między Hrabalem a Kiśem, między Kiśem a Demlem. Podskórnie czuję, że Leo Lipski ma z niewiadomych przyczyn coś wspólnego z Charmsem i z Oberiutami. A Białoszewski miał coś wspólnego z konkretystami moskiewskimi, których nie mógł znać. Literatura czasem kiełkuje tak, jakby naprawdę istniały podziemne korzenie i gdzieś czasem wybijało drzewko.

Powiedział Pan wcześniej, że „Mikrotyki" pisał całe życie.

Właściwie większość opowiadań powstała w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat przed jej wydaniem. Natomiast pozostałe historyjki próbowałem pisać wcześniej. Tylko że to było nieudolne.

Poprawił je Pan?

Nie, wyrzuciłem. I napisałem jeszcze raz wokół tych samych tematów. Tylko „Szlugi" pozostały w nieruszonej wersji sprzed lat dziesięciu. „Mikrotyki" powstawały, kiedy urodziło mi się dziecko i zupełnie nie miałem czasu. Więc gdy zdarzały się w tygodniu dwie wolne godziny, to je maksymalnie wykorzystywałem, mózg spiął się sam w sobie. Wiedziałem, że potem trzeba pomóc żonie i pójść z Natalką na spacer.

We wspomnianym przez Pana „Dryblingu" Szigeti raz na jakiś czas prowokuje Hrabala do gry, która polega na tym, że rzuca słowo, a ten mu odpowiada pierwszym skojarzeniem. Ja też bym chciała zaprosić Pana do takiej gry w skojarzenia. Z czym się Panu kojarzy słowo „dziecko"?

Uśmiech. Nawet nie uśmiech – śmiech.

A „dotyk"?

Żona.

„Porażka"?

Życie.

Dlaczego kojarzy się Panu życie z porażką?

PAWEŁ SOŁTYS:

Zdarza się i tak, że czasem czytam kogoś z piękną frazą i to bywa zapładniające. Trzeba potem tylko tę frazę troszkę zepsuć, by to jednak było moje.

Bo to jednak zawsze kończy się tak samo.

A „dźwięk"?

Ludzie, wspólnota.

W muzyce też Pan długo szukał własnego głosu?

Przez pierwszych parę lat swojej działalności muzycznej pisałem piosenki dla Vavamuffin i dla Zjednoczenia Sound System. I te teksty obracały się w konwencji reggae. W dodatku w Vavamuffin pisaliśmy piosenki we trzech, zazwyczaj każdy swoje zwrotki, to był rodzaj kompromisu. Bardzo dobrze wspominam ten czas. Ale za swój czysty głos uznaję pierwszą płytę z „Ludzikami", na której byłem za wszystko odpowiedzialny, bez chowania się za tekstami kolegów.

To jak pierwsza Wigilia z żoną?

Tak, wziąłem na siebie pełną odpowiedzialność.

Ciekawe jest to, że zazwyczaj podobają mi się te piosenki, które niekoniecznie podobają się publiczności. Sam nie powinienem wybierać singli – od pewnego czasu radzę się ludzi niezwiązanych z branżą muzyczną. Zawodowi muzycy inaczej słuchają muzyki niż zwykli słuchacze, to bywa zgubne. Pani pyta, który swój tekst cenię najbardziej? „Złoto" – być może to najlepsza piosenka, którą napisałem.

To teraz ja powiem z pamięci kawałek „Złota", bo też bardzo lubię tę piosenkę: „Dwa tygodnie później wziął ją na działki / Nalewka samoróba i pestki słonecznika / On jej się przyznał, że od kiedy wdowcem / Porządnych kobiet raczej unikał / Ona, że rozwódka bo mąż hitlerował / Szczególnie jak dał za bardzo w palnik / Zbudzili się rano odrobinę mniej starzy / Sąsiad wpadł na chwilę pożyczyć rozpuszczalnik".

Natomiast piosenka „Adam" zupełnie nie została zauważona, a ja uważam, że mi wyszła i w dodatku ma pozytywne przesłanie, co mi się bardzo rzadko zdarza, tak by nikomu nie przetrącić życiorysu. Zresztą z prozą jest podobnie. W opowiadaniu „Profesor Kruk" tytułowy bohater w pewnym momencie uderza pewną osobę tomem opowiadań Iwaszkiewicza. A potem graduje przekleństwa, czy go uderzył, pieprznął czy pierdolnął... I właściwie na każdym spotkaniu autorskim ktoś wstaje i mówi, że to jest jego ulubiony fragment i że to jest zabawne. Ja doceniam, że to jest zabawne, natomiast jestem dumny o wiele bardziej z drugiej części, z tej retrospekcji tużpowojennej. I to jest taka dziwna sytuacja, bo przecież nie wstanę na tym spotkaniu i nie powiem: „pan nie ma racji, tam dalej jest lepiej".

Trzeba się pogodzić z tym, że jak się wyda książkę czy płytę, to one już nie są wyłącznie moje.

A ja bardzo lubię Pana piosenkę „Koty". I to, co Pan napisał w opowiadaniu „Spacer": że „ludzie zatrzymali przy sobie koty chyba po to, by mieć na co dzień trochę tajemnicy, czegoś, co nie będzie wielką religią, tylko powszednim obcowaniem z niepewnością".

Jestem kociarzem bez kota, ponieważ mój kot dosyć nagle odszedł do krainy wiecznego mruczenia. Z żoną przeżyliśmy to mocno, na razie nie jesteśmy gotowi na nowego kota. I to jest dla mnie nowa sytuacja – zawsze wokół mnie był jakiś kot. Kiedy miałem pięć lat, pojawił się Mruczek – ogromny, gruby, szary i bardzo fajny dachowiec. Mruczka wzięliśmy do domu, gdy ojciec, który był wrogiem kotów, wyjechał na trzy tygodnie za granicę. Gdy wrócił, to natychmiast chciał Mruczka komuś oddać. Ale jak to zwykle bywa, chwilę później z największego wroga Mruczek uczynił swego ukochanego pana – tak rozkochał w sobie mojego ojca, że potem to oni byli najbardziej ze sobą zaprzyjaźnieni.

Koty świetnie takie sprawy wyczuwają – inwestują tam, gdzie się opłaca. I Mruczek zainwestował w mojego ojca, by nie zostać wyrzuconym. Potem miałem kotkę Legię. Jaka była Legia? Mała i złośliwa. Ponieważ rozstałem się z moją ówczesną narzeczoną, to automatycznie rozstałem się ↦

↦ z jej kotką. A ostatnio mieliśmy kota Izotopa, po naszemu Topa. Kot kartuski – mądry i piękny. I to jemu się, niestety, nagle zmarło.

Chyba echa tej śmierci są w opowiadaniu „Jurek".

To Jerzy Pilch napisał, że koty są na wyższym etapie rozwoju niż ludzie – są nieskończenie mądre albo bezdennie głupie i świetnie udają. Oczywiście paskudnie zepsułem, bo Pilch to swoją frazą wybitną opisał, ale miał na myśli to, że koty, jak dobry pisarz, balansują między geniuszem a skrajną nieporadnością. Podobał mi się zawsze układ bez podległości: kot jest znajomym z domu, mieszka z ludźmi, ale nie ma właściciela. Jeśli podległość zachodzi, to raczej nie w tę stronę, której by człowiek oczekiwał.

Na „Marginal", najnowszej płycie, śpiewa Pan ,,W przytułku" według Szymborskiej. I myślę, że to słowa współczesnej pastorałki, opowieść o kobiecie, która na wojnie straciła trzech synów. I zarówno na początku rozmowy przywołana przez Pana kolęda ,,Maluśki, maluśki", jak i wiersz Szymborskiej to bardzo matczyne opowieści.

Myślałem, by zaśpiewać jeszcze „Hanię" Szymborskiej, ale w końcu ten pomysł odpadł. A to jest piękna opowieść o pani, która przychodzi do kościoła sprzątać i zmieniać kwiaty, sama jest uboga i jest analfabetką. I bardzo wybrzmiewa matczyność tej pani wobec Jezusa.

Może w ogóle tak jest, że jak się ma dziecko, nawet jeśli się jest ojcem, to bardziej się o tej matczyności myśli. Muszę przyznać, że wcześniej niespecjalnie lubiłem dzieci... Gdy ma się już dziecko, to najpierw lubisz to swoje, a potem okazuje się, że jeszcze cudze zaczynasz lubić. To fatalne. Teraz jak u kogoś na rękach dziecko płacze, to nie mogę z tym dojść do ładu.

A jakie ma Pan pierwsze skojarzenie ze słowem: „mama"?

Ręka w moich włosach. Gest nie głaskania, tylko delikatnego podrapywania. Leżę na kolanach u mamy na starym narożniku, on jest cały pocarapany przez Mruczka i mama mnie tak carapie jak Mruczek, tylko bez pazurów. I to właściwie jest uczucie, do którego już się nigdy nie powróci w żaden sposób.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Złota rączka od metafizyki

MAREK BIEŃCZYK

Narzekano niekiedy, że robi coś użytkowego, a to dla linii lotniczych, a to dla koncernu BMW. A on nawet tam odkrywał milszą, cieplejszą, niespodziewaną postać bytu.

Dobrze jest pisać o Alexandrze Calderze na święta. Beztrosko, w rodzaju gratisowego uniesienia, tak jak gratisowe zdają się jego rzeźby i konstrukcje, niczego niewyrażające i niczego od nas, od naszego intelektu, od naszej zdolności interpretacji, niewymagające. Coś dobrego, miłego unosi się w powietrzu, unosi dosłownie, gdyż niemało jego dzieł nie jest postawionych, lecz zawieszonych w przestworzach sal wystawowych i plenerach.

Sala z tzw. mobilami przemienia ludzi; żadnej ponurości na licach. Pomalowana na lśniącą biel, by tym lepiej widać było błyski Calderowskich kolorowych blaszek, emanuje taką pogodą, że widzowie spacerują po niej jak po zaczarowanym lesie, w zwolnionym tempie i z szerokim uśmiechem na obliczach. A zaraz, w salce obok, będą się śmiali, oglądając filmik, na którym Calder odgrywa swoimi zmyślnymi kukiełkami przedstawienie cyrkowe. Cyrk przecież umieją docenić – ostatnia retrospektywa Caldera odbywa się w oficjalnej stolicy sztuk cyrkowych, Montrealu, siedzibie Cirque du Soleil.

Skoro jest tak przyjemnie i tak zachwycająco, trudno sobie wyobrazić, co o Calderze opowiadał Jean-Paul Sartre, i to w okresie czarnego egzystencjalizmu. Jego krótki, świetny tekst z 1946 r. towarzyszył katalogowi z pierwszej powojennej wystawy Caldera w Paryżu. Dziwnie się o tym dzisiaj myśli: ruiny jeszcze dymią, a tu zaczarowane Calderowskie stworzenia wiszą sobie a muzom, bimbają beztrosko z czasu ludzi. Ale tym bardziej może miały w tamtej chwili swoją rację bytu: im mniej człowieka, tym lepiej, niech istnienie przenosi się w formy sąsiednie, niech się pociesza swoim pomniejszeniem.

Nie całkiem jednak będą to formy abstrakcyjne – to określenie chyba zbyt łatwo przykleja się do dzieł Caldera; przy jego rzeźbach-konstrukcjach wkraczamy w świat równoległy, w jakiejś mierze również figuratywny, tyle że rządzący się nieco innymi prawami.

Nieznane gatunki

Calder, urodzony w 1897 r. w Pensylwanii, do Francji przyjechał na początku lat 20., i tam – kolejny Amerykanin w Paryżu – zetknął się ze sztuką abstrakcyjną w chwili jej powstawania. Przyjaźnił się z Miró i to widać po jego dziełach, po tych połączeniach cienkiego z okrągłym i barwnym. Był blisko z całą ówczesną paryską ferajną, zwłaszcza z Mondrianem, gdy ten skierował się w stronę abstrakcji, sięgając po kolory czyste, podstawowe (dla mnie ten okres pośredni między figuratywnością a abstrakcyjnością jest u Mondriana najciekawszy) i pociągnął za sobą Caldera, który tę pośredniość zaczął kultywować.

Największą uwagę przyciągają właśnie mobile. Ten termin miał dla Caldera wymyślić Marcel Duchamp, zachwycony czymś, co nazywał „sublimacjami drzew na wietrze". Chodzi o wspomniane przewiewne konstrukcje z drucianych łodyżek i płatków metalu, które są tak delikatne, że wydają się drżeć na nasz widok. Niekiedy wędrujące po sali fale powietrza, niewidzialne tchnienia złożone z oddechów zwiedzających czy wyziewów z klimatyzacji, leciutko nimi poruszają. Po chwili mobile zastygają, jakby się rozmyśliły, jakby chciały zwrócić uwagę

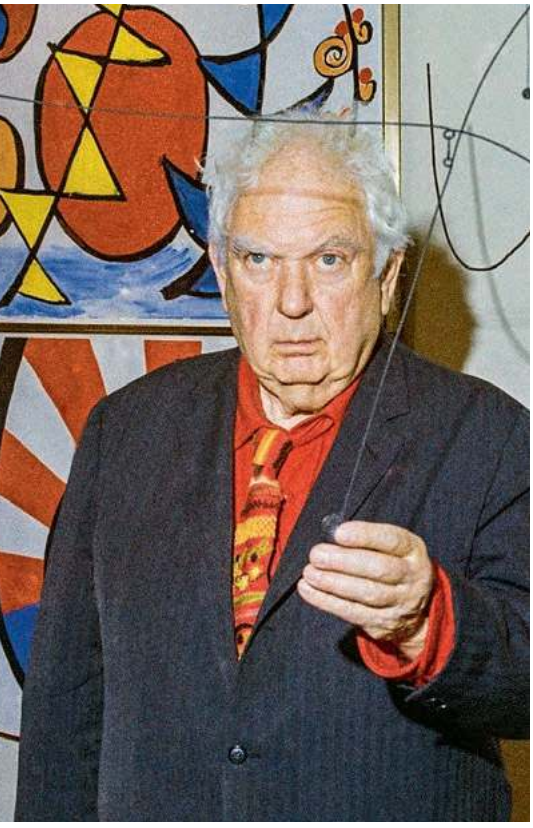

MARTY LEDERHANDLER / AP / EAST NEWS

Alexander Calder, Nowy Jork, 1970 r.

na swoją budowę, swą materialność, wolę bycia mimo wszystko niczym więcej niż barwną immanencją, by zaraz oddać się ponownie kaprysowi wzlotu czy skrętu. Dziś to wydać się może zabawne, ale kojarzono niegdyś mobile z jazzem, który wówczas powstawał, z jego nieregularnym rytmem. W „Mdłościach" (1938) Sartre'a chwila jazzu jest jedynym dla bohatera zbawieniem od ciężkiej melancholii; może – myślę sobie – mobile Caldera podobnie, synkopowo, więc łagodząco na Sartre'a działały.

Tylko nieliczne mobile coś odwzorowują, tu ryba, tam ptak. Reszta należy do nieznanych gatunków, zdaje się pochodzić z życzliwego terrarium inności, z łagodnego, zminiaturyzowanego jurassic parku, blaszki zamiast kręgów, oczu czy policzków, druciki zamiast kręgosłupów, kończyn, szyi. Nie da się tego nazwać, porównać z kształtami nam znajomymi, lecz nie są też one biernymi ornamentami bez duszy własnej, czystą abstrakcją; emanują ciepłą obecnością trochę jak domowe zwierzęta. W Wigilię może by nawet przemówiły.

Sartre jest nie mniej zachwycony niż widzowie 70 lat później. Nazywa mobile „małym lokalnym świętem"; to dość dobre określenie, jeśli za „centralność" uznać wielką sztukę czy literaturę mierzącą się bezpośrednio z sednem istnienia. Jako filozof Sartre nie może nie zapytać o naturę rzeczy, o miejsce wytworów Caldera w łańcuchu bytów. Same w sobie nic przecież nie znaczą i do niczego się nie odwołują, są przeto absolutne. Calder niczego nimi nie sugeruje, natomiast wywołuje nimi doznanie ruchu i to ruch jako zapoznaną formę bytu chce uchwycić.

Przypomina się rysunek Sempégo. Nad brzegiem morza dwóch artystów stoi za swymi sztalugami. Jednemu dobrze idzie, obraz morza jest już prawie ukończony. Na płótnie drugiego wciąż nic, a z ust malarza wydobywa się skarga: „Rusza się. Rusza się bez przerwy".

No więc u Caldera ma się ruszać. Ale też tego ruchu nie można przyszpilić ani na pasywnym obrazie, ani tym bardziej w przestrzeni. Przeciwnie, trzeba go wywoływać i na tym wywoływaniu wszystko polega. Na przeciwstawianiu się statyczności sztuki. Na ruszeniu sztuki z posad. Początkowo Calder podczepiał nawet jakieś motorki, które miały mobile uruchamiać, na szczęście szybko z nich zrezygnował; dokładne powtórzenie ruchu, przewidywalność trajektorii ograniczyłyby aurę, którą emanują.

Spotykane na tylu wystawach instalacje nowoczesne oparte na dokładnym mechanicznym i identycznym powtórzeniu wydają się za każdym powtórzeniem wydrążać siebie, zamykać w beznadziejnym samoobiegu. Kinetyczna sztuka Caldera, jednego z jej ojców założycieli, likwiduje automatyzm i daje od razu szansę metafizyce. Kukły-automaty, znane od XVIII w., imitowały gesty ludzkie jeden do jednego. Podstawiały lustro, bawiły, lecz nie otwierały świata, raczej zatrzaskiwały go na amen, odsyłając patrzących do nich samych. Nie tworzyły luki, przez którą można wychynąć w nieznane, wyjść poza wierne i mimetyczne, by zobaczyć nieokreślone i kinetyczne. Mobile Caldera, dotykające przestworzy wokół nas w sposób tyleż delikatny, pieszczotliwy, co nieregularny, ujawniają dodatkowy wymiar, sugerują niewidzialne kieszenie czy zaułki w powietrzu. Coś się tam niewidzialnego dzieje, coś się tam niesłyszalnego rozgrywa i to coś jest raczej dobre, lekkie i swobodne niż mechaniczne i dramatyczne. Metafizyczne na przyjemny, niedotkliwy, świąteczny sposób.

Tego słowa, „metafizyka", używa właśnie Sartre, który na ogół nim nie szafował. Niech będzie, że tylko „mała lokalna metafizyka"; wystarczy w zupełności. Pisał: „Chociaż Calder niczego nie chciał naśladować – bo też nie chciał niczego poza tym jednym może: stworzeniem gam i akordów dla nieznanych poruszeń – mobile są zarazem lirycznymi pomysłami, technicznymi, niemal matematycznymi kombinacjami i zmysłowym symbolem Natury, wielkiej, nieokreślonej Natury, tej, która rozprasza pyłki i wprawia nagle w lot tysiące motyli. Natury, o której nigdy nie wiemy, czy jest ślepym połączeniem przyczyn i skutków, czy też bojaźliwym, wciąż opóźnianym, zaburzonym rozwojem Idei".

Cyrk niebiański

Calder zrobił kiedyś z drutu portret Sartre'a. Przezabawny; nie darował mu nawet zeza i nieśmiertelnego gitanes'a w ustach, zapalonego, bo i dym się unosi. Zachował się filmik pokazujący również, jak artysta wytwarza portret słynnej Kiki z Montparnasse'u, barwnej eminencji artystycznego życia przedwojennego Paryża, muzy, artystki, kochanki Man Raya i innych. Calder, elegancki Amerykanin w garniturze z krawatem, siedzi skulony na krzesełku i spoglądając co chwila na Kiki naprzeciw w czarnej – *so french* – sukience, przycina obcążkami zwoje drutu. W szybkim tempie, zdecydowanymi gestami. Jeszcze chwila i portret jest gotów, Kiki jak żywa.

Calder wychował się w artystycznej rodzinie i otrzymał bardzo solidne inżynierskie wykształcenie; jeszcze przed przyjazdem do Francji studiował też malarstwo (które wydaje się jego słabszą stroną). Był złotą rączką od dzieciństwa; sam sporządzał sobie zabawki. Pracował w różnych zawodach, także inżynierskich. Kiedy pojawił się w Paryżu ze swymi obcążkami, fama o jego miłym wariactwie szybko rozniosła się w środowisku, wydrutował oblicza większości bywalców salonu Gertrudy Stein. Sława przyszła później, w latach 50. Woody Allen w „O północy w Paryżu" nie mógłby jednak ożywiać jego ducha obok duchów Picassa i Dalego, bo renoma Caldera nie sięgnęła jak w ich wypadku bruku – choć w kręgach koneserskich uchodzi za jednego z ważniejszych artystów XX wieku. Mimo że, narzekano niekiedy, robił coś niegodnie użytkowego, a to dla linii lotniczych, a to dla koncernu BMW.

Jego inżynierska smykałka bije w oczy, czegokolwiek by się dotknął. Biżuteria, przedmioty codziennego użytku, do ↦

RANDY DUCHAINE / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Mobile Caldera we wschodnim skrzydle Narodowej Galerii Sztuki w Waszyngtonie, 2012 r.

↦ przesady zminiaturyzowane bądź powiększone, wszystko nosi ślad niecodziennej zmyślności, wszystko wydaje się gagiem. Nawet te widelczyki; nie mogłyby być podane na obiedzie u angielskiego króla, lecz mają w sobie coś: coś ze sztućców i coś spoza, co nie podważa jednak ich sztućcowatości; można by nimi jeść, nie przestając się zarazem dziwić.

Geniuszek, powiada się o takich ludziach. Nie geniusz, ale geniuszek, bo zdrobnienie wyraża podziw wraz z bezpiecznym zastrzeżeniem, że najwyższa ranga tu się nie należy. Sprytny, cwany, lecz jego wyczyny są, nieprawdaż, bardziej inżynierskie niż artystyczne, raczej taki techniczny MacGyver czy taki lepszy Adam Słodowy niż Giacometti. Przypadek Caldera daje do myślenia, gdyż podważa pewne zabobony związane z materią sztuki i manualną sprawnością. Metaloplastyka choćby, takim słowem można by zaklajstrować jego dokonania, uwięzić je na amen w dziedzinie prac ręcznych. Drut i cążki, fajnie to wymyślił, ale bez przesady. Tymczasem trzeba trochę otworzyć się na przesadę, by wpuścić Caldera do panteonu, nazwać go, jak głosi tytuł retrospektywy montrealskiej, „radykalnym odkrywcą", wynalazcą – blisko sto lat temu – nowych materii i nowej przestrzeni dla rzeźby.

Więc świetnie, druty, blachy (w czasie II wojny światowej, którą spędzał w Stanach, musiał też sięgnąć po drzewo, bo metal poszedł na zbrojenia), lecz jeszcze jedna ważna rzecz: dobry humor. Surrealistyczny, futurystyczny i abstrakcyjny świat sztuki międzywojnia bywał nieco ponury; Calder wniósł weń jakby amerykański pozytywizm i beztroskę.

Dobry humor często przychodzi artystom na starość; Picasso chyba najlepiej się bawił przed sztalugą pod koniec życia. Natomiast Calder zdaje się w dobrym humorze od samego początku; doprawdy należy mu się dodatkowy talerz na święta. Przyszedłby ze swymi kukiełkami, wystawiłby cyrkowy spektakl dla dzieci i dla dzieci w nas.

Cyrk się wtedy w Paryżu malowało, Georges Seurat choćby, później Chagall, inni. Calder wymyślił własne przedstawienie na jednometrowej arenie pod koniec lat 20., ale odgrywał je jeszcze w latach 50.; kukiełki teraz spoczywają już na zawsze w Whitney Museum of American Art, są zbyt delikatne, by je przewozić.

„Czy w niebie jest cyrk?" – pytał niedawno zakopiański Teatr Witkacego wystawiający poruszającą prozę Agłai Veteranyi, tragicznego dziecka cyrku. U Caldera na pewno jest na ziemi, w swym pierwszym, dosłownym, niepodbitym żadną dramatycznością, żadnym ukrytym smutkiem wymiarze: nieskończonej zabawy. Bawili się Mondrian, Man Ray, Cocteau, Léger, wierni widzowie Caldera, najpopularniejszy poeta tamtych czasów i tamtych ludzi, Jacques Prévert, poświęcił mu wersy – ówczesny cyrk cieszył się szczególną, nie tak łatwą dziś do pojęcia popularnością. Może przyciągał swoistym, by tak się wyrazić, rozszerzeniem pola egzystencji. Surrealiści, abstrakcjoniści, ekspresjoniści rozszerzali je na swój sposób – nie przez pogłębioną medytację nad tym, co jest, nie przez przeróbkę modnej wśród filozofów fenomenologii rzeczy, lecz przez poszukiwanie nowych postaci, niespotykanych, niecodziennych form życia. Cyrk unaoczniał im wyczyn, techniczną sprawność, która przesuwała granice możliwości, tak jak przesuwało je np. „automatyczne pisanie" surrealistów.

Cyrk i zarazem parodia lub pastisz cyrku: Calder odgrywa w miniaturze rytualne sceny cyrkowe. Jest i lew ze swoim treserem (niesforne zwierzę

zabrudzi arenę łajnem, trzeba je zamieść, więc pojawia się szufelka), są i klowni, trapeziści *e tutti quanti* cyrkowej tradycji. Grube jak parówki palce Caldera działają z nieprawdopodobną precyzją, słonie obiegają arenę, łucznik obstrzeliwuje głowę panny, linoskoczkowie przeskakują nad przepaścią, no, raz zdarza się wypadek, ale zaraz sanitariusze (inne jeszcze kukiełki) wpadają z noszami. Wszystko rozgrywa się w tempie, mechanizmy pracują bez zarzutu, druciki wpadają w oczka, łańcuszki łączą się i rozdzielają; mechaniczna wirtuozeria zapiera dech w piersiach. Oczywista rozrywka, lecz dokąd zmierza ta inżynierska sprawność? Podobnie jak w przypadku mobili uśmiech łączy się z poczuciem lekkości i zadziwiającej łatwości podskoku, wzlotu; jakby Calder odkrywał milszą, cieplejszą, niespodziewaną postać bytu. Istniejącego w ekwilibrystycznej równowadze, która wydaje się wciąż zagrożona i wciąż cudownie utrzymywana. Nieustannie chodzi o ruch, lecz jakikolwiek by był, kończący się właśnie kruchą, lecz zwycięską równowagą.

W tym samym mniej więcej czasie Calder do swego świata pomniejszego, zminiaturyzowanego zaczął dodawać jego przeciwieństwo, świat powiększony, olbrzymi. Wielotonowe stalowe rzeźby będą stawały przez lata w kolejnych miastach, Paryżu, Rapid Springs, Montrealu, Chicago (jeszcze na krótko przed śmiercią Caldera w 1976 r.) i innych metropoliach; kiedy Broniewski pisał o Magnitogorsku, Calder podpisywał z hutami pierwsze kontrakty na dostawę stali.

Jean Arp nazwał te ciężary „stabilami". Jednym z najbardziej znanych jest ogromny czerwony pająk postawiony na patio ultranowoczesnej dzielnicy La Défense w Paryżu. W Montrealu stoi uznany dzisiaj za symbol miasta stabil zatytułowany pierwotnie „Trzy dyski", a przez montrealczyków nazywany po prostu „Człowiek", gdyż w trzech sklejonych z sobą płaszczyznach wyczuli oni antropomorficzny kształt. Może dlatego, że Calder stworzył go na Wystawę Światową w 1967 r., która w pamięci miasta – rozmawiałem z wieloma osobami, które były wówczas dziećmi – przetrwała jako najwspanialsze zbiorowe wspomnienie, wielkie święto spotkania i pacyfistycznego pojednania, fetę człowieka i człowieczeństwa. Calder sam wówczas uczestniczył w manifestacjach, protestował przeciwko wojnie w Wietnamie, jego stabil trzema połączonymi, pochylonymi ku sobie „twarzami" oddawał jakoś rozgrzanego wspólnotowego ducha.

Można myśleć o tych kolosach jako formach, raz jeszcze, równowagi. Cyrkowych figurach, które na chwilę zastygły w rodzaju zbawiennej homeostazy. Są cyrkowe, gdyż nie całkiem poważne, trochę zabawne, trochę wymyślne, lecz teraz, na tę chwilę, stanęły bezpiecznie, ustateczniły ruch. Jakby chciały wszystko na tym świecie sobą samym ustabilizować i na chwilę nas wszystkich zaczarować.

W sali z mobilami pytam Isabelle, moją przewodniczkę po Montrealu (*Susan takes you down...*), który z nich by powiesiła w swym apartamencie, zamiast lampy czy na choince, skoro święta za pasem. Z okien jej wieżowca widać gołym okiem ogromny, wbity w centrum miasta mural z podobizną Leonarda Cohena, a przez lornetkę „Człowieka" Caldera. Wskazuje na jeden z mobili. Ten sam wybrałem w myślach do mojego mieszkania; może dlatego się przyjaźnimy.

© MAREK BIEŃCZYK

MAGDA HUECKEL / TW-ON

„Król Roger", Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie, 30 listopada 2018 r.

Królobójcy

DOROTA KOZIŃSKA

Zdębiałam, kiedy z głośników zaczęły dobiegać partie solowe – bo postaci uwzględnione w libretcie nie pasowały do koncepcji Mariusza Trelińskiego. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać, obserwując zmagania śpiewaków z Szymanowskim.

Dziwna to ziemia pławiąca się w słońcu, na morzu, rozprażona, od zimy okryta kwiatami. Całe połaci kultury leżą tu na sobie, obok siebie, przedziwnie w sobie pomieszane. (...) Wszystko się tu miesza stopione w żarze słońca, wina i w zapachu pomarańczowego kwiatu. A nad wszystkiem góruje jedna kultura, która wyspie śródziemnomorskiej fizjognomję zasadniczą nadała – wielka kultura grecka. Ona urobiła w swoim czasie kształt sycylijskiego rolnictwa czy żeglarstwa i pieczęć greckiej sztuki na zawsze odbiła w niebieskim cieniu jej gór, na zielonych polach pszenicy i purpurowych łanach koniczyny".

Tak pisał Iwaszkiewicz w szkicu „Karol Szymanowski na Sycylii", kilka tygodni po śmierci kompozytora. Kreślił swój esej w Palermo, dokąd lubił jeździć na wiosnę, kiedy plaże były jeszcze puste, a na straganach pojawiały się pierwsze truskawki. Z jego słów przebija ten sam zmysłowy zachwyt, jaki kryje się między wierszami pieśni Pasterza z opery Szymanowskiego „Król Roger" (1924) – a zarazem tęsknota za zmarłym przyjacielem, przemieszana z wyrzutem, że drogi ich inspiracji w pewnej chwili się rozeszły.

Przemiana Europy

Iwaszkiewicz przyznaje, że „Król Roger" jest „najważniejszym produktem" sycylijskich wrażeń Szymanowskiego, ale zastrzega, że „osobliwe to dzieło". Podkreśla, że kompozytor nie miał wykształcenia klasycznego, i sugeruje, że jego refleksja nad antykiem szła podobnym torem, jak w przypadku całego pokolenia „poszukiwaczy mitu", mierzących się z zagładą oswojonego porządku Europy. Zwraca uwagę, że wpływ na tę refleksję miała lektura Nietzschego, Muratowa i Diehla, zwłaszcza zaś szkiców filologa Tadeusza Zielińskiego, o którym obydwaj „nawet nie wiedzieli", że jest Polakiem, i zaczytywali się w jego rosyjskim przekładzie „Bachantek" Eurypidesa. Pisze, że filozofia „Króla Rogera" jest „dość prosta" i wychodzi od zaproponowanej przez Zielińskiego interpretacji sceny między Penteuszem a Dionizosem, który rozpala we władcy Teb niespodziewane żądze.

W pierwotnej wersji libretta Roger „oddawał się w niewolę pięknu Dionizosa". Szymanowski przerobił akt III, zastąpił tekst Iwaszkiewicza własnym i w ostatniej scenie zostawił Rogera samego: poniechanego przez bóstwo i rozdartego wewnętrznie. Zdaniem poety kompozytor odrzucił poszukiwany i wreszcie odnaleziony mit. Zrezygnował z „hedonistycznej mitologii", zaprzątającej go od czasu pierwszej podróży na Sycylię.

Iwaszkiewicz wiedział, co pisze. W przymiarkach do „dramatu sycylijskiego" towarzyszył Szymanowskiemu od roku 1918. Dwa lata później dostarczył mu pierwszy zarys libretta, po czym obserwował dalszą ewolucję tekstu – przerabianego, opatrywanego rozbudowanymi didaskaliami, w których Szymanowski dawał upust swojej fascynacji dziedzictwem duchowym i materialnym Sycylii. Poeta stopniowo dystansował się od kompozytora – zarzucał wersji poprawionej „pewną niejasność dramatyczną", usprawiedliwiał ją wszakże ogólną koncepcją, w której dostrzegał odbicie samotności zmagającego się z własnymi demonami Szymanowskiego.

Muzykolog Henryk Opieński też nie miał kłopotów z odczytaniem przesłania „Króla Rogera": „Treścią rozprowa-

dzoną na trzy akty jest zwycięstwo dionizyjskiego pojęcia życia nad zakutym w okowy bizantyjskiego religijnego rygoru królem, jego żoną, jego otoczeniem, wreszcie całym jego ludem".

Wygląda na to, że dla współczesnych Iwaszkiewicza i Szymanowskiego „Król Roger" był w miarę czytelną metaforą przemian w świadomości społecznej Europy: konfliktu władzy, rozpadu pewnego modelu życia rodzinnego, redefinicji homoseksualizmu jako fenomenu kulturowego. Po warszawskiej prapremierze w 1926 r. dzieło przyjęto entuzjastycznie. Późniejszy o dwa lata spektakl w Stadttheater Duisburg przeszedł do historii z powodu manifestacji nacjonalistycznej bojówki paramilitarnej Stahlhelm – o świetnych recenzjach w niemieckiej prasie i kolejnym triumfie „Króla Rogera" w praskim Teatrze Narodowym, w 1932 r., wspomina się jakby rzadziej.

Odkrycia

Po wojnie arcydzieło Szymanowskiego wielokrotnie trafiało na światowe sceny – w Palermo doczekało się wystawienia już w 1949 r., w Teatro Massimo, pod dyrekcją Mieczysława Mierzejewskiego. W Wielkiej Brytanii zmierzył się z nim Charles Mackerras (spektakl w Sadler's Wells w 1975, rok później zrealizowany w Coliseum przez zespół English National Opera), jednakże z mniej spektakularnym skutkiem niż w przypadku pięciu „odkrytych" przezeń oper Janaczka. W listopadzie 1981 r. Stanisław Wisłocki, Aleksander Bardini i Andrzej Kreütz-Majewski zawieźli „Rogera" do Teatro Colón w Buenos Aires. Operę wystawiano w Europie i za oceanem – zaskakująco regularnie, zważywszy na stopniowy zanik zainteresowania „Rogerem" w Polsce. Ostatniej inscenizacji w PRL doczekaliśmy się w 1986 r., w warszawskim Teatrze Wielkim. Potem zapadła cisza, przerywana doniesieniami o kolejnych premierach w Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Włoszech i Australii.

Renesans twórczości Szymanowskiego – nie tylko „Króla Rogera", ale też „Stabat Mater" i „Pieśni o nocy" – zawdzięczamy staraniom Brytyjczyka Simona Rattle'a, który w 1998 r. zadyrygował tajemniczą operą na Promsach i nagrał ją w całości dla wytwórni EMI: z chórem i orkiestrą City of Birmingham i doborową stawką solistów, m.in. Thomasem Hampsonem w roli tytułowej, Elżbietą Szmytką w partii Roksany i Philipem Langridge'em jako Edrisim. Zachwytom nie było końca – recenzenci wieścili odkrycie stulecia, z uznaniem kiwali głowami nad eurypidejskim rodowodem libretta, sięgnęli po wcześniejsze nagrania pod batutą Mierzejewskiego, Satanowskiego i Stryi.

Do akcji – na fali przetaczającego się przez kontynent entuzjazmu – znów wkroczył Teatr Wielki w Warszawie. „Król Roger" wrócił do stolicy w 2000 r., w inscenizacji Mariusza Trelińskiego, uznanej z czasem za pierwszy człon reżyserskiej opowieści o sobie samym: człowieku bez właściwości, niezdolnym do naprawienia zadawnionych błędów. Treliński zasłynął wówczas zdumiewającym oświadczeniem, że sens tej opery „często spłycano do konfliktu apollińsko-dionizyjskiego". Być może dlatego przeanalizowałam jego koncepcję skrupulatnie i nie dałam się porwać urodzie scenografii Borisa Kudlički. Pisałam po premierze, że muzyka i didaskalia sobie, a rezultat sceniczny sobie; że interpretacja Trelińskiego, zamiast podkreślić nie zawsze jasny wydźwięk tekstu, nakłada nań kolejne warstwy archetypów i symboli, których tam najzwyczajniej nie ma.

Kilka lat później wyszło na jaw, że ów „poemat dramatyczny, w którym nie ma ani romansu, ani miłosnego duetu, ani zabójstwa, ani pojedynku" (znów cytuję Opieńskiego), nie obroni się w starciu z postmodernistycznym teatrem reżyserskim – z jego antyracjonalnością i pogardą dla znaków, którymi niegdyś dość precyzyjnie opisywano rzeczywistość. Dowiodło tego „drugie odkrycie" „Rogera" po roku 2007, w którym świętowaliśmy 70. rocznicę śmierci kompozytora. Inscenizacja Hansa Hollmanna z Bonn, kolejne podejście Trelińskiego z Opery Wrocławskiej, a zwłaszcza sprawna warsztatowo, choć kompletnie chybiona wizja Krzysztofa Warlikowskiego w Opéra Bastille wyrządziły „Rogerowi" więcej szkody niż pożytku. Trzeba było poczekać na następnego muzyka-entuzjastę – Antonia Pappana, który w 2015 r. wprowadził operę Szymanowskiego na deski londyńskiej Royal Opera House. Wprawdzie koncepcja reżyserska Kaspera Holtena wciąż odchodziła dość daleko od litery tekstu, przemawiała jednak spójnym językiem symboli teatralnych, ściśle powiązanym z językiem muzycznym kompozycji. „Roger" znów ruszył w świat.

Syndrom sandomierski

W Polsce „Roger" zawitał później tylko w Krakowie i niedawno w Warszawie, w trzeciej już inscenizacji Trelińskiego. Obawy, że reżyser znów opowie tę samą historię, potwierdziły się w każdym calu. Gorzej, że nie skończyło się na powielaniu klisz z poprzednich spektakli. W rzekomo nowej koncepcji Trelińskiego pojawiło się wszystko, co widzieliśmy już wcześniej w TW-ON, uzupełnione remanentami z prowincjonalnych teatrów niemieckich oraz przedstawień reżyserów znacznie sprawniejszych warsztatowo niż Treliński, za to równie głuchych i nieobeznanych z konwencją (przywołam tylko nazwiska Warlikowskiego i Castelluccio). Była płaska historyjka dopisana przez dramaturga, był motyw *alter ego*, ceramika sanitarna, nawiązania do modnych filmów, wózek inwalidzki, *cross-dressing* z udziałem nieletnich, skórzane kanapy z hoteli dla rosyjskich nuworyszów, krwawe orgie z siekierą i sceny kobiecej frustracji w jedwabnym peniuarze.

Nie było tylko muzyki. Osłupiałam już w pierwszych taktach, kiedy chóralne „Hagios!" dobyło się z chrypiących głośników, bo Treliński nie umie reżyserować tłumów na scenie. Zdębiałam, kiedy z głośników zaczęły dobiegać partie solowe – bo postaci uwzględnione w libretcie nie pasowały do koncepcji Trelińskiego. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać, obserwując zmagania śpiewaków z resztkami zdeptanej materii muzycznej (najlepiej wypadł Łukasz Goliński w partii tytułowej, choć i tak znacznie poniżej oczekiwań po obiecującym debiucie w Rzymie, pod batutą Pappana). Miałam ochotę wtargnąć do kanału orkiestrowego i wyciągnąć stamtąd Grzegorza Nowaka, który nie dość, że na ten skandal się zgodził, to jeszcze się walnie do niego przyczynił – niewrażliwością na piękno jednej z najpyszniejszych kolorystycznie partytur XX w. i niezdolnością złożenia jej w całość.

Zejdzie to kuriozum ze sceny w Warszawie i pojedzie w ramach koprodukcji do Pragi i Sztokholmu. Mam poważne obawy, że po raz kolejny spowolni powrót „Króla Rogera" na światowe sceny. Iwaszkiewicz pisał do czternastoletniej córki Marii: „Chodzę po Palermo trochę jak po Sandomierzu, ale tylko w Sandomierzu jedzenie lepsze". A ja patrzę na to warszawskie Palermo i myślę, że w Sandomierzu by je lepiej wystawili. I z pewnością znacznie taniej. ©

GRAŻYNA WYSZOMIRSKA / INSTYTUT TEATRALNY IM. ZBIGNIEWA RASZEWSKIEGO

„Każdy kocha Opalę", Wrocławski Teatr Współczesny, 1968 r.

Niech pani fruwa!

MAJA KOMOROWSKA, AKTORKA:

Dla Jerzego nie było rzeczy niemożliwych. Te nasze spotkania są w mojej pamięci tak poruszające, tak żywe. Powroty są ważne. I tęsknota.

BARBARA OSTERLOFF: Niedawno ukazała się książka „Jerzy Jarocki. Biografia", napisana przez Elżbietę Konieczną. Portret zmarłego w 2012 r. reżysera teatralnego w dużej części ułożony ze wspomnień osób, które z nim pracowały. Twojego głosu jednak tam nie ma.

MAJA KOMOROWSKA: No tak, myślę sobie, że może dobrze się stało, że nie zdążyłam, bo myśmy obie wiele już o nim powiedziały, w naszym „Pejzażu" jest cały rozdział o pracy z Jarockim. W gruncie rzeczy powtarzałabym to, o czym rozmawiałyśmy wiele lat temu. Przyszło mi jednak do głowy takie zdanie, dobrze je znasz, bo o Samuelu Beckecie też rozmawiałyśmy, kiedy Winnie w jego „Szczęśliwych dniach" mówi: „Wszystko już zrobiłam, wszystko powiedziałam, a muszę mówić dalej". Teraz, po lekturze biografii Jarockiego, ja nie muszę, jak Winnie, tylko naprawdę chcę mówić. Chcę dołączyć do moich kolegów, którzy ten obraz wybitnego reżysera przywołali tak mocno, że nie można na to nie odpowiedzieć.

Był rok 1968, kiedy odeszłaś z Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego. Znalazłaś się w zespole Wrocławskiego Teatru Współczesnego, teatru repertuarowego, „zwykłego" teatru. Po pracy z Grotowskim musiało to być niełatwe. Zmieniło się wszystko, styl pracy i tryb życia. Tutaj właśnie, w Teatrze Współczesnym, Jerzy Jarocki obsadził Cię w sztuce „Każdy kocha Opalę" Johna Patricka, komedii łączącej elementy „kryminału" i bajki.

Propozycja ta była dla mnie rodzajem zagadki. Jarocki tak mnie zobaczył? Teraz, po przeczytaniu jego biografii, myślę, że ciekawiło go, interesowało, jak aktorka od Grotowskiego da sobie radę w takiej roli.

Na pewno był to eksperyment. Jarocki znał Grotowskiego, oglądał jego przedstawienia i widział Cię w „Księciu Niezłomnym". A teraz miałaś u niego zagrać Glorię Gullock, dziewczynę z półświatka.

Była to chyba jedna z moich najśmieszniejszych ról. Mój Boże! Po teatrze Grotowskiego... bulwarowa rola właściwie. Ale to spotkanie było jednym z najważniejszych w moim życiu. Często myślę, co by było, gdybym tego reżysera nie spotkała, i nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. Minęło tyle czasu, a pamięć o tej mojej pracy jest nadal żywa.

Wszystko wtedy jakbym zaczynała na nowo, ale jedno wiedziałam na pewno, że moje ciało powinno mi służyć, będzie służyć ...

No tak, bo pamiętałaś tę ilość wykonanych w teatrze Grotowskiego etiud i ćwiczeń. Ciało też pamiętało.

Tak, ciało nadal słuchało mnie, mogłam na nie liczyć. Ale tutaj, w Teatrze Współczesnym... jak sobie poradzić? Teraz nie miałam codziennie prób sztuki, którą się gra ciągiem, całymi miesiącami (oczywiście, były próby przed wznowieniami). Nie miałam żadnych ćwiczeń – musiałam sama się pilnować. Choć akurat Jarocki starał się pilnować swoich spektakli, kiedy tylko mógł, przyjeżdżał, żeby je zobaczyć. I co było ważne – aktorzy nigdy nie wiedzieli, kiedy przyjedzie.

Powiedz, co było dla Ciebie punktem wyjścia do analizy postaci Glorii?

Żywe było we mnie wspomnienie, że aktorstwo to jest właściwie zadawanie sobie pytań; bombardowanie swojej świadomości, szukanie sposobu na siebie – w zależności od roli za każdym razem inaczej. Szukanie sposobów pobudzenia wyobraźni. Dobre postawienie pytania pozwala siebie sprowokować. Różne wtedy stawiałam sobie pytania na temat Glorii.

Jakie na przykład?

Myślałam o niej, że to taka trochę Eliza Doolittle z „Pigmaliona" George'a Bernarda Shawa. Taka Marilyn Monroe dla ubogich, to mi się skojarzyło i zostało w głowie.

Pamiętam, próbowałam jakąś scenę; nie udawało się, byłam bardzo niezadowolona. Jarocki to widział, ja ciągle powtarzałam, że nie mogę mówić tym swoim głosem, Gloria nie może mieć takiego głosu, to nie ten głos. Pan Jerzy oponował: „Co pani z tym głosem coś sobie ubzdurała? Co z tym głosem, co z tym głosem?".

Sposób mówienia, to, co moglibyśmy nazwać maską głosu, było dla mnie ważne. Nie myślałam o szukaniu dla Glorii jakichś niezwykłych walorów głosowych, ale wiedziałam, że głos musi być inny. Myślę, że Jarocki mógł stracić cierpliwość przez to moje permanentne niezadowolenie, ale ja nie mogłam spokojnie pracować. Co się odezwałam, to czułam, że to nie ta osoba... Tego byłam coraz bardziej pewna. Jak się odezwałam, to była jakaś taka egzystencjalistka, a tymczasem miała być zupełnie inną osobą – niezbyt mądrą, która ma w sobie coś z zepsutej kobiety i z dziecka. Mój niski, chropawy głos nie służył Glorii.

Kiedyś Jarocki wyjechał. I nie pamiętam, czy mieliśmy przygotować jakąś scenę, czy ja z gorliwości chciałam ją przygotować... W każdym razie już taka zdeprymowana, że nic mi nie wychodzi, zaczęłam myśleć, jak ta osoba naprawdę wygląda? Przykleiłam sobie rzęsy, zrobiłam „kapiące" od szminki usta, na głowie loczki – nałożyłam perukę. Do tego za krótka, za ciasna spódnica, trykot w cekiny, bardzo obcisły, bardzo wysokie obcasy – wszystko było „za": za ciasne, za małe, za wysokie, niewygodne. Jak nałożyłam na siebie to wszystko i spojrzałam w lustro – to zobaczyłam Glorię. Teraz myślę, że wtedy po raz pierwszy zrozumiałam – jak można siebie sprowokować przez kostium, jak poprzez zmianę w wyglądzie zewnętrznym można na siebie wpłynąć.

WOJCIECH PLEWIŃSKI

„Paternoster", Wrocławski Teatr Współczesny, 1970 r.

Opowiadając o swoich rolach w „Pejzażu", zwróciłaś uwagę na to, jak zmieniał się Twój głos w zależności od zmian kostiumu i charakteryzacji.

No właśnie. Kiedy wszystko to na siebie nałożyłam, kiedy znowu zaczęłam próbować swoją scenę (z tą charakteryzacją i wymyślonym kostiumem) – automatycznie zmienił mi się głos. Podwyższyłam go, spłaszczyłam, i w ogóle inaczej mówiłam. Odeszłam od siebie daleko, od swojej prywatności, i zbliżyłam się do Glorii. Reżyser nic nie wiedział o tych moich próbach. Kiedy wrócił i ponownie pracowaliśmy nad tą sceną, usłyszałam: „Pani Maju, no tak, właśnie tak!". Wtedy powiedziałam: „Panie Jurku, panie Jurku, ale ja zmieniłam głos". „Aaaa...".

A kiedy potem zobaczyłam, że ludzie się śmieją, kiedy zobaczyłam, że jestem śmieszna, ucieszyłam się bardzo. Po laboratoryjnej pracy u Grotowskiego, po tej ciszy na widowni... Teraz próbowałam się cieszyć, że ktoś w teatrze szczerze się śmieje, i na dodatek – ze mnie. To było nowe doświadczenie. Ta „radość śmiechu" wracała do mnie potem już w innych rolach komediowych.

Sam Jarocki tak mówił o Twojej pracy nad rolą Glorii: „Majka pracowała pozornie dziwnie (...) Szukała pewnych znaków, szukała także pewnych rysów zewnętrznych postaci, ale to jej było potrzebne nie do zewnętrznych spraw, ↦

↦ **tylko do znalezienia pewnych cech wewnętrznych postaci, ludzkich, człowieczych. Na generalnej próbie rola Mai zaskoczyła całkowicie. Byłem pewny, spokojny oczekiwałem premiery. I to był jej sukces". To jest wypowiedź z filmu Krystyny Bogusławskiej o Tobie. Pod kierunkiem Jarockiego zagrałaś jeszcze tytułową Starą Kobietę w sztuce Tadeusza Różewicza.**

Tak. Były trzy stare kobiety w tym przedstawieniu, nie jedna. Jarocki rozdzielił tę rolę na trzy aktorki. Była Inka Nowisz, najstarsza, Majka Zbyszewska, i ja, jako najmłodsza. Zapamiętałam szczególnie jedną próbę „Starej kobiety": weszłam na scenę bardzo skupiona. Miałam kapelusz, płaszcz, dłuższe, potargane włosy (peruka) i oczywiście torbę, wszystko najważniejsze w tej torbie. Wchodziłam powoli, z okna wylatywały śmiecie, a ja szłam dalej... i dalej... posuwałam się wolno... i nagle usłyszałam głos Jerzego Jarockiego: „Dziękuję pani. No to już pani wszystko zagrała".

Mój Boże, to było wspaniałe.

Jak to „wspaniałe"?

Nie poczułam ani żalu, ani nie zezłościłam się, ani się nie obraziłam w środku. Dlaczego? Często o tym potem myślałam.

Jakoś nie wierzę, że skarcona podczas próby nie czułaś się dotknięta. Wiemy, jak łatwo dotknąć każdego z nas.

No, nie czułam się dotknięta.

A jak myślisz, dlaczego?

Może dlatego tę uwagę przyjęłam, że ją, jakimś cudem, w jednej chwili zrozumiałam. A nie potem, po przemyśleniu. To dlatego mogłam się ucieszyć – zwykle bronimy się instynktownie przed krytycznymi uwagami, to naturalne. Ucieszyłam się, bo zrozumiałam, że trzeba było powoli siebie dozować, powoli otwierać te przestrzenie. Powoli, nie wszystko naraz, bo w aktorskiej partyturze roli nie wszystko jest tak samo ważne.

Przypomnijmy teraz scenę z przedstawienia „Starej kobiety" – tę, w której fruwałaś na żyrandolu. Ktoś napisał, że latałaś „jak wiedźma na miotle". Myślę, że to porównanie nie wyczerpuje skojarzeń, jakie mógł budzić Twój lot.

ARCHIWUM PRYWATNE

MAJA KOMOROWSKA *jest aktorką, pedagogiem i profesorem nauk o sztukach pięknych. Grała w filmach i przedstawieniach teatralnych u najwybitniejszych reżyserów – m.in. Erwina Axera, Jerzego Grotowskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Zanussiego. Od 1984 do 2014 r. wykładała na warszawskiej Akademii Teatralnej.*

CZESŁAW CZAPLIŃSKI / FOTONOVA

JERZY JAROCKI *(1929–2012) był jednym z najwybitniejszych reżyserów teatralnych w Polsce. Studia reżyserskie ukończył w Moskwie. Wystawiał głównie dramaturgię współczesną: Gombrowicza, Mrożka, Różewicza, Witkiewicza. Związany szczególnie ze Starym Teatrem w Krakowie i Teatrem Narodowym w Warszawie.*

Do dzisiaj pamiętam, jak powstało moje latanie na żyrandolu. Choć, zdaje się, nasza pamięć – pana Jerzego i moja – jest tutaj trochę różna. Ta scena jest wspaniale napisana przez Różewicza, ale jak doszło do fruwania? Stara kobieta mówiła w monologu o modrzewiu, jak kwitnie, taki zielony, i nagle z tego kwitnienia padała kwestia „pieść mnie", rzucona do kelnera (którego grał Edward Lubaszenko). Kiedy na jednej z prób mówiłam o tym modrzewiu, Jarocki zapytał: „A pani wie, jak wygląda modrzew?". Odpowiedziałam: „No wiem, w Komorowie były modrzewie".

Ale pomyślałam, że może za mało pamiętam, może powinnam teraz zobaczyć modrzew? Miałam do pana Jerzego zaufanie, przecież nie bez powodu zadał mi to pytanie. Nie dawała mi ta myśl spokoju, więc pojechałam chyba do Polanicy czy Kudowy, żeby stanąć pod modrzewiem. W jakiś wolny dzień pojechałam (przyznałam się panu Jerzemu do tego po latach). I jak stanęłam pod nim, zrozumiałam natychmiast cały tekst. Zrozumiałam, że nie chodziło o to, żeby wiedzieć , bo ja wiedziałam, jak modrzew wygląda. Chodziło o to, żeby poczuć – on był taki prosty, strzelisty i ta zieleń taka świeża, radosna... Rzeczywiście, co można powiedzieć, jak oczy się nasycą tą świeżością i zielenią – tylko „pieść mnie"...

Kiedy wróciłam z tej wycieczki i znów na próbie opowiadałam o modrzewiu – nie pamiętam dokładnie, jak to mówiłam, ale wiem, że weszła w ten tekst tęsknota, którą poczułam stojąc pod modrzewiem.

Wtedy byłam jeszcze młoda i nie wiedziałam, jak to uczucie będzie narastać z latami.

Wróćmy do sceny z żyrandolem. Mała kawiarenka, jest stolik, jest krzesło.

Tak, ja opowiadam, opowiadam, ale pamiętam, że nie mogłam sobie znaleźć miejsca na tym krześle, kręciłam się, zmieniałam pozycje. Jakoś tak usiadłam inaczej i nagle na krzesło weszłam. I usłyszałam głos: „Nie przerywać, nie przerywać... dalej, dalej, gdzie jeszcze pani wejdzie, gdzie jeszcze". No to weszłam na stół. „Nie przerywać, no gdzie jeszcze..." Już tylko był żyrandol. No i skoczyłam, zawisłam. Może reżyser miał to w swojej głowie ułożone, ale ja na pewno nie. Byłam na to kompletnie nieprzygotowana. Potem oczywiście BHP wkroczyło, że tak nie może być, że niebezpiecznie, ale nie znali pana Jerzego: „Żyrandol ma być wzmocniony!".

I wzmocnili, więc próbowaliśmy dalej tę scenę. Po moich słowach „pieść mnie" Edward Lubaszenko lekko mnie popychał, a potem huśtał coraz mocniej i mocniej, od kulisy do kulisy. Stara kobieta uczepiona żyrandola fruwała przez całą scenę wahadłowym ruchem od kulisy do kulisy, w zależności od kierunku, w jakim popchnął ją kelner: czasem w poprzek, a czasem od tyłu do przodu sceny. Latała i mówiła: „wszystko jest do kochania". Fruwała i mówiła.

Ten rytm bujania, fruwania, rozhuśtania wypełnił całą scenę. „Wszystko jest do kochania, gamoniu, można kochać skórę i kości". Ta litania miłości, to rozkołysanie wzdłuż i wszerz – przypominały rozkołysanie dzwonu. A potem, na końcu ona zwisała na tym żyrandolu, jak taki wisielec... w tych perukach, kapeluszach, spódnicach. Wreszcie spadała na śmieci, i już mówiła: „rodzić, słodzić"...

Nie mogę zapomnieć, jak Jarocki poprowadził pracę nad „Stara kobietą", jak znalazł sposób na ten monolog o miłości, jak go podźwignął. Dla mnie to była prawdziwa twórczość reżysera i aktora.

Całe życie później czekałam, że powiemy jeszcze coś razem. Jarocki o tym wiedział. Mieliśmy różne plany. Czułam się bezpieczna, kiedy mnie prowadził, bo to było bardzo przemyślane i celowe prowadzenie. Wielki twórca, a jeszcze z takim poczuciem humoru, jakie to ważne. Po wielu latach pan Jerzy powiedział mi, że Lubaszenko poskarżył się kiedyś: „Maja wciąż chce próbować scenę w kawiarni". Opowiedział mi to lekko, z humorem, z takim dystansem, jak tylko on potrafił. Nie mogłam się zmartwić tym, że byłam nudna w tej swojej pracowitości. Musiałam się śmiać.

Którejś nocy po pracy nad sceną fruwania, po tych moich lotach na żyrandolu, przyśniło mi się, że latając rozbijałam ściany ciasnej kawiarenki. Poleciałam w prawo – ściana upadła. Poleciałam w lewo – ściana upadła, do tyłu – ściana upadła... i wybuchła przestrzeń morza, plaży, piasek ze śmieci, kosze do opalania i spadłam na to śmietnisko. Szybko ulokowałam się z moją torbą i wołałam: „rodzić, słodzić!". A w koszach do opalania już siedziały stare kobiety, na śmieciach leżały dziewczyny w białych kostiumach. Taki miałam sen. Pobiegłam do pana Jerzego przed próbą, żeby może ten pomysł wprowadził. „Za późno" – powiedział. Było za późno na wprowadzenie tego pomysłu do inscenizacji, na taką zmianę dekoracji w pierwszej części przedstawienia. Wojciech Krakowski wprowadził zmianę dopiero po przerwie. Scenografia zmieniała się w taki nadmorski pejzaż... i zawsze dostawała brawa.

Ten pejzaż – wielkie śmietnisko naszej cywilizacji, jedna z najznakomitszych prac Krakowskiego – stał się klasyką w historii polskiej scenografii.

GRAŻYNA WYSZOMIRSKA / INSTYTUT TEATRALNY IM. ZBIGNIEWA RASZEWSKIEGO

„Stara kobieta wysiaduje", Wrocławski Teatr Współczesny, 1969 r.

Pierwszy raz spotkałam się z brawami po otwarciu kurtyny. Potem pracowałam jeszcze z Jerzym Jarockim nad „Paternoster", sztuką Helmuta Kajzara, i znów doświadczyłam niezwykłego prowadzenia. To był następny etap mojej pracy, kiedy już dużo więcej rozumiałam. Sama się dziwię, jak Jarocki sobie dał radę ze mną, z moją wyobraźnią, z tym, co było jakimś ładunkiem, ale wymagało ukierunkowania. Ale szczegółów z „Paternoster" pamiętam mało. Grałam taką Gwiazdę z burzą blond włosów, w stylu Violetty Villas. Wpadałam na scenę przez drzwi ubikacji, drewniane drzwi z wykrojonym serduszkiem – moja Gwiazda pomyliła wejścia; padał śnieg... taki słup śniegu na środku sceny... uśmiechałam się, ssałam landrynkę, i znikałam w dziurze w podłodze sceny.

Byłaś już wtedy aktorką Teatru Polskiego we Wrocławiu, odeszłaś z Teatru Współczesnego.

Z Teatru Współczesnego odeszłam na własne żądanie. Jarocki dowiedział się, że przeszłam do innego zespołu i właściwie nie przyjął tego do wiadomości. Powiedział, że należy mnie do „Paternoster" zaprosić. Tak też się stało. Dyrektor nie miał wyjścia. Pamiętam jeszcze naszą próbę w warszawskim hotelu MDM, kiedy „Paternoster" zaproszono na Warszawskie Spotkania Teatralne. Miałam zawroty głowy, chyba grypę, i bałam się, że nie wykonam zadania, tego zniknięcia ze sceny, jak chciał pan Jerzy. Powiedziałam mu, że się boję, czy ja trafię w ten otwór sceny – to musiało być zrobione szybko, nagle. No, i w małym pokoju hotelowym, na kwadracie podłogi między łóżkiem a stolikiem ćwiczyliśmy to moje trudne zniknięcie w otworze sceny, dopóki nie znaleźliśmy dla mnie sposobu asekuracji. Dla Jarockiego było to naturalne. Jak już powiedziałam, dla pana Jerzego nie było rzeczy niemożliwych. Te nasze spotkania są w mojej pamięci tak poruszające, tak żywe. Powroty są ważne.

W naszych rozmowach często pojawia się słowo „tęsknota". Dzisiaj również je przywołałaś, mówiąc o modrzewiu w „Starej kobiecie".

Tak. Często o tym mówię. Pytałaś o to w „Pejzażu". Powtórzę: to uczucie towarzyszy nam przez całe życie i siłą rzeczy ma wpływ na to, co robimy, na nasze poszukiwania. Im bardziej się posuwamy w czasie, im ta droga jest dłuższa, tym częściej wracamy do lat, w których wszystko było jeszcze możliwe. Te powroty w nas – do wspomnień, do ludzi, których już z nami nie ma. To poczucie, że coś przeminęło – ten brak – jest ważny. Nie można się go pozbawiać. Ale można starać się go dopełniać. Dopełniać ten brak. Czy nie dlatego tworzymy? Nie wiem, czy dzisiaj potrafiłabym tak o tym powiedzieć, tak to sformułować.

© Rozmawiała BARBARA OSTERLOFF

Warstwy bliskości

ANITA PIOTROWSKA

Twórca „Grawitacji" i innych hollywoodzkich superprodukcji pytających o miejsce człowieka wobec wszechświata oraz nowych technologii – wraca po latach do meksykańskich i rodzinnych korzeni.

W kałuży mydlin, którymi młoda indiańska służąca szoruje podwórkową posadzkę, odbija się przelatujący samolot. Zapewne Cleo nigdy nim nie poleci, bo niby dokąd i za co, ale pojawi się on w filmie jeszcze nie raz, w rozmaitych sytuacjach, zwiastując istotne zmiany w życiu bohaterki. „Roma" Alfonsa Cuaróna zaczyna się od niewielkiego wycinka świata – odbitego w kałuży, ostro podzielonego, zamkniętego w społecznych hierarchiach – by poszybować w rejony kina wielkiego formatu. Trudno wyobrazić sobie film bardziej kompletny i lepsze zakończenie filmowego roku.

Autobiograficzna opowieść meksykańskiego reżysera bywa chętnie porównywana z „Fanny i Aleksander" Bergmana, które to w „niewinnym spojrzeniu dziecka – jak pisał Tadeusz Szczepański – scaliło rozbite zwierciadło". W „Romie" pojawia się nawet bliźniacza scena, kiedy dorośli i dzieci, Latynosi i *gringos*, „państwo" i służba, świętują hucznie nadejście roku 1971. Z tą jednak zasadniczą różnicą, że pamięć Cuaróna wystrzega się narcyzmu i w owej scenie, a zarazem w całym filmie oddaje spojrzenie oraz głos nie tyle dziecku, czyli sobie, co wychowującej go niegdyś niani. Z takiej perspektywy widać dziś znacznie więcej. Kiedy liczna rodzina doktora Antonia pogrążała się w kryzysie, gdzieś obok toczył się cichy dramat służącej – osoby bliskiej im, a jednocześnie bardzo odległej, bo reprezentującej nieuprzywilejowaną mniejszość etniczną i rdzennych mieszkańców kraju. W dedykacji na początku filmu przywołany zostaje pierwowzór tej postaci, zagranej przez amatorkę Yalitzę Aparicio. Ze swą prawdziwą opiekunką reżyser uzgadniał także szczegóły scenariusza.

Ów należący do Cleo wewnętrzny głos rozszczepia się w „Romie" na dwa języki: hiszpański i mixtec. Po modlitwie w języku dominującym niania śpiewa czwórce swych podopiecznych indiańską kołysankę. Analogiczne rozszczepienie dokonuje się w spojrzeniu kamery prowadzonej osobiście przez reżysera. Kiedy niespiesznie panoramuje zasobne wnętrza rodzinnego domu w tytułowej dzielnicy miasta Meksyk, czuje się w tym zarówno nostalgiczną pamięć dziecka, które spędziło tu najszczęśliwsze, najbardziej beztroskie chwile, jak i pamięć służącej, dla której przestronny dom miał być przede wszystkim powierzchnią do sprzątania, lecz z czasem stał się czymś znacznie większym. Ostatecznie ten prawdziwy dom tworzą przecież nie tyle kosztowne bibeloty, regały na książki i telewizor w centralnym punkcie, co więzi i emocje. O tym właśnie opowiada film Cuaróna: jak na przekór różnicom klasowym, etnicznym, rasowym wydarza się pomiędzy ludźmi coś ważnego.

Twórca „Romy" spłaca uczuciowy dług kobietom, które go wychowały. Przede wszystkim tej, która pierwsza i ostatnia gasiła w domu światło, serwowała desery, usuwała psie kupy, która z czułością i oddaniem matkowała nie swoim dzieciom, podczas gdy jej własne życie osobiste – kiepski romans, nieplanowana ciąża, strach przed utratą pracy – ukryte było w cieniu, niczym losy wielu podobnych dziewczyn i kobiet pod każdą szerokością geograficzną. Dziś, m.in. za sprawą literatury i filmu, te „służące do wszystkiego" odzyskują twarze, imiona i swoje historie. W przeciwieństwie do wielu emancypacyjnych tytułów z tego nurtu, meksykański reżyser odrzuca bezpośrednią konfrontację ze społecznym problemem. Odtwarza pieczołowicie klimat tego niewinnego czasu, kiedy był jeszcze za mały, by rozumieć tragedię Cleo, i zbyt naiwny, by dostrzec drobne gesty czy napięcia rozgrywające się podskórnie w doskonale zorganizowanym domu i pozornie harmonijnym życiu rodziny. Nie mógł wówczas widzieć, jak kapryśne i protekcjonalne bywają przejawy łaskawości okazywane indiańskiej dziewczynie przez chlebodawców i przez cały system, z opieką zdrowotną na czele. Badania ginekologiczne i formalne procedury, którym poddana zostaje niepiśmienna bohaterka dzięki wstawiennictwu swojej pani, to scena pomimo całej swojej dyskrecji przytłaczająca symbolicznym ciężarem.

U Cuaróna za sprawą bogatej symboliki odsłania się druga, zakulisowa opowieść. O wiecznie nieobecnym ojcu reprezentowanym przez „insygnia władzy" takie jak samochód czy papieros, wyolbrzymione subiektywną perspektywą dzieci i służących. O macierzyństwie będącym dla kobiet ze społecznych nizin równocześnie dobrodziejstwem i przekleństwem. O nierówności, która jakże łatwo zamienia się w aksamitną wersję zniewolenia. Wreszcie, o wstrząsach politycznych targających ówczesnym Meksykiem, których kulminacją staje się uliczna masakra studentów

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".**

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

CARLOS SOMONTE / NETFLIX

Kadr z filmu „Roma”

dokonana w święto Bożego Ciała przez jednostki paramilitarne Los Halcones, widziana w filmie z okien eleganckiego sklepu meblowego. Oto w bezpieczny, uporządkowany świat stopniowo wdziera się chaos. Zmiany stają się nieuchronne.

Mistrzostwo „Romy” polega na wykorzystaniu kreacyjnych możliwości, jakie ciągle kryją się w ruchomych obrazach, trochę na przekór atrakcjom oferowanym przez dzisiejsze kino. Kamera ma przede wszystkim naśladować pracę umysłu – świadomego, rekonstruującego fakty z dystansu lat, bez nadmiernej poufałości. Dlatego Cuarón jako autor zdjęć stara się każdy swój obraz maksymalnie rozbudować w głąb, w jednym długim ujęciu ożywa po kilka planów naraz, co językiem techniki filmowej nazywa się montażem wewnątrzkadrowym. Użycie rzadko stosowanej taśmy 70 milimetrów wpływa na przestrzenną kompozycję kadru i jego wizualną intensywność, niektórym kojarząc się z czarno-białymi fotografiami Sebastião Salgada, to znów z włoskim realizmem. Jedno jest pewne: „Roma” daje poczucie obcowania z kinem w postaci totalnej, a zarazem krystalicznie czystej. W kategoriach przestrzennych myśli się tu również o dźwięku – kolejny powód, by dzieło wyprodukowane przez platformę Netflix oglądać jednak na dużym ekranie, bo dopiero projekcja kinowa pozwala dostrzec wszystkie warstwy obrazu i fonii, a tym samym wtopić się organicznie w tkankę filmu.

Podczas wspomnianego już wyjazdu na sylwestra bohaterowie „Romy” dowiadują się, że w pobliskim lesie wybuchł pożar. Wszyscy, bez względu na wiek, płeć czy pozycję społeczną, rzucają się do gaszenia ognia. W tym momencie są naprawdę razem, nawet jeśli podczas samej zabawy noworocznej ujawniły się odwieczne podziały. Cuarón nie wierzy w utopię wielkiej rodziny człowieczej, za to wierzy, że na poziomie przeżywania ludzie są bardzo do siebie podobni. Finałowy napis „Shanti, shanti, shanti”, będący mantrą z hinduistycznych „Upaniszad”, odnosi się do pokoju rozumianego jako międzyludzka bliskość. Twórca „Ludzkich dzieci” czy „Grawitacji”, hollywoodzkich superprodukcji pytających o miejsce człowieka wobec Wszechświata i nowych technologii, wraca po latach do meksykańskich i rodzinnych korzeni nie po to tylko, by nakarmić prywatne wspomnienia. Chce przypomnieć, jak demokratycznym narzędziem może być kino. Pariasi z nowego filmu Cuaróna chętnie zresztą korzystają z tego przywileju. Dlatego próbuje on znaleźć język, który może być jednocześnie osobisty i uniwersalny, a przy tym nie oddzielać autentycznych emocji od estetycznych wrażeń. Nie dzielić swoich widzów na przeżywających współuczestników i przeżuwających smakoszy. ©

ROMA – *reż. Alfonso Cuarón. Prod. Meksyk/USA 2018. Dystryb. Netflix/Gutek Film.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [22 XII – 4 I]

1. Kształt wody

Melodramat/fantasy, reż. Guillermo del Toro, USA 2017, Canal+, 22 XII, 20.35, Canal+ 1, 22 XII, 21.35

Politycznie poprawny kicz czy wielka alegoria? Zwycięzca tegorocznych Oscarów traktuje swego widza jak duże dziecko i szerokim gestem zaspokaja jego fantazje. Historia miłości głuchoniemej sprzątaczki i wrażliwego potwora osadzona w zimnowojennej scenerii zamienia „Piękną i Bestię” w przypowieść o byciu innym.

2. Carrie Fisher i Debbie Reynolds prywatnie

Dokumentalny, reż. Alexis Bloom, Fisher Stevens, USA 2016, HBO, 27 XII, 22.20, HBO2, 28 XII, 22.40

Dwie legendy, córka i matka, zmarły niemal w tym samym czasie. Pierwsza znana była przede wszystkim jako księżniczka Leia z „Gwiezdnych wojen”, druga z musicalu „Deszczowa piosenka”. Dokument opowiada o łączącej je głębokiej relacji, która trwała na przekór wszystkim komplikacjom i osobistym słabościom.

3. The Florida Project

Dramat, reż. Sean Baker, USA 2017, Cinemax, 29 XII, 20.00, 30 XII, 13.00

Jeden z najciekawszych filmów amerykańskich ubiegłego roku rozgrywa się tuż obok Disneylandu, ale to historia nie do końca bajkowa. Sześcioletnia bohaterka spędza radosne dzieciństwo u boku beztroskiej matki do czasu, aż rzeczywistość objawi swoje brutalne oblicze. W roli drugoplanowej znakomity Willem Dafoe.

4. Hyppolyte et Aricie

Opera, reż. Aletta Collins, Niemcy 2018, ARTE po polsku, dostępne do 7 I

Wielkie namiętności oraz niebezpieczne związki ludzi i bogów powracają w inscenizacji opery Jeana-Philippe'a Rameau w berlińskiej Staatsoper Unter den Linden. Występują m.in. Anna Prohaska (Aricie), Magdalena Kožená (Phèdre) i Reinoud Van Mechelen (Hippolyte) z towarzyszeniem Freiburger Barockorchester pod batutą Simona Rattle'a.

JOANNA RUDNIAŃSKA

Jak złapać bakcyla

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Prawdziwy chleb musi być na zakwasie! Bez zakwasu to żaden chleb! Nieraz to słyszeliście. Jednak większość z tego, co wiemy na temat zakwasu chlebowego, to mity i półprawdy. Bo drobnoustroje nie czytają książek kucharskich.

A przecież robiłem wszystko zgodnie z przepisem. Pisali, że to proste, właściwie robi się samo, że działa czysta natura, że efekt będzie nieporównywalny ze zwykłym chlebem na drożdżach. Więc się naczytałem o nastawianiu zakwasu. Jeśli interesowaliście się pieczeniem chleba, na pewno też czytaliście o tym nie raz: że dzikie drożdże z powietrza, *ex nihilo*, będą się desantować do mączno-wodnej bryjki w słoiku na parapecie, o boju drobnoustrojów, który zostanie tam stoczony, aż wyłoni się zeń ich zwycięska kultura.

Łamałem głowę nad rozbieżnościami co do zasad dokarmiania w kolejnych przepisach, obliczałem proporcje, dwa razy na dzień odważałem najprzedniejszą mąkę razową i filtrowałem wodę, frenetycznie mieszałem i czekałem z łomoczącym sercem. Mikstura w słoiku bardziej przypominała przedszkolną owsiankę niż puszysty, pełen wigoru i kremowy eliksir życia, który mi obiecywali kulinarni blogerzy i autorzy nowej fali książek kucharskich. Miał pachnieć jak winne jabłka, pachniał jak lakier do paznokci. Ale, gdy zgodnie z przepisem, minął tydzień, zaczyniłem ciasto i upiekłem wymarzony razowy chleb na zakwasie.

Niewiele się różnił od deski, na której go kroiłem. Wyglądał jak przerośnięty sucharek, jego miękisz był gliniasty i kluchowaty. Owe legendarne dzikie drożdże albo nie trafiły w mój słój, albo poległy w bitwie mikrobów, albo zwyczajnie zdechły z przejedzenia. Bochen nie urósł ani o centymetr. To była katastrofa. Na długo porzuciłem próby z zakwasem i przestałem wierzyć blogerom.

Potem podobną historię słyszałem od wielu kandydatów na domowych piekarzy i już wiem, że pierwszy chleb na zakwasie zawsze jest porażką. Najlepiej od razu zacząć od drugiego.

Pasanie kotów

Drugi zakwas dostałem od przyjaciół. A później na polskim rynku pojawiła się kultowa książka Jeffreya Hamelmana pt. „Chleb". Nie tyle książka kucharska, ile istny podręcznik do chleba. Ale Hamelman, guru domowych piekarzy, tam gdzie mowa o zakwasie, oddaje głos komu innemu: Debrze Wink, którą nazywa „uznaną mikrobiolog i wspaniałą mistrzynią pieczenia chleba".

– Zawsze powtarzam, że mikroorganizmy nie czytały tych wszystkich podręczników mikrobiologii co ja – mówi mi Debra Wink, gdy zwierzam się jej ze swoich zakwasowych perypetii. – Nie są zbyt chętne do współpracy, bo nie wiedzą, czego od nich oczekuję ani nawet jaka jest pora dnia. Robią to, co robią, dla własnych korzyści.

I pociesza: – Mój pierwszy bochenek na zakwasie też był katastrofą.

Debra Wink nie ma własnego programu kulinarnego ani strony internetowej. Przez pewien czas prowadziła blog w serwisie „The Fresh Loaf". Ale jej środowiskiem naturalnym są fora gromadzące piekarzy amatorów. Prowadzi szkolenia, a książkę Hamelmana nie tylko konsultowała, ale też na pewnym etapie redagowała. Mieszka w Columbii w stanie Missouri. Z wykształcenia jest mikrobiolożką, pracuje jako technolog medyczny.

W latach dwutysięcznych była akurat na diecie, potrzebowała chleba pełnoziarnistego. Postanowiła spróbować upiec własny i w poszukiwaniu porad weszła na forum internetowe amerykańskiego producenta mąki King Arthur Flour Company.

– Zastałam tam mnóstwo ludzi dyskutujących o chlebie i cieście na zakwasie – opowiada. – Była cała masa pytań, komentarzy, i masa ekscytacji. Pytania o zakwas i zagubienie forumowiczów sprawiły, że zaczęłam się bardziej angażować. Dzięki mojemu wykształceniu byłam

w stanie odpowiedzieć na wiele kwestii albo przynajmniej wiedziałam, gdzie szukać odpowiedzi.

Zakwas chlebowy to środowisko, w którym żyją zarówno dzikie drożdże, jak i bakterie kwasu mlekowego. To dzięki ich pracy chleb na zakwasie ma dużo bogatszy i kwaskowy smak w porównaniu z tym na drożdżach piekarskich.

Prowadzenie zakwasu Debra Wink porównuje do pasania kotów, czyli próby zapanowania nad czymś, czego nie da się kontrolować.

– W odróżnieniu od ciasta na drożdżach piekarskich w zakwasie nie działa tylko jeden organizm, lecz wszystkie „dzikie", obecne w stanie naturalnym gatunki i szczepy. W każdym zakwasie trochę inne – odpowiada. – Nawet jeśli jedne z nich dominują, to pozostałe są wciąż obecne na drugim planie. W zakwasie żyje tak wiele organizmów, z których każdy ma własny zestaw idealnych warunków, że gdy owe warunki się zmieniają, a tak się dzieje wielokrotnie w procesie fermentacji, organizmy z drugiego planu wskakują na scenę i zaczynają robić swoje. Nieustannie zmienia się dynamika pomiędzy nimi, oddziałują one nie tylko z mąką i otoczeniem, ale też ze sobą nawzajem. To właśnie sprawia, że prowadzenie zakwasu jest tak ekscytującym wyzwaniem. Swoją rolę gra tu Matka Natura.

Chwileczkę, jak to: „w zakwasie żyje tak wiele organizmów..."? Źródła, które przeglądałem, utrzymywały, że w idealnym zakwasie ostają się zasadniczo dwa: dzikie drożdże *Saccharomyces exiguus* i bakterie kwasu mlekowego *Lactobacillus sanfranciscensis*.

Po rozmowie z Debrą Wink pojąłem, że większość tego, co wiedziałem na temat zakwasu, to mity, a w najlepszym wypadku półprawdy.

Myszki i muszki

Rozrobiona z mąką woda, od której zaczyna się hodowanie zakwasu, to bogate w pożywienie środowisko życia dla naszych upragnionych drobnoustrojów. Ale jakoś muszą one doń trafić. Wielu autorów książek i blogów przekonuje, że trafiają do niego po prostu z powietrza, bo jest ich wokół nas mnóstwo. Ta piekarska odmiana hipotezy panspermii jest jednak najprawdopodobniej nieprawdziwa.

Owszem, do niedawna niewiele wiadomo było na temat tego, skąd dokładnie w zakwasie biorą się niektóre drożdże i bakterie, takie jak wspomniany *Lactobacillus sanfranciscensis*, którego obecności nie stwierdzono... w żadnym innym środowisku poza zakwasem chlebowym. Debra Wink tłumaczy, że mikroorganizmy trafiają do zakwasu przede wszystkim z mąki: znajdziemy je na łupinach ziaren. To dlatego, nastawiając go, najlepiej użyć mąki razowej, gdzie ziarno mieli się razem z łupinami. Ale skąd biorą się na ziarnach? Odpowiedź się wam pewnie nie spodoba.

– Niestety, za sprawą gryzoni – wzdycha Debra Wink.

Nowe badania wskazują na podobieństwo mikroflory zakwasu do tej znajdywanej w układzie trawiennym zwierząt żywiących się ziarnem. Drobnoustroje trafiałyby do mąki po prostu za sprawą np. zanieczyszczenia ziarna mysimi odchodami – na polu, w młynie, a nawet w piekarni. Ale także za sprawą nawożenia pól.

Ale to jeszcze nie wszystko. Otóż ów uchodzący za celebrytę bakterii zakwasu chlebowego *Lactobacillus sanfranciscensis* preferuje temperatury niższe niż te panujące w układach pokarmowych ciepłokrwistych zwierząt. Nie przeżyłby w nich. Okazuje się, że ta do niedawna niespotykana nigdzie poza zakwasami pałeczka kwasu mlekowego została wyizolowana z przewodu pokarmowego zwierzęcia zimnokrwistego: pospolitej muszki owocówki.

– Częścią diety muszki owocówki są drożdże – tłumaczy Debra Wink. – Wabi je składnik zapachowy, który produkują: estry kwasu octowego, te same, które są obecne w dojrzewającym i fermentującym owocu, na przykład gruszkach czy bananach. Drożdże produkują estry właśnie dlatego, że przyciągają one owady, które roznoszą następnie drożdże na swoim ciele, zaszczepiając nimi inny owoc albo zakwas.

A wraz z drożdżami, mówi mikrobiolożka, przenoszą bakterie kwasu mlekowego. Ale wiele drobnoustrojów jest w mące od samego początku, tyle że w ilościach zbyt małych, by dało się je wykryć. Rozmnażają się i pokazują, co potrafią, dopiero gdy stworzy się im odpowiednie warunki. To właśnie klucz do zrozumienia, co się wydarza, gdy cała ta mikrobiologiczna zgraja trafi do obfitującej w cukry, ciepłej i wodnistej arkadii. Czy rzeczywiście wybucha między nimi bezwzględna wojna, w której wygrać mają te drożdże i bakterie mlekowe, których oczekujemy?

Z bonanzy do systemu

Był rok 2002. Na forum internetowym King Arthur Baking Circle pojawił się frapujący wątek dziwnego zachowania, które przejawiał świeżo nastawiony zakwas. Według książkowych prawideł drugiego dnia mączna papka powinna być jeszcze leniwa i spokojna, a trzeciego i czwartego zacząć powoli napełniać się gazem i rosnąć. Tymczasem już drugiego dnia papka nagle wyrastała jak szalona, wypełniając się grubymi bąblami, a potem zamierała. Mikrobiolożka postanowiła się temu przyjrzeć. To, co ujrzała pod mikroskopem, wywróciło jej wyobrażenia o zakwasie do góry nogami. ↦

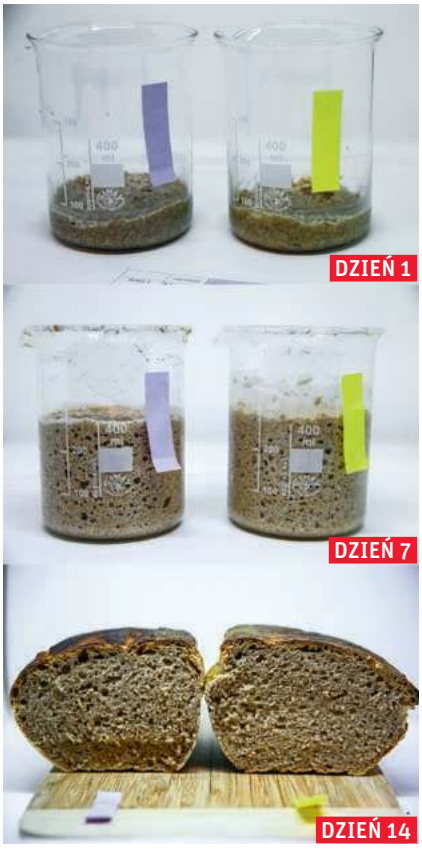

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Żeby przeskoczyć pierwszy, uciążliwy etap robienia zakwasu i zacząć od razu przy niższym pH, Debra Wink radzi przez pierwsze trzy dni zamiast wody używać... soku ananasowego. Jego kwasowość stworzy środowisko przyjazne dla pożądanych przez nas drobnoustrojów.
Sprawdziłem: na zdjęciach zakwas na wodzie (oznaczony na fioletowo) konkuruje z zakwasem na soku ananasowym (na żółto). To działa: zakwas na soku rozwijał się sprawniej i stabilniej. Ale chleb i na jednym zakwasie, i na drugim, był jednakowo pyszny.

↦ W dwudniowym zakwasie nie było ani jednej komórki drożdży. Nie było też ani pół pałeczki kwasu mlekowego. Za to pod okularem mikroskopu dokazywało stado innych bakterii. Okazało się, że na tym etapie w świeżym zakwasie prym wiódł zupełnie inny drobnoustrój: Leuconostoc citreum – również zaliczany do bakterii kwasu mlekowego, ale który oprócz kwasu mlekowego produkuje dwutlenek węgla. I to właśnie ta bakteria, a nie żadne drożdże, okazała się sprawczynią gwałtownego napompowania dwudniowego zakwasu. Dla towarzystwa w próbce panoszyły się również bakterie *Aerococcus*. Oraz *Enterobacter cloacae*: to m.in. ona odpowiada za coś, na co domowi hodowcy zakwasu często narzekają: jego okropny smrodek na początku fermentacji. Na tym etapie wykrywa się w zakwasie także śmierdzące i bardzo niepożądane bakterie, takie jak pałeczka okrężnicy (*Escherichia coli*) czy nawet *Salmonella*.

Ale *Leuconostoc*, jako się rzekło, wytwarza nie tylko gaz, lecz także kwas mlekowy. I powoli, powoli zakwasza mączną papkę, obniżając jej pH.

– W mące jest ogromnie dużo rozmaitych organizmów – tłumaczy mi Debra Wink. – Oprócz wszelkiego rodzaju bakterii, w tym tych niepożądanych, także choćby pleśnie. Każdy z nich ma swój ulubiony zakres pH, niektóre szeroki, inne wąski. Poza nim nie mogą się rozwijać. Gdy zmieszasz wodę z mąką – dodaje – otrzymasz papkę o pH na poziomie około 6–6,5. Tylko niektóre mikroorganizmy lubią ten zakres pH, zaczynają się więc rozmnażać. Są to akurat głównie te bakterie, które produkują smród.

Gdy pH zakwasu spadnie poniżej 4,8, niepożądane towarzystwo zamiera. – Za każdym razem, gdy pH spada, inne organizmy zaczynają czuć się dobrze i rozmnażać się oraz obniżać pH jeszcze bardziej – tłumaczy mikrobiolożka i dodaje, że w ten sposób bakterie kwasu mlekowego tworzą środowisko nieprzyjazne dla innych organizmów, za to sprzyjające im samym.

Oraz dzikim drożdżom. Bo te – w odróżnieniu od poczciwych drożdży piekarskich – żeby obudzić się z formy przetrwalnikowej, potrzebują odpowiedniego sygnału. Może nim być odpowiednio niskie pH. Teraz już rozumiem, co się przytrafiło mojemu pierwszemu zakwasowi. Nie w tym rzecz, że dzikie drożdże do niego nie trafiły albo że poległy w boju. Po prostu, zbyt często karmiąc zakwas, nieustannie go rozcieńczałem, podwyższając pH, w dodatku hodowałem go za krótko. Nie pozwoliłem mu doczekać momentu, w którym drożdże mogłyby się obudzić, zacząć rozmnażać, żywić i produkować dwutlenek węgla. To dlatego mój chleb nie urósł ani trochę.

Fakt, że drożdże pojawiają się dopiero na dalszym etapie hodowli zakwasu, też jest, zdaniem Debry Wink, źródłem przesądu, jakoby wpadały one doń z powietrza. Ich przetrwalniki znajdują się w nim od początku, ale w uśpieniu i zbyt małej ilości. Dlatego badaczka nie widziała ich nawet pod mikroskopem.

W dojrzewającym zakwasie nie wybucha bitwa drobnoustrojów w takim sensie, by miały na siebie napadać i się mordować. Debra Wink woli mówić o sukcesji drobnoustrojów: na kolejnych etapach, w miarę jak zmienia się środowisko, z bakteryjnej bonanzy wyłania się stabilny system. A właściwie: ekosystem.

Ale czy jest w nim wspomniana wcześniej gwiazda: *Lactobacillus sanfranciscensis*, bez której, zdaniem wielu domowych piekarzy, nie ma prawdziwego zakwasu?

Przed nami kolejny wielki mit.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TP

Dołącz do grupy dyskusyjnej „Smaki” ›› powszech.net/smaki

Nasza kulinarna grupa dyskusyjna „Smaki” ma kolejnego moderatora. MAREK RABIJ – to na co dzień dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”. Definitywnie „włoski ma paszport na sercu”, choć fascynuje go także kuchnia Azji Południowo-Wschodniej z jej szalonymi kombinacjami smaków. Kulinarnie przedstawia się następująco: oliwa, pomidory, chilli, kumin, tamaryndowiec, cynamon.

„Smaki” to gotowanie, jedzenie, restauracje, porady. Tu dzielimy się najciekawszymi przepisami, ale także najlepszą publicystyką kulinarną. Dyskutujemy o wszystkim, co dotyczy jedzenia: jak je przyrządzać, gdzie zjeść na mieście, jak zadbać o jakość produktów, ale także na temat narzędzi takich jak patelnia, nóż czy mątewka. Niebawem w grupie znajdą Państwo również fragmenty nowej książki Michała Kuźmińskiego „Nauka w kuchni”, przedpremierowo!

Pałeczka znad Zatoki

Dla amerykańskich smakoszy San Francisco to legendarny chleb na zakwasie – o którym tamtejsi piekarze opowiadają, że prowadzony jest od stu lat i że udaje się tylko w okolicach Zatoki: przekazany do innej piekarni w kraju, natychmiast traci swą wyjątkowość. W 1970 r. zespół mikrobiologów pod kierownictwem Franka Sugihary i Leo Kline'a przebadał próbki zakwasu z pięciu tamtejszych piekarni. Odkryli, że dominuje w nim gatunek drożdży *Saccharomyces exiguus*, który dobrze się czuje w kwaśnym środowisku, a koegzystuje z nimi unikatowa bakteria, pałeczka wytwarzająca kwas mlekowy i nieco kwasu octowego oraz dwutlenek węgla, a w dodatku najchętniej żywiąca się nie glukozą, lecz maltozą – rozkładając ją, pozyskuje energię i wydala glukozę ku radości drożdży. Dzięki tej specjalizacji nie musi rywalizować o pokarm, a zarazem dokarmia drożdże.

Sugihara i Kline nazwali swoje odkrycie *Lactobacillus sanfranciscensis*: pałeczką kwasu mlekowego z San Francisco. Badania te dały początek przekonaniu, że zakwasy swoje unikatowe cechy zawdzięczają lokalnym szczepom bakterii. Gdy zakwas z San Francisco przenieść np. do piekarni w Nowym Jorku, sądzono, ich miejsce zajmie tamtejszy szczep. „Do zabawy włączają się miejscowe mikroby i niebawem dostajesz *Lactobacillus newyorkensis*", twierdził sam Jeffrey Hamelman na łamach „Discover Magazine" w 2003 r. (w moim zakwasie powinien więc raczej gościć *Lactobacillus cracoviensis*...).

Kłopot w tym, że gdy już kolejni badacze wiedzieli, czego szukać, *L. sanfranciscensis* zaczęto wykrywać w zakwasach z piekarni na całym świecie. I to jeszcze nie wszystko. Otóż okazuje się, że dokładnie taki sam skład mikrobiologiczny jak zakwas z San Francisco ma... włoski zakwas na tamtejsze ciasto panettone. To tyle, gdy chodzi o lokalną unikatowość zakwasów.

– Przez ostatnie kilkanaście lat, dzięki nowym technologiom laboratoryjnym, odkryto mnóstwo wcześniej nieopisanych bakterii żyjących w zakwasie chlebowym, z których każda ma takie same cechy jak *L. sanfranciscensis* – opowiada Debra Wink. – Bałabym się twierdzić, że jakikolwiek organizm jest typowy dla zakwasów na całym świecie.

W czym więc rzecz? Mikrobiolożka wspomina o badaniach, które zajmujący się kulturami zakwasu mikrobiolog Michael Gänzle prowadził na wyspie Vancouver w Kanadzie. Jedna z tamtejszych piekarni dysponowała zakwasem, w którym dominowały dwa gatunki pałeczek kwasu mlekowego: *L. rossiae* i *L. paralimentarius*. To kombinacja spotykana rzadko poza... środkowymi i południowymi Włochami.

– Badacze zapytali piekarzy, czy mają jakieś związki z Włochami, czy stamtąd wzięli swój zakwas – opowiada mikrobiolożka. – A ci odpowiedzieli. że nie, ale że prowadzą zakwas według takiej procedury, jak to się robi we Włoszech. I tylko dzięki temu otrzymali zakwas o profilu mikrobiologicznym z innej części świata. To, co ostatecznie wyrośnie w zakwasie, znacznie bardziej zależy od tego, jak go prowadzisz, niż od tego, gdzie to robisz.

Po opuszczeniu okolic San Francisco tamtejszy zakwas zmienia się nie dlatego, że zaczynają nań wpływać lokalne bakterie, lecz dlatego, że zmieniają się warunki.

– Gdy zabierzesz go z piekarni, gdzie był prowadzony tak samo przez lata, i zaczniesz go prowadzić w domu, nie możesz oczekiwać, że pozostanie taki sam – tłumaczy mikrobiolożka.

Nie mamy wpływu na skład mikroflory naszego zakwasu, ale możemy manipulować warunkami, w których się rozwija: jak instruuje Debra Wink, ilość wody, czyli konsystencja zakwasu, wpływa na jej mobilność, a więc choćby zdolność dorwania się do pokarmu. Wybór między białą a pełnoziarnistą mąką oznacza też wybór różnych rodzajów cukrów. Temperatura i częstotliwość dokarmiania przechyla szalę a to na rzecz bakterii (zimniej i rzadziej), a to drożdży (cieplej i częściej). I tak dalej.

– Gdy pomyślisz o zakwasie jako o wspólnocie organizmów – konkluduje Debra Wink – pojmiesz, jakie możliwości ci to daje przy pieczeniu chleba.

JEST JESZCZE JEDEN MIT O ZAKWASIE: że im jest starszy, tym lepszy.

– Spójnie prowadzony zakwas w pewnym momencie się ustabilizuje i wieloletni nie będzie się zbytnio różnił od kilkumiesięcznego – mówi Debra Wink. – Z czasem lepszy staje się nie tyle zakwas, ile ten, kto go hoduje.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Korzystałem m.in. z prac Daniela Winga i Alana Scotta (1999), Michaela P. Doyle'a, Larry'ego R. Beuchata i Thomas J. Montville'a (2001), Luca De Vuyst i Patricii Neysens (2005) oraz Marco Gobbettiego i Michaela Gänzle (2013), a także materiałów otrzymanych od Debry Wink.

Artykuł na podstawie rozdziału książki autora pt. „Nauka w kuchni. Przełomowe historie sztuki kulinarnej", która ukaże się 16 stycznia 2019 r. nakładem wydawnictwa Znak.

TP
„Tygodnik" poleca książkę dla głodnych... wiedzy

Kiedy ludzie zaczęli gotować? Czy nasi przodkowie byli padlinożercami? Jak wygląda gluten? Czy da się wyhodować sałatę w komosie? Jak przyczepić do patelni warstwę nieprzywierającą?

Na te i inne pytania odpowiedzi znajdą się w książce „Nauka w kuchni" Michała Kuźmińskiego, wieloletniego szefa działu Nauka i zastępcy redaktora naczelnego „TP". Na temat tajników przyrządzania i przechowywania żywności oraz chemii gotowania rozmawia m.in. z antropologiem Robinem Dunbarem, materiałoznawcą Markiem Miodownikiem, naukowcami z Milenijnego Banku Nasion oraz z CERN czy botanikiem z NASA Rayem Wheelerem. W sposób zabawny, acz ścisły odpowiada na pytania, które często sobie sami w kuchni zadajemy: dlaczego zupa miso nie może się nie udać? Jak ciasto robi się elastyczne? Dlaczego lepiej się smaży na tłuszczu? Jak powstaje nalewka? Autor prowadzi przez fascynujące tajniki jedzenia i gotowania od czasów prehistorycznych po najdalszą przyszłość.

Nową książkę Michała Kuźmińskiego „Nauka w kuchni" – zamów w przedsprzedaży na: powszech.net/naukawkuchni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Lektor:
Świat do góry nogami

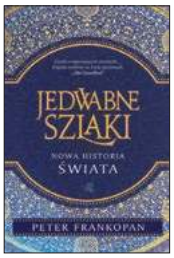

▪ *Peter Frankopan*
JEDWABNE SZLAKI. NOWA HISTORIA ŚWIATA
Przełożyli Piotr Tarczyński i Szymon Żuchowski. W.A.B. – Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2018, ss. 704

Gdzie jest środek świata? I czy jego historię koniecznie trzeba opowiadać z europocentrycznej perspektywy? „Na czternaste urodziny – pisze Peter Frankopan, oksfordzki historyk (rocznik 1971) z chorwacko-szwedzkimi korzeniami, autor wydanej u nas „Pierwszej krucjaty" – rodzice podarowali mi książkę antropologa Erica Wolfa... Według niego powszechnie przyjmowana, intelektualnie leniwa wizja historii cywilizacji polega na tym, że »starożytna Grecja poczęła Rzym, Rzym począł Europę chrześcijańską, Europa chrześcijańska poczęła renesans, renesans oświecenie, oświecenie demokrację polityczną i rewolucję przemysłową, a przemysł skrzyżowany z demokracją dał w wyniku Stany Zjednoczone, ucieleśniające prawo do życia, wolności i dążenia ku szczęściu«. Natychmiast zrozumiałem, że takiej właśnie historii mnie uczono".
Teraz napisał własną, bliższą owym arabskim geografom, którzy w centrum swoich map, rysowanych „do góry nogami", umieszczali Morze Kaspijskie. „Nowa historia świata" zwraca się ku Wschodowi, ku środkowi Azji, gdzie powstawały imperia, ku obszarom, przez które przebiegały najważniejsze szlaki handlowe między Europą a Chinami (i skąd przyszła do Europy epidemia dżumy). Nacisk kładzie na dziedzictwo wypraw Aleksandra Wielkiego, na chwałę dawnej Persji i wschodnie kierunki ekspansji cesarstwa rzymskiego, na azjatyckie korzenie chrześcijaństwa i jego kontakty z religiami tak odległymi jak buddyzm. Dzieje imperium mongolskiego są w tej wizji tematem pełnoprawnym, nie zaś marginesem przywoływanym w związku z bitwą pod Legnicą. A współczesne konflikty w Iraku czy Afganistanie – bo opowieść swoją Frankopan doprowadza niemal do wczoraj – wynikają z wcześniejszej rywalizacji europejskich mocarstw kolonialnych i Stanów Zjednoczonych o dominację w Azji i o bliskowschodnią ropę.
Ostatni obrazek tej mozaiki to współczesne Chiny jako główny aktor w grze o nowy porządek świata.
Jeśli czegoś mi tu zabrakło, to choćby wspomnienia o dramacie Tybetu i trwającym dziś prześladowaniu Ujgurów w Sinkiangu – krainie leżącej przecież na Jedwabnym Szlaku. Godna podziwu jest natomiast praca obu tłumaczy oraz ich konsultantów nad sprostowaniem faktograficznych wpadek autora bądź dopowiedzeniem zbyt skąpych informacji. Taką pieczołowitość coraz rzadziej się dziś spotyka! ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo: *Bukłaczek powszechny, czyli świąteczny toast*

„W obliczu cudzego smutku robisz się słaby, jak wszyscy ludzie wrażliwi. Silni są ci, co nie kochają. Nigdy nie będziesz silny, to dobrze. Ale nie powinieneś żyć samotnie” – pisała George Sand do Gustawa Flauberta w odpowiedzi na jego list z marca 1870 r., w którym człek ten niespełna 50-letni uskarżał się, że dopada go starość, złości go wszystko, zmarł mu przyjaciel i nie ma z kim porozmawiać. Być może przeceniała wrażliwość korespondenta, który zawsze w sporach z nią twierdził, że pisze głową, a nie sercem w przeciwieństwie do niej – serce zaś, to prawda, miała naprawdę pojemne, mieściło się w nim przez lata wiele nietuzinkowych postaci. Ale na pewno słusznie go napominała, by otwierał się na ludzi, ja bym dodał: choćbyś miał szukać ich w innych epokach, choćby naszej. Np. Marek Bieńczyk chętnie dotrzymałby Flaubertowi towarzystwa, wyznał to na spotkaniu z okazji nowego wydania jego winiarskich miniatur, gdy dostał sakramentalne pytanie, jakim się dręczy każdego erudytę: z którym pisarzem chciałby się pan napić?

Wspomniał jeszcze o Diderocie – choć tak naprawdę chodziło mu o Kubusia Fatalistę, ten bowiem lubił ze swojego bukłaczka pociągać „stateczny łyk”. Tak, jest w winie stateczna mądrość. Marek to w swoim winopisaniu, pomiędzy ploteczkami z paryskiego dworu, gdzie króla zastąpili literaccy mandaryni, potrafi celnie uchwycić. Picie wina to praktyczna medytacja nad trzema zasadami stoika, który wie, jak gospodarować chwilami, by nizać z nich sens dobrego życia. Po pierwsze, każda z nich jest inna i niepowtarzalna, pijąc wino z jednego rocznika w określonym momencie, nie oczekuj, że będzie takie samo za miesiąc albo że następny rocznik powtórzy się identycznie. Po drugie, chwila to urywek trwania, ma więc i koniec, podobnie jak te trzy czwarte litra, które czekają w butelce. Możesz sięgnąć po następną, ale przecież i tak kiedyś skończy ci się zapas. Po trzecie, wino to także ludzie, z którymi je pijesz, nastrój, nadzieje i smutki, one tworzą jakość i smak, zatem dbaj, by w duszy twojej na półkach, jak w dobrze zaopatrzonej piwnicy, dojrzewał przedni dowcip, ale kolekcjonuj też bliźnich, miejsca i okazje. Bez nich wino jest tylko płynem, które agronom, chemik i mikrobiolog wytłumaczą ci we wzorach, wykresach i tabelach, rozpiszą na maceracje, fermentacje i oksydacje, w ich księgach drożdże grają w berka z bakteriami, zostawiając za sobą arabeskowe układy estrów, kwasów i polifenoli.

No właśnie. Tak żeś się, pięknoduchu zdematerializował nad tym winem, że wiedza o aldehydach wydaje ci się zbędna – woła do mnie z sąsiednich stron tego numeru Michał Kuźmiński. Ale twoja wątroba grzecznie jednak prosi, byś pamiętał, że nawet stoik podlega fizjologii smaku. Zakąś wino chlebem i posłuchaj o *Sacharomyces* i *Lactobacillus*, o tym, jak w słoju zakwasu pulsuje gęsta materia życia w postaci czystej, że tenże zakwas to jedno z najcenniejszych udomowionych przez człowieka stworzeń. Jak je właściwie hodować, oporządzać i zagnać do roboty, co dosypać, co dolać, jak zmieszać i gdzie odstawić – to nie jest żadna wiedza tajemna zasłyszana sentymentalnym uchem w okolicy poetów, choć przemiana mąki, wody i ognia w chleb może się leniwemu umysłowi zdawać cudem. Cuda zostaw teologom, wpuść za to naukę do kuchni. Im więcej zrozumiesz z tego, co się dzieje w kadzi czy na patelni, tym bardziej skutecznie się posilisz, zamienisz strawę w siłę. Pojmowanie zasad materii i życia to przygoda dla umysłu, tym bardziej zawrotna, że pozornie bezduszny konkret, jaki puka w niej od spodu, to jedyna postać istnienia osobnego „ja”.

GRAŻYNA MAKARA

Panowie raczą żartować, z myśli i cząsteczek ulepiliście jakąś kukiełkę, ale życia w nią nie tchniecie, potrzebna jest jej społeczna sieć znaków, ról i rytuałów – jak zawsze w ferworze woła z innej strony Marcin Napiórkowski. Szkoda czasu siadać przy stole, pędźmy szukać człowieka tam, gdzie go najłatwiej spotkać – w tłumie. Tylko mi tu nie marudźcie, że przedświąteczne popołudnie w centrum handlowym to coś nie dla waszych elitarnych nosków. Tarzajcie się, to są Saturnalia, obrzęd dionizyjski w stanie czystym. Patrzcie na ten szał pozornie bezsensownej obfitości, na ten żar w oczach, który na próżno w ślad za ponurym protestanckim kaznodzieją nazywacie obłędem. Jeśli to jest obłęd, to niezbędny do tego, by przez resztę roku znosić społeczny ład w chomącie normalności. Serce rośnie, gdy widać, jak bardzo odwieczne struktury mitu otulają nas. Bez nich, choćby najedzeni i napici, zginiemy – gdyby naprawdę dało się świat zdemitologizować, byłaby to dla nas zagłada pewniejsza niż śmierć z powodu przegrzania planety.

I tak bez końca, wołają mnie z różnych stron Marek, Michał, drugi Michał, Marcin, Ania, Przemek, głosy ulubionych autorów. Co tydzień w innym zestawie – w tym specjalnym numerze szczególnie liczni. Każdy, kto tu pisze, to osobny dar dla waszych myśli i uczuć, opowiada, straszy, bawi, dźga ironią i wzrusza, żebyście nigdy nie byli samotni. Jesteśmy jak bukłaczek z winem Kubusia – „rodzaj Pytii przenośnej, milknącej natychmiast, skoro była próżna” – życzę wam więc, aby nigdy nie wysychał, i między okładkami tygodnika nigdy nie zabrakło przyjaciół. Idźcie im na spotkanie, jedzcie, pijcie, ja potem wszystko grzecznie pozmywam i w swoim kąciku suchą szmatką sztućce powycieram. ©℗

MARZENIE O KONIKU

Dziś remont starego domu oznacza tyle, że wszystko, co metalowe, idzie na złom, a drewniane do pieca. Ale co nieco udało mi się uratować – mówi Henryk Słowikowski, samozwańczy muzealnik.

ADAM ROBIŃSKI

ADAM ROBIŃSKI

Jeśli na panoramicznych zdjęciach dołączonych do map Google wjechać do Kamieńczyka, powiat wyszkowski, województwo mazowieckie, zobaczy się senną mieścinę w szczycie lata. Dzieci wyjechały na wakacje, samochody chyba razem z nimi. Trzeba się sporo naklikać, żeby mijając zakład produkcji mięsa i całą masę krytych nową dachówką drewniaków dojść w końcu do rynku imienia Tadeusza Kościuszki. Tam, z widokiem na boisko i plac zabaw, po sąsiedzku z przychodnią NFZ, stoi nieduży dom z poddaszem oznaczony numerem 14 i tabliczką „Muzeum etnograficzno-historyczne".

Na uchwyconej przez samochód Google w lipcu 2013 r. fotografii przy furtce stoi mężczyzna w białej koszulce, szarych spodniach, klapkach i marynarskiej czapce. Dla dochowania wymogu anonimowości jego twarz została rozmyta, ale i tak łatwo poznać, że to Henryk Słowikowski. Najwyraźniej w Dolinie Krzemowej rzeczywiście wiedzą o nas wszystko. Nawet to, z kim w Kamieńczyku warto porozmawiać.

Uczulenie na fryzjera

– Wie pan, ja mam dwie daty urodzenia, biologiczną i urzędową. Urodziłem się 25 grudnia 1944 r. Trwała wojna, administracja nie działała jak należy, do tego końcówka roku, więc rodzice mnie przetrzymali i zarejestrowali dopiero 25 marca 1945 r. Trzy miesiące mnie odmłodzili. Później poszedłem do szkoły, później do wojska i później na emeryturę.

Mój ojciec, dziad i pradziad byli stąd, ale ja się urodziłem obok, w Świniotopie. Dziadek zginął w wypadku, kiedy ojciec miał półtora roku, babcia wyszła drugi raz za mąż, właśnie na Świniotop, tam się ojciec wychował, tam pojawili się przyrodni brat i siostra, no i tam ja się urodziłem. Z młodości pamiętam głównie odpusty. Nikt tu nie miał prądu, więc czekało się na nie cały rok. Zbierało się drobne pieniążki, żeby wystarczyło na lody i karuzelę. Karuzela była popychana. Na górze znajdował się podest, na którym stało czterech lub pięciu. I pchali. Jak się popchało trzy kursy, to w nagrodę można było raz usiąść na karuzeli.

Pamiętam też to, że mój ojciec był trochę fryzjerowaty. Strzygł kolegów we wsi i mnie, całkiem na łyso. Wstyd mi było strasz-

Henryk Słowikowski w swoim muzeum etnograficzno-historycznym w Kamieńczyku nad Bugiem, listopad 2018 r.

nie, bo koledzy wołali na mnie „Łysek". W życiu byłem może pięć razy u fryzjera, do dziś mam uczulenie.

Ożeniłem się na Łazach, ale tam było ciasno. Tu w Kamieńczyku mieszkała żona brata mojego dziadka. Samotna, bezdzietna, miała tylko dwie izby. Ten pokoik i jeszcze drugi, za ścianą, do którego nas przyjęła. Nas już wtedy była czwórka: ja, żona i dwójka dzieci. Wyszykowałem izbę, zawiesiłem grzejniczek, zrobiłem studnię. Lodówka i telewizor były u niej. A potem, jak już nam to wszystko odpisała, dobudowałem kuchnię i jeszcze jeden pokój. A dom jest jeszcze z czasów okupacji. Wcześniej w tym miejscu stał inny. Duży, drewniany, szczytem do ulicy. Ale w 1939 r. Kamieńczyk cały spłonął, zostało wszystkiego pięć domów.

Miasto zdrobnione

Już pierwszy rzut oka na mapę daje do zrozumienia, że żyjąc na niżu, człowiek musi słuchać się rzek. Są kręgosłupem przestrzeni niezamkniętej niczym ponad to, co zbudowane ludzką ręką. Główna, szeroka, kapryśna rzeka zbiera dopływy, które jak żebra szatkują okolicę. Ludziom daje środki do życia i przymiotniki: nadwiślański, nadbużański, nadnarwiański. Dla wschodniego Mazowsza rzeki są jak pasma górskie. Co na tym ↦

↦ samym brzegu, to po sąsiedzku, co po drugiej stronie, to już niemal inna dolina. Żeby to wszystko pozszywać, trzeba nadkładać drogi, objeżdżać, szukać przepraw i promów.

Słuchanie się Bugu dało kiedyś Kamieńczykowi wielkość i bogactwo. Jeszcze w XVI w. nikt nazwy nie zdrabniał. W Kamieńcu Mazowieckim stał murowany zamek otoczony trzema kościołami, ratuszem z sukiennicami, ośmioma młynami i ponad trzema setkami domostw. To było miasto nie tylko z nazwy. „Mieszkało tu 20 piwowarów, 13 rzeźników, 11 piekarzy, 2 szynkarzy, 2 rzemieślników, 3 szewców, 2 garncarzy, 2 krawców, 2 kuśnierzy, 2 cieśli, 7 komorników oraz kotlarze, kowale, miecznicy, siodlarze, tkacze" – wylicza krajoznawca Lechosław Herz w zbiorze „Klangor i fanfary. Opowieści z Mazowsza". Kamieniec leżał na głównym szlaku z Litwy do Warszawy, a jeszcze w XIX w. przez miasto przepływało średnio 30 barek dziennie. Bug był spławny tylko przez cztery miesiące w roku, co razem dawało nawet cztery tysiące barek. Ale potem przyszły kolejne plagi: morowe powietrze, pożary, potop szwedzki. „Z kamiennego zamku nie został do dzisiaj nawet jeden kamień". Nie wiadomo nawet, gdzie stał, bo od tamtych czasów Bug kilka razy zmienił koryto. Z czasem nazwa Kamieńczyk stała się po prostu bardziej adekwatna. Tym bardziej że w odwecie za powstanie styczniowe car zabrał prawa miejskie.

Dziś pamiątką dawnej świetności jest już tylko miejski układ ulic ze wspomnianym rynkiem. No i zdobiący go pomnik: na kamiennej płycie stoi od 2002 r. krępy, wąsaty mężczyzna w kaszkiecie. Długim na parę metrów drągiem odpycha się od trawy.

Monopolista

Flisactwo było tu od zawsze. Nikt nie wie dokładnie od kiedy. Polska miała trzy flisackie stolice: Kamieńczyk nad Bugiem, Ulanów nad Sanem i Czernichów nad Wisłą. Połowa mężczyzn z Kamieńczyka szła na flisaka. Ojciec Słowikowskiego też. Flis był zbawieniem ekonomicznym. Jeśli w okresie międzywojennym 16-, 17-letni chłopak najmował się do pracy w polu, do orania, siania i grabienia, dostawał złotówkę dziennie, równowartość kilograma cukru, słoniny lub żywca wieprzowego. Flisak zarabiał pięć razy tyle. Praca była opłacalna, ale i bardzo ciężka.

– Ojciec mi opowiadał, że jak wpadli na mieliznę, to choć skóra im z rąk płatami schodziła, tratwy musieli przeciągać siłą własnych mięśni. Tratwa miała piętnaście, czasem i trzydzieści metrów długości, w zależności od tego, z jak długich drzew ją zbudowano. Dziesięć zbitych bali dawało tafel, dziesięć tafli to był sznurek. I oni musieli to wszystko przez mieliznę przepchnąć, byle pierwszy sznurek przeszedł, kolejne miały już łatwiej. Płynęli do Gdańska z drewnem, czasami mieli też popiół.

– Płynęli tam i z powrotem?

– A po co z powrotem? W Gdańsku ładowali to drewno na okręty, a potem wracali na piechotę. Trzysta pięćdziesiąt kilometrów to jest osiem, dziesięć dni, w zależności od pogody. Na ogół udawało im się to tylko raz w roku, wiosną. Na drugi spływ latem nie pozwalał już stan wody. Czasem udawało się jesienią, jak wody wezbrały. To była praca sezonowa. Ze zbijanką tratew trwała ledwie dwa miesiące.

– Co robili przez resztę roku?

– Siedzieli i w piecu palili. Jak przez trzydzieści dni zarobili po sto pięćdziesiąt złotych, to każdy mógł kupić krowę.

Ale flis skończył się w 1949 r., kiedy po wojnie kolej stanęła na nogi.

– Ja jestem hydraulikiem, w 1964 r. skończyłem szkołę przy ulicy Młynarskiej w Warszawie. Tak się złożyło, że trafiłem na złoty okres dla tego zawodu. Jak do władzy doszedł Gierek, to ludzie wyjeżdżali na Zachód, a potem wracali z pieniędzmi i kupowali działki letniskowe. Rolnicy skupywali działki po 20 groszy za metr, a potem sprzedawali je za dolara za metr. W latach 70. i 80. dolar to był majątek. Tu w okolicy, nad Bugiem i Liwcem, działek było od groma. Jak zaczynałem pracę, to niektórzy nawet studni na podwórku nie mieli, tylko używali publicznej. Byłem pionierem i monopolistą. Studnie i szamba ludziom robiłem aż do emerytury. Dzięki temu miałem pieniądze. I stąd to muzeum.

Studnia jako waluta

Ale pieniądze stały się tylko środkiem do celu. Pierwsze było marzenie o koniku. Na wsi znali tylko te pociągowe, do roboty. Słowikowski marzył o ujeżdżaniu. Kiedyś poznał Ludwika Maciąga, malarza, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Maciąg miał czystej krwi araba, co tylko wzmogło marzenie. Nijak nie było jednak go kupić. W latach 70. w powiecie pojawiła się spółdzielnia rolnicza. Wyłączono z upraw kilkadziesiąt hektarów gruntu. Ludzie oddawali ziemię w zamian za rentę i kartki na mięso. Spółdzielnia zaczęła od hodowli owiec, potem przerzuciła się na krowy, później króliki. Ale interes wcale się nie kręcił. Wreszcie teren przeznaczono na działki letniskowe. Po nieudanym eksperymencie gospodarczym zostały dwa konie.

– To były matka z synem, matka piękna siwka, synuś trzylatek, nie pamiętam, ogier jeszcze czy już wałach. Łaziły na luzaka po okolicy, teren był niby ogrodzony, ale sobie radziły. Zacząłem się koło tej kobyłki kręcić. Ale z państwowej instytucji wcale nie było tak łatwo cokolwiek kupić. Długo trwały moje zabiegi, szukanie kontaktów, podchody. No ale w końcu się udało. I jak już miałem konika, zapragnąłem zdobyć siodło.

Pierwsze dostał z warszawskiego Służewca. Kuzyn woził siano na wyścigi. Kiedyś poprosił Słowikowskiego o zrobienie studni. Odpowiedział: przywieź mi jakieś siodło. Potem oddał je do Łochowa do rymarza. Ten rozebrał je na części, wynitował, wyreperował. Słowikowski podłożył na konia, siadł.

– Nigdy wcześniej nie siedziałem w siodle. Przejechałem cztery kilometry, zlazłem z konia i na drugi dzień nie mogłem się ruszyć. Po drugim, trzecim razie już nie bolało. Samoukiem byłem, radziłem sobie. Nikt mnie nie instruował, bo nie było komu instruować. W okolicy mieszkało kilku starych kawalerzystów, ale to było pięćdziesiąt lat po wojnie, oni już nic nie pamiętali. A ja w wojsku jeździłem na czołgach T-34, a nie na koniach.

Potem było już z górki. W Węgrowie też był rymarz, miał siodło, ale nie chciał go sprzedać. Dał namiar na jeszcze innego kolegę. Słowikowski wsiadł w samochód i znalazł go we wsi Krypy, tej samej, w której urodziła się Danuta Wałęsowa. Okazało się, że ów rymarz ma kilka siodeł. Były wśród nich przedwojenne, niemieckie, austriackie, amerykańskie, coś po armii Hallera. Tak zaczęła się kolekcja siodeł ułańskich, która dziś jest jedną z największych w Polsce. Najstarsze w zbiorze Słowikowskiego jest to po Radziwiłłach ze Starejwsi. XVII wiek, może pamiętać jeszcze potop szwedzki.

– A potem to trwało następnych trzydzieści lat. Jak miałem już trochę siodeł, to zacząłem zbierać wszystko, co mi wpadło ciekawego w ręce. Kiedyś trochę tego na rynku było. Dziś remont starego domu oznacza tyle, że wszystko, co metalowe, idzie na złom, a drewniane do pieca. Ale co nieco udało mi się uratować. To co, pójdziemy obejrzeć moje zbiory?

Kolebka przez dach

Czarno-biała ulotka pana Henryka wisi na co najmniej paru płotach we wsi. Można na niej wyczytać, że jego muzeum zaprasza na lekcje historii lokalnej oraz do oglądania kilku ekspozycji. Jest flisactwo, są narzędzia rolnicze, kolekcja siodeł, zabytkowe sprzęty domowe, trochę motocykli i rowerów, pamiątki po żołnierzach Września. „Przyjdź – naprawdę warto!" – obiecuje w druku Słowikowski. Zaprasza już tak od dziewiętnastu lat.

– Wszystko robię sam, z własnych pieniędzy, żadna instytucja mnie nigdy nie wspierała. Zainteresowania też nie ma specjalnie dużego. Pobliskie szkoły się mną w ogóle nie interesują. Trochę wycieczek przyjeżdża z dalszej okolicy. Z Warszawy, z Łochowa, z kierunku siedleckiego. A Wyszków nie. Wyszków jakoś odporny na kulturę. Ale i tak mam rocznie kilka tysięcy gości. Sezon zaczyna się w maju, w czasie matur szkoły jeżdżą na wycieczki. A na początku sierpnia mamy w Kamieńczyku dzień chleba i miodu. Wtedy na samym rynku, pod moimi oknami, jest kilka tysięcy osób. Ale nie wszyscy do mnie przychodzą.

Muzeum stoi bezpośrednio za jego domem. To tak naprawdę stara, powojenna stodoła, do której dobudował wiatę. Chodzi o to, żeby wszystkie eksponaty były pod dachem. Falisty dach rósł, aż doszedł do grubego świerku, któremu trzeba było ustąpić pierwszeństwa. A i tak kryje tylko część kolekcji. Większe eksponaty mieszczą się na innym, większym podwórku.

– To o czym panu poopowiadać? Może lokalna etnografia? To jest godzinny wykład. Wszystko drewniane, bo to był surowiec, który rósł za oknem. Metal był materiałem bardzo deficytowym. Pan zobaczy ten lancet do sadzenia drzew. Cały drewniany, metalowa jest tylko końcówka.

A to badułka, kosz do przechowywania ryb. Dawniej nie było lodówek, jak się złowiło za dużo, to ryby lądowały w badułce, a ta w wodzie. Ryby były złapane, ale dalej żywe. I jak się znalazł klient, to się badułkę wyławiało.

Te żarna to są dwa kamienie. Wierzch jest ruchomy, a spód nie. Łożysko oporowe pozwala ten kamień unieść do góry, żeby była gruba mąka dla konia i świni, albo obniżyć, żeby była na chleb. Nie można trzeć kamienia o kamień, bo by się od razu zdarł. Kamiennej mąki nie chcemy.

Sierp, najstarsze narzędzie żniwne. Widzi pan ten ornament? Niespotykany! Widocznie ktoś przyniósł to z flisu z Gdańska. Może dla córki na posag? Lokalni kowale robili sierpy bez ząbków, a ten jest z ząbkami.

Ta brona ma ponad dwieście lat. Cała drewniana. Często ciągnęła ją krowa, bo nie wszyscy mieli konie. Nierzadko też ciągnęli ją ludzie, bo nie wszyscy mieli krowy.

Muzeum stoi bezpośrednio za jego domem. To tak naprawdę stara, powojenna stodoła, do której dobudował wiatę. **Chodzi o to, żeby wszystkie eksponaty były pod dachem.**

Nie lubię militariów, jestem pacyfistą, ale mam tu trochę pamiątek. W środku widzi pan siodło juczne, służyło do transportu broni na grzbiecie konia, osła czy muła tam, gdzie nie wjedzie samochód. To konkretne brało udział w bitwie pod Monte Cassino. Rower jest przedwojenny, na drewnianych obręczach. Tylko opony i szprychy ma współczesne. Dwie fabryki wtedy były, Zawadzkiego i Kamińskiego. Ten jest od Zawadzkiego.

Narty dostałem od działkowiczów. To francuskie rossignole. Ich właścicielem był Mieczysław Chojnowski, mógł być Żydem, bo to chyba zmienione nazwisko. Brały udział w igrzyskach olimpijskich. Których? Nie wiem dokładnie. Były na nich takie znaczki, ale odpadły, żona je schowała, żeby nie zginęły.

Ten motocykl shl jest jeszcze mój kawalerski. On jest już eksponatem i ja też jestem eksponatem. Z kolei triumph jest z 1938 r. Umiarkowanie lubię motoryzację, ale jest potrzebna. Na wsi kto nie miał motoru, musiał chodzić pieszo. Wszystkie motory, które pan tu widzi, są sprawne. Tylko ta jawa, druga z lewej, już nie jeździ.

A tu mam eksponaty codziennego użytku. Bujany konik jest z Kamieńczyka, a kolebka z Nadkola, sąsiedniej wsi. Cztery pokolenia się w tej kolebce wychowały. Kilka lat na nią czekałem. Dom był zabity dechami, bez dostępu do środka. Dopiero jak dach zmieniali z eternitu na blachę, to mi przez dach kolebkę wyjęli, i tak trafiła do muzeum.

Będzie pan robił zdjęcia? To proszę nie jako całość, ale detale. Bo tak to będzie groch z kapustą. Nietaktownie to może wyglądać. W wojsku byłem fotografem pułkowym, więc się na tym trochę znam.

Trzeba siać

Wychodząc z kamienieckiego muzeum warto pójść kilkaset metrów na wschód. Tam, gdzie ulica delikatnie skręca między płotami, nagle pojawia się rzeka. Kostka bauma płynnie przechodzi w wodę. Są też wodowskaz, ławeczka i kartka przybita do pnia wiekowej wierzby, a na niej numer telefonu komórkowego podpisany „Przeprawa promowa". Ale sygnał jest głuchy, prom chodzi tylko w sezonie. Mieści nawet 30 osób. Czasami – niechętnie – zabiera samochód. Jeszcze trzy lata temu widziano na Bugu kilka barek z faszyną, ale dziś są już tylko ten prom, wędkarze i kajaki. W spokojnej toni trudno szukać rzeki, która jeszcze w 1979 r. zalała Słowikowskim pół podwórka. Zresztą po ustawieniu główek w nurcie Bug przestał tu wylewać.

– Najlepsza informacja, jaką może pan przekazać, to że ja jestem szczęśliwym człowiekiem. Sporo miałem marzeń i wszystkie mi się spełniły. Jakby się dało wszystko w życiu cofnąć, tobym poszedł tą samą ścieżką. Nic bym nie zmienił. Żyje mi się dobrze, spokojnie, bez wzlotów i bez upadków. Łut szczęścia mnie nie opuszczał. Łut szczęścia jest ważniejszy niż złoto. Złoto można przegrać w karty albo zgubić, a szczęście się za tobą toczy. Więc pielęgnuję je, dbam, podlewam, smaruję i rozsiewam, żeby nie odeszło.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *O pisarstwie*

Niewiele jest ciekawszych inicjatyw niźli polityczne dzieła o charakterze artystycznym. Stąd od dość dawna szperamy i dowiadujemy się o postępach ściśle partyjnej inicjatywy, sterowanej rzecz jasna centralnie, o nazwie Instytut Literatury. Przedsiębiorstwo to się na razie rodzi. Powołano już jednak jego centralny organ prasowy, o nazwie „Napis", właśnie się ukazujący. Jak zwykle niechcący wymyślono bardzo zgrabną nazwę, dobrze ilustrującą jakość planowej literatury sterowanej politycznie. Ani Instytut Literatury Instytutem Literackim nie będzie, ani „Napis" owym dawnym „Zapisem", choć oczywiście będzie za PiS-em. To jasne. Bon mot jest średni, to prawda, ale za to nienaciągany.

Instytucje sterowane centralnie są przecież wyłącznie przystanią, teraz już chyba dla dziesiątego szeregu akolitów obecnej władzy, którzy z racji gruntownych ograniczeń nie załapali się na posady w elektrowniach, pegeerach, gazowniach czy w kopalniach. Trzeba im jednak zapewnić godne życie i posady za zasługi bądź krzywdy, których tyle w życiu doznali, że bez chusteczki tego nie razbierjosz. Słowem, nie byłoby o czym gadać, gdyby nie detal do omówienia. Otóż magicznym celem istnienia Instytutu Literatury ma być „wspieranie autorów, którym trudno przebić się na rynku".

Wypada tu podzielić się spostrzeżeniem banalnym. Tylko człowiek niechodzący do księgarń może mniemać, że są na świecie jacykolwiek autorzy, którym dziś trudno się przebić. Księgarnie w 99 procentach swej masy towarowej wypełnione są książkami, co znaczy, że ich autorzy się przebili. Nie trzeba w owej ogromnej masie zanadto przebierać, by zorientować się, że dziś zaiste każdy analfabeta z jednocyfrowym IQ jest w stanie cokolwiek naskrobać, wydać i sprzedać. Już od bardzo dawna analfabetyzm nie jest barierą w pisaniu. Księgarnie są pełne utworów podpisanych przez ludzi niepiśmiennych, są przeładowane twórczością na dowolny temat, od osiągnięć i klęsk kulinarnych, poprzez rewolucyjne opisy porządkowania szafki, złote myśli na temat zdrowego życia, picia, niepicia, odpoczywania, rodzenia, zabijania, zarabiania, podróżowania w miejsca zarówno ciekawe, jak i nieciekawe. Są tam także zwierzenia na temat osiągnięć erotycznych, politycznych, medycznych i paramedycznych, na traumatycznych wspomnieniach z dzieciństwa kończąc. Dziś nawet średnio rozgarnięty grubas jest w stanie napisać 500 stron o tym, jak schudł, a potem znowuż brawurowo utył. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że zostanie dziś „pisarzem" jest łatwiejsze niż awans na kierownika warzywniaka, do czego trzeba mieć jednak dryg i kompetencje, choćby we wczesnym wstawaniu z łóżka. Słowem, pytamy gromko, gdzie są dziś tacy, którym trudno się przebić?

Ktoś rezolutny i politycznie zorientowany odrzeknie nam zapewne, mierząc w odpowiedzi zarzut, że chodzi o jakiś rodzaj „autorów wyklętych", podejmujących wbrew mainstreamowi i salonowi tematy gorzkie, piszący trudno, może nieporadnie, ale prawdę, wbrew trendowi kłamstwa i cywilizacji śmierci, językiem twardym, polskim, oddalonym od poprawności politycznej. Odpowiedź na ten przejmujący zarzut jest jednak prosta: takich autorów jest również bardzo wielu, by nie powiedzieć setki, a może setki tysięcy, są na rynku aż miło, przebijają się swym pisaniem – tak to ujmijmy – na wylot i przegryzają się na drugą stronę czegokolwiek, mają swych licznych wydawców i wiernych czytelników. Rynek książki bowiem – tak się składa – łyka już absolutnie wszystko.

O kogo zatem chodzi nowej, ściśle partyjnej i sterowanej centralnie firmie, mającej wspomagać „autorów, którym trudno się przebić"? To określenie – nawiasem mówiąc – dla każdego człowieka serio traktującego swe pisanie musi być rodzajem litościwej zniewagi. Odpowiedź winna być jedna i logiczna: gdzieś muszą się spotykać skrajni nieudacznicy ze skrajnymi nieudacznikami. Jest to, przyznajemy, bardzo ciekawe przedsięwzięcie państwowe i dlatego organ „Napis" sobie zaprenumerujemy, i niech to będzie nasz skromny wkład w rozwój nieudacznictwa polskiego, które nie mieści się na normalnym rynku. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Umieram z głodu

Trwa kryzys żywnościowy w Sudanie Południowym

unicef
dla każdego dziecka

Uratuj dziecko takie jak Lemi!
Wpłać darowiznę na **unicef.pl/sudan**

Wpłać i uratuj dziecko w Sudanie Południowym!

Sprawdź, na co przeznaczymy Twoją darowiznę.

51 zł – np. 35 opakowań ratującej życie pasty terapeutycznej z orzeszków ziemnych
115 zł – np. 30 opakowań mleka terapeutycznego stosowanego w leczeniu ciężkiego niedożywienia
185 zł – np. 6-tygodniowa terapia dla jednego niedożywionego dziecka (126 saszetek pasty)

Informujemy, że po przekazaniu przez Państwa darowizny, administratorem Państwa danych osobowych będzie Stowarzyszenie Polski Komitet Narodowy Funduszu Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci UNICEF z siedzibą przy ulicy Rolnej 175 D, 02-729 Warszawa. *Z Inspektorem ochrony danych można kontaktować się pisząc na adres e-mail iod@unicef.pl lub adres pocztowy administratora. *Państwa dane osobowe pozyskane w związku z przekazaniem darowizny będą przetwarzane w celu: obsługi Państwa jako Darczyńcy, w tym udzielania odpowiedzi na pisma i wnioski oraz informowania o przekazanych darowiznach i bieżących działaniach na Państwa adres pocztowy, prowadzenia analiz i statystyk, w tym profilowania, archiwizacji, rozpatrywania reklamacji oraz zabezpieczenia ewentualnych roszczeń, prowadzenia działań związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa, zgodnie z art. 6 ust. 1 lit. f) RODO; zawarcia i wykonania umowy (przekazania darowizny, zgodnie z art. 6 ust. 1 lit. b) RODO; wypełnienia ciążącego na nas obowiązku prawnego wynikającego z przepisów podatkowych zgodnie z art. 6 ust. 1 lit. c) RODO. *Państwa dane są przekazywane podmiotom współpracującym i udzielającym wsparcia UNICEF- na zasadzie zleconych usług i zgodnie z zawartymi umowami i powierzenia — oraz organom uprawnionym na podstawie przepisów prawa, pracownikom oraz współpracownikom UNICEF. *Państwa dane nie są przekazywane do państw trzecich lub organizacji międzynarodowej. *Okres, przez który Państwa dane osobowe są przetwarzane jest obliczany w oparciu o kryteria: Otrzymanie informacji o wycofaniu zgody lub żądaniu zaprzestania przetwarzania danych w celach marketingowych; Przepisy prawa, które obligują Stowarzyszenie UNICEF Polska do przetwarzania danych przez określony czas; Okres, który jest niezbędny do obrony interesów administratora danych. *Posiadają Państwo prawo do: żądania od Administratora dostępu do swoich danych osobowych, ich sprostowania, usunięcia lub ograniczenia przetwarzania danych osobowych, wniesienia sprzeciwu wobec takiego przetwarzania, przenoszenia danych; w przypadku wątpliwości co do prawidłowości przetwarzania Państwa danych osobowych wniesienia skargi do organu nadzorczego (do Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych), cofnięcia zgody na przetwarzanie danych osobowych. *Szczegółowe informacje na temat danych osobowych dostępna są na stronie www.unicef.pl/Polityka-prywatnosci

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPŁACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy
73 1020 1013 0000 0102 0151 5907

nr rachunku odbiorcy c.d.

odbiorca:
Stowarzyszenie Polski Komitet Narodowy Funduszu Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci – UNICEF
ul. Rolna 175 D, 02-729 Warszawa

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:
Pomoc dla Sudanu Południowego
Kod akcji: 31816

stempel dzienny

Opłata:

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy
Stowarzyszenie Polski Komitet Narodowy Funduszu Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci – UNICEF

nazwa odbiorcy cd.
ul. Rolna 175 D, 02-729 Warszawa

nr rachunku odbiorcy
7 3 1 0 2 0 1 0 1 3 0 0 0 0 0 1 0 2 0 1 5 1 5 9 0 7

W P

waluta

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem
Pomoc dla Sudanu Południowego

tytułem cd.
Kod akcji: 31816

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” CZTERY DODATKI

pierwszy z cyklu dodatków „Wielkie Pytania dla Polski na nowo”

To nowa seria, obejmująca łącznie osiem obszernych publikacji, które ukażą się w ciągu najbliższych dwóch lat. Chcemy na nowo zapytać o rzeczy najważniejsze, które zgrupowaliśmy w cztery bloki tematyczne: „Zrozumieć Wszechświat”, „Rewolucja neuronaukowa”, „Wartości dziś” oraz „Język i komunikacja”.
Pierwszy dodatek nosi po prostu tytuł „Matematyka”, a w nim m.in.: ▪ TOMASZ PŁAZAK opowiada o roli symetrii w opisie świata ▪ TOMASZ MILLER o rozpalającej matematyków hipotezie Riemanna, zwanej „królową hipotez” ▪ a prof. MIROSŁAW SZREDER pyta, czy naprawdę zawsze i wszystko warto mierzyć ilościowo

dodatek jubileuszowy na 140-lecie Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

a w nim m.in. ▪ rozmowa Martyny Nowickiej z MICHAŁEM KOTAŃSKIM, dyrektorem instytucji ▪ oraz tekst MACIEJA STROIŃSKIEGO o spektaklu „Ciemności” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. Uroczyste obchody Jubileuszu odbędą się w dniach 5-6 stycznia 2019 r. – sprawdź program na teatrzeromskiego.pl

dodatek „Muzyka w Tygodniku” na Rok Moniuszki

ROK MONIUSZKOWSKI
KSIĘGA ZNAKU

Mało kto drży na dźwięk jego nazwiska, niektórzy wręcz ostentacyjnie machają ręką, a jednak kipiące inwencją „Straszny dwór” i „Halka” nieprzerwanie cieszą się fantastycznym powodzeniem. Ba, dzisiaj wręcz modnie jest się nimi zachwycać – i z pewnością nie dlatego, że powstawały „ku pokrzepieniu serc” czy dlatego, że poruszają treści „narodowe”. Pokrzepianie serc? Treści narodowe? W jakim sensie? W nadchodzącym roku – w trakcie oficjalnego Roku Moniuszkowskiego w 200. rocznicę urodzin kompozytora – będziemy starali się poznać lepiej Stanisława Moniuszkę: „drugiego po Chopinie”, który, jeżeli zajrzeć głębiej, pozostaje kompletnie nieznany

dodatek specjalny UNICEF

unicef
dla każdego dziecka

przygotowany we współpracy z UNICEF Polska.
A w nim: ▪ Lista żalów dzieci świata. ▪ Ile godzin zajmują dzieciom wyprawy po wodę? ▪ Jaki ma to związek z ich chodzeniem do szkoły? ▪ Dlaczego najmłodsi ponoszą konsekwencje lokalnych praktyk i tradycji? ▪ Czy o ich sytuacji można mówić wyłącznie w kontekście współczucia? ▪ Jemen, wojna bez końca. ▪ Wrócimy do bohaterów naszych tekstów sprzed roku, aby pokazać, jak przedłużająca się wojna w Jemenie niweczy szanse dzieci na lepszą przyszłość. ▪ Pokażemy, jakie wyzwania niesie pomoc humanitarna w rejonie konfliktu. ▪ Zaczęło się w Polsce. Sylwetka Ludwika Rajchmana, jednego z pierwszych w świecie promotorów praw dzieci i pomysłodawcy UNICEF.

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego
„Połączenie odebrane”▪
W PREZENCIE
– dla każdego, kto wykupi
do **24 grudnia 2018**
DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę
„Tygodnika Powszechnego”!

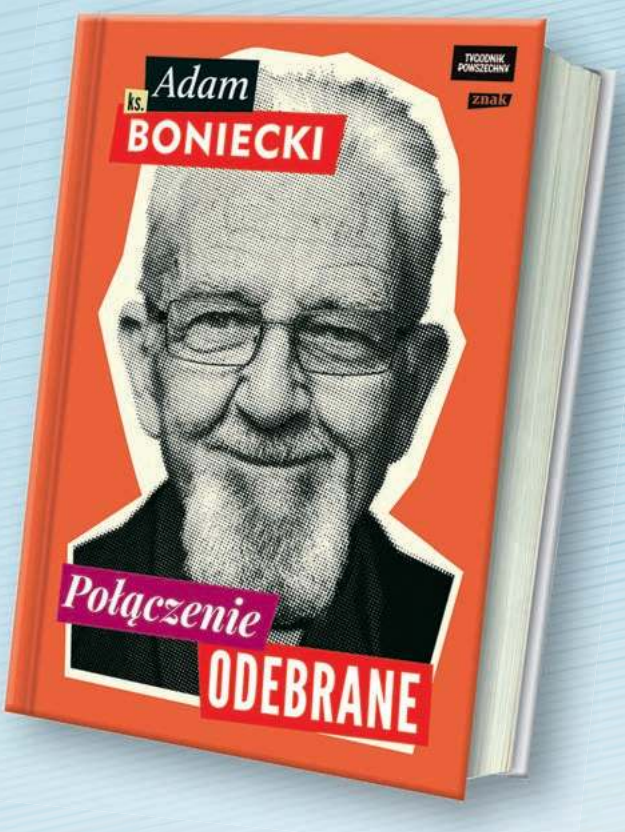

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 24 grudnia 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną krajową prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO marketing automation

znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

TEATR WIELKI
OPERA NARODOWA

Moniuszko 200.
2019 ROKIEM
STANISŁAWA MONIUSZKI

INAUGURACJA ROKU MONIUSZKI
W TEATRZE WIELKIM - OPERZE NARODOWEJ

Stanisław Moniuszko

Halka

wykonanie koncertowe na instrumentach historycznych
włoska wersja językowa

5/01/2019

FABIO BIONDI dyrygent
EUROPA GALANTE orkiestra
CHÓR OPERY I FILHARMONII PODLASKIEJ

GORINA / LEDZION-PORCZYŃSKA / POMPEU
R. GIERLACH / SIWEK / KOZŁOWSKI

MONIUSZKO200.PL